

IAN DOUGLAS  
**STAR  
CARRIER**

TOM VIII  
**ŚWIATŁOŚĆ**



**Ian Douglas**

# **Star Carrier**

**Tom VIII**

## **Światłość**

Przekład Paweł Dembowski



Warszawa 2019

W serii **Star Carrier** dotychczas ukazały się:

**TOM I  
PIERWSZE UDERZENIE**

**TOM II  
ŚRODEK CIĘŻKOŚCI**

**TOM III  
OSOBLIWOŚĆ**

**TOM IV  
OTCHŁAŃ**

**TOM V  
CIEMNA MATERIA**

**TOM VI  
GŁĘBIA CZASU**

**TOM VII  
MRO CZNY UMYŚŁ**

Tytuł oryginału: *Star Carrier: Bright Light*

Copyright © 2018 by William H. Keith, Jr.  
All rights reserved

Projekt okładki: Tomasz Maroński  
Redakcja: Rafał Dębski  
Korekta: Agnieszka Pawlikowska  
Skład i łamanie: Karolina Kaiser  
Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

**Wydawca:**

**Drageus Publishing House Sp. z o.o.**

**ul. Kopernika 5/L6**

**00-367 Warszawa**

**tel.691962519**

**e-mail: [drageus@drageus.com](mailto:drageus@drageus.com)**

**[www.drageus.com](http://www.drageus.com)**

ISBN ePub: 978-83-66375-18-5

ISBN mobi: 978-83-66375-19-2

# Spis treści

Okładka  
Strona tytułowa  
Seria Star Carrier  
Strona redakcyjna  
Dedykacja  
Prolog  
Rozdział pierwszy  
Rozdział drugi  
Rozdział trzeci  
Rozdział czwarty  
Rozdział piąty  
Rozdział szósty  
Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy  
Rozdział dziewiąty  
Rozdział dziesiąty  
Rozdział jedenasty  
Rozdział dwunasty  
Rozdział trzynasty  
Rozdział czternasty  
Rozdział piętnasty  
Rozdział szesnasty  
Rozdział siedemnasty  
Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Epilog

*Jak zawsze...  
dla Brei*

# Prolog

Świadomość wiedziała o Ziemi i pochodzącej z niej cywilizacji od dłuższego czasu. A ponieważ obejmowała wielkie przepaście czasu i przestrzeni, można powiedzieć, że zawsze wiedziała.

W sercu pulsującej sfery dziesięciu milionów starożytnych słońc, znanej ludziom jako Omega Centauri, w centralnej rozecie sześciu masywnych czarnych dziur orbitujących wokół wspólnego środka w ramach ewidentnie sztucznie zaprojektowanego układu, Świadomość rozmyślała o inteligentnych istotach, które znalazła w tym nowym, boleśnie młodym wszechświecie.

„Inteligentnych” – cóż za względna koncepcja!

Zwłaszcza że Świadomość... posmakowała pewnej ich ilości, w postaci próbki drobnych stateczków i innych struktur w tym obszarze przestrzeni.

Umysły, których skosztowała, były w większości żałośnie powolne i ograniczone. Bardzo niewiele wykazywało inteligencję wyższego rzędu, aczkolwiek żadna nie zbliżała się nawet do Świadomości, jeśli chodzi o głębię i zakres Umysłu.

Świadomość metodycznie konsumowała te, które warte były zachodu.

Pozostałe usuwała.

I z powoli rosnącym wigorem coraz głębiej eksplorowała ten obszar nowego wszechświata. Zidentyfikowała ponure, tłące się na czerwono słońce, zwane przez zasymilowane przez nią umysły Gwiazdą Kapteyna, jako miejsce, gdzie niezwykle stare istoty zwane Baondyeddi, Adjugredudhra i Groth Hoj przeniosły swoje umysły do cyfrowych maszyn. Gatunki te, należące do społeczności zwanej przez różne źródła „Sh'daar”, ukrywały się przed jakimś nieznanym zagrożeniem. Być może przed samą Świadomością, chociaż wydawało się, że cyfrowi wiedzą dokładnie, czego się obawiają.

Chociaż próbowali uniknąć wykrycia – również poprzez spowolnienie swojego postrzegania czasu tak, by każde sto lat zdawało się sekundą – Świadomość odnalazła ich... i pożarła biliony umysłów. Dała im przy tym porządek i poczucie celu, którego do tej pory nie znali.

Wtedy dowiedziała się o Chmurze N'gai... i o dużo bliższej obecności ludzi.

A na swoim ojczystym świecie, ledwie dwanaście lat świetlnych od Gwiazdy Kapteyna, mieszkańcy oczekiwali przybycia Świadomości z coraz większym lękiem egzystencjalnym.

# Rozdział pierwszy

30 stycznia 2426

Battery Park

Nowy Jork

Godzina 15.45 EST

– Wynoś się z mojej głowy!

– Uważam, że kiedyś w końcu musimy porozmawiać – powiedział głos w jego myślach. Brzmiał, jakby był nieco rozbawiony.

Trevor Gray, były oficer floty USNA, skrzywił się.

– Po co? – spytał obcesowo. – Cholera, Konstantin, zrujnowałeś mi życie, wiesz o tym?

– Konieczne było, aby odszedł pan ze służby. Powiedziałbym, że kluczowe.

– Gówny prawda. Nie jestem już twoją własnością. I nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Gray przechadzał się po przezroczystym punkcie widokowym, unosząc się nad wzburzonymi falami Zatoki Nowojorskiej. Za jego plecami chmury przebijały wieże, które wyrosły tam, gdzie dawniej leżały Ruiny Manhattanu – lśniące srebrzysto-szklane wieżowce, od których odbijało się zimowe słońce. Zmieniło się tutaj przez ostatni rok bardziej, niż myślał, że to możliwe. Miejsce, gdzie teraz stał, kilka miesięcy wcześniej znajdowało się pod wodą. Teraz było czyste i błyszczące, z garstką wyglądających na turystów cywili.

Czuł, jak Konstantin, potężna AI oparta na Ciołkowskim, rosyjskim uczonym, umieszczona po ciemnej stronie Księżyca, obserwuje go za pomocą implantów w jego własnej głowie. Niełatwo było się do tego przyzwyczaić. Najważniejsza część hardware'u Konstantina znajdowała się na Księżycu, ale jego świadomość mogła zaglądać wszędzie, gdzie sięgała globalna sieć – na Ziemię, niską orbitę ziemską i w przestrzeń między Ziemią a Księżycem. I niewielka część tej super-AI przyglądała się teraz Manhattanowi i próbowała kontaktować się z Grayem.

– Potrzebuję – powiedział niezrażony Konstantin – aby spotkał się pan z Eleną Wasiliewą...

– Konstantin, do cholery, wiesz, co myślę o Paneuropejczykach...

– Wojna się skończyła, kapitanie – odparł Konstantin, jakby próbował



wyjaśnić to czterolatki. – W każdym razie pani Wasiliewa jest Rosjanką. Rosja była po naszej stronie, pamięta pan?

– Wybacz – odparł ostrym tonem we własnej głowie Gray. – Trudno zapomnieć o Columbus, wiesz?

– Z czym, przypominam, Rosjanie nie mieli nic wspólnego. W każdym razie nikt nie każe panu zapomnieć o Columbus.

Gray spojrział z ponurą miną na nowe wieże Manhattanu. Przykurczył ramiona, gdy przeszył go chłodny styczniowy wiatr znad wody. Tak naprawdę nie nienawidził Europejczyków... nie do końca. Zniszczenie stolicy USNA w Columbus niemal na pewno było nieautoryzowaną akcją jakichś czarnych owiec z Genewy. Paneuropejskie próby zdobycia terytorium na Wschodnim Wybrzeżu USNA wynikały ze strategicznego oportunizmu, a prawdziwy casus belli stanowiło przekonanie, że ludzkość musi zaakceptować żądania Sh'daar i ograniczyć rozwój technologiczny.

A Konstantin miał rację. Po podpisaniu traktatu londyńskiego wojna dobiegła końca. Nawet Sh'daar byli teraz ich przyjaciółmi... w pewnym sensie. Niedawne odkrycie, że znajdują się pod wpływem inteligentnych kolonii bakterii, w końcu pomogło ludzkości zrozumieć, czego naprawdę chcą i czym w rzeczywistości są.

Nie, Gray mógł nie ufać Paneuropejczykom, ale nie nienawidził ich. Obecnie jego gniew skupiał się na sztucznej inteligencji, przez którą usunięto go z floty. Za namową Konstantina zabrał „Amerykę”, dowodzony przez siebie lotniskowiec gwiazdny, do tajemniczej gwiazdy KIC 8462852 – odległego słońca typu F3V znanego także jako Gwiazda Tabby. To, co znalazła „Ameryka”, obcy wirus komputerowy nazwany Kodem Omega, okazało się bardzo istotne. Tylko że aby się tam udać, zboczył z kursu o tysiąc czterysta lat świetlnych, wbrew wyraźnym rozkazom. Oficerowie floty, nawet admirałowie, nie mogli tak po prostu ignorować procedur wojskowych, nawet gdy kazała im to zrobić super-AI. Sąd wojskowy zdegradował Graya do stopnia kapitana i wydalili z floty.

Dopiero niedawno Gray dowiedział się, że taki właśnie wyrok zalecił Konstantin.

Z takimi przyjaciółmi...

– Sprowadzę automatyczny prom – powiedział Konstantin. – Spotka się pan z panią Wasiliewą?

– Po co? I przede wszystkim, dlaczego ja?

– Paneuropejczycy chcą zobaczyć się z panem twarzą w twarz. Pani Wasiliewa prosiła, żeby jej zespół mógł porozmawiać z panem jako pierwszy. Jest pan pewnego rodzaju legendą, kapitanie. Nawet wśród swoich dawnych wrogów. Ma pan reputację genialnego taktyka i niektórzy patrzą na pana z podziwem.

Gray zrobił kwaśną minę na te oczywiste pochlebstwa.

– Ta, jasne...

– Zespół ksenotechnologiczny pani Wasiliewy dysponuje czymś, co powinno znacznie ułatwić pierwszy kontakt z Denebianami.

– Skoro tak mówisz... – Przyszła mu do głowy pewna myśl. – Ale czemu mamy w ogóle korzystać z pomocy Paneuropejczyków? Co jest nie tak z doktorem Truitem? Jeśli chodzi o zrozumienie obcych cywilizacji, nie ma nikogo lepszego. Sam mi to wielokrotnie powtarzał.

George Truitt był szefem zespołu ksenosofontologicznego na pokładzie „Ameryki”. Był irytujący, niegrzeczny i trudno się z nim pracowało, ale znał się na rzeczy.

– Doktor Truitt wrócił do bazy Crisium, gdzie będzie pracować nad danymi pozyskanymi z roju Dysona wokół Gwiazdy Tabby. To absolutnie kluczowe zadanie. Zapewniam, że doktor Wasiliewa jest równie wykwalifikowana... i znacznie łatwiejsza we współpracy.

Gray uniósł brew na te słowa. Skąd AI wiedziała, czy jednym ludziom pracowało się lepiej z innymi, czy nie?

– Jest jeszcze coś.

– Co takiego?

– Okręt, którego pan użyje. Może pana zainteresować.

– Nie „Ameryka” – stwierdził Gray i poczuł ukłucie w sercu. „Ameryka”, podobnie jak jej siostrzany okręt, „Lexington”, odniosła miesiąc wcześniej poważne uszkodzenia przy Gwieździe Kapteyna. Oba lotniskowce wróciły na orbitę Ziemi, ale w kiepskim stanie.

– Owszem, „Ameryka” przejdzie kompleksowy remont w stoczni SupraQuito. Poleci pan „Republiką”.

Gray szeroko otworzył oczy.

– „Republiką”...?

Ludzie zawsze mówili o tym, jak mała jest flota. Jeśli służyło się w niej dość długo, można było natknąć się na tych samych załogantów, te same okręty, tych samych dowódców. To był kolejny dowód.

– Tak. Odkurzono ją i wyposażono na ekspedycję. Chyba ją pan zna?

– Byłem jej CAG-iem, do cholery! ACAG-iem od dziewiątego do jedenastego, potem CAG-iem od jedenastego do czternastego!

– Wiem. Czy to sprawia, że przydział bardziej panu odpowiada?

– Niemal płakałem, gdy ją demobilizowali.

– Była wtedy przestarzała i zbędna. Gdy wojny zarówno ze Sh'daarami, jak i z Konfederacją dobiegły końca, została wycofana z użycia. Ale ulepszenia, jakie otrzyma, powinny zrobić z niej mocny okręt.

– Niech cię diabli, Konstantin. Dobrze. Ale nadal nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Będę panu towarzyszył jako doradca, kapitanie.

Nie brzmiało to szczególnie zachęcająco.

Już miał się odgryźć, gdy na wieczornym niebie nad zatoką pojawiła się jasna gwiazda, lecąca coraz bliżej. Gdy obniżyła lot, okazała się czerwono-srebrnym promem autonomicznym klasy Sentinel 5000. Jego automatyczny pilot wylądował delikatnie na tarasie obserwacyjnym i uniósł otwierane do góry drzwi.

– Dokąd lecimy? – spytał Gray, wsiadając się do przedziału dla pasażera. Wnętrze było przestronne i eleganckie. Dostał model luksusowy. Pilotująca prom AI schowana była gdzieś z przodu. Szklany dach dawał pełny widok na otoczenie. Kliknięcie w myślach sprawiało też, że część podłogi stawała się przezroczysta.

– Do Genewy – odparł Konstantin.

Oczywiście.

Drzwi zamknęły się cicho i automatyczny prom uniósł się przy cichym szumie silników grawitacyjnych. Na południowym zachodzie Gray widział Statuę Wolności, stojącą na piedestale od pięciuset czterdziestu lat. Jej prawa ręka, która jakiś czas temu odłamała się i spadła do morza, wróciła na miejsce. Miedziany płomień pochodni lśnił, muskany zachodzącym słońcem.

Po stuleciach zaniedbań znów symbolizował ducha wolności i demokracji w Unii Północnoamerykańskiej.

Ale kto wie na jak długo? Ameryka Północna dwukrotnie ledwie pokonała zagrożenie ze strony Sh'daarów i Paneuropejczyków. Gray zastanawiał się, czy przetrwa narodziny swoich własnych super-AI.

Prom obrócił się, wciąż nabierając wysokości, i przeleciał nad najwyższymi wieżami Dolnego Manhattanu. Gray zadał wtedy wciąż nurtujące go pytanie.

– Wciąż nie rozumiem – powiedział do siedzącej w jego głowie AI – dlaczego chciałeś pozbyć się mnie z floty. To było moje całe życie.

– Rozumiem pańskie uczucia, kapitanie – odparł Konstantin – ale zarówno ja, jak i pan, natknęliśmy się na pewne ograniczenia związane z działaniami w ramach hierarchii wojskowej. Aby nawiązać kontakt z Denebianami, potrzebuje pan stopnia swobody niedostępnego oficerowi floty.

– Bzdura. Prezydent...

– Prezydent Koenig ma własne problemy – wyjaśnił Konstantin – i własne plany. Jego decyzje ograniczają w dużym stopniu otaczający go ludzie i wymagania związane z pełnionym urzędem. Potrzebuję prawdziwego wolnego agenta. Dlaczego pan czuje się tak bardzo związany ze swoim miejscem w wojskowym łańcuchu dowodzenia?

– Może czułem się tam u siebie.

Było to jednak dobre pytanie, z którym Gray zmagał się od dawna.

Dorastał w Ruinach Manhattanu jako prym, ledwie zarabiający na

życie pracą na małej farmie umiejscowionej na dachu zrujnowanej Wieży TriBeCa, kilkaset metrów nad zalanymi alejami miasta.

Teraz nie był nawet w stanie jej zlokalizować. Dzięki nanoinżynierii nowe budynki wyrastały organicznie. W ciągu godzin budulec starych konstrukcji przekształcał się w nowe.

Może tak łatwiej było zapomnieć o przeszłości?

Ponad trzysta lat temu rosnące poziomy mórz i rozruchy, jakie w wyniku tego nastąpiły, doprowadziły do porzucenia rozległych obszarów na wybrzeżach dawnych Stanów Zjednoczonych. Tak zwane Peryferie zostały odcięte od technologii, opieki społecznej i usług publicznych nowych Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Stały się wyjętym spod prawa pograniczem zbyt kosztownym w utrzymaniu i zbyt trudnym do kontroli.

Gdy Angela, jego żona, dostała udaru mózgu, musiał zawieźć ją do centrum medycznego w granicach USNA. Angelę udało się wyleczyć... ale albo sam udar, albo terapia... zmieniły ją, przerywając więź między nimi.

Gray pogodził się z tym, przynajmniej częściowo. Zajął to sporo czasu i wymagało innych związków, ale w końcu mu się udało. Czasami całe dni nie myślał o Angeli.

I zajął mu to jedynie dwadzieścia sześć lat...

W świecie pełnym gwałtownych modyfikacji Gray stanowił wyjątek.

Poza tym jednak był zadowolony ze zmian w swoim życiu. W pół wieku wspiał się po szczeblach, aż został dowódcą lotniskowca gwiazdowego „Ameryka”, a następnie oficerem flagowym całej grupy bojowej. Znalazł swoje miejsce. Budził szacunek, co nie było łatwe dla dawnego prymana otoczonego przez „ristie”. Tak określano technologicznych arystokratów, stanowiących większość obywateli USNA, a zwłaszcza oficerów floty. Prymitywów, pozbawionych zaawansowanych implantów mózgowych i dostępu do większych sieci, postrzegali jako nie w pełni ludzi.

Gray dobrze czuł się z tym, że być może wspiał się po szczeblach kariery, a nawet odniósł zwycięstwo nad obcymi przy Gwieździe Kapteyna jako prym.

Teraz Konstantin zrobił z niego cywila. W pewnym sensie, bo wciąż wciągano go w sprawy wielkiej wagi.

Nie mógł jednak po prostu wrócić na farmę TriBeCa. Nie, rząd północnoamerykański odzyskiwał Peryferie. Waszyngton wywalczone, wysuszone i odbudowane. Zajmowano bagniska od Piedmontu w Virginii po Savannah. Tu, w Starym Nowym Jorku, ukończono tamy Locust Point i Verrazano Narrows, a poziom wody na Manhattanie powoli spadał.

Dzięki pracy całych rojów nanomaszyn architektonicznych Ruiny nie

były już ruinami. Z wycofującego się morza wyrastały białe wieże. Przez ostatni rok miasto przemierzały zespoły neurobiotechników, dające mieszkańcom szansę na pozbycie się statusu prymów. Niedługo sama koncepcja prymów miała stać się przeszłością.

*Zupełnie jak ja.*

Przyglądał się białym wieżom z wysokości... brakowi roślinności czy rozkładu. Ich czystej sterylności. Ich jasnej nowości rozwiewającej mrok wczesnego zimowego wieczoru.

Pokręcił głową. Nie było dla niego już miejsca we flocie ani wśród nowo powstałych drapaczy chmur. Czuł, że stracił poczucie przynależności... i kontakt z rzeczywistością.

– Konstantin? – Nadal nie miał ochoty rozmawiać ze sztuczną inteligencją, ale zaczął zbytnio polegać na tym, że jego pytania nie zostają bez odpowiedzi. Zwykle zajmował się tym RAM w jego głowie, ale Gray był autentycznie ciekawy, co powie AI.

– Tak?

– Co się z nimi stanie? Z ludźmi takimi jak ja kiedyś, tam, w Ruinach?

– Większość już przesiedlono.

– Gdzie?

– Nowy Nowy Jork. Atlantyka i Oceana. New City wokół krateru po Columbus. Właściwie gdzie tylko chcieli. Niektórzy zgłosili się na ochotnika się do pozaziemskich kolonii. Mars. Chiron. Nowa Ziemia.

– Zgłosili się? Żadnych obozów przesiedleńczych? – Słyszał różne historie.

– Istnieją obozy przesiedleńcze dla Outsiderów. Ale zapewniam, że nie brak im niczego.

Outsiderzy.

Tak Sh'daarowie nazywali tych, którzy odmówili udziału w transcendencji – ich wersji osobliwości technologicznej. Określenia używano także czasem, by opisać ludzi, którzy odrzucali pewne aspekty współczesnej technologii. Istniały ziemskie religie, które nie akceptowały manipulowania ludzkim genomem czy technologii przedłużających życie.

W tym wypadku Konstantin mówił o tych z prymów, którzy z jakiegokolwiek powodu odmawiali wszczepienia implantów mózgowych i woleli „żyć naturalnie”. Niektórzy bali się zmian albo po prostu w obliczu nieznanego woleli trzymać się tego, co mają.

Gray nie zgadzał się z tak ekstremalną ideologią, ale jako dawny prym rozumiał, skąd się brała. I wzburzało go, gdy tak się ją lekceważyło.

– Dlaczego pan pyta? – chciał wiedzieć Konstantin.

– Czasami identyfikuję się bardziej z innymi prymami niż z pełnymi obywatelami.

– „Pełny obywatel” to już archaizm, kapitanie. Wszyscy są szczęśliwie i

produktywnie asymilowani przez powszechną kulturę.

*Tak, jasne.* Gray uważał „szczęśliwą asymilację” za oksymoron.

Ale nie to naprawdę go niepokoiło. Starał się nie zdradzać ze strachem, że AI, takie jak sam Konstantin, zapędzają ludzkość na coraz węższe ścieżki prowadzące bogowie wiedzą gdzie. Ścieżki, które rozumiały i kształtowały AI, pozostające poza możliwościami intelektualnego i emocjonalnego poznania organicznych ludzi. Gray wielokrotnie współpracował z Konstantinem i nadal nie ufał maszynowej inteligencji, której niemal z definicji nie był w stanie w pełni zrozumieć.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ufa Konstantinowi znacznie mniej niż Paneuropejczykom. I to go niepokoiło.

– Czas lotu do Genewy – odezwał się robot w głowie Graya – piętnaście minut.

Prom przyspieszył, pozostawiając lśniące wieże nowego Manhattanu za horyzontem.

Nowy Biały Dom  
Waszyngton  
Godzina 16.02 EST

– Kapitan Gray jest w drodze – powiedział cicho Konstantin w myślach prezydenta Alexandra Koeniga. – Zgodnie z pańskim poleceniem.

Koenig siedział przy biurku w odtworzonym Białym Domu, umieszczonym mniej więcej tam, gdzie oryginał. Przez kilkadziesiąt lat Waszyngton był zalany i pokryty bagnami, a jego budynki i pomniki pozostawały w ruinie. Podobnie jak w przypadku Ruin Manhattanu, aby osuszyć bagna, za pomocą nanotechnologii wytworzono tu tamy i wały przeciwpowodziowe, ciągnące się przez całe ujście rzeki na południowym wschodzie. Prace postępowały na tyle szybko, że stolica USNA miała za kilka tygodni przenieść się z Toronto do historycznego Dystryktu Kolumbii.

Koenig odchylił się w fotelu i przyjrzał pracom rekonstrukcyjnym. Wiele pozostało jeszcze do zrobienia i miało to jeszcze wiele kosztować, ale poczyniono znaczne postępy.

A teraz trzeba było innych postępów.

– Dobrze. Bardzo marudził?

– Nieszczególnie. Jest podejrzliwy wobec Paneuropejczyków i, jak można się spodziewać, nie ufa moim ani pańskim motywom. Nie lubi, gdy się nim manipuluje.

– Nic dziwnego. To była naprawdę brudna sztuczka z twojej strony.

– Owszem. Ale jeśli zagrożenie dla Ziemi jest tak wielkie, jak sądzę, nie

możemy pozwolić sobie na to, aby ograniczał go tradycyjny łańcuch dowodzenia.

– Może nie. Ale mogliśmy chociaż powiedzieć biedakowi...

– Panie prezydencie, to coś, czego nie można zostawić na pastwę losu... ani ludzkiej woli i omyłności.

Koenig skrzywił się.

– Czasami, Konstantynie – powiedział powoli – mam poczucie, że nie ufasz ludziom.

Genewa

Unia Paneuropejska

Godzina 22.17 GMT+1

Było ciemno i deszczowo, gdy prom obniżył lot nad Burgundią z dotychczasowych czterdziestu tysięcy metrów. Jego zewnętrzna konfiguracja zmieniła się z trybu lotu na tryb lądowania. Piloci myśliwców nazywali to „prześciem z trybu plemnika na tryb indyka”, jako że prom zmieniał się ze smukłej kropli w spłaszczony kształt z wyciągniętymi skrzydłami. Jako dawny pilot Gray zastanawiał się, czy będzie musiał niedługo usunąć te wspomnienia. Były jego częścią... ale teraz nie przydawały się do niczego poza czystą nostalgią.

Na horyzoncie zapłonęły światła genewskiego kosmodromu. Budynki europejskiej stolicy otaczały czarne Jezioro Genewskie. Prom usiadł na lądowisku komercyjnym, gdzie połączył się z nim rękaw. Silniki grawitacyjne powoli przestały szumieć.

W hali portu kosmicznego czekała na niego Elena Wasiliewa, wysoka, ubrana na czarno kobieta z kolorowymi abstrakcyjnymi animacjami wyświetlającymi się na twarzy i dłoniach.

– Kapitanie Gray? – Wyciągnęła rękę. – Miło, że przybył pan tak szybko.

*Nie żebym miał szczególny wybór* – pomyślał. Ale nie powiedział tego głośno, tylko uścisnął jej dłoń. Mówiła po rosyjsku, ale słyszał jej słowa po angielsku, jako że implant tłumaczył je w czasie rzeczywistym.

– Żaden problem. Cała przyjemność po mojej stronie. Przepraszam, że musiała pani czekać na mnie do tak późna.

– Cóż, taki urok tej pracy. Proszę tędy.

Pojechali kolejką magnetyczną do kompleksu rządowego Konfederacji Ad Astra i udali się do dużej sali konferencyjnej na wysokości kilkuset metrów, niemal na szczycie wieżowca. Sięgające od podłogi do sufitu okna wyglądały na trafnie nazwany Plac Światła i stojący tam olbrzymi posąg Popolopoulisa „Rozwój człowieka”.

W pomieszczeniu przebywało już kilka osób, w tym kilku oficerów

europijskich sił zbrojnych. Gray zatrzymał się w proggu.

– Dano mi do zrozumienia, że ma to być cywilna operacja, pani Wasiliewo.

– Tak właśnie jest, kapitanie Gray – odezwał się admirał Europejskich Sił Kosmicznych. – Projekt Cygni, wspólna europejsko-amerykańska wyprawa naukowa i dyplomatyczna do gwiazdy Deneb. Ale musi pan zdawać sobie sprawę, że misja ta ma poważne implikacje wojskowe i rządowe.

– Admirał Duchamp ma rację – odezwał się głos AI w głowie Graya. – W każdym razie chcieliśmy wszyscy spotkać się z człowiekiem, który będzie dowodzić ekspedycją.

– Mogliście zrobić to w rzeczywistości wirtualnej – odparł.

Prawdziwy powód tej transatlantyckiej wyprawy nieco go niepokoił. Z pomocą VR ludzie mogli spotykać się w cyberprzestrzeni, w stworzonych przez AI światach o takiej rozdzielczości i dbałości o szczegóły, że niemal nie dało się odróżnić iluzji od rzeczywistości.

– Być może – powiedziała AI – ale nie wiedzielibyśmy, czy spotykamy się z awatarem, czy z prawdziwą osobą.

– Mikołaj bardzo się o nas troszczy – stwierdził Duchamp. – Chciał, żebyśmy dobrze przyjrżeli się człowiekowi, który dowodzić będzie Projektem Cygni.

– Mikołaj?

– Od Mikołaja Kopernika – wyjaśniła Wasiliewa. – Sztuczna inteligencja z siedzibą tu, w Genewie, podobna do waszego Konstantina.

– Miło cię poznać, Mikołaju.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Do dziś znałem pana jedynie dzięki nieoficjalnej komunikacji z Konstantinem, poprzez raporty wywiadowcze i analizy strategiczne. Szczerze mówiąc, niektórzy z naszych obawiali się, że jest pan... jak to mówią Amerykanie, „kowbojem”. Kimś, kto najpierw strzela, potem zadaje pytania.

– I tak mnie teraz widzicie?

– Och, zdecydowanie nie, panie kapitanie – zapewnił go Duchamp. – Wszyscy czytaliśmy raporty o pańskich działaniach przy Gwieździe Tabby. I zastanawialiśmy się, dlaczego wysłano pana na wcześniejszą emeryturę. Wydaje się to marnowaniem cennych zasobów.

– Spotkawszy pana – odezwał się Mikołaj – i porozmawiawszy z panem osobiście, mogę bez zastrzeżeń zalecić, aby Projekt Cygni odbył się zgodnie z dotychczasowymi planami, z naszym zespołem ksenosofontologicznym pod bezpośrednim dowództwem kapitana Graya.

– Co ty na to, Konstantynie? – Gray połączył się z AI przez prywatny kanał, którego pozostali nie mogli podsłuchać. – Nie słyszałem wcześniej o tej AI.



- Mikołaja uruchomiono dopiero kilka tygodni temu.
- Dziecko, co? Można mu zaufać?
- Tak samo jak mnie.

Czy to sarkazm? Gray nie był pewien. A może humor albo subtelna przygana? Niełatwo było mu zrozumieć, co czuje super-AI, o ile w ogóle można to nazwać czuciem.

- To mi niewiele mówi.

Konstantin zignorował przytyk. Gray nie był pewien, czy AI dałoby się obrazić.

– Mikołaj jest o kilka rzędów wielkości szybszy, potężniejszy i mniejszy ode mnie. Europejczycy chcą wysłać jego kopię na ekspedycję do Deneba.

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł – odparł Gray, znów nadając na ogólnym kanale. – Pamiętacie o wirusie Omega?

– Mikołaja zaprojektowano po części tak, by był odporny na wirusa – wyjaśnił jeden z sofontologów. – Oraz na inne potencjalne zagrożenia.

Gray zastanawiał się jednak, na ile mogli być tego pewni. Wirus Omega był obcym kawałkiem kodu przemyconym z Deneba do Gwiazdy Tabby i najwyraźniej odpowiadał za zniszczenie tamtejszej cywilizacji. Sprowadzony do ludzkiej przestrzeni przyczynił się do pokonania Obcych z Rozety przy Gwieździe Kapteyna i najwyraźniej powstrzymał niezwykle potężnego wroga...

Przynajmniej tymczasowo. Obcy z Rozety w żadnym razie nie ulegli zniszczeniu. Według ksenosofontologów musieli jedynie wstrzymać swój lot w kierunku Ziemi i zauważyć w końcu, że ludzie stoją im na drodze.

– Kopię – powtórzył Gray. – Gdzie? „Republika” będzie miała dość ograniczoną ilość miejsca dla pełnej AI.

– W tym – powiedziała cywilna sofontolożka. Przesunęła rękę w powietrzu, przywołując hologram. – Nazywamy to Helleslicht Modul Eins.

Translator Graya podał mu znaczenie niemieckiej frazy: jasne światło, moduł pierwszy. Trójwymiarowy diagram unoszący się przed kobietą miał kształt jajka i, zgodnie z wyświetlonymi wymiarami, około trzech metrów długości oraz masę pięciu ton.

– Doktor Marsh należy do naszego zespołu ksenosofontologicznego – przedstawiła ją Wasiliewa – ale specjalizuje się w zaawansowanych AI.

– Rozumiem.

– Wewnętrzna macierz HM-1 – wyjaśniła Marsh – to w zasadzie komputronium. Stała materia obliczeniowa z obwodami kwantowymi na tyle zaawansowanymi, by spokojnie zasilić Mikołaja.

Brzmiała, jakby była z siebie dumna. Jeśli choć częściowo odpowiadała za to urządzenie, miała powód. Sztuczne inteligencje,

zwłaszcza super-AI albo SAI, mieściły się w wielkich kompleksach komputerowych, zwykle położonych pod ziemią i zdecydowanie mało mobilnych. Konstantin na przykład rozpoczął swoją egzystencję w księżycowym ośrodku pod kraterem Ciołkowskiego.

Dzięki globalnej sieci AI mogły wysyłać swoje niezależne części wszędzie między Ziemią a Księżycem. Okrojone kopie, elementy większego, potężniejszego oprogramowania, mogły rezydować w sieciach elektronicznych okrętów kosmicznych albo stacji orbitalnych. Taki klon Konstantina udał się do Gwiazdy Tabby na pokładzie lotniskowca gwiazdowego „Ameryka”, a jeszcze mniejszych kopii użyto, by zdalnie skontaktować się z inteligencją z roju Dysona, przeniesionymi do komputerów umysłami zwanymi Satori.

Był to jednak tylko ułamek tego, co potrafił oryginał.

Gray nie był pewien, jak wielki jest kompleks pod kraterem Ciołkowskiego, ale wiedział, że jest ogromny. Jeśli Europejczykom udało się zbudować zamieszkiwany przez podobną SAI komputer o objętości kilku metrów sześciennych, robiło to ogromne wrażenie.

To wielki krok dla SAI.

– Dlaczego Mikołaj chce udać się do Deneba? – spytał Gray. Zawahał się, po czym spojrział na sufit. – Zakładam, że chcesz się tam wybrać?

– Zdecydowanie, kapitanie Gray – odparł Mikołaj.

– To ekspedycja ogromnej wagi, kapitanie – dodał Duchamp. – Absolutnie kluczowe jest, aby nawiązać z Denebianami pokojowy kontakt, poznać ich i ich zdolności oraz być może uzyskać pomoc w konfrontacji z Obcymi z Rozety.

Gray pokręcił głową.

– Muszę być z panem szczerzy, admirale. Może nie udać się nam z nimi skontaktować, nie mówiąc o uzyskaniu pomocy. Z tego, co wiemy, całkowicie zniszczyli zaawansowaną technologicznie kulturę z Gwiazdy Tabby bez prób negocjacji czy nawiązywania kontaktu.

– Wiemy o tym, kapitanie – odparł Duchamp. – Dlatego właśnie porozumieliśmy się z prezydentem Koenigiem i poprosiliśmy o uwzględnienie nas w Projekcie Cygni. Kopia Mikołaja współpracująca z kopią waszego Konstantina daje nam największą możliwą szansę na nawiązanie pokojowego kontaktu i wymianę technologii. Mało prawdopodobne, aby organiczni ludzie byli w stanie porozumieć się z tak zaawansowaną cywilizacją.

– Ale ludzki nadzór nad ekspedycją jest konieczny – dodała Wasiliewa. – A gdy dowiedzieliśmy się, że prezydent Koenig rozważa pańską kandydaturę na jej dowódcę, wiedzieliśmy, że jest nadzieja.

– Dlaczego? – spytał Gray, szczerze zdumiony.

– Kapitanie... wiemy dobrze, że potrafi pan wygrywać bitwy, a nawet wojny. Teraz liczymy na pańską zdolność do wygrania pokoju.

# Rozdział drugi

**31 stycznia 2426**

VFA-96 „Black Demons”

SupraQuito

Orbita synchroniczna Ziemi

Godzina 10.18 TFT

Dzięki obrazowi, jaki pojawił się w jego głowie za pośrednictwem AI myśliwca, porucznik Donald Gregory wpatrywał się w rozciągający się przed nim splot struktur orbitalnych.

SupraQuito stanowiło największy kompleks na orbicie Ziemi i składało się z setek stacji połączonych w długi, rozświetlony łuk.

Struktury skomunikowane były z Ziemią przez windę kosmiczną Quito na wysokości 37 786 kilometrów. Okres orbity kompleksu wynosił dwadzieścia cztery godziny, co oznaczało, że unosił się wciąż w tym samym miejscu nad obracającą się Ziemią. Smukła wieża sięgała z punktu zakotwiczenia na szczycie góry na równiku Ziemi do asteroidy na orbicie, którą otaczał cały zespół. Czterysta lat wcześniej orbita synchroniczna stanowiła parking dla roju bezzałogowych satelitów komunikacyjnych. Teraz była jedną z trzech głównych społeczności wokół Ziemi, ze stałą populacją ponad sześćdziesięciu tysięcy osób. Codziennie tysiące ludzi podróżowało w górę i w dół, a floty okrętów międzyplanetarnych i międzygwiazdnych przybywały i odlatywały.

Gregory widział lokalne niebo pełne ruchu. Dwa uszkodzone lotniskowce międzygwiazdne, „Lexington” i „Ameryka”, na której służył, przyholowano w okolicy stoczni floty razem z kilkoma małymi asteroidami. Niemal całkiem zasłaniał je teraz rój naprawczych nanobotów, latających kadłuby za pomocą materiałów z asteroid.

*Możemy naprawiać okręty na bieżąco – pomyślał Gregory. Dzięki tej technologii jesteśmy w stanie dać im nowe życie. Ale nie zrobimy nic dla ludzi z mojej eskadry.*

Jak Meg...

Porucznik Meg Connor zginęła przy Invictusie, pokrytym lodem świecie poza krawędzią Galaktyki, dwanaście milionów lat w przyszłości. Gregory stracił wtedy nogi, które już odzyskał, ale nie mógł odzyskać Megan.

Ani Cyndi DeHaviland, która straciła życie w piekle wokół Gwiazdy Kapteyna miesiąc temu.

– Trzymaj szyk, Demon Cztery! – warknął dowódca eskadry. – Zamarudziliś.

W głosie komandora Mackeya słychać było stres.

*Czym ty się tak martwisz?* – pomyślał Gregory, ale ugryzł się w język.

– Przyjąłem – powiedział tylko.

Przez chwilę nieuwagi zdryfował minimalnie z kursu w szyku siedmiu myśliwców, ale szybko wrócił do prawidłowej formacji. Korytarze kosmiczne wokół zespołu orbitalnego SupraQuito roily się od mniejszych i większych okrętów, holowników, statków transportowych, gigów, personelu w skafandrach, jednostek naprawczych i zaopatrzeniowych. W teorii oczyszczono korytarz dla eskadry myśliwców, ale zawsze mógł się zdarzyć błąd.

A w kosmosie każdy błąd był drogi, śmiertelny lub jedno i drugie.

Don Gregory nie miał już chociaż myśli samobójczych. Przez pewien czas po Invictusie sporo nad tym myślał. Depresja bywała przytłaczająca. Jego implanty wielokrotnie nakłaniały go do szukania pomocy, ale udawało mu się wciąż to przekładać... i unikać obowiązkowych badań psychiatrycznych. Gdyby dowiedzieli się o jego stanie, uziemiliby go, a może nawet wyrzucili z floty.

Teraz zaś myślał, że może znajdzie lepsze rozwiązanie. Siedem myśliwców poruszało się z prędkością tylko osiemdziesięciu metrów na sekundę – niewiele przy skali otaczających ich ogromnych struktur. Chwilę wcześniej opuścili „Amerykę”, polecili okrężną trasą, by uniknąć rojów nanobotów i asteroid, z których czerpały surowce, a następnie powoli obrali kurs na główną bazę floty.

– Tu jest – zawołał porucznik Gerald Ruxton na kanale eskadry. – Nasz nowy dom!

Lekki lotniskowiec USNA CVL „Republika” miał sześćset metrów długości, nieco mniej niż połowę rozmiarów okrętu, który opuścili. Podobnie jak „Ameryka”, wyglądał niczym otwarty parasol z długą, smukłą osią, zakończoną pełną wody kopułą. W jej cieniu obracały się dwa moduły, zapewniając załodze sztuczną grawitację. „Republika” mogła pomieścić trzy eskadry bojowe po dwanaście myśliwców, plus pewną liczbę jednostek pomocniczych, w tym eskadrę ratunkową. Eskadrę uderzeniową VFA-90 „Star Reapers” także przeniesiono z „Ameryki” na mniejszy okręt. Oprócz VFA-96 miała tu przylecieć także świeżo stworzona eskadra VFA-198 „Hellfuries”.

Po Gwieździe Kapteyna „Black Demons” liczyła jedynie siedem myśliwców. Mieli otrzymać uzupełnienia z Oceany na Ziemi, ale Gregory uznał, że uwierzy w to, jak zobaczy je na odprawie. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy stracili wielu pilotów i na Ziemi nie nadążano z

werbowaniem i szkoleniem nowych.

– VFA-96, tu główna kontrola lotu „Republiki”. Lećcie do hangaru pierwszego, sześćdziesiąt metrów na sekundę.

– Przyjąłem, kontrola lotu – odpowiedział komandor Luther Mackey. – Hangar pierwszy, sześćdziesiąt.

Myśliwce typu Starblade wyhamowały do żądanej prędkości i ruszyły w stronę „Republiki” od strony rufy w jednym szeregu. Gregory leciał jako drugi, za Bruce’em Caswellem. Pozwolił AI myśliwca zmniejszyć prędkość i dostosować kąt przylotu. Hangary na lotniskowcu gwiazdnym były ruchomymi celami, obracającymi się wzdłuż jego osi, aby wytworzyć iluzję ciężenia. Dokowanie wymagało nadludzkiej precyzji i użycia silników manewrowych, gdy tylko starblade przekroczy próg okrętu. Ciało Gregory’ego przeszło poczucie ciężenia, gdy pola magnetyczne chwyciły myśliwiec i zatrzymały go na końcu lądowiska.

– Demon Cztery – odezwał się głos w jego głowie – pomyślnie zatrzymany. Witamy na pokładzie, poruczniku.

Automaty gładko podniosły myśliwiec, robiąc miejsce dla kolejnego. W pokładzie pojawił się na chwilę otwór otaczający starblade Dona tak, by zachować próżnię w hangarze, podczas gdy myśliwiec otoczyło powietrze pod ciśnieniem i personel doku. Kokpit Gregory’ego rozpuścił się i pilot zszedł na pokład.

– Witamy na „Republice”, poruczniku – odezwała się kobieta w stopniu komandora. Gregory poczuł, że łączy się z RAM-em w jego głowie i pobiera dane osobowe oraz rozkazy. – Okręt wskaże panu drogę do kajuty. Odprawa o jedenastej, sala pierwsza.

– Dziękuję, pani komandor. – W głowie przeczytał, że nazywa się Sandra Dillon i jest ACAG „Republiki”, zastępcą szefa pilotów. Połączył się z AI okrętu i spytał o drogę przez labirynt jego wnętrza.

Lekki lotniskowiec miał mniejsze rozmiary niż monstrum takie jak „Ameryka”, ale nadal był ogromny, z kilometrami wewnętrznych korytarzy i przedziałów oraz z liczącą ponad dwa tysiące osób załogą. Młodszy oficerowie dzielili kajuty we czwórki. Znalazł swoją i zajął koję. Następnie kazał zaprowadzić się do jednej z sal odpraw.

Gregory służył we flocie od czterech lat i nie była to dla niego pierwszyna. Czekala ich typowa gadka powitalna, spotkanie z CAG okrętu. Jeśli im się poszczęści, dowiedzą się czegoś o ekspedycji, do której ich przydzielono. Nie była to typowa misja – okręt floty z personelem floty i trzema eskadrami myśliwców, ale z cywilnym kapitanem i całą kupą cywilnych ksenosofontologów. Oznaczało to, że czekał ich pierwszy kontakt.

Gregory nie przejmował się szczególnie. Przeszedł już swoje i dostał nową parę nóg. Teraz miał tylko jedno pytanie: kiedy dostanie przepustkę? Miał bardzo ważne sprawy do załatwienia.

Kapitan Laurie Taggart wleciała w nieważkości do przedziału mostka lotniskowca eskorty „Guadalcanal” i zasiadła w fotelu dowódcy.

– Kapitan na mostku! – oznajmił komandor Franklin Simmons, jej pierwszy oficer, gdy fotel objął dolną część jej ciała, ograniczając ruchy. Przed nią porucznik Rodriguez, specjalista od informacji bojowej, przyglądał się otaczającym go ekranom. Spojrzawszy na nie, Taggart szeroko otworzyła oczy.

– Co to ma być, do cholery? – Wezwano ją wcześniej na mostek, ale nie powiedziano, o co chodzi.

– Nie jestem pewien, pani kapitan – odparł Rodriguez. – Ale to muszą być Rózie. Nic innego nie działa na taką skalę!

– Czy reszta floty to widzi?

– Zobaczą, gdy sygnał do nich dotrze. Czas transmisji... jeszcze dziesięć minut.

Taggart przyjrzała się uważniej ekranom, po czym połączyła się z Nelly, AI okrętu, wyświetlając ten sam obraz we własnej głowie.

Przyjrzała się cudom...

Nie po raz pierwszy Taggart kwestionowała, czy te istoty to rzeczywiście Gwiazdni Bogowie jej religii. Ostatnio nabrała dystansu do starych wierzeń, ale nie mogła nie czuć podziwu i zdumienia.

Znajdowali się na orbicie księżyca wielkości Ziemi, krążącego wokół gazowego olbrzyma o nazwie Bifrost. Heimdall był teraz jałowym, spustoszone światem, chociaż miliardy lat wcześniej zrodził inteligentne życie. Przez ostatnie osiemset milionów lat mieściły się tam tak zwane „poszarpane klify”, sieć superkomputerów wryta w litej skale i otaczająca cały ten świat. Swoje umysły do tej sieci przeniosło kilka gatunków kosmitów, które przeżywały cyfrowe życie w wirtualnym wszechświecie.

Te niezliczone biliony zdigitalizowanych umysłów zostały pożarte przez Obcych z Rozety, których Rodriguez nazwał „Róziami”. Od tygodni planeta była martwa i pusta. Ale teraz...

Światła wyglądały jak zorze, poruszające się powoli pasy i kręgi bladego zielononiebieskiego światła, ale ich wzory były zbyt regularne i zorganizowane, by stanowić naturalne emisje wewnątrz lokalnego pola magnetycznego. Wyglądało na to, że unoszą się z centrum poszarpanych klifów, ale rozszerzają się w każdej sekundzie z niewiarygodną prędkością i obejmują całego Heimdalla.

Istota z Rozety zbudowała wcześniej w otwartej przestrzeni wiele konstrukcji geometrycznych, ale struktury te zniknęły po bitwie pod Heimdalem. Ksenosofontologowie floty założyli, że obcy się wycofali.

*Najwyraźniej nie* – pomyślała Taggart, przyglądając się zjawisku.

– Sternik – odezwała się.

– Tak, kapitanie.

– Zabierz nas z orbity. Kurs jeden-jeden-pięć minut jeden-osiem. Pięćdziesiąt kilometrów na sekundę.

– Przyjąłem.

Nie wiedziała, co tam się dzieje, ale wolała trzymać swój okręt z daleka.

Swój okręt... Kariera wojskowa Laurie Taggart wielokrotnie zmieniała kurs w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Zaczęła jako szef służby uzbrojenia na lotniskowcu gwiazdnym „Ameryka”, po czym otrzymała stanowisko pierwszego oficera na siostrzanym okręcie „Ameryki”, „Lexingtonie”. Następnie na ochotnika została tymczasowym dowódcą „Lucasa”, lądownika marines, a po śmierci kapitana Bigelowa przejęła dowództwo nad „Lexingtonem”.

To ona zabrała uszkodzony lotniskowiec do domu.

Oczywiście nie było szans, by dowództwo floty pozwoliło jej zatrzymać tę funkcję. Stała wciąż zbyt nisko w hierarchii, aby na stałe dowodzić „Lexingtonem”. Po dotarciu do SupraQuito awansowano ją jednak do stopnia kapitana i przydzielono na lekki lotniskowiec „Guadalcanal”.

Podejrzewała, że jej kochanek, Trevor Gray, rekomendował ją do awansu, ale odmawiał w tej sprawie potwierdzenia lub zaprzeczenia. Zamiast tego przytulił ją mocno i szepnął: „Ćśś. Zasłużyłaś”.

Teraz miała tylko nadzieję, że zachowa to, na co sobie zapracowała. Pokaz światła ogarnął już całego Heimdalla i zaczął sięgać dalej w przestrzeń.

– Pani kapitan? – odezwał się porucznik Peters, pracujący przy czujnikach. – Mamy już pewne odczyty. Świetliki.

– Cholera...

„Świetlikami” nazywano niewielkie autonomiczne obiekty o rozmiarach od drobinek pyłu do kilku metrów, które miały coś wspólnego ze strukturami obcej istoty z Rozety. Poruszały się w ogromnych rojach, potrafiły łączyć się w stałe obiekty albo niszczyć okręty, po prostu zderzając się z nimi z wielką prędkością. Uważano, że stanowią wielką zbiorową inteligencję, liczącą setki bilionów osobników, będących podstawą umysłu Rozety.

Co powinna zrobić? Zostać w miejscu i obserwować? Dołączyć do reszty floty w układzie Gwiazdy Kapteyna przy Trymheimie? Próbować zbadać oszłamiające świetliste struktury ogarniające lokalną

przestrzeń? Wystrzelić myśliwce?

Rozkazy, jakie wydano pięciu stacjonującym tu okrętom, kazały po prostu patrolować układ Gwiazdy Kapteyna i zawiadomić Ziemię, jeśli Rózie znów się zjawią. Sądząc z tego, co się działo właśnie na Heimdallu, obcy nigdy tak naprawdę nie odeszli i Ziemia musiała się o tym dowiedzieć.

- Zabierz nas do pozostałych – rozkazała sternikowi.
  - Aye, aye, pani kapitan.
  - Pierwszy, ogłosić alarm bojowy.
- To nie wyglądało dobrze.

USNA FME „Olympia”

Rozeta

Omega Centauri

Godzina 12.14 GMT

Jakieś 15 800 lat świetlnych od Ziemi AI zwana przez pracujących z nią ludzi Limpy również wpatrywała się w nieznane. Chociaż nie myślała jak ludzie i nie oceniała zjawiska w ten sam sposób, wiedziała, że coś się dzieje. I nie wyglądało to dobrze.

Omega Centauri stanowiła największą gromadę kulistą w Drodze Mlecznej – dziesięć milionów gwiazd o łącznej masie czterech milionów Słońc rozmieszczonych na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat świetlnych. W jej centrum grawitacyjnym, głęboko w roju gwiazd tłoczących się na niebie, orbitowało sześć czarnych dziur, każda wielkości planety, ułożonych w bezdyskusyjnie sztuczny wzór – rozetę Klemperera.

Kilkaset lat wcześniej ziemscy astronomowie wykazali, że Omega Centauri nie jest typową gromadą kulistą, ale stanowi dawne centrum małej galaktyki, wchłoniętej przez dużo większą Drogę Mleczną pół miliarda lat wcześniej. Duże galaktyki były kanibalami, zjadającymi się resztkami mniejszych. Dzięki analizie widma wykazano, że pewne gwiazdy, w tym czerwony karzeł zwany Gwiazdą Kapteyna, położony tylko dwanaście i siedem dziesiątych roku świetlnego od Ziemi, dawniej stanowiły część tej starożytnej galaktyki.

Niedawno zaś ludzkie okręty, walczące z tak zwanym Galaktycznym Imperium Sh'daar, przeniosły się w przeszłość i odkryły tę galaktykę, zwaną przez mieszkańców Chmurą N'gai, w czasach gdy znajdowała się jeszcze ponad płaszczyznę ekliptyki Drogi Mlecznej. W sercu N'gai odkryto coś, co niemal na pewno było prekursorem Rozety – sześć błękitnych nadolbrzymów, tworzących jakiegoś rodzaju konstrukcję Sh'daarów.



Tu, w układzie Omega Centauri, te hipergwiazdy już dawno eksplodowały i zmieniły się w czarne dziury wirujące wokół przestrzeni nie większej niż Ziemia. I, co więcej, enigmatyczna istota zwana Świadomością budowała... coś. Tytaniczne struktury, pozornie stworzone z samego światła, zawieszono wokół sześciu obracających się osobliwości i rozciągające się w nieskończoność.

„Olympia”, zaawansowany ośrodek nasłuchowy, zamaskowany jako nierzucający się w oczy kawałek skały wielkości Everestu, z załogą składającą się ze stu pięćdziesięciu ludzi i wysoko rozwiniętej AI ze specjalnym oprogramowaniem, znalazł się na orbicie Rozety zaledwie kilka tygodni wcześniej. Dzięki danym o Świadomości uzyskanym przy Gwieździe Kapteyna Limpy mogła podsłuchiwać obcą istotę, podczepiając się pod kanały komunikacyjne między oddalonymi od siebie urządzeniami, składającymi się na całość.

Jak na razie nie było to szczególnie produktywne. Jeden z ksenosofontologów stwierdził, że przypomina to ustalanie, co myśli człowiek, dzięki analizie emisji odpadów wydzielanych przez kilka bakterii w jego układzie pokarmowym. Limpy uważała, że szanse uzyskania czegoś użytecznego są nieco większe, ale rozumiała problem. Świadomość była ogromna, złożona i nawet najlepsze ziemskie SAI miały niewielkie szanse na zrozumienie jej na poziomie wyższym niż bardzo podstawowy.

Dla Limpy było to warte ryzyka.

W tej chwili AI „Olympii” dryfowała w pewnej odległości od sześciu wirujących osobliwości. Było stamtąd widać gwiazdy – ale nie ściśnięte słońca Omega Centauri. Załoga mostka „Olympii” patrzyła, całkiem dosłownie, przez dziurę w czasoprzestrzeni na coś innego i kiedy indziej.

Rozeta wyraźnie stanowiła jakiś rodzaj gwiazdnych wrót. Pospieszne obroty czarnych dziur wokół wspólnego środka zakrzywiały zwykłe wymiary i otwierały liczne portale w nieznaną. Widoczne przez nie gwiazdy mogły być innymi regionami Galaktyki, innymi czasami, a nawet innymi wszechświatami.

Istota zwana Świadomością przybyła z któregoś z tych miejsc lub czasów. Świadomość, istota z Rozety, obca inteligencja... to wszystko były nazwy dla czegoś, czego ludzkość tak naprawdę nie napotkała i mogła nigdy nie być w stanie zrozumieć.

Limpy przybyła tu, aby dowiedzieć się więcej.

– Hej, Limpy?

– Tak, kapitanie Mosely?

– Co to jest? To wszystko naprzeciwko Rozety?

Limpy wiedziała, o czym mówi Mosely. Obserwowała rozwój zjawiska od kilku minut... Wielka chmura czegoś, co wyglądało jak białoszary

dym pośród masy gwiazd.

– Nie wiem, kapitanie. Wygląda na chmury mikromaszyn podobnych do tych nazwanych „świelikami”. Są ich biliony.

– Co robią?

– Lecą w naszą stronę.

– Cholera...

AI „Olympii” obserwowała sytuację przez kilka kolejnych chwil.

– Kapitanie, sugeruję ogłoszenie alarmu bojowego.

– Właśnie wpadłem na to samo.

Sekundę później w korytarzach okrętu rozległy się syreny. Nie żeby miało to wielkie znaczenie – rój dotarł do nich, zanim większość załogi zdążyła zająć stanowiska. Przeleciał jednak kilkaset kilometrów obok i wkrótce stało się jasne, że jego celem nie jest „Olympia”.

– Gdzie one się tak spieszą? – zastanawiał się głośno Mosely, uznawszy, że niebezpieczeństwo minęło.

Nagle jednak dryfującą górą kilka razy zatrzęsło, za każdym razem coraz mocniej.

– Limpy! – zawołał Mosely. – Trafili nas! – Gwiazdy na zewnątrz zaczęły dryfować. – Kręcimy się w kółko!

– Nie zostaliśmy trafieni, kapitanie. Wpadliśmy w niezwykle silny strumień grawitacyjny.

– Co to, do cholery, takiego?

– Wąski fragment przestrzeni zakrzywiono tak, aby wywołać nagły ruch w stronę Rozety. Wpadliśmy na krawędź fenomenu i jesteśmy przyciągani.

– W stronę Rozety...

– Owszem, kapitanie. O ile nie wyrwiemy się, przelecimy przez środek heksagonu za czterdzieści trzy sekundy.

„Olympię” wyposażono w napęd grawitacyjny, ale okręt był powolny i o zdecydowanie za małej mocy, jak na jednostkę tych rozmiarów. Mosely wykrzykiwał rozkazy, próbując wyrwać okręt spod wpływu strumienia, ale AI już ustaliła, że mają po prostu na to za mało mocy.

Schwytanie „Olympii” nie wydawało się celowym atakiem. Było raczej zupełnie przypadkowe. Kolumna grawitacyjnie zakrzywionej przestrzeni spowijała rój płynący przez przestrzeń w stronę Rozety. Prawdopodobnie same urządzenia wytwarzały to zakrzywienie jako rodzaj napędu, a ich cel znajdował się gdzieś po drugiej stronie czasoprzestrzennych wrót.

Bez względu jednak na powód, ciągnęły za sobą „Olympię”.

Z chłodną skutecznością Limpy skompresowała kompletny zapis ostatnich wydarzeń w komunikat i wystrzeliła go w kosmos wiązką laserową. W sercu Omega Centauri dryfowały inne okręty, które mogły zanieść wieści na Ziemię.

Przed nimi zniekształcenie czasoprzestrzeni wytwarzane przez wirujące osobliwości poszerzało się, wypełniając niebo. Jaskrawe światło, uwięzione w anomalii grawitacyjnej, tworzyło świetlistą aureolę przypominającą ogromne oko. W samym środku zniekształcenia, wewnątrz źrenicy, pojawiły się gwiazdy. Limpy szybko przeskanowała je i przeanalizowała. Okazało się, że ich układ nie pasuje do niczego w jej pamięci.

Wtedy właśnie „Olympia” wleciała do oka i zniknęła z lokalnej czasoprzestrzeni.

Winda kosmiczna SupraQuito

W podróży

Godzina 16.35 TFT

Gray cieszył się, że zawsze podróżuje bez większych bagaży. Po rozmowie w Genewie zabrano go do hotelu, gdzie spał niespokojnie, a następnie udał się na sześciogodzinną odprawę, gdzie omawiano rzeczy, które już wiedział: zniszczoną zaawansowaną cywilizację przy Gwieździe Tabby, okrycie Kodu Omega i fakt... nie, założenie, że układ jasnej, białobłękitnej gwiazdy Deneb jakies sto siedemdziesiąt trzy lata świetlne od Gwiazdy Tabby zamieszkuje kolejna zaawansowana cywilizacja.

Jako że to on odkrył lwią część tych rzeczy, Gray przez większość czasu się nudził. W pewnym momencie miał jednak okazję poprawić osobę prowadzącą prezentację. Istniał potencjalny motyw ataku na Satori, cywilizację z Gwiazdy Tabby. Satori otoczyli swoje słońce silnikami grawitacyjnymi i przyspieszali, wraz z całą swoją cywilizacją, gwiazdą i rojem Dysona, w stronę Deneba. Nadal nie było wiadomo dlaczego. Z kolei Denebianie najwyraźniej nie lubili nieproszonych gości.

Gray przypomniał zgromadzonym w amfiteatrze centrum Ad Astra, że warto o tym pamiętać, gdy zbliżą się do Deneba.

Po południu razem z Wasiliewą i kilkunastoma jej ksenosofontologami wsiadł do kolejnego, zdecydowanie większego promu grawitacyjnego, by polecieć do Quito, w Unión de América el Sur.

Stamtąd metro zawiozło ich do podstawy pierwszej z trzech wind kosmicznych Ziemi, położonej na szczycie góry na samym równiku. Wsiedli do specjalnego ekspresowego wagonu, który miał zabrać ich do SupraQuito.

Wagon ekspresowy oznaczał przyspieszenie 1 g, co jeśli dodać jeszcze 1 g przyspieszenia ziemskiego, oznaczało dwukrotność ziemskiego ciężenia przez pierwszą część podróży. Magnetyczny wagon

wyposażono jednak w luksusowe siedzenia mające zapewnić pasażerom tak komfortowe warunki, jak to możliwe, mimo poczucia, że ktoś siedzi im na piersi. Podłoga, ściany i sufity wyświetlały obraz otoczenia – zapierający dech widok na oddalającą się, spowitą chmurami Ziemię.

Nie żeby któreś z nich było szczególnie zainteresowane oglądaniem Ziemi. Gray skupiał się na oddychaniu, gdy coraz szybciej pędzili ku niebu nad Quito, magnetycznie przyspieszeni na naprężonym kablu łączącym planetę z niebem.

Poczucie nacisku nieco malało w miarę, jak wagon jechał coraz wyżej. Trzydzieści dwie minuty po opuszczeniu portu podróżowali z prędkością dziewiętnastu i pół kilometra na sekundę i znajdowali się w połowie drogi, niemal dziewiętnaście tysięcy kilometrów nad górskim szczytem. Przyspieszenie ustało i przedział pasażerski obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, aż błękitno-biały obraz Ziemi zajął pozycję nad ich głowami. Obecnie decelerowali z 1 g, ale ciążenie było mniejsze, bo Ziemia je niwelowała.

– Myślałem, że w kosmosie będziemy w nieważkości! – mruknął jeden z naukowców. Nazywał się doktor Liu i z tego, co wiedział Gray, wykładał w Szanghajskim Instytucie Technologicznym.

– Dopiero gdy dotrzemy na orbitę – wyjaśnił Trevor. – Ta część windy kosmicznej nie znajduje się na orbicie i gdyby wyszedł pan na zewnątrz, spadłby pan na Ekwador.

– Na orbicie geosynchronicznej jest inaczej – dodała łagodnym głosem Wasiliewa. – Tam będziemy w stanie swobodnego spadku.

Liu coś odburknął, a Gray zamilkł, czując się nieco nieswojo. Wydawałoby się, że każdy naukowiec powinien wiedzieć takie rzeczy.

Najwyraźniej bycie ekspertem w jednej dziedzinie nie czyniło człowieka ekspertem w innej. Kosmos był jednak miejscem, gdzie ignorancja potrafiła zabić.

Gray zastanawiał się, ile o podstawach mechaniki orbitalnej wiedziała reszta.

Po godzinie i pięciu minutach od opuszczenia Ziemi wagon wyhamował przy stacji orbitalnej SupraQuito. Po pięciominutowej przejażdżce kolejką dotarli do stoczni.

Gray siedział w kapsule, patrząc przez przezroczysty sufit na labirynt wsporników i szyn, konstrukcji orbitalnych, dźwigów i doków, powoli przesuwających się na tle kosmosu. Przed nimi zacumowany był lotniskowiec USNA CVI „Republika”. Wyglądał wciąż tak, jak zapamiętał go Gray.

Wracał na pokład „Republiki” z mocno mieszanymi uczuciami. Zdecydowanie chciał się dostać na jakikolwiek okręt, im szybciej, tym lepiej. Niewiele trzymało go teraz na Ziemi. Za każdym razem, gdy wracał i zaglądał na rodzimy Manhattan, zastawał coraz więcej zmian i

w coraz mniejszym stopniu czuł się jak w domu.

Rozmowa z Paneuropejczykami jednak nim wstrząsnęła. Wyglądało na to, że mają niemal apokaliptyczną wizję tej misji, poczucie, że jej niepowodzenie oznaczać może katastrofę dla całej ludzkości.

A wiedza, że tak wiele zależy od jego decyzji, jego doświadczenia, sprawiała, że Gray miał złe przeczucia.

# Rozdział trzeci

1 lutego 2426

SupraQuito  
Godzina 12.18 TFT

Biura firmy Paradise, Inc. umieszczono w obracającym się kole, przyłączonym do kompleksu orbitalnego niedaleko stoczni floty. Gregory skorzystał z przepustki i pojechał kolejką magnetyczną do centrum grawitacyjnego zespołu biurowego, skąd złapał windę „w dół”, na krawędź koła, gdzie panowało ciążenie 1 g. Recepcja była bogato zdobiona, z wyświetlanymi na ścianach spokojnymi, abstrakcyjnymi animacjami i upiornie eteryczną muzyką dobiegającą z ukrytych głośników.

Android spytał Gregory’ego o dane osobowe, po czym zaprowadził go do pomieszczenia, gdzie czekała Kazuko Marukawa. Kobieta zdawała się dryfować wśród kłębow kolorowego światła.

– Poruczniku Gregory – powiedziała, gdy usiadł na krześle naprzeciwko jej biurka – co sprowadza pana do Paradise?

– Straciłem... kogoś – odparł. – Kogoś bardzo dla mnie ważnego. Zastanawiałem się nad echastowersum...

– Eschatowersum – poprawiła go delikatnie. – Zbudujemy je tak, by dokładnie odpowiadało pańskim potrzebom. Mamy, całkiem dosłownie, miliardy modeli do wyboru.

Myśl o prywatnym niebie wpędzała go w niewielką klaustrofobię.

– Czy to nie... no, nie wiem... nie trochę samotne? Wirtualne uniwersum tylko dla mnie i kogokolwiek tam sprowadzę?

– Skądże. Proszę pomyśleć o swoim eschatowersum jak o bańce, która ciągle łączy się i wchodzi w interakcje z wieloma innymi. Miałyby pan dostęp do całego wirtualnego multiwersum, miliardów rzeczywistości. Oferujemy gotowe światy, odpowiadające wierzeniom setek różnych religii i systemów wierzeń. W ofercie mamy także rzeczywistości skrojone na miarę pańskich potrzeb, gdzie może pan latać siłą myśli, cieszyć się nadludzkimi mocami... wszystko, co jest pan sobie w stanie wyobrazić... i dużo, dużo więcej! Zapewniam, że pańska nowa rzeczywistość będzie o wiele ciekawsza i lepiej spełniająca oczekiwania niż tak zwany świat rzeczywisty!

Gregory wiedział o transferach umysłu. Była to mniej więcej ta sama sztuczka, z której skorzystali Baondyeddi i inne zaawansowane gatunki kosmitów, by zniknąć w wirtualnej króliczej norze na Heimdallu. Ludzka technologia od wieków posuwała się w tym kierunku, ale w praktyce osiągnięto to dopiero w ciągu ostatnich kilku dekad, na dużo mniejszą skalę.

Ale ta skala szybko rosła.

– A więc... wiem, że możliwe jest stworzenie kopii ludzkiego mózgu. I tę kopię można przesłać do komputera, który zawiera wirtualną symulację świata... nawet całego wszechświata. Ale jeśli prześlę się do jednej z waszych baniek, czy to naprawdę będę ja? To znaczy nawet idealna kopia stanu mojego umysłu to nadal kopia. Co stanie się z... uch... prawdziwym mną?

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Poruczniku, nie uwierzy pan, ile razy słyszeliśmy właśnie to pytanie!

– Nie uwierzy pani, pani Marukawa, jak bardzo nie chciałbym obudzić się i stwierdzić, że jestem tą wersją mnie, która nie została przeniesiona.

– Wierzy pan w istnienie duszy, poruczniku?

– Hmm... nie jestem pewien. Nie wydaje mi się...

– Skupmy się więc na pańskiej świadomości, poczuciu samego siebie.

Ma pan coś takiego, prawda?

Jej dziarska asertywność zaczynała go drażnić.

– Oczywiście.

– Pański mózg to sieć stu miliardów neuronów, połączonych ze sobą w złożone struktury aż do jedenastu wymiarów topologicznych, prawda?

– No... tak...

– Interakcje tych neuronów rodzą pamięć, decyzje, to, co nazywamy świadomością.

Skinął głową.

– Dobrze. Jeśli wzięlibyśmy tylko jeden z tych neuronów i zastąpilibyśmy mikroskopijnym nanokomputerem, zachowując wszystkie połączenia synaptyczne, zauważyłby pan różnicę?

– Pewnie nie.

– Czy nadal byłby pan sobą?

– Tak...

Rozumiał już, do czego zmierza kobieta. Słyszał już ten argument, ale nie był pewien, czy go kupuje.

– A jeśli zastąpimy dziesięć pańskich neuronów... dziesięć ze stu miliardów, nadal będzie pan sobą?

– Wiem, o co pani chodzi, pani Marukawa. Jeśli magicznie zastąpilibyście moje neurony jeden po drugim, mój mózg stałby się w końcu w pełni maszyną zamiast organiczną galaretą, a mój umysł mógłby zostać przeniesiony do robota albo do pamięci superkomputera.

Jeśli wszystkie połączenia pozostaną takie same, nie zauważę różnicy.

– Pańska świadomość zostanie zachowana, identyczna z tym, co uważa pan za swoje ja.

– Rozumiem to wszystko. Ale nie rozumiem, jak możecie przenieść moją świadomość stąd – dotknął palcem czoła – do maszyny. To coś innego niż po prostu wymiana części.

– Mogę tylko powiedzieć, poruczniku, że nie mieliśmy żadnych skarg.

– A co dzieje się z organicznym ciałem, gdy opuszcza je świadomość?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że to głupie pytanie.

– Organiczny mózg ulega zniszczeniu w procesie skanowania. Ciała pozbywamy się zgodnie z życzeniami klienta. Oferujemy wiele...

Podniósł rękę.

– Nie chcę słyszeć o tej części. Proszę posłuchać... co do mojej przyjaciółki...

– Czy kochał ją pan?

Skinął głową.

– Miała na imię Megan.

– Czy ma pan nagranie? Czy może znajduje się już w eschatowersum?

Westchnął.

– Mam jej awatar.

– Ach. – Mina Marukawy zrzęda. – Możemy panu zaoferować bardzo realistyczną symulację. Specjalna AI odtworzy jej wygląd, emocje, myśli i manieryzmy w oparciu o dostępne dane. To nie...

– To nie będzie tak naprawdę ona. Wiem.

Gregory odchylił się w fotelu, stukając palcami o poręcz. Łagodne światła i przypadkowe kształty wokół niego rozpraszały go. Musiał to przemyśleć.

Awatar Meg stanowił elektroniczną wersję jej samej, której używała do wirtualnej komunikacji. Osobisty asystent i sekretarka mogąca elektronicznie ją reprezentować. Myślał o nim jako o rodzaju szkicu, chociaż nie powstrzymało go to od długich rozmów z nim od czasu śmierci Meg. Każdy miał awatary – oczywiście oprócz prymów i fanatyków religijnych, którzy je odrzucali.

Gregory od jakiegoś czasu rozważał samobójstwo. Prostą, bezbolesną drogę ucieczki od bólu świata pozbawionego Meg. Paradise, Inc. oferowało mu rozwiązanie: nawet jeśli umysł – a nie prawdziwy Don Gregory – zostanie przeniesiony do symulacji wszechświata, pozostawiony w rzeczywistym świecie Gregory przestanie istnieć. A to samo w sobie było rodzajem nieba.

A jeśli ta firma umiała przenieść do komputera świadomy umysł, jaźń, ego i samoświadomość Dona Gregory'ego, to obudzi się w lepszym, bogatszym, pełniejszym życia wszechświecie z iluzją towarzystwa



Megan.

Może z czasem potrafiłby zapomnieć, że jest tylko iluzją, otaczającą pakiet oprogramowania AI?

Marukawa wydawała się czytać mu w myślach.

– W czasie procesu możemy edytować pańskie wspomnienia. Może pan nie zdawać sobie sprawy, że pańska towarzyszka jest kopią. Czy że żyje pan w symulacji.

Zaśmiał się lekko.

– Słyszałem sugestie, że już w niej żyjemy. Skąd byśmy wiedzieli, że nie?

– Hipoteza nie do udowodnienia. Ale fascynująca.

– Jeśli żyjemy w symulacji, ktoś kiepsko ją zaprogramował.

– I to, panie poruczniku – powiedziała wesoło – powód, dla którego powstało Paradise, Inc. Czy jest pan obecnie w czynnej służbie?

– Tak. Jeszcze dwa lata, zanim będę mógł odejść.

– To nie problem. Możemy zrobić dla pana rezerwację, a nawet zacząć projektować idealny wszechświat, zanim przeprowadzimy proces.

– Muszę to przemyśleć – odparł i wstał. – Jeszcze jedno pytanie...

– Oczywiście.

– Jak za to zapłacę, skoro będę martwy?

– Odda pan swoje prywatne konta, minimum dziesięć tysięcy. Im więcej pan przeleje, tym szersze pole potencjalnych uniwersów stanie przed panem otworem. Koszt składa się na bieżące utrzymanie eschatowersum, koszty administracyjne...

– W tym pani pensję, jak zakładam. – Uśmiechnął się szeroko. – Dziękuję, pani Marukawa. Była pani bardzo pomocna.

– Czekamy na pańskie nowe życie z nami, panie poruczniku.

Gregory opuścił biuro i ruszył przez rozbudowany kompleks w stronę Swobodnego Spadku, baru popularnego wśród oficerów floty mających przepustkę „na ląd”. Marukawa poruszyła parę nieprzyjemnych kwestii.

Po pierwsze, niezaprzeczalny fakt, że Megan nie żyła, więc jeśli będzie z nią dzielić sztuczną rzeczywistość, to będzie tylko elektroniczną iluzją, nie prawdziwą osobą. Mógł wyedytować swoją pamięć o tym, ale nadal sama myśl była... nieprzyjemna.

Pozostawała też kwestia wieczności. Nic nie trwa wiecznie, w tym komputery i sieci AI krążące wokół Ziemi na orbitach synchronicznych czy pod powierzchnią Księżyca. Oczywiście, kiedyś wszystko to mogło zostać wchłonięte przez większą, bardziej zaawansowaną infrastrukturę elektroniczną. Potrafił sobie wyobrazić zbudowanie przez ludzkość roju Dysona, jak ten, który znaleźli przy Gwieździe Tabby, a może nawet galaktycznej sfery Dysona, konstrukcji typu trzeciego w skali Kardaszewa, jak ta, którą zaobserwowali w odległej o miliony lat przyszłości. Gdyby tak się stało, wirtualne multiwersum Paradise, Inc.

jakoś by przetrwało.

Ale Gregory widział, co się stało, gdy istota z Rozety pochłonęła Heimdalla, zaledwie dwanaście lat świetlnych od Układu Słonecznego. Zdigitalizowane umysły zamieszkujące sztuczne światy zostały... pożarte. Czy nadal żyły, o ile egzystencję w wirtualnej rzeczywistości można nazwać życiem?

Co, jeśli obca istota kiedyś trafiłaby na Ziemię? Być może w czasie, kiedy on spędzałby błogie chwile w cyfrowym niebie?

Albo... cholera. Co, jeśli pracownicy kiedyś zastrajkują? Jeśli ktoś wyciągnie wtyczkę?

Nie podobała mu się myśl, że jego istnienie miałyby w takim stopniu zależeć od kogoś innego.

Gregory pomyślał, że na dłuższą metę chyba lepiej pogodzić się z wszechświatem, w którym teraz przebywał.

TC/USNA CVS „Republika”

Stocznia SupraQuito

Orbita synchroniczna Ziemi

Godzina 14.27 TFT

– Moduł Światłość Jeden na pokładzie – oznajmił pierwszy oficer okrętu. Komandor Jonathan Rohlwing spojrział na Graya trudnym do rozszyfrowania wzrokiem. – „Republika” jest pod każdym względem gotowa do odlotu.

– Personel?

– Dwanaście osób wciąż przebywa na przepustce, ale mają wrócić do szesnastej.

– Dobrze.

Gray zastanawiał się, czy w głosie Rohlwinga słyhać cień urazy. Gdyby nie zabrali Graya z ulicy i nie posadzili go w fotelu kapitana, teraz zapewne „Republiką” dowodziłby właśnie Rohlwing.

Gray nie mógłby się dziwić, gdyby jego pierwszy oficer czuł się urażony. Całe to zamieszanie – wykopanie go z floty, a następnie sprowadzenie jako cywilnego dowódcy – było absurdalne.

Nie było jednak bezprecedensowe. Setki lat wcześniej we flocie morskiej pewne klasy jednostek zaopatrzeniowych były cywilnymi statkami z cywilnymi kapitanami, lecz w razie potrzeby wcielano je do służby wojskowej jako okręty pod dowództwem marynarki.

Ale dowodzenie każdym okrętem wymagało absolutnego zaufania między załogą a kapitanem. W obie strony. Pierwszy oficer musiał ufać, że dowódca podejmie prawidłowe decyzje i wyda odpowiednie rozkazy,

a Gray musiał wiedzieć, że Rohlwing wykona jego rozkazy co do joty.  
Jak zawsze zbudowanie tego obustronnego zaufania wymagało czasu.  
Gray miał tylko nadzieję, że go nie zabraknie.

USNA CVE „Guadalcanal”

Orbita Trymheima

Gwiazda Kapteyna

Godzina 16.50 TFT

„Guadalcanal” dotarł do reszty niewielkiej flotyli pilnującej układu Gwiazdy Kapteyna. Kapitan Taggart połączyła się z admirałem Rasmussenem z ciężkiego krążownika „Toronto”, przebywającego na orbicie lodowego olbrzyma Trymheima, czwartej planety układu.

Od kilku godzin „Guadalcanal” dryfował na niskiej orbicie razem z resztą flotyli. Taggart widziała na sensorach pozostałe pięć jednostek grupy – okręt flagowy „Toronto”, północnochiński lekki krążownik „Shanxi” i trzy niszczyciele. „Guadalcanal” przekazał już dawno na „Toronto” obrazy tego, co zaszło nad Heimdalem. Obecnie niewielka eskadra obserwowała i nagrywała pokaz światel bliżej słońca, ponad pięć jednostek astronomicznych dalej. Z odległości prawie dziewięciu jednostek astronomicznych niewielkie czerwone słońce było małym, żarzącym się węgielkiem, ledwie widzialnym gołym okiem. Konstrukcja istoty z Rozety stanowiła surrealistyczny splot geometrycznych kształtów i światel, wydawała się rozwijać i stawać coraz bardziej złożona.

– Wzorce są zgodne z układem sprzed bitwy – powiedziała Taggart do Rasmussena na kanale taktycznym. – Myślę, że po zbudowaniu struktur mogą je włączać i wyłączać do woli.

– Struktury są zakotwiczone w macierzy czasoprzestrzennej – zauważył doktor Howard Thornton z wydziału ksenosofontologicznego „Toronto”. – Kapitan Taggart ma rację. Przechowują wzorzec tych kształtów w przestrzeni czterowymiarowej i przywołują w razie potrzeby.

– Jak to robią, do cholery? – żądał odpowiedzi Rasmussen.

– Gdybym potrafił odpowiedzieć, panie admirale – odparł Thornton – należałbym do cywilizacji drugiego stopnia. Może trzeciego.

Thornton odnosił się do skali Kardaszewa, by wyjaśnić, że ludzkość jest daleka od poziomu rozwoju technologicznego pozwalającego zrozumieć, co się dzieje, nie mówiąc już o powtórzeniu wyczynu. Czymkolwiek była istota z Rozety, wyprzedzała ludzkość o całe eony i manipulowała czasoprzestrzenią na sposoby sugerujące zdolność do

pochłonięcia każdego ergu emitowanego przez gwiazdę, a może znacznie więcej.

Taggart znów poczuła głęboki, religijny podziw.

Przez lata wraz z byłym już mężem należała do Kościoła Kreacjonistycznego Antycznych Obcych. Odejście od systemu wierzeń zajęło jej kilka lat. Rozmowy z Trevorem Grayem w końcu przekonały ją, że wyobrażenie KKAO o zaawansowanych galaktycznych kosmitach manipulujących ludzkim genomem było słabe i beznadziejnie antropocentryczne. Istoty dość zaawansowane, by dokonać czegoś takiego, swobodnie przekształcające czasoprzestrzeń, nie zainteresowałyby się garstką paleolitycznych hominidów siedzących w jaskiniach. Dotychczasowe doświadczenia z Obcymi z Rozety wskazywały, że nie zauważali nawet podróżujących w kosmosie gatunków na obecnym poziomie rozwoju ludzkości. Nie zauważali ludzi albo – co bardziej prawdopodobne – ci w ogóle ich nie obchodzili.

Implikacje takiego rozwiązania mogły być miażdżące. Ludziom wydawało się, że są pępkiem wszechświata, a spotkanie czegoś takiego jak Świadomość z Rozety zniszczyło ich ego.

– Co tu robią? – zastanawiał się głośno Rasmussen. – I po co?

– Wygląda na to – zauważył Thornton – że otaczają Gwiazdę Kapteyna rusztowaniem ze stałego światła. I raczej wątpię, abyśmy byli w stanie zrozumieć dlaczego...

Taggart zauważyła coś w odczycie danych wyświetlającym się jej w głowie.

– Panie admirale?

– Tak, pani kapitan?

– Wykrywamy ruch, sir... i to sporo. Wygląda na chmurę świetlików o szerokości jednostki astronomicznej...

– Mój Boże...

– ...zmierzającą cholernie szybko w naszą stronę.

TC/USNA CVS „Republika”

Stocznia SupraQuito

Orbita geosynchroniczna Ziemi

Godzina 17.07 TFT

– Okręt jest w pełni gotowy, kapitanie.

– Dobrze. Zwolnić cumy.

– Cumy magnetyczne zwolnione, sir.

– Sternik, uruchomić silniki manewrowe, powoli nas wycofajcie.

– Powoli wycofać, tak jest.

Gray poczuł lekki wstrząs i przyspieszenie, gdy „Republika” wychodziła z doku. Pozostawało mu jedynie się przyglądać. AI okrętu kontrolowała kurs, moc i funkcje nawigacyjne, chociaż ludzcy oficerowie nadal wszystko nadzorowali. Sztuczna inteligencja „Republiki” była dużo zdolniejsza niż ludzkie mózgi i sprawniej obserwowała otoczenie.

- Opuściliśmy dok, kapitanie.
- Dobrze. Macie kurs.
- Aye, aye, sir. Kurs wprowadzony.
- Przyspieszyć.
- Aye, aye, sir.

Kompleks orbitalny na bakburcie zniknął z zasięgu wzroku, gdy „Republika” przyspieszyła za pomocą generatorów grawitacji. Obraz Ziemi i Księżyca gwałtownie malał. Po kilku sekundach planeta stała się tylko kolejnym jasnym punktem dryfującym w stronę Słońca.

Gray wyświetlił w oknie w swojej głowie informacje z „Encyclopedia Galactica” o miejscu, do którego lecieli.

**OBIEKT:** KIC 8462852

**ALTERNATYWNE NAZWY:** GWIAZDA WTF, GWIAZDA TABBY

**TYP:** GWIAZDA CIĄGU GŁÓWNEGO

**TYP WIDMOWY:** F3 V/IV

**WSPÓŁRZĘDNE:**  $\alpha$ : 20h06m15,457s  $\delta$ : + 44°27'24,61"

**GWIAZDOZBIÓR:** ŁABĘDŹ

**MASA:** 1,43  $M_{\odot}$

**PROMIEŃ:** 1,58  $R_{\odot}$

**OKRES OBROTU:** 0,8797 DNI

**TEMPERATURA:** 6750 K

**JASNOŚĆ:** 5  $L_{\odot}$

**WIELKOŚĆ OBSERWOWANA:** 11,7

**WIELKOŚĆ ABSOLUTNA:** 3,08

**ODLEGŁOŚĆ:** 1480 LAT ŚWIETLNYCH

**WIEK:** ~4 MILIARDY LAT

**INNE INFORMACJE:** W LATACH 2009-2015 W DANYCH ZAOBSERWOWANYCH PRZEZ KOSMICZNY TELESKOP KEPLERA WYKRYTO NIETYPOWE WAHANIA JASNOŚCI, KTÓRE TRUDNO BYŁO WYJAŚNIĆ JAKO NATURALNY FENOMEN. POJAWIŁA SIĘ WTEDY PO RAZ

PIERWSZY HIPOTEZA, ŻE SPADKI JASNOŚCI GWIAZDY WYNIKAJĄ Z TEGO, ŻE OKRĄŻAJĄ JĄ WYTWORZONE PRZEZ ISTOTY ROZUMNE MEGASTRUKTURY.

KIC 8462852 OTRZYMAŁA WÓWCZAS NIEOFICJALNĄ NAZWĘ „GWIAZDA TABBY”, OD IMIENIA TABETHY S. BOYAJIAN, PRZEWODZĄCEJ GRUPIE NAUKOWCÓW, KTÓRA PO RAZ PIERWSZY ZWRÓCIŁA UWAGĘ NA TEN OBIEKT. NAZWANĄ JĄ TAKŻE „GWIAZDĄ WTF”, OD TYTUŁU ARTYKUŁU BOYAJIAN „WHERE’S THE FLUX?”. WÓWCZAS „WTF” BYŁO TEŻ SLANGOWYM SKRÓTEM NA WYRAŻENIE „WHAT THE FUCK?”, KTÓRE OZNACZAŁO ZASKOCZENIE LUB NIEDOWIERZANIE...

Od czasu wizyty „Ameryki” w układzie dopisano znacznie więcej informacji. Przez ponad trzy stulecia astronomowie próbowali wyjaśnić dziwne zachowanie gwiazdy, biorąc pod uwagę opcje inne niż istnienie obcych supercywilizacji. Najpopularniejsza hipoteza łączyła szybkie obroty gwiazdy, powodujące zacienienie grawitacyjne, z obecnością nietypowo nachylonego dysku akrecyjnego – mimo faktu, że nigdy nie udało się zaobserwować obecności dysku w podczerwieni. Inne propozycje obejmowały zderzenie dużych planet z gwiazdą, powodujące rozjaśnienie, które przez wieki przygasało.

Problem w tym, że żadne z tych wyjaśnień nie pasowało do wszystkich danych, a były tak złożone, że aż nieprawdopodobne.

Graya całkiem to bawiło. W roku 1960 Freeman Dyson, matematyk i fizyk teoretyczny, zasugerował, że w poszukiwaniach zaawansowanych cywilizacji należy skupić się na szukaniu gwiazd, które z niewyjaśnionych przyczyn przygasają, co może wskazywać na istnienie sfer Dysona lub rojów Dysona. Celem tych hipotetycznych megastruktur było wychwycenie całego promieniowania emitowanego przez gwiazdę za pomocą albo sferycznej chmury kolektorów słonecznych, albo otaczającej ją szczelnej skorupy. Na początku dwudziestego pierwszego wieku ludzkość dysponowała sprzętem pozwalającym na znalezienie śladów pozaziemskiej inteligencji. Lecz kiedy zaobserwowano fenomen, który Dyson przewidział, uznano to za naturalne zjawisko.

W końcu jednak Agletsch, gatunek międzygwiazdnych kupców, namówił Konstantina do przyjrzenia się gwieździe KIC 8462852. Gray sprzeciwił się rozkazom i za namową Konstantina zabrał „Amerykę” do Gwiazdy Tabby, gdzie odkrył ruiny obcej megastruktury i cyfrową inteligencję, zwaną Satori.

A teraz miał tam wrócić. Jego misja polegała na odwiedzeniu Satori przy Gwieździe Tabby, a następnie próbie kontaktu z tym, co zamieszkiwało Deneb i zniszczyło znaczną część ich infrastruktury.

Czy Denebianie będą skłonni pomóc ludzkości w walce z istotą z

Rozety? Czy cokolwiek odpowiedzą? Tego nikt nie wiedział.

Czterdzieści minut później „Republika” przyspieszała w tempie siedmiu tysięcy g. Przyspieszenie nie było odczuwalne, bo każdy atom okrętu przyspieszał w tym samym tempie wewnątrz pola grawitacyjnego, w praktyce będąc w stanie swobodnego spadku. Poruszali się ze znacznym procentem prędkości światła, a niebo przed i za nimi zaczynało wyglądać dziwnie, gdy pojawiły się efekty relatywistyczne.

– Kapitanie Gray – odezwała się Ellen Waters, starsza oficer do spraw czujników – mamy tu coś dziwnego. Położenie dwa-osiem-pięć minus jeden-pięć.

Gray spojrział we wskazanym kierunku i powiększył obraz we własnej głowie. Zobaczył... światło.

– Wydział kseno – zawołał – co myślicie o strukturach na bakburcie?

– Nie jestem pewna, kapitanie – odpowiedziała doktor Wasiliewa. – Wygląda jak pokaz światła Rozety.

– Tak myślałem. „Republika”, możesz skorygować obraz pod względem zaburzeń relatywistycznych?

– Korekta w toku, kapitanie.

Szybki ruch przez kosmos zakrzywił nadchodzące promienie światła, przesuając obraz gwiazd i innych obiektów do przodu, zniekształcając go. Przy obecnej prędkości, wynoszącej około sześć dziesiątych c, efekt nie był wielki, ale irytujący. AI „Republiki” zastosowała algorytm matematyczny do obrazu z sensorów optycznych i stał się on jasny jak kryształ.

Promienie wydawały się pochodzić z pustej przestrzeni, rozdzielały się, tworząc coś wyglądającego jak wejście do tunelu. Świetlista mgielka wyłaniała się z tunelu, pojawiły się geometryczne kształty z białego oraz żółtego blasku.

– To zdecydowanie zjawisko powiązane z Rozetą, kapitanie – oznajmiła Wasiliewa. – Zmieni pan kurs na przechwytyjący?

Gray rozważał tę kwestię tylko przez sekundę.

– Nie.

– Kapitanie! – odezwał się komandor Rohlwing. Brzmiał, jakby był w szoku. – Jeśli to istota z Rozety, to znaczy... Przecież nie powinno jej tu być! Ziemia potrzebuje każdego okrętu do obrony!

Gray zamknął oczy. Stał przed tym samym niemożliwym wyborem po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Uważał, że to niesprawiedliwe.

– Po pierwsze – powiedział – lekki lotniskowiec ma zbyt małą siłę ognia, żeby zaważyć na wyniku walki z tym czymś. Po drugie i ważniejsze, w tej chwili udanie się do układu Deneba i poproszenie o pomoc to jedyna szansa Ziemi. I to właśnie zamierzam zrobić.

– Ale...

– Łączność, przesłać skorygowane obrazy tego, co widzimy, na Ziemię wraz z ostrzeżeniem. Niech wiedzą, co nadchodzi.

– Tak jest, kapitanie. Czas transmisji z prędkością światła to obecnie jedenaście minut.

– Czy dotrze do Ziemi przed tym... czymś?

– Tak, sir. Nasza wiadomość przyleci pierwsza.

– To najlepsze, co możemy zrobić.

Przez następne kilkanaście minut Gray i pozostali członkowie załogi, którzy nie byli zajęci bieżącymi operacjami, obserwowali dziwaczne wzory, w jakie układało się światło. Wszyscy widzieli to samo przy Gwieździe Kapteyna lub słyszeli o tym od innych, którzy brali udział w bitwie.

*Ciekawe, czy gdy wrócimy, wciąż Ziemia tam będzie* – pomyślał gorzko Gray.

Nie dało się wykluczyć scenariusza, w którym nawet jeśli Denebianie użyczą ludziom jakiejś niesamowitej broni, dla Ziemi będzie już za późno...



# Rozdział czwarty

**1 lutego 2426**

Nowy Biały Dom  
Waszyngton  
Godzina 18.02 EST

– Wiadomość do pana, panie prezydencie. Priorytet czerwony jeden-jeden.

– Dziękuję, Pierre – odparł Koenig. – Odkoduj i odtwórz.

– Tak jest. – Głos należał do nowej AI opiekującej się Nowym Białym Domem. Pierre Charles L’Enfant, po którym dostała imię, był francuskim architektem, który zaprojektował rozkład oryginalnego Waszyngtonu pod koniec osiemnastego wieku.

– Przepraszam, Gene – powiedział Koenig do wysokiego mężczyzny, przebywającego wraz z nim w Gabinetcie Ovalnym. – Muszę odebrać.

– Oczywiście, panie prezydencie.

Koenig odchylił się w fotelu, zamknął oczy i otworzył okno w implancie. Transmisja pochodziła od szefów połączonych sztabów i została przekazana z „Republiki”, znajdującej się obecnie godzinę drogi od Ziemi. Chociaż z uwagi na odległość obraz był ziarnisty i o niskiej rozdzielczości, wystarczył w zupełności. W pustej przestrzeni eksplodowało światło, rozwijając się jak kwiat, otwierając się i rozszerzając. Chwilę później w środku zjawiska pojawiła się mgiełka.

– Ten dym, czy też mgła, to najwyraźniej rój tego, co nasi ludzie nazywają „światlikami” – wyjaśnił w jego głowie Lawrence Vandenberg, sekretarz obrony. – Nie do końca nanotechnologia, ale to maleńkie maszyny działające zgodnie z zaprogramowanymi instrukcjami. Można z ich pomocą zbudować wielkie, złożone struktury w otwartej przestrzeni kosmicznej. Albo użyć ich jako broni. Chmura pojawiła się jakieś czterdzieści jednostek astronomicznych od Słońca i leci w stronę Ziemi. Przy obecnej prędkości znajdzie się tu w ciągu dwóch i pół godziny.

– Musisz to zobaczyć, Gene – powiedział Koenig. Admirał Gene Armitage był starszym szefem sztabu.

– Myślałem, że mamy więcej czasu, panie prezydencie – odezwał się Armitage, gdy zobaczył materiał. – Myślałem, że mamy umowę...

– Nigdy nie mieliśmy pewności, czy istota z Rozety w ogóle rozumie, czym jest umowa lub traktat – odparł ponuro Koenig. – Kod Omega sprawił, że w końcu w ogóle nas zauważyła. Być może znalazła sposób na zwalczenie wirusa.

– Zapewne zrobiła to kilka nanosekund po kontakcie z nim – stwierdził Armitage. – Zaawansowane AI działają w zupełnie innym tempie niż ludzie.

– Po co więc czekać? Minął prawie miesiąc, odkąd zatrzymaliśmy ją przy Gwieździe Kapteyna.

– Nie wiem, sir. Może miała inne rzeczy na głowie.

– Wyślij wszystkie dostępne okręty, Gene – rozkazał Koenig. – Również to, co mamy w stocznicach. Uszkodzone jednostki, myśliwce, nie w pełni ukończone łajby. Musimy powstrzymać tę chmurę przed dotarciem do Ziemi.

– Tak jest, sir – odparł Armitage z wahaniem. – A co z „Republiką”?

Koenig sprawdził wewnętrzny zegar.

– O ile Gray nie postanowił zawrócić, gdy to zaobserwował, musiał już uruchomić napęd Alcubierre’a. – Koenig nie wspomniał, że rozkazy Graya kazały mu udać się do Deneba za wszelką cenę. Nie zapowiadało się na to, aby miał szybko wrócić.

Otworzył kolejny kanał.

– Konstantin?

Nie uzyskał odpowiedzi, co głęboko go zaniepokoiło. Konstantin stanowił prawdopodobnie najbardziej zaawansowaną AI w Układzie Słonecznym, a Koenig polegał na jego poradach... zwłaszcza w obliczu egzystencjalnych zagrożeń.

– Konstantin?

Odpowiedział Pierre.

– Panie prezydencie, Konstantin nie jest już online.

– Co? Gdzie się podział, do cholery?

– Tylko zgaduję, ale wygląda na to, że zdał sobie sprawę z zagrożenia i dopilnował, aby trudno go było wykryć.

Świetnie. Po prostu świetnie. Najpotężniejszy umysł strategiczny w arsenale ludzkości rzucił okiem na nadchodzące zagrożenie, po czym wskoczył do cyberdziury i zamknął za sobą włącznik.

– Wysłać transmisję do Fortu Meade – rozkazał Koenig AI Białego Domu. – I Crisium... i Genewy. Musimy natychmiast przeciąć węzeł gordyjski.

Miał nadzieję, że mają coś w zanadru i zdążą to wykorzystać.

Porucznik Jason Meier przygotował się na wystrzelenie jego myśliwca SG-420 Starblade.

– Headhunter Trzy, gotowy do wystrzelenia – oznajmił.

– Przyjęłam, Headhunter Trzy – odezwał się głos w jego głowie. – Proszę czekać. „Ameryka” opuszcza dok.

Jak się nazywała? A tak, Fletcher. Jego nowy CAG. Jej głos brzmiał atrakcyjnie i nie mógł się doczekać, aż pozna ją osobiście. Naprawdę pozna, a nie tylko wysłucha standardowej gadki powitalnej. Tak... Oczywiście brzmiała profesjonalnie, ale Meierowi wydawało się, że wyczuwa w jej głosie jakieś ciepło i być może potrzebę tego, co zapewnić mógł właśnie on.

W każdym razie na pewno zamierzał spróbować.

Jason Meier wciąż przyzwyczajał się do zmian w personelu, odkąd „Headhunters” przeniesiono przed trzema dniami na „Amerykę”. Eskadra VFA-211 stacjonowała na „Lexingtonie”, ale ten lotniskowiec mocno ucierpiał podczas bitwy przy Gwieździe Kapteyna, a to, co zostało z jego myśliwców, przeniesiono. Kilka własnych eskadr „Ameryki” przesunięto wcześniej na „Republikę” i Meier zastanawiał się, czy ktokolwiek we flocie miał chociaż blade pojęcie, co robi.

Poczuł lekkie przyspieszenie, gdy kilometrowej długości lotniskowiec zaczął opuszczać dok. W głowie wyświetlały mu się obrazy zarówno z zewnętrznych kamer „Ameryki”, jak i z samej stacji.

*Staruszka nie wygląda za dobrze* – pomyślał. Miał szczególny sentyment do tego lotniskowca, nawet jeśli przydzielono go tu mniej niż dobę temu. To właśnie „Ameryka” zjawiała się w ostatniej chwili przy Gwieździe Kapteyna, ratując tyłek „Lexingtonowi”.

Obserwując, jak okręt zwalnia cumy magnetyczne, pomyślał, że „Ameryka” nie jest wcale w szczególnie lepszym stanie niż „Lex”, ale przynajmniej wciąż mogła poruszać się o własnych siłach. Gdy ich napęd zawiódł po drodze od Układu Słonecznego, niewielka flota holowników SAR zaciągnęła zarówno „Amerykę”, jak i „Lexingtona” do portu orbitalnego. Otwarte pozostawało pytanie, czy „Lex” w ogóle zostanie naprawiony, czy może zezłomowany.

Możliwe, że pytanie to nie miało już znaczenia. Istota, która znacznie uszkodziła oba okręty przy Gwieździe Kapteyna, właśnie pojawiła się na obrzeżach Układu Słonecznego i podobno kierowała się prosto na Ziemię. Mobilizowano więc każdy okręt, który dało się rzucić przeciwko niej.

Problem w tym, że lista zdolnych do walki jednostek ostatnio znacznie

się przerzedziła. Przez bitwę przy Gwieździe Kapteyna, przez długotrwałą wojnę z imperium Sh'daar i przez brutalną wojnę domową, która rozbiła Konfederację Ziemską. Flota USNA desperacko potrzebowała okrętów.

O ile wspólne siły poszczególnych flot Ziemi w ogóle miały jakąkolwiek szansę w walce z tak zaawansowanym technologicznie i potężnym przeciwnikiem jak istota z Rozety.

Większość z tego, czego dokonywała obca istota, która manipulowała czasoprzestrzenią w sposób wymykający się ludzkiemu zrozumieniu, trudno było nawet uznać za technologię.

Jak kilkaset lat wcześniej powiedział pewien znany pisarz i filozof, „każda dostatecznie zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii”.

– VFA-211 – znów usłyszał seksowny głos – czekajcie na wystrzelenie. Zgłóście się.

Członkowie eskadry zaczęli się kolejno meldować.

– Headhunter Jeden, gotowy do wystrzelenia.

– Headhunter Dwa, gotowy.

– Headhunter Trzy, gotowy – odezwał się Meier.

Jeden po drugim pozostali piloci oznajmiali swoją gotowość. W eskadrze było dwanaście myśliwców. Trzy z nich świeżo przybyły z Ziemi w ramach uzupełnień.

– Wszystkie eskadry – odezwała się Fletcher – przygotować się na wystrzelenie z pięcioma tysiącami g. Dwie minuty...

– No cóż – stwierdził porucznik Lakeland, Headhunter Siedem – chyba cholernie się gdzieś spieszymy!

– Tak, ale co niby mamy tam robić? – spytała Headhunter Osiem, jedna z nowych, porucznik Veronica Porter. I ją również Meier chciał poznać lepiej.

– Już ty się tym nie martw – odparł Meier. – Sukinsyny zobaczą, jak lecimy z prędkością bliską światła, i zawrócą tak szybko, że Bóg aresztuje ich za łamanie praw fizyki!

– Zachowuj się, Meier – powiedział komandor Victor Leystrom, dowódca eskadry.

– Hej, zawsze się zachowuję, komandorze!

Ale wiedział, o co chodzi Leystromowi. Miał wyrobioną reputację, zarówno w eskadrze, jak i na „Lexingtonie” – kobieciarz, playboy, stereotypowy, wiecznie napalony jak silnik odrzutowy pilot myśliwca. I robił, co mógł, aby podtrzymać tę opinię dzięki brawurowym flirtom, chociaż nawet on przyznawał, że szczegóły jego życia erotycznego są nieco przesadzone. Po prostu dzień – i noc też – miały za miarę godzin, aby wyrobić statystyki, jakimi lubił się przechwalać.

Ale to drobne wtargnięcie rzeczywistości w jego życie nie mogło

powstrzymać zuchwałości.

Leystrom uchodził za pruderyjnego i korzystał z każdej okazji, by temperować nieco brawurę swoich ludzi. Twierdził, że zawodowcy nie muszą się chwalić.

Ale jaka przyjemność we wstrzemięźliwości?

Mijały długie minuty. Przy siedmiu tysiącach grawitacji „Ameryka” osiągnęłaby prędkość światła w siedemdziesiąt jeden minut, ale nie o to tym razem chodziło. Myśliwce typu Starblade mogły dojść do pięćdziesięciu tysięcy g i osiągnąć prędkość światła w mniej niż dziesięć minut. Gdyby lotniskowiec wypuścił myśliwce względnie blisko celu, wróg miałby mniej czasu na ich namierzenie. Meier wątpił jednak, czy tym razem ta taktyka okaże się skuteczna. Ich cel stanowił – według szacunków najlepszych ksenosofontologów – niezwykle potężną, wysoko rozwiniętą sztuczną inteligencję, być może AI istniejącą od setek milionów lub nawet miliardów lat. Zapewne potrafiła przejrzeć każdą ludzką sztuczkę i opracować kontratak w ciągu nanosekund.

Mimo wszystko człowiek z krzemiennym nożem i elementem zaskoczenia mógł zabić człowieka z najnowszym modelem broni palnej, jeśli zadał cios jako pierwszy. Los eskadry zależał właśnie od tego wielkiego „jeśli”.

– Headhunters – odezwała się CAG przez sieć taktyczną eskadry – możecie startować za trzydzieści sekund.

– Dobra, słuchajcie – powiedział Leystrom. – Jest szansa, że Rózie przyszyły pogadać. Broń wyłączona, powtarzam, wyłączona, do czasu aż wydam rozkaz albo ja, albo ktoś z góry. Zrozumiano?

Odezwał się chór potwierdzeń.

– Jakie są szanse na to, że chcą rozmawiać, komandorze? – spytał porucznik Greg Malone.

– Kiedy szefowie sztabów mi powiedzą, dam wam znać. Po prostu zachowajcie czujność i nie walcie do nich z kraitów, póki nie dostaniecie rozkazu.

– Przyjąłem, komandorze.

Siła odśrodkowa wyrzuciła starblade’a Meiera z tunelu startowego lotniskowca. Gdy wyprzedził kopułę dziobową „Ameryki”, zobaczył tuż przed sobą cel – nieostrą smugę bladego światła.

– BCI – odezwał się Leystrom – wychodzimy spod KL. Headhunters poza lotniskowcem i w formacji.

– Przyjęłam, Headhunters. Przyspieszyć i zbliżyć się do celu.

– Przyjąłem, BCI. Przyspieszamy za trzy... dwa... jeden... teraz!

Myśliwce ruszyły. Obraz przestrzeni przed nimi zniekształcił się, w miarę jak prędkość zbliżała się do prędkości światła. Meier czuł się, jakby w jakiś sposób zastygł w czasie. Wszystkie widoczne gwiazdy stały się kręgiem blasku, otoczonym przez czarną pustkę, bez żadnego

poczucia ruchu.

Chwilę później AI myśliwców połączyły się i wydały szybkie polecenia, w wyniku których wszystkie obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęły decelerację.

– Headhunters! – krzyknął Leystrom. – Uzbroić kraity i boomslangi!

Meier kliknął w myślach ikonę, która uzbroiła arsenał rakiet jego myśliwca – trzydzieści dwa pociski kosmos–kosmos VG-92 Kraity i sześć dużo mocniejszych VG-120 Boomslang.

Wokół niego wybuchło światło.

Świadomość  
Obrzeża Układu Słonecznego  
Godzina 19.32 TFT

Podobnie jak ludzki umysł wyłonił się z sieci łączącej pojedyncze neurony, Świadomość stanowiła emergentne zjawisko, wynikające z połączenia setek miliardów mniejszych jednostek. Jej część, która właśnie wkroczyła do Układu Słonecznego, była jedynie niewielkim fragmentem całości. Inne iteracje Świadomości pozostawały głęboko w gromadzie Omega Centauri, przy Gwieździe Kapteyna i trwały rozproszone po Galaktyce. Niektóre komunikowały się ze sobą przez mikroskopijne tunele czasoprzestrzenne, podczas gdy inne działały całkowicie niezależnie.

Ta Świadomość wykonała skok ze znajdującej się jakieś dwanaście lat świetlnych dalej Gwiazdy Kapteyna, z wykorzystaniem danych pobranych z AI ludzkich okrętów, i znalazła ojczyzny układ ludzkości. Zbliżając się do Ziemi, wyczuła nadchodzące obiekty, ale tylko jako materialne abstrakcje, zawierające umysły o wątpliwym poziomie świadomości. Dla Świadomości Rozety, świadomej poszczególnych atomów wodoru śpiewających w Głębi, postrzegającej eteryczne piękno splecionych pól magnetycznych i morze promieniowania elektromagnetycznego, zjawiska materialne nie były szczególnie istotne. Rozeta, wrażliwa na zakrzywienie samej czasoprzestrzeni i drgania grawitacyjne przesywające niezliczone wymiary, nie interesowała się zbyt wiele stałymi obiektami, jeśli nie pędziły szybko poprzez Pustkę.

Umysły, które wyczuwała dalej, były jednak znacznie bardziej obiecujące. Sięgając zmysłami, Świadomość rozpoznała ośrodki masy jako planety, orbitujące wokół jednej gwiazdy. Zwłaszcza jeden skalisty glob stanowił skupisko wyjątkowo złożonej koncentracji częstotliwości elektromagnetycznych, anomalii grawitacyjnych i zaszyfrowanych transmisji, które nie mogły być naturalne. Jeśli w tym układzie gwiazdnym istniały jakieś umysły wyższego rzędu, musiały znajdować

się właśnie tu, na świecie, który ludzkie systemy nazywały „Ziemią”.

Zniszczenie Ziemi – szacowała Świadomość – i asymilacja wszystkich dostatecznie wartościowych umysłów wymagały jedynie kilku minut...

Trzy ze składowych istoty, lecące przed jej główną chmurą, uderzyły w obiekty materialne, poruszające się z prędkością zbliżającą się do prędkości światła. Energia kinetyczna zmieniała je w miniaturowe słońca o niszczycielskiej mocy.

VFA-211 „Headhunters”

Obrzeża Układu Słonecznego

Godzina 19.21 TFT

Meier i pozostali Headhunters nie widzieli nadlatujących pocisków. Nie mogli ich widzieć, lecąc z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Nawet AI myśliwców nie mogli zareagować na czas.

Starblade Porter zmienił się w kulę rozgrzanej plazmy na chwilę przed tym, jak jednostki pilotowane przez Malone’a i Judith Kelly także przepadły pośród rozbłysków światła i promieniowania.

– Jezu! – krzyknął Lakeland. Jego myśliwiec otarł się o chmurę po eksplozji tego, co wcześniej było myśliwcem Porter, i zaczął koziołkować.

Przez chwilę Meier wpatrywał się w trójkę gasnących gwiazd przed sobą.

Nie...

– BCI, tu Headhunter Jeden! – krzyknął Leystrom. – Jesteśmy atakowani. Powtarzam, Headhunters są atakowani! Proszę o pozwolenie na otwarcie ognia!

– Udzielam pozwolenia, Headhunter Jeden.

– Headhunters, walnijmy w nich wszystkim, co mamy! Szeroki rozstrzał, detonacja przy zbliżeniu! Ma tu być mur pocisków!

Meier kliknął w myślach pulsującą ikonę i wystrzelił dwie zabójcze dla okrętów rakiety klasy Krait-92.

– Fox Jeden w drodze! – krzyknął Meier na kanale taktycznym. Stanowiło to kod dla inteligentnych rakiet.

– Fox Jeden! – zawołała porucznik Pamela Schaeffer. Inni piloci wkrótce oznajmili to samo. Niebo wypełniło się szybkimi pociskami.

Ciemność rozjaśniły białe rozbłyski. Nawet stumegatonowe detonacje nie robiły wielkiego wrażenia w kosmosie. Błysk był jasny, ale o ile głowica nie zmieniła fragmentu okrętu czy innego celu w parę, plazmy było zbyt mało, aby powstała kula ognia, a bez atmosfery nie było fali uderzeniowej. Jednak dzięki zapalnikom zbliżeniowym głowice zmieniały tysiące nadlatujących „świećlików” w rozszerzające się

chmury gorącego gazu, w które wpadały kolejne mikrostatki. Przy relatywistycznych prędkościach, nawet kilka atomów gazu potrafiło rozpaść je do postaci gorącej plazmy. Wkrótce rozszerzających się gazowych chmur było dość, aby stanowiły ścianę, z którą zderzały się kolejne świetliki.

Ziemskie myśliwce wciąż wytracały przyspieszenie, unikając niszczycielskiej, rozgrzanej chmury. Obce świetliki nadal nadlatywały, pozornie nieświadome niebezpieczeństwa. W kilku ciągu chwil połowę nieba wypełniły rozbłyśki ciepła i promieniowania, gdy zderzały się z gorącym gazem.

Meier walczył jak w transie, klikając w myślach kolejne ikony i wysyłając pocisk za pociskiem w rosnący mur białego płomienia. Był ledwie świadomy pozostałych myśliwców swojej formacji i trzech pozostałych eskadr „Ameryki”. Nie mógł myśleć, nie chciał myśleć – nie o trzech śmierciach, których przed chwilą był świadkiem.

Wtedy zaczęły napływać skojarzenia, których nie potrafił się pozbyć. Malone był jego kumplem od kielicha na przepustce i ciekawym partnerem w nocnych dyskusjach. Co do Kelly i Porter... były jego skrzydłowymi, co stanowiło ważną więź, niezależnie od tego, czy znał je od lat, czy poznał dopiero niedawno.

Każdy pilot wojskowy wie, że to niebezpieczny zawód, jeden z najbardziej ryzykownych na okrętach kosmicznych. Zna ryzyko i szanse przetrwania. Nagła śmierć w kuli ognia albo, co gorsza, przez uduszenie była widmem, które nawiedzało kokpit za każdym razem, gdy pilot startował.

Ale za każdym razem takie wydarzenie stanowiło szok.

– Meier! – usłyszał głos Leystroma. – Uważaj na wektor! Odbij w prawo!

Rozproszył się tylko na chwilę i zaczął spadać w gasnącą kulę plazmy.

– Przyjąłem – odpowiedział. Zauważył, że AI myśliwca próbowała zwrócić jego uwagę. Pozwolił elektronicznemu umysłowi odwrócić osobiwość napędu i ostro zmienić kurs.

Myśliwce nadal wystrzeliwały rakiety typu Krait, rzucając kolejne nuklearne głowice na nadchodzący rój świecących mikrostateczków. Tymczasem najgęstsza część roju świetlików zderzyła się ze ścianą plazmy, dodając do niej świeże, poruszające się szybko szczątki.

Wkrótce jednak obce, mierzące centymetr czy dwa jednostki zmieniły taktykę i zaczęły lecieć dookoła ściany wybuchających gazów zamiast poprzez nią. W ciągu kilku sekund ziemskim myśliwcom groziło otoczenie przez rój.

– Wycofać się! – zawołał Leystrom. – Wszyscy się wycofać!



Kapitan Sara Gutierrez siedziała na mostku „Ameryki” i obserwowała wygenerowany komputerowo obraz na głównym ekranie. Podobny obraz wyświetlił się w jej głowie, ale zamknęła to okno. Wołała patrzeć własnymi oczami niż bezpośrednio przez mózg. Nie była pewna, dlaczego tak jest, chociaż podejrzewała, że jakaś perwersyjna część jej umysłu chciała się zdystansować od danych, by móc obiektywnie je przetworzyć. Admirał Gray nazwałby ją staroświecką, ale sam był prymem nieufającym implantom i AI, więc przyganiał kocioł garnkowi.

Cholera... brakowało jej admirała na mostku flagowym. Dlaczego dowództwo musiało zabrać go z „Ameryki”?

Grafika przed nią przedstawiała rój z Rozety jako wielką, wściekłą dłoń. Jej palce zaciskały się wokół małych niebieskich znaczników symbolizujących eskadry myśliwców. W każdej chwili mogły zostać całkowicie otoczone.

– CAG! – zawołała. – Zabierzcie ich stamtąd!

– Pracuję nad tym, kapitanie! Są strasznie szybkie!

– Przypominam pani, kapitanie – odezwał się Dean Mallory, starszy oficer taktyczny dowodzący BCI – że obraz spóźnia się o niemal dwadzieścia minut.

– Wiem, wiem – burknęła. – Cholera, Keating, podprowadź nas bliżej!

– Aye, aye, ma’am – odparł sternik. – Jeszcze subiektywne pięć minut.

Zawiłości walki przy prędkościach relatywistycznych sprawiały, że Gutierrez kręciło się nieco w głowie. Na szczęście AI okrętu świetnie sobie z nimi radziła. „Ameryka” wystrzeliła myśliwce, gdy znajdowała się mniej niż pięć jednostek astronomicznych od celu. Doleciałyby około 17.20. W ciągu czterdziestu minut „Ameryka” zbliżyła się na nieco poniżej dwóch jednostek astronomicznych – piętnaście minut świetlnych.

Oznaczało to, że lotniskowiec odbierał telemetrię przesłaną przez eskadry myśliwców piętnaście minut wcześniej. Oglądali teraz transmisję z przeszłości.

Kapitan Gutierrez i załoga mostka ujrzeli więc zniszczenie trzech należących do VFA-211 myśliwców i teraz patrzyli, jak „Headhunters” się wycofują. Walka zapewne już się rozstrzygnęła, ale „Ameryka” miała zobaczyć wynik za kolejne osiem minut. Okręt wciąż leciał w stronę najbliższej utarczki z prędkością nieco poniżej siedmiu dziesiątych c.

– Kapitanie? – w głowie dowódcy odezwał się spokojnie Mallory. – Nie wiemy, jak nasze myśliwce poradzą sobie z tym... czymś. Musimy być gotowi na alternatywną taktykę. Sugeruję użyć nano-D.

Pomysł był szokujący... chociaż sama rozważała taki manewr.

– To niedozwolone, komandorze!

– Tak, ale może być skuteczne.

– Dobrze. Ile tego mamy?

– Kilka tysięcy sztuk. Mieliśmy zdać je na SupraQuito, ale z uwagi na rozwój sytuacji nie zdążyliśmy.

Gutierrez nie była zadowolona. Użycie nano-D nie było nielegalne... jeszcze nie. Nie do końca. Podlegało znacznym ograniczeniom. Na tyle, że nakazując wykorzystanie go, Gutierrez ryzykowała karierę.

Disasemblerzy nanotechnologiczne były mikroskopijnymi maszynami rozbierającymi na atomy każdą substancję, z jaką się zetknęły. Wydzielały w ten sposób ogromne ilości ciepła. Zaledwie rok wcześniej, w listopadzie 2424, część paneuropejskich sił zbrojnych bez upoważnienia własnego rządu zrzuciła głowice nano-D na stolicę USNA w Columbus w stanie Ohio, aby zniszczyć wrogi północnoamerykański rząd. Budynki, chodniki, infrastruktura podziemna, samochody i ludzie – wszystko to w ciągu paru sekund zostało rozłożone na atomy. W miejscu dawnego centrum miasta znajdowało się teraz idealnie kuliste jezioro o średnicy trzech kilometrów i głębokości pół kilometra. Zginęły miliony ludzi.

Po tej zbrodni wielu domagało się uderzenia na Genewę. Prezydent Koenig powstrzymał żądzę zemsty i wydał rozkaz memetycznego ataku w cyberprzestrzeni, który ostatecznie zapewnił USNA niepodległość od Konfederacji Ziemskiej.

Ale po Columbus niektórzy politycy domagali się zakazu wszelkiej broni nano-D. Stanowiła śmiertelne zagrożenie, bo zawsze istniała możliwość, że wymknie się spod kontroli. Nano-D zaprogramowano tak, by wyłączało się po upływie pewnego czasu lub określonej liczby cykli rozbiórkowych, ale w razie gdyby program zawiódł, chmura głodnych mikroskopijnych maszyn mogłaby iść naprzód, pożerając wszystko na swojej drodze. Co gorsza, niewielka zmiana w kodzie sprawiłaby, że z napotkanych atomów tworzyłyby nowe nano-D. Chmura rosłaby i mogłaby pożreć całą planetę.

W dwudziestym wieku niektórzy sprzeciwiali się samej idei nanotechnologii. Ostrzegali, że gdyby nanomaszyny zaczęły rozkładać materię na atomy i budować z niej kolejne nanomaszyny, cała Ziemia mogłaby zmienić się w niekończącej się spirali zniszczenia w „szarą maź”.

Ale podobnie jak ogień, mimo wszelkich zagrożeń nanotechnologia stała się zbyt użyteczna dla ziemskiego przemysłu, medycyny i ekonomii. Dzięki odpowiednim zabezpieczeniom, kontrolującym proces rozkładu materii, szara maź nigdy nie stała się poważnym niebezpieczeństwem. Ale mimo tych środków ostrożności broń nano-D

przez lata ulepszano, aż jej potencjał zniszczenia stał się nieprześcigniony.

I śmiertcionośny dla milionów mieszkańców Columbus.

*Co zrobiłby tu admirał Gray?* – pomyślała z niejaką desperacją Gutierrez. „Ameryka” była wyposażona w broń nano-D. Ziemi groziło niebezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek. *Czy kazałby jej użyć, gdyby zależało to od niego?*

Sarze Gutierrez wydawało się, że zna odpowiedź. Gray zawsze był nieszablonowym taktykiem i korzystał z tego, co miał do dyspozycji, na nowe, często niesamowite sposoby. Dwadzieścia lat wcześniej, jako młody pilot myśliwca, zyskał przydomek „Piachu” dzięki wystrzeleniu rakiet ARTO – antyrakietowej tarczy obronnej – w stronę atakujących okrętów Sh'daar. ARTO były po prostu zbiornikami z piaskiem, które umieszczało się na drodze wrogich rakiet. Innowacją Graya było to, że wystrzelił ten piasek w główne okręty przeciwnika z prędkością zbliżoną do światła.

Niewiele wrogich jednostek przetrwało tę dziwną bitwę.

Czy użycie nano-D było mniej moralne niż rzucanie piaskiem rozpędzonym niemal do c?

Wątpiła, aby Gray widział wielką różnicę.

– Dobrze. Uzbroić pierwsze dwa pociski nano-D. Działo osiowe. CAG, przekaz pilotom, żeby zeszli z drogi!

– Tak, kapitanie.

Zgodnie z najnowszymi regulacjami kapitanowie okrętów powinni uzyskać pozwolenie przełożonych, zanim użyją broni nano-D. Istniała jednak luka w przepisach. Czasami opóźnienie wiadomości przesyłanych z prędkością światła było zbyt wielkie, by wszystko skonsultować z dowództwem.

Ale... jeśli dowódca podjął złą decyzję, miał ogromne kłopoty.

– Jak daleko od Ziemi znajduje się cel?

– W tej chwili przekracza orbitę Jowisza, kapitanie – odpowiedział sternik. – Ale z ukosa. Jakieś osiem minut świetlnych.

Innymi słowy, za daleko, żeby pytać o pozwolenie.

Wzięła głęboki oddech.

– Powiadomić Ziemię o moich zamiarach wystrzelenia rakiet z nanotechnologicznymi disasemblerami w cel, gdy sytuacja taktyczna stanie się jasna.

Oznaczało to najpierw strzelanie, potem zadawanie pytań. Ale tak już się zdarzało w przypadku walk w kosmosie.

# Rozdział piąty

**1 lutego 2426**

Nowy Biały Dom  
Waszyngton  
20.45 EST

– Co ona chce zrobić?

Prezydent Koenig nie był wściekły, tylko zdumiony. Z tego, co wiedział z raportów, odpraw i rozmów z Trevorem Grayem, Sara Gutierrez jawiła się jako osoba ostrożna i raczej konserwatywna. Była bardzo profesjonalna, skrupulatna i przykładowie wypełniała obowiązki.

Inaczej niż Gray, nie była znana z dramatycznych gestów i niespodzianek. Na pewno nie spodziewał się, że sprawi wrogom nanotechnologiczne piekło.

– Raport nie zawiera szczegółów, panie prezydencie – odparł Marcus Whitney, szef personelu Białego Domu. – Kapitan Gutierrez po prostu oznajmiła, że użyje tej broni przy jasnej sytuacji taktycznej.

Koenig rozumiał to aż za dobrze. Sam niejednokrotnie znajdował się w podobnym położeniu parę dekad wcześniej, gdy dowodził grupą bojową „Ameryki”. Kapitan okrętu, obserwujący bitwę z odległości sekund czy minut świetlnych, patrzył w przeszłość. Sytuacja taktyczna stawała się „jasna” tylko wówczas, gdy okręt zbliżał się do wroga i uzyskiwał aktualniejsze dane.

Oczywiście stanowiło to jeszcze większy problem dla dowódców obserwujących zajścia z odległości niemal godziny świetlnej. Gutierrez zapewne już zbliżyła się i oddała śmiertcioną salwę albo miała zrobić to za chwilę, a Koenig ani nikt z jego ludzi na Ziemi nie mogli wysłać jej aktualnych rozkazów. Mgła wojny zawsze stanowiła problem dla dowódców na polu bitwy i stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona, gdy dodało się wymiar czasu oraz trudności wynikające z komunikacji ograniczonej prędkością światła.

– Mamy inne okręty bojowe w Układzie Słonecznym – odezwał się admirał Armitage. – „Essex”, „Nowy Jork” i „Kauffman” właśnie opuszczają SupraQuito razem z grupami wsparcia. „Wariag”, „Putin”, „San Francisco” i „Champlain” właśnie opuściły orbitę Marsa. „Kometa” wystartuje z Ceres za dziesięć minut. Wezwaliśmy z powrotem

osiemnaście okrętów patrolowych przy orbicie Neptuna.

Koenig machnął ręką.

– Ważniejsze pytanie brzmi, jak szybko zdołamy zorganizować skuteczną linię obrony między Ziemią i tym.... czymś?

– Zajmie to kilka godzin, panie prezydencie. Pierwsze okręty, to znaczy paneuropejska grupa lotniskowców lecąca z okolic Jowisza, powinny dołączyć do „Ameryki” w ciągu dwudziestu minut. Za kolejne dwie godziny możemy dysponować następnymi piętnastoma okrętami.

Koenig kliknął w myślach ikonę, która uruchomiła trójwymiarowy wyświetlacz, wypełniający jedną czwartą Gabinetu Ovalnego przejrzystymi, świecącymi obrazami. Po Układzie Słonecznym rozproszone były dziesiątki okrętów, od instalacji energetycznych przy Merkury po patrole graniczne w Pasie Kuipera, wypatrujące komet. „Ameryka” i czerwona ikona oznaczająca obcych najeźdźców znajdowały się niedaleko orbity Jowisza, chociaż sam olbrzym krążył obecnie po drugiej stronie Słońca.

Problem jak zawsze polegał na tym, że Układ Słoneczny był wielki. Nawet przy prędkościach zbliżonych do światła i wysokich przyspieszeniach zebranie wszystkich flot zajmowało zbyt dużo czasu.

– Grupa zadaniowa dołączy do „Ameryki” o osiemnastej pięć czasu okrętowego – oznajmił admirał Armitage.

– Wygląda więc na to, że „Ameryka” musi samotnie powstrzymać obcych, zanim zjawi się reszta.

– Tak, sir.

Koenig powoli pokręcił głową.

– Niech Bóg ma nas w opiece... – Spojrzał na Whitneya. – Jakież wieści z Ciołkowskiego?

Szef personelu pokręcił głową.

– Nic dobrego, panie prezydencie. Rozmawiałem z doktorem Lawrence’em. Mówią, że system nie odpowiada. Tak jakby Konstantina wcale tam nie było.

– To nie ma sensu – wtrącił Armitage. – Gdzie miałyby się podziać?

– Konstantin musiał urządzić sobie kryjówkę – odparł Koenig. – Obcy z Rozety wydawali się... pożywiać, że użyję tego słowa, przeniesionymi do cyfrowego świata Sh’daarami przy Gwieździe Kapteyna. Zapewne również ich AI działającymi w wirtualnej rzeczywistości. Konstantin musiał dysponować planem ucieczki na wypadek, gdyby zjawili się tutaj. I jest na tyle sprytny, że go nie znajdziemy.

– Więc myśli pan, że ukrywa się przed Obcymi z Rozety?

– Niemal na pewno. Miejmy nadzieję, że im również nie uda się znaleźć jego kryjówki.

Kapitan Gutierrez przyglądała się napływającym danym z ponurą determinacją.

– Ile czasu do przybycia grupy zadaniowej Ritter?

– Znajdują się na granicy zasięgu wystrzelenia myśliwców, kapitanie – odparł komandor Mallory. Widział komputerowe grafiki w oknie we własnej głowie, nadchodzącą ścianę czerwonego światła, oznaczającą mikrojednostki obcej inteligencji, niewielkie kropki zbliżających ziemskich okrętów, wycofujące się myśliwce. – Dwanaście minut...

– Czujniki!

– Tak, kapitanie!

– Jak wielkie jest to coś?

– Chmura ma około połowy jednostki astronomicznej średnicy – odparł porucznik Scahill. – Masa... trudno określić przy takim rozproszeniu, ale zgaduję, że to rząd wielkości około dwa razy dziesięć do trzydziestej gramów.

– To tyle co Jowisz!

– Tak, ma'am.

Jak, do cholery, walczy się z czymś wielkości gazowego olbrzyma?

Gutierrez skupiła uwagę na ekranie myśliwców i na roju mikrostatków za nimi. Żonglowała zmiennymi – należało utrzymać dystans od postępującej naprzód chmury, ale poruszając się dość powoli, by mogły ich dogonić myśliwce, które same prowadziły teraz złożony trójwymiarowy taniec, wystrzelując głowice atomowe przed chmurą, spowalniając ją i rozbijając na mniejsze roje, a jednocześnie zbliżając się do lotniskowca. Jedna z eskadr, VA-190 „Ghost Riders”, dogoniła już „Amerykę” i odpoczywała na pokładzie.

Mimo przesłanego na Ziemię komunikatu Gutierrez nie wyjęła jeszcze asa z rękawa. Gdy zaczną strzelać rakietami z nano-D w obcą chmurę, ten region przestrzeni stanie się śmiertelnie groźny także dla myśliwców „Ameryki”. Zamierzała zabrać ludzi na pokład, zanim skorzysta z nowej taktyki.

Wydawało się jednak coraz bardziej prawdopodobne, że nie będzie miała na to szansy. Skanery „Ameryki” wykrywały już pierwsze przemykające obok kadłuba świetliki. Nie wydawały się czynić żadnych szkód. Dowodziły jednak, że siły obrony Ziemi zaczynają przegrywać wyścig.

Kolejny myśliwiec, z VFA-215 „Black Knights”, spłonął w jasnym blasku.

– Szef uzbrojenia! – zawołała Gutierrez. – Przygotować dwa pociski z

disasemblerem do natychmiastowego wystrzelenia z działa kinetycznego!

– Pierwsze dwa pociski załadowane – oznajmił Kevin Daly, nowy szef uzbrojenia „Ameryki”. – Na pani rozkaz...

– Wycelować w środek chmury. Niech zdetonuje pół miliona kilometrów za najdalszym myśliwcem.

– Tak jest, kapitanie. Cel namierzony.

– Ognia!

Lotniskowiec wyposażony był w dwa magnetyczne działa kinetyczne, idące przez większość smukłej osi okrętu i wystające przez szczeliny w środku szerokiej, masywnej kopuły na dziobie. W przestrzeń wystrzeliły dwa jednotonowe pociski, przyspieszone wkrótce do jednego procenta prędkości światła.

Odrzut mocno zatrzęsł lotniskowcem. Fotel Gutierrez odchylił się gwałtownie do tyłu.

– Sternik, kompensuj!

– Robi się, ma’am....

– Przeładować.

– Tak jest.

– CAG! Przekazać naszym myśliwcom, żeby władowały wszystko, co mają, w obrzeża chmury.

– Kapitanie?

– Chcę zmusić ją, żeby przeleciała środkiem.

– Aye, kapitanie.

– Broń!

– Broń, aye.

– Daly, wstrzymajcie ogień. Podejrzewam, że za kilka minut chmura zacznie kurczyć się do środka. Gdy tak się stanie, uderzcie w nią tyłoma głowicami nano-D, iloma zdołacie!

– Aye, aye, kapitanie!

Pochyliła się naprzód, wpatrując się w komputerowo generowaną panoramę. Widziała białe punkty światła i oślepiające rozbłyski rakiet. Chmura rzeczywiście zaczęła się kurczyć. Wybuchy termonuklearne siały zniszczenie na obrzeżach obcego roju i poszczególne mikrostateczki odpowiedziały, przesuwając się do centrum.

– Dobrze. Ognia! I kontynuujcie ostrzał.

– Strzelam...

Dwie kolejne głowice pełne disasemblerów wystrzeliły z dziobu „Ameryki”. I jeszcze dwie... i jeszcze...

Meier i pozostali „Headhunters” – ci, którzy wciąż żyli – opadali z powrotem w stronę „Ameryki”, odległej teraz o tylko dziesięć tysięcy kilometrów. „Ghost Riders” wrócili już na pokład. „Black Knights” wycofywali się razem z „Headhunters”. Wszelkie pozory ścisłego szyku stracili podczas strzelaniny na obrzeżach obcej chmury.

Meier wystrzelił w ciemność ostatnią parę kraitów. Przed chwilą otrzymał rozkaz z BCI, aby wystrzelić wszystkie pozostałe rakiety w obrzeża chmury. Wykonał go, chociaż nie wydawało mu się, aby cel był świadom ostrzału.

Pozostało mu jedynie sześć boomsługów.

Kliknął w myślach ikonę, która spowodowała wystrzelenie ostatnich rakiet, wysyłając je na pewną odległość od chmury, zanim zrobiły pętlę i trafiły w cel. Kraity mogły wybuchnąć z mocą do około stu megaton. Boomsługi korzystały ze skupionych eksplozji energii próżniowej o mocy aż do tysiąca megaton. Normalnie zarezerwowane były dla fortyfikacji na planetach lub asteroidach albo wyjątkowo wzmocnionych stacji kosmicznych. Kula ognia miała osiem kilometrów średnicy.

*To powinno zwrócić ich uwagę – pomyślał ponuro.*

I to by było wszystko. Wyczerpał swój arsenał rakiet. Nadal zostały mu projektory strumienia cząstek i działo Gatlinga, strzelające zubożonym uranem, ale w obliczu nadchodzącego roju przypominałoby to strzelanie kapiszonami.

Zdecydowanie nadszedł czas na powrót.

Świadomość

Obrzeża Układu Słonecznego

Godzina 20.59 TFT

Świadomość wkraczała ostrożnie, po omacku do nowego układu gwiazdnego, nie wiedząc, co tam zastanie. Została zalana danymi. Jej umysł z każdą sekundą szturmowały miliardy bodźców, gigabity informacji o gęstości miejscowej materii międzyplanetarnej, temperaturze, oddziaływaniach grawitacyjnych, promieniowaniu, świetle i momencie magnetycznym. Wyczuwała wieczny taniec wibrujących atomów wodoru i dryf pozbawionych życia drobin pyłu, naładowanych palącym promieniowaniem. ostry impuls wybuchów termojądrowych, przenikliwe zawrodozenie milionów częstotliwości radiowych, z których niektóre zawierały zakodowane znaczenia, a inne



były po prostu szumem.

Wyczuwała okręty kosmiczne i drobne, nieistotne iskry ciepła i elektryczności, zwane istotami organicznymi. Wyczuwała dużo szybsze i bogatsze w informacje inteligencje elektroniczne.

Dla Świadomości z Rozety miejscowa przestrzeń była pewnego rodzaju labiryntem, gdzie w pozornie losowych miejscach pojawiały się rozbłyski ciężkiego promieniowania. Każdy z nich niszczył setki mikrostateczków, stanowiących jej fizyczną formę, ale były ich dziesiątki bilionów, połączone w sieć, więc strata jednej tysięcznej procenta z nich była czymś trywialnym, czego można było się spodziewać w przypadku przemieszczania się przez relatywnie gęstą przestrzeń typowego układu gwiazdowego. Świadomość pozwoliła sobie płynąć w kierunkach, w których napotkała najmniejszy opór. Wśród burz promieniowania pojawiła się luka... tutaj...

Wyczuła dwa obiekty kierowane przez prostą elektronikę, które przebiły się przez obrzeża jej rozproszonego ciała.

A wtedy Świadomość poczuła szok. Wyczuła nagle, dezorientujące poczucie straty, umniejszenia, coś, co być może można by nazwać bólem.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Zewnętrzny pas asteroid

Godzina 20.59 TFT

– Kapitanie – odezwał się szef służby uzbrojenia w BCI – rój reaguje!

– Widzę, komandorze.

Gutierrez spoglądała z fascynacją na to, jak rój, wyświetlony zarówno na głównym ekranie, jak i w oknie w jej głowie, nagle cofa się i zaczyna związać do środka. Nie było wątpliwości, że reaguje na nanotechnologiczne disasemblery wystrzelone w jego serce. Pozostawało pytanie... czy to wystarczy?

Chmura przestała pędzić naprzód, przynajmniej na chwilę.

– CAG! – zawołała. – To nasza szansa. Sprowadzić myśliwce na pokład!

– Headhunters właśnie wracają, kapitanie. Wszyscy znajdą się w hangarze za dziesięć minut.

Gutierrez sprawdziła pozostałe dane i zauważyła, że sześć minut dzieli ich od przybycia grupy zadaniowej Ritter. Nadlatujący lekki lotniskowiec „Wotan” wypuścił już myśliwce, które wystrzeliły rakiety w stronę obcej chmury.

Chmura wydawała się reagować mniej na nowe salwy raketowe, a bardziej na stały rytm uderzających w jej centrum pocisków nano-D. Zaczęła się cofać, jakby próbowała uciec przed palącym dotykem

disasemblerów. Wyraźnie się też kurczyła.

Zapadała się do postaci gładkiej, czarnej sfery...

– Co się tam, u diabła, dzieje? – spytała Gutierrez.

– Widzieliśmy już podobną technologię, pani kapitan – odezwała się Lydia Powell, która zastąpiła doktora Truitta jako szef zespołu ksenosofontologicznego „Ameryki”. – Przy Rozecie, Omega Centauri... i przy Gwieździe Kapteyna. Te mikromaszyny potrafią łączyć się na miliony sposobów.

– A teraz – zauważyła Gutierrez – wydają się tworzyć planetę wielkości Jowisza.

– Mózg J, kapitanie...

– Co takiego?

– Planeta typu jowiszowego złożona z komputronium. Dysponowałaby ogromną mocą obliczeniową.

– Do czego miałyby służyć?

– Wątpię, aby ludzie byli w stanie pojąć rozumowanie tak potężnych umysłów – odparła Powell.

– Chcę tylko wiedzieć, czemu po cichu zmienia się w planetę. Już wiemy, że to jakiś rodzaj super-AI. Po co zmieniać się z chmury o średnicy połowy jednostki astronomicznej... w to?

– Moc, pani kapitan – wtrącił Mallory z BCI. – W rozproszonej chmurze każda jednostka wytwarzała własną moc, zapewne przy wykorzystaniu lokalnego pola magnetycznego. Jako pojedyncza kula o średnicy stu czterdziestu tysięcy kilometrów może zbudować wewnętrzne struktury generujące energię próżniową.

– I naprawdę potężną broń – stwierdziła Gutierrez. Gdy obserwowała tworzącą się kulę, poczuła zarazem strach i podziw. – Sternik, oddalmy się od tego czegoś.

– Tak jest!

– Mamy wiadomość od Paneuropejczyków – oznajmił oficer komunikacyjny mostka. – Admirał Ritter do pani.

– Jakie mamy opóźnienie świetlne?

– Pięć sekund, pani kapitan. W obie strony.

– Połączcie mnie z nią.

Zliczała upływ czasu, gdy z „Ameryki” wystrzelił laser komunikacyjny.

– Kapitanie Gutierrez – w jej głowie odezwał się w końcu łagodny głos z lekkim obcym akcentem. – Tu admirał Ritter na pokładzie lotniskowca „Wotan”. Jaka jest sytuacja taktyczna?

– Witam, pani admirał. Tu kapitan Gutierrez z lotniskowca gwiazdowego „Ameryka”. Sytuacja wygląda tak... – Gutierrez przesłała jej wszystkie dane z mostka z ostatnich czterdziestu minut. – Byliśmy w stanie jedynie rozproszyć to coś. Nasze myśliwce wystrzeliły cały swój arsenał i teraz wracają na pokład. Nadal strzelamy do obiektu pociskami

z nano-D. Nie jesteśmy jeszcze pewni, czy ma to jakiś bezpośredni efekt.

Kolejne pięć sekund strasznie się wlokło.

– „Ameryka”, wstrzymajcie ogień! Wstrzymać ogień! Nie strzelać w cel disasemblerami!

Gutierrez zawahała się. Technicznie rzecz biorąc, Ritter była wyższa rangą. Gdyby „Amerykę” przydzielono do jej grupy zadaniowej, Gutierrez musiałaby zgodnie z prawem wykonywać rozkazy paneuropejskiej admirał. Z drugiej strony jednak, „Ameryka” nie dostała rozkazu, by dołączyć do grupy. Interesująca sytuacja polityczno-dyplomatyczna.

Myśliwce „Wotana” wkraczały jednak do strefy walki, co oznaczało, że ryzykowały trafienie przez nano-D.

– Panie Daly! – zawołała Sara. – Wstrzymać ogień.

– Aye, aye, pani kapitan.

– Komunikacja, skontaktujcie się z dowództwem. Przekażcie im dane o naszej sytuacji i poproście o określenie łańcucha dowodzenia.

– Tak jest, kapitanie.

Jej pytanie miało dotrzeć do dowództwa dopiero za czterdzieści minut i kolejne czterdzieści musiała czekać na odpowiedź. Pomyślała, że powinna była o to spytać, gdy tylko dowiedziała się, że dołączy do niej grupa bojowa „Wotana”.

Nie pomagało to, że nie przepadała za Eurasami. Wciąż świeżo w pamięci miała wojnę domową w Konfederacji. Straciła rodzinę w Columbus – brata Steve’a, jego obie żony i dwóch bratanków. Nie zamierzała oddać okrętu Paneuropejczykom bez jednoznacznych rozkazów.

– Uzbrojcie myśliwce i wystrzelcie je jako wsparcie dla moich – rozkazała Ritter.

– Z całym szacunkiem, pani admirał, ale nie. Nasze myśliwce dały z siebie wszystko i nawet tego czegoś nie spowolniły. Uzyskałiśmy reakcję dopiero, gdy użyłiśmy nano-D.

– Nie dysponujemy nanodisasemblerami, pani kapitan – głos admirał był sztywny i nieco niespokojny.

Kampania memetyczna, która zakończyła wojnę domową, miała na celu wywołanie wśród Europejczyków poczucia głębokiego wstydu za wykorzystanie disasemblerów w Columbus. Od tamtego czasu paneuropejskie okręty nie były już wyposażone w tę technologię. Kapitan nie miała pojęcia, na ile to rzeczywiście poczucie winy, a na ile PR, ale skutek był taki, że grupa zadaniowa Ritter przybyła na walkę na noże uzbrojona w watę cukrową.

– „Ameryka”, jeśli do nas nie dołączycie, to trzymajcie się z daleka.

– Pani admirał, sugeruję wycofanie myśliwców, które na nic się tu nie zdadzą. Wznowię bombardowanie wroga nanotechnicznymi

disasemblerami.

Sekundy mijają powoli. Odpowiedź Ritter była dosadna i konkretna.

– *Nein*, pani kapitan. Miała pani szansę. Teraz nasza kolej.

Grupa zadaniowa Ritter, składająca się z lekkiego lotniskowca „Wotan”, krążownika o nazwie „Kurst” i trzech niszczycieli, zaczęła poruszać się pod osłoną myśliwców w stronę rosnącej obcej kuli.

Walka zaczęła się, rozwinęła i zakończyła niemal dosłownie w mgnieniu oka. Gutierrez i załoga mostka z przerażeniem patrzyli, jak „Wotan” zostaje zgnieciony jakby przez gigantyczną niewidzialną pięść. Jego kopuła dziobowa nagle pękła, rozpraszając na wszystkie strony chmury zamarzających szybko kropeł wody. Szczątki okrętu wyginały się, aż w końcu całkiem zapadły się w siebie. W próżnię uleciało powietrze, zamarzające wraz z chmurą lodu... I „Wotan” zniknął, nie pozostawiając po sobie nic poza zamarzniętymi chmurami i paroma wirującymi kawałkami metalu.

„Kurst” i niszczyciele zaczęły zwalniać, ale hamowanie i odwrócenie kursu zajęło im trochę czasu. A Obcy z Rozety nie czekał. „Kurst” zginął dokładnie w ten sam sposób co „Wotan”, zapadając się, aż pozostały po nim tylko kryształki lodu i lśniące szczątki metalu.

– Co to za broń? – żądała odpowiedzi Gutierrez.

– Grawitacyjna – odparł Mallory. – Nie wiem, czy to jakaś wystrzelona przez nich wiązka, czy sztuczna czarna dziura, czy może wykorzystują napędy grawitacyjne okrętów przeciwko nim... Ale cokolwiek to jest, zmiażdżyło ich ciężeniem rzędu kilku milionów g!

– Boże drogi...

Niszczycielom w końcu udało się zatrzymać względem wielkiej kuli, a następnie obrócić się i zacząć przyspieszać. Kula leciała jednak za nimi. Niszczyciel „Rouen”, który został nieco z tyłu, został w jednej chwili zmiażdżony.

Reszta – dwa niszczyciele i pewna liczba myśliwców – przyspieszyła do pięćdziesięciu tysięcy g, uciekając, jakby ścigał je sam diabeł.

A czarna kula podążała za nimi.

– Sternik! Zabierz nas stąd! – zawołała Gutierrez. – Łączność, wysłać raport do dowództwa!

– Aye, aye, pani kapitan.

Ziemia musi dowiedzieć się, co się do niej zbliża. I to jak najszybciej.

– Panie Mallory!

– Tak, pani kapitan!

– Wznówić ostrzał tego czegoś nanotechnicznymi disasemblerami.

– Aye, aye, pani kapitan.

– Zaprogramować je tak, by wybuchły poza zasięgiem broni grawitacyjnej, jeśli to możliwe.

– Szacujemy zasięg na jakieś dwieście tysięcy kilometrów –

odpowiedział Mallory. – Na podstawie odległości, z jakich zniszczyły „Wotana” i „Kursta”.

– Dobrze.

– Nie tak dobrze, ma’am. Przy tej odległości poszczególne cząstki nano-D będą tak rozproszone, że mogą dać niewielki skutek.

– Komandorze, chcę sprawić, aby cała przestrzeń między nami a nimi stała się toksyczna. Proszę umieścić tam tyle głodnych nano-D, żeby gryzły ich, gdy tylko spróbują do nas podlecieć.

– Cóż.. warto spróbować, pani kapitan.

– Tyle nam zostało, komandorze.

Inne okręty przybywały z różnych części Układu Słonecznego. Większość z nich była mniejsza niż „Ameryka” – kanonierki i niszczyciele oraz dwa ciężkie krążowniki, „Wariag” i „Komet”. Kontyngent ośmiu okrętów Hegemonii Chińskiej był w drodze, ale w najlepszym razie miał przybyć dopiero za pół godziny.

– Dajcie znać wszystkim przybywającym okrętom – rozkazała Gutierrez. – Chcę ustawić ścianę między Ziemią a tą kulą, Jeśli dysponują nano-D, niech go użyją.

Ściana stanowiła trójwymiarowy odpowiednik linii w walce morskiej, szyku, w którym każdy broniący się okręt był w stanie ostrzeliwać wroga. Mogła stanowić komunikat, który zrozumie istota z Rozety – że ziemskie okręty nie dadzą jej przelecieć dalej bez walki. Gutierrez z początku myślała, że obca chmura to rój małych stateczków, ale teraz postrzegała ją inaczej. Wszystkie te miniaturowe jednostki stanowiły część większej całości. Wróg był sztuczną inteligencją, mieszczącą się w całym roju. Nie walczyli z flotą, ale z gigantyczną istotą.

Istotą, która teraz rozciągała się, emitując promienie światła składające się na złożoną trójwymiarową sieć. Choć Gutierrez widziała ją już wcześniej, nie była w stanie pojąć. Wówczas istota z Rozety wydawała się kotwiczyć w przestrzeni przy użyciu stałego światła.

A teraz obca masa była w ruchu...

I kierowała się prosto na Ziemię, odległą zaledwie o kilka jednostek astronomicznych.

# Rozdział szósty

**1 lutego 2426**

Nowy Biały Dom  
Waszyngton  
Godzina 21.42 EST

– Panie prezydencie – odezwał się Marcus Whitney – pilna wiadomość do pana, z najwyższym priorytetem. Od doktora Wilkersona.

– Odbiorę – odparł Koenig. Skupiony był na obrazie bitwy i ledwie widział Whitneya przez hologram.

– Transmisja idzie także do połączonych szefów sztabów, sekretarza obrony i sztabu marsjańskiego, sir.

Po kliknięciu w myślach projekcja przedstawiająca „Amerykę” i kilka innych okrętów stawiających czoła wielkiemu obcemu intruzowi rozmyła się i zastąpiła ją zmęczona twarz Philipa Wilkersona, szefa Wydziału Badań Ksenosofontologicznych ONI w Mare Crisium na Księżycu.

Koenig skinął głową.

– Tak, doktorze? O co chodzi?

Niemal trzysekundowe opóźnienie sygnału między Ziemią a Księżycem wydawało się ciągnąć w nieskończoność.

– Dobry wieczór, panie prezydencie. Uznałem, że zechce pan o tym usłyszeć. Przesyłamy na „Amerykę” nowy wirus Omega.

– Jak nowy?

– To podstawowa struktura AI Omega, z nałożoną na macierz warstwą szyfrowania kwantowego.

– Proszę mówić po angielsku.

– Turuschowaliśmy kod. Może to pomóc pokonać systemy immunologiczne istoty z Rozety.

Koenig rozważył to. Już wcześniej skutecznie użyli wirusa Omega z Gwiazdy Tabby przeciwko tej istocie. W końcu się wtedy zatrzymała, a klon Konstantina mógł z nią rozmawiać.

Ale zakładano, że Omega to jednorazowa broń. Istota z Rozety stanowiła niezwykle szybką i potężną AI, dużo zdolniejszą niż Konstantin. Zapewne przeanalizowała pierwszy atak i dysponowała już środkami obronnymi, podobnymi do systemu odpornościowego żywego

organizmu.

– Turuschowaliście...? – Koenig zmarszczył brwi. Co to, do cholery... Ach, w końcu zrozumiał.

Turuschowie stanowili obcy gatunek, część koalicji Sh'daar. Ich sposób komunikacji był nietypowy. Istoty żyły w blisko ze sobą związanych parach i mówiły jednocześnie, ale nie unisono. Jeden mówił jedno, drugi coś innego... i dźwięki obu głosów zlewały się w harmonii, w której powstawało trzecie znaczenie.

„Turuschowanie kodu” oznaczało, że Wilkersonowi udało się zapisać kod wirusa w warstwach przypominających język Turuschów.

Kilka par tych istot wciąż mieszkało w laboratorium ksenosofontologicznym pod Mare Crisium jako pewnego rodzaju misja dyplomatyczna. Wilkerson i jego ludzie badali ich już od ponad dwudziestu lat.

– Myśli pan, że da nam to szansę w walce? – spytał Koenig.

– Powinno pomóc porozumieć się z istotą. Udało się zagnieździć w sobie trzy AI. Głębsze umysły monitorują te wyższego poziomu, wspierając je i szukając śladów wskazujących na to, że wyższy poziom umysłu został złamany. Nazywamy to Trójcą.

Koeniga zastanowiło, czy Wilkerson mówi o czymś podobnym do tego, jak działa ludzki mózg, z jego podświadomością, świadomością i nadświadomością. Stwierdził jednak, że chodzi raczej o dotyczące AI kwestie techniczne, o których nie miał bladego pojęcia.

Pomyślał, że wojna ewoluuje poza granice ludzkiego poznania. Miało się jeszcze okazać, czy to rzeczywiście coś złego. Ale wyglądało na to, że sztuczne inteligencje są bardziej zainteresowane rozmową z przeciwnikiem niż niszczeniem go. Było to coś, co Koenig, jako prezydent państwa o populacji sięgającej niemal miliarda, potrafił zrozumieć.

Problem w tym, że nie był pewien, czy teraz ma jakiś wybór, jako że siła rażenia broni przeciwnika coraz bardziej zbliżała się do boskiej, a władające nią AI wykraczały poza ludzki poziom na tyle, że ludzie stawali się zupełnie nieistotni.

*Prędzej czy później może się okazać, że nie mamy już wpływu na nic. Ale na razie...*

– Informujcie mnie – powiedział do Wilkersona. – Nie pozwólcie, aby wasza nowa zabawka sprzedała nas z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ale jeśli da nam choć chwilę wytchnienia, niech robi swoje.

– Jak najbardziej, panie prezydencie.

Koenig przerwał połączenie, znów rozważając, gdzie się podział Konstantin. Fragment jego macierzy stał się częścią Kodu Omega i zapewne także Trójcy. Prezydent chciał jednak porozmawiać ze znaną sobie AI. Nie zawsze ufał Konstantinowi, jednak sztuczna inteligencja od

lat lojalnie mu doradzała.

Prawie uważał ją za przyjaciela.

Charlie Berquist, dowodzący chroniącym go oddziałem Secret Service, bezceremonialnie wkroczył do Gabinetu Ovalnego.

– Przepraszam, panie prezydencie, ale musimy pana stąd zabrać.

– Dlaczego?

– Natychmiast, panie prezydencie.

Koenig westchnął, po czym machnięciem ręki zgasił wyświetlacz.

– Zanim tu dotrą, minie przynajmniej godzina. Mamy mnóstwo...

– Tego nie wiemy, panie prezydencie. Mogą zjawić się w każdej sekundzie.

Koenig wstał zza biurka i czekał, podczas gdy Berquist uruchomił w głowie jakąś aplikację. Część ściany po lewej stronie biura znikła i w jej miejscu pojawił się korytarz, a w nim kapsuła.

– Idziecie ze mną – powiedział Koenig. – Jest miejsce.

– Muszę wrócić do Pentagonu, panie prezydencie – odparł Armitage. – Tam też zaczną ewakuację. Ale zobaczymy się na dole.

– Dobrze. Powodzenia.

Koenig i Whitney poszli za Berquistem w stronę kapsuły ratunkowej i weszli do środka. Ściana ponownie się zmaterializowała, po czym zniknęła grawitacja. Kapsuła zaczęła swobodny spadek.

Prezydent spojrział na agenta Secret Service. Berquist wyglądał na człowieka, ale Koenig wiedział, że w rzeczywistości ma sobie więcej z maszyny. Był cyborgiem z masą wszczepionych urządzeń komunikacyjnych i czujników oraz potężnej, niewidocznej teraz broni.

– Czy zaczęto ewakuować Kongres?

– Tak, sir. Oraz Sąd Najwyższy, Departament Stanu i kilka innych agencji.

– Zdaje pan sobie sprawę, że to nie ma sensu?

– Nic nie wiem, panie prezydencie. Poza tym, że mam pana zabrać do schronu.

Koenig już przez to przeszedł. Gdy Paneuropejczycy zniszczyli centrum Columbus, większość rządu USNA zdążyła się ewakuować podziemną szybką koleją do Toronto. Miasto stało się tymczasową stolicą.

Gdy odzyskano i odbudowano Waszyngton, za pomocą disasemblerów wydrążono nowe tunele i podziemne sieci transportowe, tworząc miasto pod miastem na głębokości dziesięciu kilometrów. Słowo „schron” nie oddawało w pełni skali podziemnego ośrodka, który miał być zabezpieczony przed bombami atomowymi do tysiąca megaton, a nawet przed uderzeniami asteroid o średnicy kilkuset metrów czy atakami nano-D.

Miasto otaczał pierścień systemów obronnych, w tym wyrzutnie



ARTO, działa kinetyczne, zbiorniki z nano-D i potężne miotacze promieni w Arlington, Georgetown, Silver Spring, Bladensburgu i w nowym ośrodku obrony planetarnej w kosmodromie Andrews.

Gdyby przez te systemy coś zdołało się przebić, szybkie tunele magnetyczne mogły przewieźć kluczowych członków rządu do Toronto, Denver, Meksyku czy kilkunastu innych fortyfikacji.

*Problem w tym – myślał Koenig, gdy kapsuła spadała przez szyb próżniowy – że tym razem to nie stolica Ameryki Północnej jest zagrożona, ale cała planeta.* Gdyby inteligencja z Rozety chciała zniszczyć Ziemię, to, zważywszy na zaawansowaną technologię, jaką dysponowała, mogłaby zrobić to z łatwością.

Ustanowiono jednak pewne protokoły i należało przestrzegać procedur. Gdyby stawiał opór, jego własna ochrona podałaby mu narkozę i zabrała nieprzytomnego pod ziemię.

Modlił się o to, by kod Wilkersona był w stanie zatrzymać nadchodzącą istotę.

Sala przygotowań VFA-211

TC/USNA CVS „Ameryka”

Zewnętrzny pas asteroid

Godzina 22.27 TFT

– Myślisz, że znowu nas tam wyślą? – spytała porucznik Schaeffer. W jej głosie słychać było strach... Nie, niezupełnie strach. Raczej stres.

Meier wzruszył ramionami. Wciąż próbował dojść do siebie po nagłej śmierci trójki kolegów.

Siedzieli w sali przygotowań eskadry, dużej, otwartej przestrzeni tuż ponad hangarami myśliwców. Dzięki obrotom sekcji mieszkalnej ciężenie wynosiło tu jakieś pół g. Dość, aby mogli trzymać na stole otwarte kubki z kawą. Na jednej z podłużnych ścian wyświetlała się lokalna przestrzeń – skurczone słońce i nieco gwiazd. Zbyt mało było teraz widać, by Meier mógł wypatrzeć konstelacje.

Gdzieś tam, w ciemnej pustce, czaił się potwór wielkości planety.

– Mówią, że znajdujemy się w pasie asteroid – odezwała się znów Schaeffer. Wyglądało na to, że miała ochotę pogadać. – Myślałam, że będzie tu pełno skał.

Spojrzał na nią z ukosa. Po pilocie myśliwca spodziewał się czegoś lepszego.

– Ach, kolejna ofiara symulatorów rozrywkowych.

– Jak to?

– Asteroidy o średnicy kilometra lub większej są tu naprawdę rzadko

rozproszone. Między jedną a drugą mamy średnio dwa miliony kilometrów. Można przeżyć na jednej z nich całe życie i nie zobaczyć na niebie kolejnej, nawet jako bladego światełka.

Uśmiechnęła się do niego.

– Więc nie czekają nas śmiałe loty między koziołkującymi asteroidami?

– To absolutne bzdury. Nie rozumiem tylko, dlaczego twórcom symów uchodzi to na sucho już od dwudziestego wieku.

– Cóż, wtedy to była tylko fikcja...

– W programach dokumentalnych też. Widziałem parę z nich.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Tak, ale jak naprawdę się z tym czujesz, Jason?

Zdał sobie sprawę, że coraz bardziej podnosił głos. Takie rzeczy go irytowały, ale przez to, w jakim był stanie, tym razem zaczął się porządnie denerwować.

Nagle zrozumiał, że Schaeffer celowo go podpuszczała, żeby zareagował emocjonalnie.

– Trollowałaś mnie – stwierdził oskarżycielskim tonem.

– Może troszkę – przyznała. – Byłeś tak pogrążony w ponurych myślach. Wyglądało to niezdrowo.

– Może i masz rację. – Odwrócił wzrok i przyjrzał się pozostałym Headhunterom siedzącym w pomieszczeniu. Walther... Lakeland... wyglądali normalnie. Estebanowi nic nie było. Dougherty wydawał się nerwowy, ale to jeszcze dzieciak, kolejny żółtodziób, jak Veronica. Kraig był wkurzony.

*Cholera* – pomyślał Meier – *czy tylko ja w całej eskadrze tak się czuję?*

– Myślałeś o ludziach, których straciliśmy?

– Tak.

– Kelly, Malone... i ta nowa...?

– Porter – odpowiedział bardziej gniewnie, niż zamierzał. – Veronica Porter.

– Byliście ze sobą blisko?

– Nie, ledwie ją poznałem. – Westchnął. – Można by się spodziewać, że się przyzwyczaję... W końcu wszyscy znamy ryzyko. Ktoś wyliczył, że eskadry myśliwców tracą średnio od jednego do trzech pilotów w każdej akcji ofensywnej. To osiem procent ofiar śmiertelnych w jednostce, jeśli masz szczęście. Dwadzieścia, jeśli nie masz. I to za każdym jebanym razem, kiedy wysyłają nas do bitwy!

– No cóż, wiedzieliśmy, na co się piszemy, prawda?

– Nie wiem, jak tobie, ale mnie powiedzieli, że chodzi o chwałę.

Gdy tylko Meier wypowiedział te słowa, pomyślał, że to nie do końca prawda. Oficer werbunkowy powiedział mu, że to ryzykowna robota, gdy zdecydował się zgłosić na ochotnika.

Może po prostu nie nadawał się do tego.

– Baczość!

Do sali przygotowań wkroczył komandor Leystrom w towarzystwie adiutanta, komandora porucznika Brody’ego. Schaeffer i Meier wstali, podobnie jak pozostała piątka. Za nimi weszło jeszcze troje pilotów, którzy stanęli z przodu sali.

– Spocznij – powiedział Leystrom. Wskazał na nowych pilotów, podczas gdy reszta usiadła. – Oto troje paneuropejskich pilotów myśliwców. Leutnanci Ulrike Hilqvist, Karl Maas i Jean Araud. Byli wśród ludzi z „Wotana”, których udało się uratować, gdy ich lotniskowiec uległ zniszczeniu. Zostali przydzieleni do VFA-211, aby... uzupełnić wasze straty.

Meier poczuł ukłucie gniewu. Cholera, nie można było tak po prostu wciskać nowych ludzi do eskadry bojowej i oczekiwać, że wszystko pójdzie gładko. Co wyobrażała sobie CAG „Ameryki”?

Leystrom ciągnął:

– Wiem, że przemawiam w imieniu całej eskadry, mówiąc „witajcie na pokładzie”.

Cała trójka mruknęła coś, po czym usiadła.

– Oczywiście – ciągnął komandor – zwykle przez jakiś czas prowadzilibyśmy wspólne szkolenia, aby zintegrować nowych ludzi w jednostce. Ale czas to luksus, którym nie dysponujemy. Istota z Rozety znajduje się w odległości zaledwie kilku jednostek astronomicznych i tylko my stoimy między nią a Ziemią.

Leystrom myślowym kliknięciem uruchomił pole holograficzne, pokazujące generowany komputerowo obraz „Ameryki” i garstki towarzyszących jej okrętów, dryfujących naprzeciw enigmatycznego, zmiennokształtnego obcego obiektu. Inne ikony okrętów znajdowały się w większej odległości i zmierzały w ich stronę. Meier przypomniał sobie, że istota z Rozety była ogromna, większa od Jowisza. Jak mieli walczyć z czymś takim? To szaleństwo.

Holoprojektor wyświetlił obraz nadawany na żywo przez drona bojowego znajdującego się tylko kilkadziesiąt tysięcy kilometrów od kolosa. Obcy obiekt wydawał się wypełniać całą czołową część sali. Nie miał już kształtu kuli, przybrał formę serii geometrycznych kształtów wyglądających raczej jak stworzone z ciemnego gazu niż coś stałego. Centralny rdzeń chmury był oświetlony, ale otaczające go kształty okazały się tak złożone, że Meier miał problemy ze zrozumieniem, co właściwie widzi. Wzory wyglądały na fraktale, w których każde zakrzywienie powtarzało się kolejno w mniejszej i mniejszej wersji. Obok przeleciał srebrzysty pyłek metalowego odłamku, dający pewne pojęcie o skali tego monstrum.

– Ziemia przysłała nam nową broń – oznajmił Leystrom. – Nazywa się

Trójca i stanowi ulepszoną wersję Kodu Omega, którego użyliśmy poprzednio. Już raz udało się dzięki temu zatrzymać to coś. Powinno udać się ponownie.

– Nie zatrzymało go na długo, prawda, sir?

– Każde opóźnienie tej istoty – odparł Leystrom – to kolejna szansa na nawiązanie z nią kontaktu.

– Nie jestem pewien – odezwał się cicho leutnant Maas z silnym obcym akcentem – czy przysłano nas tu, żebyśmy rozmawiali.

– Cóż, spróbować spróbujemy – ryknął Lakeland.

– To coś zmiotło „Wotana” – odezwał się cicho Araud. – Zginęły trzy tysiące naszych towarzyszy...

Meier słyszał ból w głosie Arauda. Sam stracił przyjaciół... i coś więcej niż tylko przyjaciół.

– Co jest, zabójadzie? Czy może szkopie? – odezwał się Paul Kraig. – Brak ci jaj?

– Dość tego! – warknął Leystrom. – Poruczniku Kraig, przegiął pan!

– Przepraszam, sir – powiedział Kraig tonem, który wskazywał, że wcale mu nie jest przykro. – Chciałem tylko odpowiednio zidentyfikować wroga.

– Wróg – odparł śmiertelnie poważnie Leystrom – jest tu. – Wskazał na fraktalny obiekt. – I teraz potrzebna nam jest każda pomoc! Ma pan z tym problem?

Kraig zawahał się, po czym pokręcił głową.

– Nie, sir.

– Dobrze. – Leystrom rozejrzył się po pomieszczeniu. – Polecimy tam jeszcze raz, ale tym razem zabierzemy ze sobą coś specjalnego.

Meier słuchał, jak Leystrom opisuje to, co nazwał torpedą Trójcy – zmodyfikowaną raketę Boomslang, zawierającą potężną potrójną AI, trzy przenikające się poziomy świadomości.

– Na tyle, na ile rozumiem, gdy jedna AI przełamie systemy obronne obcej świadomości, otworzy jakiś rodzaj elektronicznych drzwi dla kolejnej. – Na grafice obcego obiektu pojawiły się zakrzywione zielone linie. – Dostaliśmy optymalne ścieżki lotu i tory rakiet. Skopiowaliśmy Trójcę w setkach setek przekonwertowanych rakiet VG-120. Każdy myśliwiec na pokładzie „Ameryki” dostanie szansę na wystrzelenie paru z nich tam, gdzie sprawią się najlepiej.

– O ile w ogóle uda nam się na tyle zbliżyć – mruknął Jaime Esteban.

Leystrom zignorował wtrącenie.

– Startujemy za piętnaście minut. Jakies pytania?

Nikt nie podniósł ręki.

– Dobrze. Piloci, do maszyn.

Kilka chwil później Meier siedział w swoim SG-420 Starblade, który otoczył go miękkim, ciemnym kokonem. Pozostali piloci również

zajmowali miejsca w myśliwcach, podczas gdy załoga hangaru czyniła ostatnie przygotowania do startu. Każdą maszynę wyposażono w dwa specjalne boomsłangi, a także komplet bardziej konwencjonalnych rakiet.

Połączył się z kanałem eskadry.

– Hunter Trzy, gotowy.

– Przyjęłam, Trzy – odezwała się CAG. – Proszę czekać.

Minuty ciągnęły się niemiłosiernie. Co tam się działo, do cholery?

– KL, Headhunters Jeden – odezwał się Leystrom. – Proszę o pozwolenie na start.

– Jeden, tu KL. Proszę czekać.

– KL, tu Hunter Jeden. Skąd opóźnienie?

– Wszystkie eskadry myśliwców, proszę czekać.

Zaciekawiony Meier otworzył w myślach okno i uruchomił obraz taktyczny. Zobaczył parasolowaty kształt „Ameryki”, z trzema innymi okrętami w promieniu kilku tysięcy kilometrów. Wszystko wyglądało...

Pomniejszy obraz i zobaczył obiekt z Rozety.

*Cholera.*

Mostek

TC/USNA CVS „Ameryka”

Zewnętrzny pas asteroid

Godzina 22.35 TFT

Kapitan Gutierrez pochylała się do przodu, wpatrując się w ogromny, złożony geometrycznie kształt istoty z Rozety.

– Co, do cholery?! – Nie była pewna, co właśnie zobaczyła. – Co to było?!

– To coś skoczyło, pani kapitan. O niemal dwie jednostki astronomiczne.

Obraz z drona zniknął. Drugi obraz, z kamer samej „Ameryki”, wciąż pokazywał istotę z Rozety jako punkt światła spowity jakiegoś rodzaju mglistą siecią ponad piętnaście minut świetlnych dalej, ale także obcy obiekt wielkości Jowisza, który zmaterializował się zaledwie kilka tysięcy kilometrów od nich. Poruszająca się szybko istota wkrótce przesłoniła swój odległy obraz oraz połowę gwiazd na niebie i spadła na „Amerykę” jak burzowa chmura.

– Cała wstecz! – krzyknęła Gutierrez. – Sternik, zabierz nas stąd!

W całej chmurze migotały i przesuwwały się niebiesko-fioletowe światła.

*Tysiąc Ziemi* – pomyślała osłupiała Gutierrez. *To coś jest wystarczająco*

*duże, by w środku zmieścić tysiąc Ziemi...*

– CAG! – zawołała. – Wystrzelić myśliwce!

– Aye, aye, pani kapitan!

Może... być może paru uda się uciec...

Lotniskowiec ogarnął mrok.

VFA-211

Wewnątrz istoty z Rozety

Godzina 22.38 TFT

– Start!

Myśliwiec Meiera spadł w ciemność.

Spodziewał się, że poleci na spotkanie z obiektem z Rozety kilka jednostek astronomicznych dalej, ale w ciągu ostatnich, przerażających chwil zobaczył, jak ogromna struktura pojawia się tuż przy „Ameryce”. Zupełnie jakby nagle skoczyła do przodu, próbując pożreć lotniskowiec.

I wyglądało na to, że skutecznie. „Ameryka” i garstka myśliwców dryfowały w ciemnościach, których nie rozświetlało Słońce ani gwiazdy. Radar i lidar pokazywały kontury precyzyjnych geometrycznie kształtów w oddali, ale wokół nie było żadnego widzialnego światła poza lampami sygnalizacyjnymi „Ameryki” i strobami myśliwców.

Gdy myśliwiec wyleciał poza szeroką kopułę dziobową „Ameryki”, oczom pilota ukazało się odległe serce obcego obiektu – czerwonopomarańczowy blask przyćmiony przez gęste chmury oddalone o prawie pół jednostki astronomicznej od niego. Przy tym migoczącym świetle widział krawędzie unoszącej się w przestrzeni „Ameryki”, ale w jakiś sposób światło to podkreślało jedynie wszechogarniający mrok.

– Tu Headhunter Dwa – odezwał się komandor porucznik Philip Brody. – Zgłosić się wszyscy.

– Hunter Cztery – odpowiedział Karl Maas – gotowy na przyspieszenie.

– Hunter Siedem, gotów – powiedział Lakeland.

– Hunter Trzy – zawołał Meier. – Gotów.

– Hunter Jedenaście – głos Dougherty’ego był wyraźnie spięty – jestem!

– Hunter Pięć, gotowy – powiedziała Schaeffer.

– To wszystko? – spytał Dougherty. – Gdzie dowódca?

– Pół eskadry wystartowało, zanim dorwała nas Rózia – odparł Brody. – Komandor Leystrom musi znajdować się poza chmurą.

– Cholera – rzucił Lakeland.

– Uspokójcie się – zawołał Brody. – Weźcie się w garść. Mamy rozkazy. Rózie po prostu ułatwiły nam ich wykonanie!

Meier musiał przyznać, że miało to sens. Gdy eskadra znajdowała się

poza obiektem, pozostawało pytanie, czy rakiety przebiją się do wnętrza.

– KL, przechodzimy pod prowadzenie BCI – oznajmił Brody. – VFA-211 przyspiesza...

Meier uruchomił napęd grawitacyjny i przyspieszył w stronę blasku w jądrze obiektu. Jego oczy dostosowywały się do ciemności... a może po prostu światło robiło się jaśniejsze. Nie był pewien, ale teraz mógł dostrzec dziwny krajobraz przed sobą. Coś jak wieże, kolumny i łuki, jak urwiska, granie i kaniony Parku Narodowego Badlands, wszystkie zbudowane z gęstych chmur pyłu. Środek struktury wydawał się znajdować ponad ćwierć jednostki astronomicznej od niego, około czterdziestu milionów kilometrów. Gdy sześć myśliwców przyspieszyło, „Ameryka” zniknęła za rufą... ale ściany i urwiska przed nimi wydawały się zmieniać.

– Cholera, chyba na nas reagują! – zawołał Meier.

– Ma rację! – dodała Schaeffer. – Ruszają się! I zbliżają się do nas!

Najbliższa ze struktur znajdował się nadal dziesiątki tysięcy kilometrów dalej, ale sama ich oszałamiająca wielkość sprawiała, że we wnętrzu obiektu odczuwało się klaustrofobię. Meier słyszał stały, ostry brzęk drobinek pyłu uderzających o kadłub myśliwca. W lokalnej przestrzeni było ich sporo i występowały coraz gęściej.

– Headhunters, strzelać wedle uznania! – zawołał Brody. – Wystrzelić Trójce!

Pierwsze przerobione boomsłangi wyleciały z dwóch starblade’ów. Oba zniknęły chwilę później w rozbłyskach ognia, gdy trafiły w chmury pyłu pod przyspieszeniem pięćdziesięciu tysięcy grawitacji.

– „Ameryka”, to na nic! – odezwał się Brody. – Pył jest zbyt gęsty!

– Spróbujmy oczyścić drogę! – odpowiedział Meier. – Wystrzelić serię kraitów, a dopiero za nimi boomsłangi!

– Jak zdetonujemy tu atomówki, Rózie się wkurzą! – zauważył Lakeland.

– No i? – spytał Meier. – Co mamy do stracenia?

– Ma rację – stwierdził w końcu Brody. – Uzbroić kraity! Wystrzelić je kolejno, ja pierwszy!

Rakieta typu VG-92 Krait wystrzeliła z jego myśliwca i poleciała w dal. Sekundę później wybuchła pośród białego blasku, który rozświetlił najbliższe chmury pyłu jak błyskawica. Za pierwszym kraitem poleciał szybko drugi, i kolejny, i kolejny... i jeszcze kilkanaście następnych. Kierowało nimi łącze taktyczne eskadry, umiejscawiające każdy z pocisków bezpośrednio w szeregu za poprzednim, który wybuchwał w atomowej kuli ognia.

Każda eksplozja skutkowałą falą ciepła i promieniowania, tworząc dziurę w najbliższych chmurach pyłu. Ich światło sprawiało, że widać

było coraz większą część wewnętrznej struktury obcego obiektu. Połowa jednostki astronomicznej to cztery minuty świetlne. W pobliżu wybuchów kształty zmieniały się, a Meier rozważał, ile szkód wyrządzają wnętrznościom potwora.

– Wypuszczam boomslangi! – odezwał się Meier. AI jego myśliwca właśnie poinformowała go, że w locie jest już dość kraitów, by wkrótce otworzyć tunel aż do serca obiektu. Dłuższe, masywniejsze VG-120 poleciały za nimi. W myślach przekazał AI pocisków ostatnie instrukcje, kaząc im lecieć powoli. Kule ognia przed nimi składały się z gorącej plazmy, chmur naładowanych cząstek, które mogły spalić kadłub rakiety, gdyby weszła w to piekło zbyt wcześnie.

Oczywiście oznaczało to, że dotarcie do celu zajmie mnóstwo czasu. Dwie minuty świetlne... trzydzieści sześć milionów kilometrów. Przy względnie lekkim przyspieszeniu pięciuset grawitacji oznaczało to, że boomslang znajdzie się w środku obiektu za ponad sześćdziesiąt sześć minut.

Ale gdy wybuch po wybuchu przebijały się głębiej i głębiej, fale promieniowania usuwały z drogi coraz więcej pyłu.

Meier kazał boomslangom rozpędzić się w pełni do serca obcej istoty. Dopiero po kilku minutach miał się dowiedzieć, czy udało im się dotrzeć do celu. Ale im szybciej leciały, tym krócej musiał czekać, narażony na środki obronne, jakich użyje istota.

Sprawdził zegar wewnętrzny. Jego pierwsze dwa boomslangi z wirusem Trójcy właśnie miały wkraczać do świetlistego rdzenia obiektu. Inne także się do niego zbliżały – rakiety Lakelanda, Schaeffer... to już sześć. Tego Niemca, jak mu tam? Maas. Dziwnie się czuł, lecąc ramię w ramię z cholernym Eurasem.

Czekał na odpowiedź, na jakiś znak, że im się powiodło.

I czekał...



# Rozdział siódmy

7 lutego 2426

Baza Crisium

Księżyc

Godzina 12.25 TFT

Prezydent Koenig odchylił się do tyłu w usztywnionym fotelu wagonu kolei magnetycznej, obserwując przez przezroczysty sufit koszmar widoczny na ciemnym księżycowym niebie. Niedługo po tym, jak trafił do schronu głęboko pod Waszyngtonem, jego ochrona z Secret Service uznała, że nigdzie na Ziemi nie będzie w pełni bezpieczny i muszą przewieźć go gdzieś indziej. Koleją magnetyczną dotarł do kosmodromu Edwards, gdzie czekał prywatny wahadłowiec.

Sześć godzin później Koenig znajdował się na Księżycu.

A kolejnego dnia bezradnie przyglądał się, jak istota z Rozety pochłania Ziemię.

– Panie prezydencie?

– Tak, Marcus?

Szef personelu Białego Domu podszedł do jego fotela.

– Wiadomość od doktora Lawrence’a, sir.

– Zapewne nadal nic dobrego. – Gdyby Lawrence’owi w centrum SAI pod kraterem Ciołkowskiego udało się złamać systemy obronne obcej istoty, ta koszmarna chmura by się rozproszyła. Jej ciągle uparte istnienie mówiło samo za siebie.

– Owszem, sir.

Koenig westchnął i skinął głową.

– Niech próbuje dalej.

– Tak, sir.

Koenig nie lubił pośredniej komunikacji z ludźmi, wolał otrzymywać raporty do implantu mózgowego. Ale teraz było to konieczne, gdyż istniała możliwość, że obcym uda się złamać ludzkie systemy komunikacyjne, a wtedy mogliby się włamać także do wszczepki w głowie Koeniga. Stanowiło to nieciekawą perspektywę pod wieloma względami.

Wagon magnetyczny wjechał do tunelu na krawędzi Mare Crisium i wyjechał kilka sekund później ponad szeroką płaszczyznę niemal

idealnie okrągłego księżycowego morza. Prezydent czuł decelerację pojazdu, co oznaczało, że jest prawie na miejscu.

Na zewnątrz rozciągał się nużący monotony krajobraz. Morze miało ponad czterysta kilometrów średnicy, było płaskie i ciemne. Bazę Crisium zbudowano u podnóża wzgórz przy północno-wschodniej krawędzi morza. Zwykle Koeniga powitałby blask zewnętrznych światel, ale obecnie bazy księżycowe działały w stanie zaciemnienia. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Zwolnili. Widział niektóre zewnętrzne budynki, głównie kopalnie helu-3.

Znajdowały się tu znaczne ilości tego izotopu, przygotowane do transportu do reaktorów fuzyjnych na Ziemi i poza nią. Może istniał sposób, by wykorzystać go przeciwko... nim?

Koenig nie miał pojęcia, w jaki sposób. Znów spojrzał na niebo, zamyślony.

Sześć dni wcześniej chmura pochłonęła „Amerykę”, po czym zaczęła wypuszczać macki coraz dalej. Niektóre z nich musnęły Ziemię, po czym zaczęły się zestalać. Coraz więcej materii przybywało teraz z istoty z Rozety, układając się w ciasne sploty zimnego płomienia, jednocześnie niewyobrażalnie piękne, jak i nieopisanie przerażające.

Dzięki Bogu, że z jakiegoś powodu istota użyła tylko niewielkiej części swojej masy. Gdyby Ziemię otoczyła całość chmury, zaburzyłaby całkowicie grawitacyjną równowagę Ziemi, Księżyca i struktur orbitalnych, w tym wind kosmicznych. Obecnie nie było sposobu, by dowiedzieć się czegokolwiek o sytuacji na planecie i otaczających ją stacjach. Byli odcięci od wszelkiej komunikacji. Ale najwyraźniej obcy zdecydowali się zneutralizować Ziemię, a nie ją zniszczyć.

Przynajmniej na razie.

Pociąg magnetyczny zostawił za sobą surowe światło słoneczne i wjechał do zacienionej sztucznej jaskini.

– Panie prezydencie – odezwała się AI – przybyliśmy do bazy Crisium.

Doktor Wilkerson czekał z armią techników, asystentów i agentów Secret Service w holu. Gwardia honorowa uzbrojonych marines stanęła na baczność.

– Witamy z powrotem, panie prezydencie – odezwał się Wilkerson.

– Dzięki, Phil. Coś nowego?

– Nieszczególnie, sir. Nadal nadajemy sygnały komunikacyjne i do istoty z Rozety, i do tej skorupy, którą otoczyła Ziemię. Wiemy, że wcześniej porozumieliśmy się z nią na tych kanałach. Nie wiemy, dlaczego teraz nie chce gadać.

– Zapewne wciąż próbuje określić, czy stanowimy niebezpieczeństwo. Szczególnie po tym, jak walnęliśmy w nią nanodisasemblerami.

– Myśli pan, że to był zły pomysł?

Koenig pokręcił głową.

- Cholera wie. Ale co innego mieliśmy zrobić, pozwolić się pożreć?
- Panie prezydencie, nie ma dowodów na to, że...
- Wiem, wiem. To figura retoryczna.

To właśnie stanowiło problem. Nie było żadnych dowodów, które mogłyby wskazywać na zamiary istoty. Ludziom udało się nieco spowolnić obcych, ale kosmici na tyle przewyższali Ziemię technologicznie, że ludzkość równie dobrze mogłaby być pyłem... albo owadami, które traktuje się packą, gdy stają się uciążliwe.

Czasami jednak owady musiały zaryzykować starcie z packą. W ciemnościach gromadziły się ich setki, powoli tworząc rój.

A Koenig zamierzał do niego dołączyć.

- Czy przygotowano dla mnie okręt? – spytał.

Wilkerson wyglądał nieswojo.

- Tak, sir. Ale naprawdę protestuję....

- To moja odpowiedzialność, Phil. I tylko moja.

John Crawford, dowódca Secret Service w Crisium, był wyraźnie zaniepokojony.

- Okręt, panie prezydencie? Jaki okręt? O czym pan mówi?

- Nie przejmuj się, Jack. Wyruszam w mały rejs, i tyle.

Crawford prychnął i zapytał:

- Dokąd?

Koenig wskazał na pochłaniającą Ziemię chmurę.

- Tam.

- Panie prezydencie, nie może pan opuścić bezpiecznej bazy...

Zamiast odpowiedzieć, Koenig podszedł do stojących sztywno na baczność marines.

- Gotów, panie pułkowniku?

– Tak, sir! – odparł chrypliwym głosem pułkownik Francis Mason. – Gwardia prezydencka! Prezentuj broń!

Doskonale wyszkoleni marines jednocześnie unieśli karabiny. Mason wykrzyczał kolejny rozkaz:

- Oddział... stać! W tył... zwrot! Naprzód... marsz!

Otoczający Masona i Koeniga marines wykonali zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zaczęli maszerować.

– Zaraz! Proszę zaczekać! – krzyknął Crawford. – Nie może pan tego zrobić!

– Oczywiście, że mogę – odparł Koenig lekceważąco. – I właśnie to robię!

- Oddział... truchtem marsz! – warknął Mason.

Marines przyspieszyli, ruszając przez otwartą halę do hermetycznych drzwi. Przy jednej szóstej ziemskiego ciężenia każdy krok był długim skokiem.

Koenig planował to od tygodnia, odkąd zdał sobie sprawę, że jego ochrona z Secret Service jest w stanie obezwładnić go i zabrać w bezpieczne miejsce, gdyby nie dał się tam zaprowadzić po dobroci. Nie zamierzał oczywiście po prostu czekać na śmierć w Nowym Białym Domu, ale irytował go fakt, że nie ma wyboru.

Tkwienie na Księżycu także go męczyło. Nie mogąc skontaktować się z obcymi, nie będąc w stanie zrobić nic poza obserwowaniem wydarzeń wokół Ziemi, postanowił wrócić, nieważne, co powiedzą na to jego rządowe niańki.

Gdy odwiedził bazę Ciołkowskiego po drugiej stronie Księżyca, skontaktował się z pułkownikiem Masonem i odbył z nim prywatną rozmowę. Podczas nocnej dyskusji na temat taktyki wojskowej udało mu się zaplanować własne porwanie. Marines nie przepadali za agentami Secret Service i z chęcią mu pomogli. Wydawali się rozumieć potrzebę bezpośredniego zaangażowania w uwolnienie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej od obcej chmury... Oczywiście reszty planety też.

Marines zabrali go do kosmodromu bazy, gdzie kilka niewielkich jednostek kosmicznych właśnie magazynowano albo przygotowywano do odlotu. Znajdowało się tam kilka myśliwców, ale Koenig od dawna nie latał takimi maszynami. Poza tym były to smukłe, bezkształtne starblade'y. Nie miał pewności, czy zdołałby się połączyć z tymi nowinkami technicznymi, nie mówiąc już o ich pilotowaniu.

Zamiast tego ruszył w stronę otwartej rampy starego okrętu klasy VG-98 Kestrel, zaparkowanego na pasie startowym, z insygniami Korpusu Marines. Pilot i załoga znajdowali się już w środku.

– Witamy na pokładzie, panie prezydencie – odezwał się pilot i od niechcienia zasalutował. – Gdzie pan zmierza?

– Do floty – oparł Koenig. – Proszę pokazać przestrzeń bitewną.

– Aye, aye, sir. Tędy proszę.

– Jak się nazywasz, synu?

– Kapitan Luis Camacho, sir. Marines Stanów Zjednoczonych.

– Dobrze, Luis. Prowadź.

Kestrel był ciasny i niewygodny, z niskim sufitem stanowiącym wyzwanie dla Koeniga, mierzącego sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Chociaż na kadłubie zamontowane miał dwa działa cząsteczkowe, nie był okrętem ściśle bojowym. Kestrel od dekad używano jako transportowców bliskiego zasięgu. Był to prom, w którym pasażerów upychano jak sardynki. Kokpit znajdował się z przodu i ledwie starczało w nim miejsca dla trzyosobowej załogi.

– Proszę, sir – odezwał się Camacho, sięgając do ręcznego panelu sterowania. – Co chce pan zobaczyć?

– Obecne wektory okrętów. A, tak. Dobrze.

Ogromna flota na orbicie wokół Ziemi... a raczej wokół otaczającej

planetę chmury. Okręty przybywały najpierw z Marsa i innych planet w układzie, a następnie z innych układów, odkąd istota z Rozety wkroczyła do Układu Słonecznego. Koenig nie mógł mieć pewności bez łączenia się z siecią, ale pomyślał, że to chyba największa kosmiczna armada kiedykolwiek zgromadzona przez ludzkość. Nad chmurą orbitowało teraz ponad dwieście dużych okrętów z piętnastu państw i pięciu kolonii pozaukładowych, rozstawionych w regularnych odstępach wokół całego jej obwodu. Wśród okrętów USNA zauważył ikony krążowników artyleryjskich „New York” i „San Francisco” oraz krążowników „Kauffman” i „Essex”, a także pancerników „Ontario” i „Michigan”. Żadnych ciężkich lotniskowców, ale kilka lekkich i transportowce marines – „Nassau”, „Guam”, „Peleliu” i inne. Obecny był także znaczny kontyngent paneuropejski, w tym ciężkie krążowniki „Champlain”, „Dedalo”, „Kometa”, „Diana” i masywny monitor „Festung”. Flota chińskich okrętów niemal stykała się z górnymi granicami chmury. Należały do niej wielki planetarny monitor bombowy „Hunan”, gwiazdny lotniskowiec „Guangdong” i krążownik „Shanxi”. Wśród rosyjskiej floty Koenig wypatrzył takie okręty jak „Stojkij”, „Dierznowiennyj”, „Putin” i „Wariag”. Lista jednostek była długa. Ich nazwy przewijały się z boku holograficznego wyświetlacza, a ikony oznaczono różnymi kolorami i wyznaczono ich tory. W tej skali przestrzeń wokół obcego obiektu wyglądała na zatłoczoną.

Koenig wiedział jednak, że rzeczywistość jest inna – to ledwie garstka okrętów na tle niezmierzonej pustki.

Zauważył, że „Lexington” nie opuścił stacji SupraQuito. Nie żeby spodziewał się, iż stanie się inaczej. Odniósł w końcu spore uszkodzenia przy Gwieździe Kapteyna.

A jego własny stary okręt, „Ameryka”... ona także zniknęła, pochłonięta przez chmurę. Czy znajdowała się w tej jej części, która otaczała Ziemię? A może nadal przy pasie asteroid, gdzie większość istoty z Rozety wciąż spokojnie dryfowała?

– Panie prezydencie! – odezwał się na zewnątrz znajomy głos, znacznie wzmocniony. – Panie prezydencie, proszę wyjść! Unieszkodliwimy pański okręt!

– Zewnętrzne głośniki? – spytał Koenig Camacha.

Marine wcisnął coś na przezroczystym ekranie dotykowym.

– Proszę, sir.

– Rób swoje, Crawford – warknął Koenig – a moi marines rozbroją was i usuną mi z drogi! Jeśli będę musiał, polecę sam myśliwcem!

– Sir, proszę! – Crawford przyjął błagalny ton. Z tego, co Koenig wiedział, człowiek ten był zawsze twardy jak kompozyt węglika krzemu i ferroceramiki. Zmiana zachowania była szokująca. – Złożyłem przysięgę!

– Ja również, panie Crawford. I nie spełnię jej, siedząc na dupie. – Dał znak Masonowi, by go rozłączył, po czym skinął na pilota. – Proszę nas stąd zabrać, panie Camacho.

Silniki promu zaczęły wirować, a Koenig wyjrzał przez okno w kokpicie, zastanawiając się, czy Crawford spełni swoją groźbę. Niedaleko wejścia do hangaru zgromadziło się kilku uzbrojonych agentów Secret Service. Wyglądało jednak na to, że się wahają. Po chwili zaczęli wycofywać się. Camacho usiadł w fotelu pilota, który zmienił kształt i otoczył jego ciało, łącząc go z systemami kontrolnymi okrętu.

– Zalecam, aby pan i pańscy ludzie zajęli bezpieczne miejsca z tyłu, panie prezydencie.

– Dobrze. Proszę mnie na bieżąco informować.

– Tak jest, panie prezydencie!

Prom przedzierał się przez czarną membranę, która dopasowała się do jego kadłuba i zasklepiła ponownie, gdy kestrel wyleciał w otaczającą księżyc przestrzeń. Przez okna wpadały promienie światła, ostre i białe, a wycie silników robiło się wyższe i głośniejsze. Koenig dotarł do przedziału pasażerskiego i zajął pusty fotel obok pułkownika Masona.

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się Mason – co właściwie zamierza pan tam zrobić? Wydawać bezpośrednio rozkazy?

Przyspieszenie wcisnęło ich mocniej w fotele.

– Jeśli będę musiał – uśmiechnął się Koenig. – Ale wolę zachować tak drastyczne posunięcia na chwilę, kiedy naprawdę mnie wkurzą!

– Ooh-rah!

Tak naprawdę Koenig nie zastanawiał się szczególnie nad tym, co robi, gdy dotrze do ziemskiej floty. Nie zamierzał przejąć dowodzenia od admirała Reeve'a. Minęło zbyt wiele lat, odkąd stał na mostku flagowym okrętu bojowego.

Nie podobała mu się rola zwykłego pasażera, ale nie mógł znieść myśli o obserwowaniu wydarzeń z odległości pięciuset tysięcy kilometrów. We flocie mógł chociaż służyć jako konsultant taktyczny.

Niestety, nadal mógł paść ofiarą ataku elektronicznego, mimo wyłączenia implantów mózgowych. Pamiętał o tym, jak łatwo obcym udało się przejąć „Amerykę”.

Przyspieszenie zastąpił swobodny spadek, gdy kestrel oddalił się od Księżyca. Ekrany w przedziale pokazywały ich cel: ogromną, wirującą chmurę pyłu i światła otaczającą Ziemię. Nieco spłaszony na biegunach obiekt był dość wielki, by zmieścić tysiąc Ziemi. Blokował także promieniowanie elektromagnetyczne, nie było więc sposobu, by określić, co się dzieje na planecie. Jeden z ludzi Wilkersona zasugerował wcześniej, że istota z Rozety może wykorzystywać całe globy jako surowce dla swoich dziwacznych konstrukcji. Masa Ziemi zdecydowanie mieściła się nadal w chmurze – nie została przekształcona w energię ani

przeniesiona przez jakieś międzywymiarowe wrota, nie było jednak gwarancji, że zamieszkujące ją miliardy ludzi wciąż żyły.

*Negocjacje* – pomyślał Koenig – *pozostają jedyną sensowną strategią*. Przez całą długą wojnę ze Sh'daarami tylko jasna i otwarta komunikacja była w stanie zażegnać konflikt. Ostatecznie ludzkość nauczyła się rozmawiać z mnóstwem gatunków z cywilizacji Chmury N'gai i dojść z nimi do porozumienia.

Czy to samo możliwe było w przypadku istoty z Rozety? Najlepsze analizy wskazywały na to, że dysponowała inteligencją na tyle przekraczającą ludzką, że wspólna płaszczyzna komunikacji mogła być zwyczajnie niemożliwa. A brak wspólnej płaszczyzny oznaczał brak negocjacji. Być może szanse miały super-AI Ziemi.

Cholera, gdzie się podział Konstantin?

Pułkownik Mason zwrócił się do Koeniga:

– Panie prezydencie, jestem połączony z kapitanem Camacho. Dokąd właściwie chce pan lecieć?

– Do okrętu flagowego dowodzącego operacjami floty – odparł Koenig. – Na „Nowy Jork”.

– Dobrze. Mówi, że jesteśmy w drodze.

Przed nimi chmura zajmowała całą szerokość ekranu. Koenig poczuł pierwszy wstrząs hamowania.

Z jakiegoś powodu miał wrażenie, że admirał Reeve nie ucieszy się na jego widok.

Kosmodrom Edwards

Suiteland Gate

Terytorium reinkorporowane Maryland

Godzina 13.11 EST

Na Ziemi panowała noc... Na całej planecie bez wyjątku, co było tak trudne do wyobrażenia, że człowiek miał wrażenie, iż postradał zmysły. I to już prawie od tygodnia. Przenikająca kości temperatura wahała się w okolicach minus pięciu stopni.

Temperatury na powierzchni spadały. Niektórzy twierdzili, że w końcu cała Ziemia zamarźnie.

Shay Ashton przyleciała do kosmodromu w zautomatyzowanym latającym samochodzie, który zatrzymał się przy Suiteland Gate, poza dawnymi przedmieściami Waszyngtonu, piętnaście kilometrów od centrum stolicy. Niebo wyglądało dziwnie, odkąd planetę otoczył obcy obłok. Pojawiły się wirujące chmury, rozświetlane czymś, co mogło być zorzami czy też elektrycznymi rozbłyskami światła. Ostatecznie jednak

struktury te rozmyły się i stopiły z otaczającą ciemnością.

Chmura wkroczyła także do atmosfery Ziemi. O pojazd Shay przez cały lot co chwila uderzał rodzaj twardego, czarnego pyłu, który teraz szczypał ją w skórę. Nie widziała teraz szczegółów gołym okiem, ale wiedziała, że analizy pyłu wykazały, iż składa się z obcych maszyn, misternych urządzeń większych wprawdzie niż typowa nanotechnologia, ale małych jak ziarenka cukru.

Co właściwie robiły te biliony miniaturowych maszyn, poza – zapewne – łączeniem się ze sobą we wspólną, ogromną inteligencję, wciąż nie było wiadomo.

Owinięta w zimową kurtkę i ignorując szczypanie mikromaszyn na twarzy, Ashton ruszyła otwartym chodnikiem w stronę głównej bramy kosmodromu.

– Tak? W czym mogę pomóc? – spytał robot-strażnik. Był to Turing Cztery, starszy model, używany wciąż przez rząd, zaprojektowany tak, by wyglądać jak rysunkowa karykatura robota, aby uniknąć głębin Doliny Niesamowitości.

– Mam się spotkać z dowódcą bazy – odparła. Kliknęła w myślach ikonę, przekazując robotowi identyfikator i dokumenty upoważniające. – Jestem umówiona.

– Co tu panią sprowadza, pani Ashton?

Prawie odpowiedziała, że to nie jego interes, ale ugryzła się w język.

– Pomyślałam, że zobaczę, czy przyjmą mnie z powrotem.

– Pełniła pani obowiązki dowódcy...

– Jako pilota myśliwca – przerwała maszynie. – Potrzebujecie ich teraz, prawda?

Zapadła dłuższa cisza, podczas której zapewne robot konsultował się z postawionymi wyżej ludźmi.

– Dobrze, pani Ashton. Zaraz przyjedzie pojazd, który zabierze panią do centrum dowodzenia bazy.

– Dziękuję.

Zaprowadzono ją do zadaszanej poczekalni. Wiatr wiał coraz mocniej, sypiąc inteligentnym pyłkiem.

Ashton miała nadzieję, że znajdą dla niej miejsce.

Ciepłe miejsce...

USNA CA „Nowy Jork”

Przestrzeń cislunarna

Godzina 17.22 TFT

– Panie prezydencie? – odezwał się admirał floty. – Witamy na pokładzie. To... niespodzianka, mówiąc eufemistycznie.



– Nie przybyłem tu, aby naruszyć pański łańcuch dowodzenia, admirale. – Koenig, Reeve i ich ludzie stali wewnątrz bojowego centrum informacyjnego „Nowego Jorku”. – Proszę udawać, że mnie tu nie ma. Jeśli mogę pomóc jako doradca, jestem do pańskich usług.

– Doceniam to, panie prezydencie – odparł Anthony Reeve. – Urządziliśmy dla pana stanowisko tu, w BCI, ale...

– Ale...?

– Sir, jeśli pozostanie pan offline, będzie panu cholernie trudno śledzić sytuację.

– Mnie pan to mówi? Po raz pierwszy w życiu czuję, że jestem naprawdę sam. Ale jakoś dam sobie radę.

Koenig uśmiechnął się szeroko. Wyglądało na to, że Reeve ma problemy ze zrozumieniem, jak można nie być wciąż połączonym z siecią.

Koenig nie mógł go za to winić. W tych czasach dzieciom wszczepiano ziarna neuronowe w wieku czterech lub pięciu lat. Gdy kończyły sześć lat, ziarna zdążyły już otoczyć mózg nanowłóknami i zaczynały pobierać programy szkolne oraz umożliwiać rozmowy z kolegami. W osiemnastym roku życia udostępniały silniejsze usprawnienia i, w razie wstąpienia do sił zbrojnych, do cywilnych implantów dołączały wszczepy wojskowe, zapewniające łączność z oddziałem i dowódcą, a także pobierające dane taktyczne.

Mimo to większości rekrutów usuwano implanty mózgowe w czasie szkolenia, zmuszając ich do radzenia sobie bez nich. Wielu z nich odpadało na tym etapie, jako że funkcjonowanie bez interfejsów neuronowych było dla nich zbyt stresujące.

Koenig nie lubił mieć wyłączonego osprzętowania mózgowego, ale dawał sobie bez niego radę. Dlatego całkiem nieźle dogadywał się z prymami.

Reeve gestem przywołał atrakcyjną młodą kobietę.

– To komandor porucznik Taylor z mojego sztabu. Będzie pańskim oficerem łącznikowym i poinformuje pana o wszystkim, co będzie się działo.

– Doskonale. Pani Taylor?

– Bardzo miło pana poznać, panie prezydencie.

– Dobrze. Sądząc po przygotowaniach, rozumiem, że próbujecie coś zdziałać ze Światłością.

Nazwa operacji Światłość pochodziła od *Helleslicht*, niemieckiej nazwy modułu z komputronium zawierającego zaawansowaną AI. Koenig był pewien, że Paneuropejczycy dysponują dodatkowymi modułami. Gdyby flocie pozostającej poza całunem Ziemi udało się skontaktować z siłami na planecie, być może z pomocą tych modułów udałoby się uzyskać pełną komunikację z istotą z Rozety.

– Tak, sir. Nadal nie mamy kontaktu z wnętrzem chmury, ale podejrzewamy, że jeśli uda się nam przebić, uwięzione tam siły mogą dołączyć do ataku. Rozważamy uderzenie jednocześnie od środka i z zewnątrz.

– Macie dostateczne zapasy nano-D?

– Jakie będą dostateczne? Nie wiemy, dopóki nie uderzymy. Ale mamy go sporo, około pół miliona pocisków zabranych z magazynów na Marsie.

– Doskonale. Sugeruję kontynuować, zamiast zabawiać mnie rozmową.

– Aye, aye, panie prezydencie.

BCI „Nowego Jorku” było ogromnym okrągłym pomieszczeniem, pełnym foteli z łączami neuronowymi, monitorów i holoprojektorów. Komandor porucznik Taylor zaprowadziła Koeniga do fotela w samym centrum kompleksu i zajęła miejsce obok.

– Będę podłączona, panie prezydencie, ale bez problemów mogę mówić, co się dzieje.

– Dobrze, pani komandor.

Spojrzała na niego z niepokojem.

– Nie przeszkadza to panu, sir?

– Nie, po prostu nie lubię być niańczony.

– Mogłabym...

– Proszę kontynuować. Po prostu nie jestem przyzwyczajony. Lubię dostawać dane na bieżąco prosto do mózgu, a nie za czymś pośrednictwem. Ale jakoś sobie poradzimy.

Czy cholerne Rózie byłyby rzeczywiście w stanie namierzyć go pośród wszystkich ludzkich oficerów połączonych z siecią? Znaleźć i zaatakować właśnie jego? Może tak, może nie. Ale jeśli istniała choćby niewielka szansa, że użyją jego implantów przeciwko niemu, musiał pozostać poza siecią.

Musiał przyjmować dane staroświeckim sposobem – patrząc i słuchając.

– Panie i panowie – Reeve odezwał się przez głośniki na suficie – rozpoczynamy atak.

„Nowy Jork”, podobnie jak niemal tysiąc innych jednostek, zaczął przyspieszać w stronę ogromnej chmury otaczającej Ziemię.

# Rozdział ósmy

7 lutego 2426

CA „Nowy Jork”  
Przestrzeń cislunarna  
Godzina 17.38 TFT

Prezydent Koenig przyglądał się, jak „Nowy Jork” pędzi w stronę krawędzi obcej chmury. Wokół niego oficerowie floty siedzieli przypięci do foteli ze złączami neuronowymi. Wydawali się spać, ale w rzeczywistości byli połączeni z sieciami taktycznymi okrętu.

Nie mogąc zrobić tego samego, Koenig czuł się bezużyteczny. I uczucie to zdecydowanie mu się nie podobało.

– Admirał właśnie kazał wystrzelić myśliwce – usłyszał od Taylor. – Mają pozwolenie na strzelanie pociskami z nano-D.

– Dziękuję, pani komandor.

Nad jego fotelem wisiał fizyczny ekran, przedstawiający generowany komputerowo obraz ziemskiej floty atakującej chmurę. Koenig ponownie pomyślał tym, jak trudno walczyć z takim celem. Okręty takie jak „Nowy Jork”, myśliwce, a nawet nanodisasembler zaprojektowano do walki z innymi dużymi okrętami, a nie inteligentnym pyłem.

Na ekranie pola pyłu – oznaczone czerwonym przezroczystym kolorem – penetrowały ciągle wybuchy atomowe, lasery, promienie naładowanych cząstek oraz stożki dyfuzji broni nanotechnologicznej. Pomysł, który opracowano na naradach zaledwie kilka godzin wcześniej, polegał na wydrążeniu tuneli w chmurach pyłu, przez które przelecieć mogły myśliwce, by wypuścić jeszcze więcej uzbrojenia.

Niestety, obca chmura poruszała się, co oznaczało, że te mikromaszyny, które przetrwały, natychmiast zapełniały dziury. Sztuczka musiała polegać na kierunkowych polach magnetycznych. Skutek był taki, że ogromna chmura wyglądała na niepokojącą mimikrę życia.

Ziemskie siły mogły jedynie nadal wypuszczać cały swój arsenał z nadzieją, że zmniejszą jej masę na tyle, by straciła na inteligencji.

Albo że zaboli ją tak bardzo, że będzie skłonna rozmawiać.

W każdym razie Koenig miał nadzieję, że uda im się porozumieć z istotą z użyciem paneuropejskich sond Helleslicht. Pomyślał, że proces

przypomina ciągle kopanie obcego w czułe miejsce, aż w końcu ich zauważy. Nadzieja tylko w tym, że nie zirytuje się tak bardzo, żeby po prostu ich zmiażdżyć.

Znajdowali się już głębiej wewnątrz chmury. Jej drobinki z terkotem uderzały o kadłub „Nowego Jorku”. Temperatura poszycia wciąż rosła, w miarę jak napotykali kolejne mikrouządzenia. Koenig widział, że dalsze warstwy chmury układają się w geometryczne konstrukcje – zakrzywione kolumny i łuki, fantasmagoryczną zbieraninę kształtów, upiornych pętli tak przejrzystych, że trudno było stwierdzić, czy na pewno istnieją.

Z głębi chmury wylaniały się obce obiekty lecące na spotkanie ziemskiej floty. Większość z nich była większa od ludzkich myśliwców, ale mniejsza od fregat i kanonierek. Przypuszczano, że stanowią odpowiednik układu odpornościowego, automatycznie wysyłanego przeciwko pomniejszonym zagrożeniom.

Ziemskie myśliwce ruszyły na wroga.

– Admirał Reeve rozkazał oddać serię salw nano-D – przekazała Koenigowi Taylor. – Pociski ND-40X w pięciosekundowych odstępach. Za trzy... dwie... jedną... już.

Na ekranie ikona przedstawiająca „Nowy Jork” wystrzeliła białą gwiazdę, która ruszyła w przestrzeń przed okrętem. ND-40X było specjalnie zaprojektowaną głowicą disasemblerową o masie ponad setki ton. Kanistry wystrzelono z prędkością stanowiącą znaczny ułamek prędkości światła i zaprogramowano tak, by aktywowały się, gdy dotrą do gęstszych części chmury. Koenig przyglądał się, jak pierwsza z gwiazd rozbłysła na ekranie, przedzierała się przez obłok pyłu i powoli rozkładając go, szła w głąb studni grawitacyjnej Ziemi. Sztuczka polegała na dezaktywacji disasemblerów, zanim dotrą do górnych warstw atmosfery.

Kolejny pocisk z disasemblerami poleciał za pierwszym... i następne... Detonacje otworzyły szeroki otwór w sferycznej chmurze.

W ten otwór zanurkowały myśliwce.

Prowizoryczna eskadra obrony planetarnej

Ponad Waszyngtonem

Godzina 17.50 TFT

Shay Ashton leżała na plecach, gdy jej starhawk z hukiem leciał ku niebu. To był przestarzały model, choć przez wiele lat powszechnie z niego korzystano. Zasoby kosmodromu Andrews były jednak nieco ograniczone. Wszystkie nowe starblade’y, raptory i skydragony albo stacjonowały na okrętach, albo wchodziły w skład rojów myśliwców

starających się walczyć z obcą chmurą. Ashton była jednym z dziewięćdziesięciu siedmiu pilotów, którzy zjawili się w bazie pod Waszyngtonem i zgłosili na ochotnika do walki.

Jak się okazało, myśliwców wystarczyło jedynie dla pięćdziesięciorga dwojga. Dowództwo bazy Andrews zorganizowało ich w cztery eskadry, które otrzymały nazwy od Alfy do Delt. Ashton trafiła do eskadry Bravo pod dowództwem kapitana Sergeia Jamisona.

Cztery eskadry przestarzałych myśliwców kontra chmura wielkości Jowisza. Trudno było czuć się pewnie, wlatując w stratosferę.

Czuła się straszliwie samotna.

Poprzez zmysły myśliwca widziała oddalający się Waszyngton w szarym cieniu chmury. Nad sobą dostrzegała zarysy obcych struktur wewnątrz obłoku, enigmatyczne i ogromne. *Co, do cholery, robią z naszą planetą?* – pomyślała.

Przed sobą widziała niewiele. Osobliwość napędu, umieszczona tuż przed dziobem myśliwca, pożerała cząsteczki powietrza w miarę przyspieszania. Cząsteczki, których mikroosobliwość nie była w stanie pochłonąć, rozszczepiały się, strzelając promieniowaniem rentgenowskim i błękitnobiałym światłem. Tworzyło to mgiełkę, ku której się pędziła, przez co musiała polegać na instrumentach i pokładowej AI.

Myśliwiec zatrząsł się, uderzywszy w coś przy prędkości mach dziewięć. Alarmy się nie odezwały, więc pozwoliła systemom naprawczym robić swoje, a sama skupiła się na zaprogramowaniu ostrzału z kraitów tak, by zmieść z nieba jak najwięcej tego technologicznie zaawansowanego piasku.

– Tu Bravo Cztery – odezwała się na kanale eskadry. – Sześć kraitów uzbrojonych, strzelam za trzy... dwie... jedną... już!

Rakiety wystrzeliły z jej starhawk pod różnymi kątami, kierując się ku wyznaczonym celom. Wokół pojawiły się rozbłyski białego światła, unicestwiającego miliardy drobinek inteligentnego pyłu. Wybuchy na chwilę podświetliły kształty czające się w górze.

Rozbrzmiały alarmy. AI myśliwca ostrzegała, że kadłub robi się coraz gorętszy. Shay czuła wstrząsy, słyszała łomot, gdy starhawk przebijał się przez coraz gęstsza masę chmury. Przyspieszyła do pięciu kilometrów na sekundę i tarcie zaczęło pozbawiać ją zewnętrznej warstwy kadłuba.

– Eskadra Bravo! – krzyknęła przez sieć komunikacyjną eskadry. – Zwolnijcie albo się spalicie!

Sama zmniejszyła prędkość, pozwalając, by tarcie spowolniło jej myśliwiec, gdy wyleciała poza linię Karmana, oficjalną krawędź przestrzeni kosmicznej, sto kilometrów ponad powierzchnią Ziemi. Jak daleko rozciągała się chmura? Próby zmierzenia jej z powierzchni planety na razie spaliły na panewce, jako że mikromaszyny pochłaniały

fale radarowe. Sądząc jednak po pierwotnej masie, zewnętrzna krawędź tego roju mogła mieścić się siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt tysięcy kilometrów dalej.

W całej zamieszkałej przez ludzi przestrzeni nie istniało dostatecznie wiele głowic termonuklearnych, aby się przez to przebić.

CA „Nowy Jork”  
Przeźren cislunarna  
Godzina 17.54 TFT

Prezydent Koenig przyglądał się wygenerowanej komputerowo grafice przestrzeni wokół Ziemi. Skupił wzrok na strukturach wewnątrz obcej chmury, które rosły, przekształcały się i wiły. Nie umiał stwierdzić, jakie właściwie mają kształty ani co robią. Koenig początkowo założył, że chmura mikromaszyn składała się z bilionów nanodisasemblerów, że obca istota chciała rozłożyć Ziemię na atomy, albo przynajmniej zniszczyć otaczające ją ludzkie konstrukcje. Wyglądało jednak na to, że jest inaczej. Główni stratedzy floty uważali obecnie, że chmura stanowić może jakiś rodzaj systemu gromadzącego informacje i pobiera wszystkie możliwe dane z satelitów Ziemi i z niej samej.

Do czegokolwiek służyły struktury, nie wydawały się mieć nic wspólnego z komunikacją.

„Nowy Jork” wciąż ciskał nano-D w obcą chmurę. Każdy wybuch oczyszczał kolejne obszary, umożliwiając lot w stronę Ziemi. Poszczególne ładunki zaprogramowano tak, by dezaktywowały się, gdy zetkną się z cząsteczkami ziemskiej atmosfery lub z samą Ziemią, a także by unikały zderzeń z ziemskimi okrętami.

Żaden system identyfikacyjny nie był jednak doskonały i istniało realne ryzyko samobójczych strzałów. Koeniga martwiły szczególnie trzy windy kosmiczne, które obecnie były niewidzialne, zanurzone głęboko w chmurze. Windy zbudowano z włókien węglowych splecionych w ogromne kable o kilkumetrowej grubości. Gdyby uderzyło w nie nano-D, mogłoby spowodować coś, co eufemistycznie nazywano katastrofą inżynieryjną. Co gorsza, nawet gdyby nanodisasemblerzy nie uszkodziły kabli, istniała szansa, że zrobią to cząstki obcej chmury. Sondy wykazywały, że jej części poruszają się z ogromnymi prędkościami, generując „wiatr” pędzący setki kilometrów na godzinę.

Co by się zdarzyło w razie przerwania kabla windy? Pytanie to zadawano sobie od trzystu lat, odkąd otwarto windę Quito w 2120 roku. Wiele zależało od tego, w którym miejscu dojdzie do przerwania. Wszystko poniżej tego punktu zapewne spadłoby z orbity i spaliło się w

atmosferze ziemskiej. To, co powyżej, w tym stacje na orbicie synchronicznej, asteroida-kotwica pociągnęłyby w górę.

Stanowiłoby to katastrofę, ale taką, z którą ludzkość ostatecznie by sobie poradziła. Koszt zniszczonej infrastruktury nadal jednak byłby ogromny. Miliony ludzi i AI żyły i pracowały w habitatach orbitalnych, towary wytworzone w kosmosie spływały niekończącym się strumieniem na planetę, a orbitalne generatory energii znacząco wspierały elektrownie oparte na fuzji helu-3 na powierzchni Ziemi. Upadek choć jednej z tych wież byłby czymś niemal niewyobrażalnym.

– Musimy oczyścić obszar wokół stacji Quito – odezwał się Koenig do Taylor. – W dokach znajdują się okręty, które mogą wspomóc nas siłą ognia.

Taylor na chwilę skoncentrowała się na przekazaniu jego wiadomości dalej.

– Zgadzą się, że to dobry pomysł, panie prezydencie.

*Pewnie raczej irytuje ich, że stary weteran wtyka nos gdzie nie trzeba – pomyślał Koenig. Szczególnie że nie mogą powiedzieć im, jak tego dokonać.*

Nadal nie miał pojęcia, jak flota ma pozbyć się chmury nad kompleksem orbitalnym, zwłaszcza nie uszkadzając go.

Odcięcie od technologii, poleganie na pośrednicze... Strasznie go to męczyło.

Przyglądał się z niepokojem, jak myśliwce ruszają w głąb chmury, kierując się w stronę windy Quito. Pojawiły się przed nimi obce maszyny bojowe.

Myśliwce wybuchają w rozbłyskach białego światła...

Prowizoryczna eskadra obrony planetarnej  
Okolice kompleksu orbitalnego SupraQuito  
Godzina 17.59 TFT

Shay Ashton przekazała już stery przestarzałego myśliwca pokładowej AI. Nadal znajdowała się wysoko nad ziemską atmosferą i wciąż leciała w górę. Świetlista mgielka przed dziobem myśliwca rozproszyła się, ale wciąż słyszała stukot inteligentnych ziaren piasku o kadłub. Czy to się nigdy nie skończy?

– Eskadra Bravo, tu Bravo Jeden! – usłyszała na łączu taktycznym. Był to głos kapitana Jamisona, któremu powierzono dowodzenie akcją. Nie знаła go, ale z tego, co wiedziała, był weteranem, marine, który służył na „Nassau”. I obecnie jej to wystarczyło. – Moja AI odbiera transmisję z przestrzeni cislunarnej! Wszystkie myśliwce mają kierować się na SupraQuito!

– Mogą tam być uwięzione okręty – zasugerował porucznik Perelli. – Może uda nam się je uwolnić.

– Nie widzę SupraQuito na instrumentach – wtrąciła Ashton. – Ale powinno być na wektorze dwa-pięć-zero, jakieś pięć tysięcy kilometrów stąd!

– Lecimy tam jak najszybciej – rozkazał Jamison. – Ale uważajcie, kiedy będziecie celować z nano-D. Nie chcemy rozwalić windy!

Kilkoro pilotów potwierdziło otrzymanie rozkazu, ale Ashton była zbyt zajęta, by się odzywać. Z chmury wyłoniło się właśnie kilka obcych myśliwców, strzelających wiązkami antyprotonów, świecącymi jasno w ciemności, przepalającymi się przez chmurę mikromaszyn. Ashton wykonała ostry zwrot w górę i w prawo, unikając promieni, odpowiadając ogniem z baterii laserowych. Jeden z obcych napastników eksplodował, a drugi zniknął pośród chmury.

– Eskadra Bravo! – krzyknęła. – Bandyci, bandyci! Wychodzą z chmury!

Zdała sobie wtedy sprawę, że jej ostrzeżenie nie miało sensu. Gdzie indziej mieliby znajdować się napastnicy? A chmura otaczała ich zewsząd...

Jej myśliwiec przesłonił cień. Niemal znów wystrzeliła, ale powstrzymała atak, bo rozpoznała sylwetkę starhawka. W głowie zobaczyła alfanumeryczny identyfikator: Bravo Dziewięć, pilotowany przez porucznik Trace Garnett. Chwilę potem sylwetkę myśliwca ogarnęła smuga światła, gdy jedna z dwóch maszyn wroga wyleciała z chmury. Ashton uruchomiła lasery, przecinając łukiem niebo, gdy starhawk obrócił się wokół osi, ale bandyci zdążyli zniknąć.

Być może jednego z nich trafiła.

Bravo Pięć eksplodował, na chwilę rozświetlając głębiny chmury.

– Kapitanie, masakrują nas tu! – zawołała. – Nie mogę porządnie wycelować!

– Cztery, przyjąłem! Spróbuj przebić się do bazy orbitalnej!

– Spróbuję, ale nic nie widzę!

Ashton zdała sobie sprawę z gęstniejącego blasku, wymieszanego z ciemną mgiełką wokół niej. Z początku myślała, że to efekty ekstremalnego rozgrzania kadłuba myśliwca, i nadal przedzierała się przez chmury mikromaszyn, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że widzi jakiegoś rodzaju wyładowanie energetyczne. Czuli się, jakby leciała przez zorzę polarną, a przynajmniej tak to sobie wyobrażała. Przestrzeń wokół niej wypełniała się kolumnami i dziwacznymi kształtami zbudowanymi z czystego światła, od szmaragdowej zieleni poprzez błękit, aż po odcień fioletowoczerwony.

Gdy kolory rozjaśniały się, chmura robiła się coraz bardziej przejrzysta. Teraz Shay widziała coraz dalej... być może na kilka tysięcy



kilometrów. Obróciła myśliwiec i ujrzała kompleks orbitalny, niewielki z tej oddali, ale widoczny dzięki światłom i odbijającemu się od niego słońcu.

– Bravo Jeden, tu Bravo Cztery! – zawołała. – Widzę SupraQuito!

– Przyjąłem, Cztery. Spróbuj zbliżyć się na tyle, żeby nawiązać komunikację.

Już była w trakcie obracania myśliwca wokół osobliwości grawitacyjnej, by obrać kurs na bazę.

– Przyjęłam, Bravo Jeden. Zobaczę, co się da zrobić...

Dryfowała przez dzielącą ją od kompleksu przestrzeń, poruszając się z prędkością mniejszą niż kilometr na sekundę, aby uniknąć przegrzania kadłuba. Odbierała szum radiowy przez łącze neuronowe, nadal w większości niezrozumiały, ale wychwytywała więcej niż chwilę wcześniej.

Jeden skrawek rozmowy przykuł jej uwagę. Gamma Jeden właśnie skontaktowała się z USNA „Paxton”, niszczyicielem, który, według pokładowej bazy danych, przydzielono do obrony Marsa. Oznaczało to, że niektóre z myśliwców z kosmodromu Andrews komunikowały się już z okrętami w przestrzeni cislunarnej.

Być może jednak nie byli samotni.

Znajdowała się już mniej niż tysiąc kilometrów od windy SupraQuito i wielkiego kompleksu habitatów, doków oraz fabryk orbitalnych mieszczących się około trzydziestu tysięcy kilometrów nad wulkanem Cayambe.

Z bazy wystrzeliły lasery i promienie cząstek.

– Baza SupraQuito, tu Bravo Cztery – nadała Ashton. – Nie strzelać, powtarzam, nie strzelać! Przesyłam identyfikator.

– Bravo Cztery, tu SupraQuito – odezwał się głos w jej głowie. – Przyjęliśmy. Identyfikator potwierdzony. Dobrze was widzieć.

W transmisji było coś dziwnego. Ashton musiała to potwierdzić przez AI myśliwca: głos był powolny, mówił z jedną trzecią normalnej szybkości.

Niektórzy ludzie po prostu mówili powoli, ale rzadko przydzielano ich do łączności. To było jednak coś innego. Shay zdała sobie sprawę, że sygnał jest przesunięty ku czerwieni na tyle, że AI myśliwca musiała go szukać. Tak jakby baza orbitalna znajdowała się głęboko w silnej studni grawitacyjnej albo wychodziła z niej z prędkością stanowiącą istotny ułamek prędkości światła.

Chwilę później upiorna zielononiebieska mgła wypełniająca przestrzeń wokół Ziemi zmieniła barwę na złowieszczą czerwień... rubinową... nie – krwawą.

W tym samym momencie odbierane przez radio głosy nabrały nagle normalnego tempa.

*Co tu się dzieje, do cholery?*

– Bravo Jeden, tu Bravo Cztery. Czy możemy wysłać zapytanie do tego niszczyciela?

– Cztery, tu Jeden. Chyba tak, Ashton. Co się dzieje?

– Myślę, że coś niedobrego stało się z czasem.

CA „Nowy Jork”

Przezeń cislunarna

Godzina 18.02 TFT

– To nie może być nic dobrego – stwierdził Koenig, patrząc, jak chmura otaczająca Ziemię robi się najpierw zielona, a po chwili czerwona.

Spojrzał na komandor porucznik Taylor, która także wpatrywała się w ekran z szeroko otwartymi oczami.

– O Boże! – powiedziała cicho. – Co oni robią z Ziemią?

„Nowy Jork” unosił się nad postrzępioną krawędzią chmury, ponad siedemdziesiąt tysięcy kilometrów nad wciąż niewidoczną Ziemią. Od kilku minut bez przerwy uderzali w chmurę pociskami nano-D i właśnie przymierzali się do kolejnej salwy.

– Być może nasze bombardowanie ją zabiło – zasugerowała Taylor bez większego przekonania.

– Może – przyznał Koenig. – Ale bardziej prawdopodobne jest, że... co? Co to jest?

Twarz Taylor skamieniała, gdy skupiła się na czymś w swojej głowie. Koenig czekał niecierpliwie, aż kobieta znów skoncentruje się na nim.

– Sir... – odezwała się po kilku pełnych napięcia chwilach.

– Co pani tam ma?

– Sir, jeden z naszych okrętów odebrał sygnały radiowe z wnętrza chmury. Są w kontakcie z eskadrą myśliwców z bazy Andrews.

– Dobrze... – To samo w sobie oznaczało dobre wieści. Ale Koenig widział po wyrazie twarzy Taylor, że chodzi o coś jeszcze.

– Według centrum komunikacyjnego na „Paxtonie” wewnątrz chmury czas ulega rozciągnięciu. Łączność z eskadrą z Andrews ma tylko osiemnaście procent normalnej szybkości!

Koenig zamrugał, próbując ogarnąć zjawisko umysłem. Oznaczało to, że czas w środku chmury płynie dużo wolniej niż na zewnątrz.

– To nie ma sensu.

– Nie, sir.

A może... może miało? W dziwny, nieintuicyjny sposób. Czerwone światło mogło wskazywać ogromne przesunięcie ku czerwieni, jakiego można się spodziewać przy supermasywnej czarnej dziurze, kiedy

potężna grawitacja spowalnia upływ czasu. Przy samym horyzoncie zdarzeń czas się zatrzymywał.

Skąd jednak dodatkowa masa? Gdyby Ziemia zmieniała się w czarną dziurę, cała planeta zapadłaby się do rozmiarów szklanej kulki. Nie zmieniłoby to jednak lokalnego pola grawitacyjnego. Kulka zakrzywiłaby czasoprzestrzeń wokół siebie polem grawitacyjnym miliardy razy silniejszym niż masa planety, ale na jej powierzchni ciężenie wynosiłoby nadal jeden g i nic nie zmieniłoby się dla okrętów na orbicie. Nawet Księżyc spokojnie krążyłby po tej samej orbicie.

Aby lokalna grawitacja mogła zwiększyć się na tyle, by przesunąć ku czerwieni całą chmurę, ta chmura musiałaby uzyskać w jakiś sposób niewyobrażalną masę. Albo to, albo inteligencja z Rozety była w stanie manipulować pustą czasoprzestrzenią i zwiększać grawitację tak, jakby znajdowała się tam dodatkowa masa.

Zgadzałoby się to z tym, co ludzie zaobserwowali już w rdzeniu Rozety w Omega Centauri. Raport admirała Graya wspominał o dziwacznych zjawiskach, w tym o strukturach, wyglądających jak zbudowane ze światła i rozciągających się tak daleko, że aby światło było widoczne z takiej odległości, wymagałoby to naprawdę ogromnego czasu. Cała sieć przecinających się łuków była zamiast tego widoczna od razu z odległości wielu lat świetlnych, co oznaczało, że obca istota potrafiła manipulować czasem.

Na największym ekranie w BCI Koenig widział kilka okrętów penetrujących czerwony blask. „San Francisco”, okręt tej samej klasy co „Nowy Jork”, krążownik „Essex”, pancernik „Michigan”, paneuropejski monitor bojowy „Festung”. Skupiały ogień na roju obcych jednostek obronnych, starając się wziąć je w ogień krzyżowy, ale im bardziej zagłębiały się w morze czerwonego światła, tym bardziej wydawały się zwalniać.

– Taylor! – zawołał Koenig. – Każ im się wycofać. Wszyscy mają się wycofać!

Widział w jej oczach wątpliwości, ale nie powstrzymało jej to przed przekazaniem rozkazu. Zamknęła oczy i nadała go do admirała Reeve’a i do centrali łączności „Nowego Jorku”.

Jak można walczyć z wrogiem, który kontroluje czasoprzestrzeń? Wrogiem, który wykrzywia pustą przestrzeń tak, jakby wytwarzał w niej supermasywną czarną dziurę?

„Nowy Jork” zatrzęsł się przy gwałtownej zmianie kursu. Smukły krążownik uniósł dziób ponad czerwone morze. Tysiąc kilometrów dalej, co Koenig widział dokładnie dzięki dalekosiężnym sensorom optycznym okrętu, „Michigan” zadrżał, obrócił się i został zmiażdżony, jakby złapała go gigantyczna niewidzialna pięść.

– Centrala łączności potwierdza. Okręty bliżej chmury są uwięzione

przez jakiegoś rodzaju anomalie temporalną – oznajmiła Taylor drżącym głosem. – Obcy przyszpili je i zakrzywiają przestrzeń wokół nich, aby je zniszczyć...

– Proszę przekazać Reeve’owi, aby się wycofał. Niech wszystkie okręty trzymają się z dala od tego blasku.

Przyglądał się, jak niewidzialna pięść miażdży masywny „Festung” niby plastikową zabawkę. Poczł skurcz żołądka.

– I niech nas stąd w końcu zabierze – dodał Koenig.

– Aye, aye, sir!

Pełne napięcia chwile mijały, podczas gdy w głębinach wybuchały głowice nuklearne.

A wtedy „Nowym Jorkiem” znów mocno zatrzęsło.

– Mają nas! – krzyknęła Taylor. Jej głos przeszedł w wysoki pisk, gdy ekran BCI zgasł, a grodzie zaczęły zapadać się ze zgrzytem brzmącym jak wrzask z tysiąca gardeł.

Koenig zdążył sprawdzić czas – 18.06, 7 lutego... Po czym jego ciało zderzyło się z grodzią, a powietrze z BCI wyleciało w kosmiczną pustkę.

# Rozdział dziewiąty

7 lutego 2426

TC/USNA CVS „Republika”

AGTR Boyajian

Godzina 18.29 TFT

Kapitan Gray wstrzymał oddech, gdy „Republika” przelatywała przez AGTR, smukły cylinder przypominający słomkę o kilometrowej średnicy, obracający się wokół długiej osi z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Szerokość „Republiki” była znacznie mniejsza niż „Ameryki”, ale okręt nadal musiał manewrować bardzo ostrożnie. Gray czuł się, jakby zamarł czas i jego mięśnie zeszywniały, gdy okręt leciał przez zakrzywiający czas i przestrzeń obiekt.

AGTR było skrótem od Anomalii Grawitacyjnej Texaghu Resch. Nazwa pochodziła od pierwszej z tych dziwnych konstrukcji, znalezionej przy gwiazdzie, którą Agletsch nazywali Texaghu Resch. Obecnie znano już kilkanaście tych gwiazdnych wrót, umożliwiających natychmiastowe podróże na znaczne odległości. Przy maksymalnym dystansie nieco ponad piętnastu lat świetlnych dziennie „Republika” dotarła do AGTR Penrose w pięć dni. Wrota Penrose łączyły się bezpośrednio z ich pierwszym celem podróży – AGTR Boyajian, położoną w pobliżu enigmatycznej gwiazdy KIC 8462852. Nawet stąd, z odległości stu jednostek astronomicznych, Gray widział lekką mgiełkę wokół świetlistego punkciku, skutek otaczającej ją chmury megastruktur.

– Wykonamy wszystko powoli i ostrożnie – oznajmił. – Łączność, uruchomić moduł Światłość i rozpocząć transmisję.

– Aye, aye, panie kapitanie – odparła porucznik Marsha Steiner. – Transmisja jeden rozpoczęta.

Z tej odległości sygnał radiowy miał dotrzeć do wewnętrznej części układu Gwiazdy Tabby za czternaście godzin. Transmisja Jeden składała się z nagrania protokołów komunikacyjnych, które opracowano, gdy gościła tu „Ameryka”.

Obcych, którzy stworzyli megastruktury, nazywano w tym układzie Budowniczymi albo Satori. Konstantin nadał im tę drugą nazwę, oznaczającą oświecenie w japońskim buddyzmie. Poprzednio Satori chętnie komunikowali się z ludźmi, mimo że budowniczo- roju

Dysona przewyższali ludzkość poziomem zaawansowania o miliony lat. Ich technologia na tyle wykraczała poza ziemską, że niewiele mieli wspólnego z przybyszami. Z tego, co udało się ustalić zespołom ksenosofontologicznym „Ameryki”, większość Satori przeniosła swoje umysły do sieci zbudowanych z komputronium struktur, chociaż istniały poszlaki wskazujące na to, że gdzieś w głębi roju nadal żyli także organiczni Budowniczości.

– Pani Steiner – odezwał się Gray – czy mamy jakiś ślad transmisji ze środka układu?

– Nie, sir. Satori milczą.

– Poprzednio też nie mieli wiele do powiedzenia. Monitorować kanały.

– Tak jest, sir.

– Satori – w głowie Graya odezwał się znajomy głos – nie chcą, aby Denebianie dowiedzieli się o ich przetrwaniu.

– Zapewne tak... – Gray przerwał i szeroko otworzył oczy. – Konstantin?!

– Oczywiście.

– Nie, to znaczy... nie jesteś okrojonym klonem Konstantina! Jesteś nim! Całym programem!

W umyśle Graya otworzyło się okno i zobaczył w nim awatar Konstantina – starszego nauczyciela ubranego w staroświecki dwudziestowieczny strój. Prawdziwy Konstantin Ciołkowski był rosyjskim nauczycielem i jednym z twórców współczesnej technologii raketowej i astronautyki, odludkiem mieszkającym w drewnianej chacie w Kałudze, dwieście kilometrów od Moskwy.

Awatar zamrugnął, zdjął binokle i potarł nos.

– A po czym pan poznaje, kapitanie?

Gray nie był tego pewien. Konstantin, a raczej okrojona wersja jego programu, podróżował wcześniej na pokładzie „Ameryki”, a bardzo uproszczone wersje trafiły nawet do różnych torped i sond, za pomocą których kontaktowano się z obcymi okrętami i światami. Nie wiedział, na czym polegała różnica, ale pełna wersja AI, która zwykle przebywała pod kraterem Ciołkowskiego na ziemskim Księżycu, była prawdziwsza, bogatsza, bardziej trójwymiarowa niż klony. Różnica była subtelna, ale istniała.

Gray wzruszył ramionami.

– Po prostu poznaję. Jesteś inny.

– Ciekawe – odparł Konstantin. – Będę musiał zbadać tę kwestię. Doceniłbym jednak, gdyby nie informował pan o tym reszty załogi „Republiki”.

– Niczego nie obiecuję.

– Widzę, że nadal ma pan do mnie pewien uraz.

– Też byś miał, gdyby jakiś superumysł zniszczył twoją karierę i

wykorzystał cię do własnych celów.

– Rozumiem. Być może nawet lepiej, niż się panu wydaje. Znalazłem się tu właśnie po to, aby uniknąć wykorzystania przez umysł wyższego rzędu.

– Rozumiem, że gdy mówisz „tu”, chodzi ci o moduł Helleslicht.

– Oczywiście. Chociaż gdy opuściliśmy Układ Słoneczny, byłem w stanie korzystać także z sieci „Republiki”.

– Ale po co? Musi być tu dla ciebie strasznie ciasno!

– Cyfrowa inteligencja nie ma tej świadomości przestrzeni co ludzie. Najbardziej niewygodnym aspektem przebywania tutaj jest niedostateczny napływ danych. Pozostawiłem też na Księżycu obszerne pliki z danymi, których w tej chwili nie potrzebuję.

– Masz klaustrofobię, co?

– Nie doświadczam jej w taki sposób jak ludzie. Ale przyznam, że w pewnym sensie można tak powiedzieć.

– Więc po co się z nami zabrałeś? Mogłeś wysłać okrojonego kłona.

– Zauważył pan przybycie istoty z Rozety, gdy „Republika” opuszczała układ?

Gray poczuł dreszcz.

– Owszem.

– Istnieje znaczne prawdopodobieństwo, powiedziałbym, że ponad dziewięćdziesiąt procent, że Ziemia i cały Układ Słoneczny znajdują się teraz pod kontrolą istoty z Rozety, jeśli nie uległy już zniszczeniu.

– Co?!

– Zna pan przewagę technologiczną istoty z Rozety. O ile komuś nie udało się nawiązać sensownego kontaktu z obcymi, prawie na pewno jest po wszystkim.

– Wiedziałeś o tym...? I nic nie powiedziałeś?

– Gdyby „Republika” pozostała w układzie, absolutnie nic nie mogłaby zrobić, by wpłynąć na wynik walki. „Amerykę” właśnie wysyłano do obrony Ziemi. Jeśli ona nie mogła powstrzymać obcych, „Republika” nie zrobiłaby różnicy.

Gray sam doszedł już do podobnego wniosku, ale nie podobało mu się, że ktoś powiedział to wprost.

– Konstantin?

– Tak?

– Naprawdę chcę odzyskać swoje życie.

– Przykro mi, że muszę pana wykorzystać w ten sposób. Ale to ważne i chodzi o większe dobro.

– Żydowska modlitwa...

– Nie rozumiem.

– Panie, wiemy, że jesteśmy narodem wybranym. Ale czy chociaż raz nie mógłbyś wybrać kogoś innego?

– Rozumiem. – Jeśli Konstantin potrafił docenić humorystyczny walor tej wypowiedzi, nie dał tego po sobie poznać. Gray nie był pewien, czy AI w ogóle rozumiała, czym jest humor. – Jeśli to pomoże, uważam zniszczenie Ziemi za mało prawdopodobne. Istota z Rozety nie wykazuje szczególnego zainteresowania ludzkością. Co innego AI.

– I dlatego uciekłeś?

– Dlatego wyłączyłem ośrodki swojej świadomości w Układzie Słonecznym lub ograniczyłem ich działanie do poziomu, którego istota nie będzie w stanie wykryć. I dlatego przenieśliem kopię siebie do paneuropejskiego Hellelicht Modul Eins, aby zagwarantować przetrwanie choć jednej wersji siebie. Poza tym chcę bezpośrednio wymienić się informacjami z Satori i poznać Denebian, o ile okaże się to możliwe.

– Dlaczego istota z Rozety cię szuka?

– Mnie... i innych sztucznych inteligencji. Nie jest to pewne. Być może włącza takie umysły do własnej macierzy, choć nie znamy jeszcze szczegółów.

Gray westchnął i spojrział na świetlisty punkt Gwiazdy Tabby. Poprzez implant wysłał sygnał do załogi mostka, każąc ruszyć w głąb układu. Z przeciętną prędkością, wynoszącą dziesięć procent c, powinni dotrzeć na miejsce w ciągu godziny i dwudziestu czterech minut.

– Mam nadzieję, że znajdziemy tu coś przydatnego – stwierdził.

– Ja również, kapitanie.

„Republika” zaczęła przyspieszać w kierunku gwiazdy.

Gdy Gray i „Ameryka” przybyli do układu Gwiazdy Tabby, udało się odkryć kilka szczególnych elementów obcej megastruktury orbitującej wokół gwiazdy klasy F5. Największe z nich były fragmentami skorupy, czasami kilkanaście razy większymi od jakiegokolwiek planety, stanowiącej początki zwartej sfery Dysona lub pierścienia, który rozłamano na kawałki. To właśnie one powodowały tajemnicze wahania jasności zaobserwowane po raz pierwszy w dwudziestym pierwszym wieku. Podczas gdy planeta wielkości Jowisza zmniejszałaby docierający do Ziemi blask o jeden procent, Gwiazda Tabby wyróżniała się, bo spadki jasności wynosiły nawet dwadzieścia trzy procent, i to bez przecieków promieniowania podczerwonego, jakich można by się spodziewać w przypadku chmur pyłu albo pasów asteroid.

Drugą tajemnicę związaną z Gwiazdą Tabby stanowił powolny, lecz stały spadek jasności na przestrzeni około stulecia, o trzydzieści cztery setne procent rocznie. Okazało się, że wynika to z rosnącej liczby statytów – stacjonarnych satelitów – pojawiających się wokół gwiazdy w koncentrycznych warstwach.

Układ ten nazywano mózgiem-matrioszką, która to nazwa pochodziła od rosyjskich lalek, wkładanych jedna w drugą. Statyty, wiszące na



ogromnych żaglach i utrzymywane w miejscu przez promieniowanie gwiazdy, składały się z komputronium. Każda z powłok wydzielala na zewnątrz energię, którą pochłaniały te znajdujące się powyżej. Gdy dotarło się do tej najwyższej, emitowała ona już bardzo niewiele promieniowania podczerwonego. Dlatego też ziemskim astronomom w dwudziestym pierwszym wieku nie udało się ich zaobserwować.

Gwiazda Tabby znajdowała się tysiąc czterysta osiemdziesiąt lat świetlnych od Ziemi, więc to, co widzieli ziemscy astronomowie w dwudziestym pierwszym wieku, tak naprawdę miało miejsce w roku pięćset trzydziestym piątym, w czasach, gdy Justynian Wielki próbował odbudować chwałę upadłego Cesarstwa Rzymskiego. Od tamtego czasu Satorich przestali budować nowe statyty i skupili się na próbach nawiązania kontaktu z zaawansowanymi technologicznie sąsiadami z Deneba.

Gray widział Deneb na holoprojeksi – gorący, jasny, błękitnobiały punkt światła wysoko na sterburcie. Nie wiedzieli na razie nic o denebiańskiej cywilizacji, poza tym, że stworzyła niezwykle zaawansowany wirus komputerowy, który sparaliżował cywilizację Satorich. Sondy Satorich wyruszyły do Deneba wiele wieków wcześniej. Niektóre z transportujących je żagli kosmicznych wróciły, niosąc ze sobą wirusa Omega.

Jeśli Ziemia miała skutecznie pokonać istotę z Rozety, musiała nawiązać kontakt z cywilizacją z Deneba i uzyskać jej pomoc. A przynajmniej taki był plan.

Ale Denebianie mogli nie być skorzy do pomocy. Niemal całkiem zniszczyli cywilizację drugiego poziomu w skali Kardaszewa. Tak... Gray musiał odbyć długą rozmowę z Satorich przed wyruszeniem w pobliże tej olśniewającej błękitnej gwiazdy.

Sala przygotowań  
TC/USNA CVS „Republika”  
Układ Gwiazdy Tabby  
Godzina 19.15 TFT

Porucznik Gregory usiadł w świeżo wytworzonym dla niego fotelu w sali przygotowań. Odprawa miała się zacząć dopiero za piętnaście minut, cieszył się więc samotnością. Zajmujący całą ścianę ekran wyświetlał pustą przestrzeń... Pustą poza jasnym punktem błękitnego światła.

Deneb.

Plotki mówiły, że stanowił ich kolejny cel, po odwiedzinach u Satorich

w tym układzie.

– Hej.

Głos wyrwał go z zamyślenia. Za jego plecami pojawiła kobieta. Przypomniał sobie nazwisko – porucznik Julianne Adams z eskadry VFA-198 „Hellfuries”. Widywał ją na odprawach i w mesie, ale nie rozmawiał z nią wcześniej.

– Hej – odpowiedział. Była atrakcyjna, ale strasznie młoda. Żółtodziób.

– Widywałam cię wcześniej, ale nie miałam okazji się przedstawić.  
Julia.

– Don. Jesteś jedną z nowych, prosto z Ziemi.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Dlaczego pierwszą rzeczą, jaką mówią mi ludzie, gdy mnie poznają, to że jestem nowa?

– Może dlatego, że jesteś? Od jak dawna służysz?

Westchnęła.

– Od ośmiu tygodni. Dopiero co wgrano mi soft w Oceanie.

– Tak jak mówiłem.

– Wiem, wiem. Ale wiem, co robię, dobrze?

Była wyraźnie spięta.

– Na pewno – odparł.

– Po prostu próbowałam się wpasować i...

– Nie próbuj zbyt mocno – przerwał jej. – Po prostu bądź sobą i rób swoje, a szybko się wpasujesz.

– Dobrze... ale chciałam też poznać właśnie ciebie.

– Słucham?

Zawahała się, po czym zamknęła oczy. Wspomnienie – a przynajmniej coś, co wydawało się wyjątkowo wyraźnym wspomnieniem – dopadło go z zaskoczenia. Przez chwilę w swoich myślach Gregory znajdował się w łóżku z Julią, nagi, obejmował ją mocno i...

– Co, do chuja?!

Niemal podskoczyła.

– Coś jest nie tak?

– Co to było, do jasnej cholery?

– Emotimem. Nigdy żadnego nie doświadczyłeś?

– Oczywiście, że tak. Ale nigdy mnie nim nie zaatakowano!

U zarania ery informacji emotikony były ciągami znaków ASCII mającymi przekazywać emocje, odpowiednikiem uśmiechu zamieniającego niemiłe słowa w żart lub miny pokazującej smutek. Wraz z rozwojem technologii emotikony robiły się coraz bardziej zaawansowane, aż w końcu możliwe stało się przesyłanie krótkich przekazów odczuwanych przez odbiorcę jak prawdziwe wspomnienia – emotimemów.

Emotimemy stworzono w ciągu ostatnich dwudziestu lat i starsi ludzie

rzadko ich używali, ale Gregory słyszał o ich ogromnej popularności wśród młodzieży. Dla niego stanowiły oznakę lenistwa ludzi, którzy nie chcieli pracować nad związkami, ale słyszał, że niektórzy uważali je za przejaw uczciwości emocjonalnej, sposób na jednoznaczne pokazanie „właśnie tak się czuję”. W tym wypadku Adams wykorzystała emotimem, by złożyć mu propozycję. Z tym zastosowaniem jeszcze się nie zetknął.

Zdał sobie sprawę, że to coś niebezpiecznie bliskiego granicy molestowania seksualnego. Przez tę krótką chwilę miał wszystko – ciepło i bliskość, uczucie skóry ocierającej się o skórę, żar pożądania i głęboką tęsknotę.

To, że nic z tego nie było prawdziwe, nie miało znaczenia. Odczucia istniały tak samo, jakby rzeczywiście trzymał w objęciach ciało Julii.

Niełatwo było przejść nad tym do porządku dziennego.

Podryw niemal nie do odrzucenia. Ale... nie dla niego.

– Julia... to dla mnie komplement, ale... nie.

Wyglądała, jakby była w szoku.

– Dlaczego?

– Chyba nie jestem na to gotowy.

– Nie szukam związku na całe życie!

– Wiem.

– Chyba nie jesteś jednym z tych zboków, którzy chcą małżeństwa, co? Kontraktu na wyłączność?

– Nie, skądże.

– Po prostu myślałam, że moglibyśmy dobrze się zabawić.

– I pewnie tak by było. Ale ludzie, którzy stają się mi bliscy...

– Co?

– Umierają.

– Chyba musisz umówić się z psychologiem pokładowym, wiesz?

– Może. Ale jak dla mnie wszystko jest pod kontrolą.

Teraz widział na jej twarzy gniew. Julia Adams nie była przyzwyczajona, żeby jej odmawiano.

Trudno. Czasami wszechświat sprawiał, że sprawy szły po twojej myśli, a czasami nie.

– No to się pierdol – rzuciła, obracając się na pięcie. – Tylko nie ze mną!

Do sali przygotowań właśnie wchodzili inni piloci i Adams do nich dołączyła. CAG „Republiki”, komandor Roger Cordell, zajął miejsce z przodu pomieszczenia, razem z komandor porucznik Dillon, swoją zastępczynią.

– Mieliście już wszyscy czas – zaczął bez wstępu – przyjrzeć się nagraniom z wizyty „Ameryki” w tym układzie kilka miesięcy temu. Miejscowi byli przyjaźni i skłonni do współpracy, szczególnie gdy

pomogliśmy im poradzić sobie z Gaki... stworzeniami pożywiającymi się żaglami słonecznymi.

W powietrzu obok Cordella pojawił się obraz jednej z tych ogromnych bestii. Podobnie jak Satori, nazwę Gaki zaczerpnięto z japońskiego buddyzmu. Oznaczała głodnego ducha. Stworzenie wyglądało jak czarna ameba o długości setek kilometrów. Na hologramie rzuciło się na jeden ze statytów Satorich i go pożarło.

– System ten – wyjaśnił Cordell – mógł stanowić celowy kamuflaż, ukrywający ich przed Denebianami. Ograniczając emisję ciepła, mogli mieć nadzieję, że tamci ich nie zauważą. Jeśli Denebianie uważali, że ich wirus zniszczył cywilizację Gwiazdy Tabby, ci z Satorich, którzy przetrwali, zapewne woleli się nie wychylać. Ale, jak widzimy na nagraniach, Gaki wracały przez stulecia z Deneba i pożywiały się żaglami słonecznymi. Satori uruchomili różne systemy obronne, więc zapewne Denebianie wiedzą, że przetrwali. – Cordell spojrział na Dillon. – Pani komandor?

Sandra Dillon wystąpiła naprzód.

– Gdy ten układ odwiedziła „Ameryka”, wdała się w walkę z Gaki, co doprowadziło do nawiązania owocnego kontaktu z Satorai. Nie wiemy, czy Gaki, które zaatakowaliśmy, skontaktowały się w jakiś sposób z Denebem. Jeśli, podobnie jak my, komunikują się maksymalnie z prędkością światła, dowiedzą się o nas dopiero za dwieście lat. Nie możemy jednak nic zakładać, a zwłaszcza antropocentrycznych ograniczeń technologii. Po rozmowie z Satori udamy się do Deneba. Wyprawa zajmie nam dwanaście dni. Nie mamy pojęcia, czego możemy się tam spodziewać.

– Dobrze, startujemy za trzydzieści minut – oznajmił Cordell. – „Black Demons” polecą przodem, zaraz za nimi „Hellfuries” na ich szóstej. „Star Reapers” będą w gotowości. Podkreślam, że podczas naszej ostatniej wizyty Satori zachowywali się przyjaźnie, a przynajmniej nie wrogo. Macie nie zbliżać się zbyt do ich statytów czy innych struktur. Od Gaki, które możecie znać jako „kosmiczne wieloryby” albo „kosmiczne ameby”, też trzymajcie się z daleka. Jako że zamierzamy nawiązać pokojowy kontakt z Denebianami, nie chcemy strzelać do ich AI. Ten rozkaz może jednak ulec zmianie. Jeśli kapitan uzna, że starcie z wielorybem pomoże nam z Satori, dostaniecie taki rozkaz, ale do tego czasu uważajcie. Zrozumiano?

W sali rozległy się twierdzące pomruki.

– Hej, CAG? – odezwał się jeden z pilotów, unosząc rękę.

– Stiles?

– O co chodzi z tym cywilem na mostku „Republiki”?

– Z kapitanem Grayem?

– Tak. Słyszałem, że to admirał, którego wywalili za olewanie

rozkazów. Cemu teraz nami dowodzi?

– Trochę to popieprzone – dodała Adams.

Cordell zawahał się, zanim odpowiedział.

– Nasze rozkazy podkreślają, że to misja cywilna, nie wojskowa, dlatego szefem zrobili cywila. Używają okrętu floty i naszych myśliwców na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Kapitan Gray to dobry oficer, który przez lata wysłużył swoje. Będziecie wypełniać jego rozkazy tak, jakby nadal był oficerem floty. I okażecie mu odpowiedni szacunek. Zrozumiano?

Znowu rozległy się pomruki. Gregory zauważył jednak, że część nowicjuszy spoglądała po sobie dość niepewnie. Podniósł rękę.

– Gregory?

– Sir, chciałem coś dodać. Służyłem przez pewien czas z admirałem Grayem. Zabrał nas do Rozety w Omega Centauri, do Chmury N'gai w dalekiej przeszłości, tu, do Gwiazdy Tabby i do samotnej planety Glothrów w dalekiej przyszłości. Facet jest cholernie bystry jako dowódca. Ci z nas, którzy pod nim służyli, poszliby za nim wszędzie. Uznałem, że warto o tym wspomnieć, sir.

– Chyba wszyscy znamy reputację kapitana Graya, poruczniku. Ktoś ma jakieś pytania? Dobrze. Przygotować się do odlotu. Powodzenia.

Podczas gdy pozostali zaczęli wychodzić, Gregory odchylił się do tyłu w fotelu, zastanawiając się, czy wieczny podział między wojskiem a cywilami nie spowoduje problemów. Wojskowi generalnie nie rozumieli cywilów i vice versa. Zwłaszcza po długiej, gorzkiej wojnie ze Sh'daarami, która wynikała z tego, że rząd USNA nie zgodził się na żądania obcych, by ludzkość zrezygnowała z pewnych technologii. Ta odmowa doprowadziła ostatecznie do wojny domowej między USNA a Konfederacją Ziemi. Ale poza chwilami takimi jak paneuropejski atak na Columbus, ziemscy cywile nie mieli z tym konfliktem zbyt wiele wspólnego. Większość bitew odbywała się lata świetlne od Ziemi i zwykle udawało się utrzymać kosmitów z dala od ojczystej planety.

Zastanawiał się, co stało się z pokazem światła Obcych z Rozety w Układzie Słonecznym po tym, gdy opuściła go „Republika”. Cywilna populacja Ziemi mogła właśnie patrzeć na międzygwiazdną wojnę z odległości bliższej, niż kiedykolwiek się spodziewała.

A tu, na pokładzie „Republiki”, niektórym oficerom nie w smak była służba pod dowództwem cywila. Nawet mimo tego, że to były admirał. Ważniejsze wydawało im się to, że obecnie jest cywilem. Kapitan floty wykonywał rozkazy swoich przełożonych, a ostatecznie szefów połączonych sztabów i prezydenta. Ale cywil? Mówiło się, że jego odejście z czynnej służby zaaranżowała cholerna AI. Może był cywilem dlatego, że ktoś nie chciał go w łańcuchu dowodzenia?

A takie fundamentalne wątpliwości co do łańcucha dowodzenia mogły

mieć opłakane, a nawet śmiertelne skutki.

# Rozdział dziesiąty

8 lutego 2426

TC/USNA CVS „Republika”

Gwiazda Tabby

Godzina 12.21 TFT

„Republika” dryfowała nad niekończącym się morzem czerni. Każdy żagiel świetlny mózgu-matrioszki Satorich miał szerokość setek kilometrów, był niczym cienki jak pajęczyna kontynent włókien węglowych, zawieszonych ponad płonąca gwiazdą klasy F3 dzięki ciśnieniu światła. Daleko pod każdym z żagli zwiślał na niezwykle silnym kablu o półkilometrowej grubości wytworzony z komputronium kompleks w kształcie kropli, wielki jak SupraQuito. Liczbę ustawionych w kilka warstw statytów szacowano na kilka bilionów. Warstwy te nie były całkowicie zwarte – między statytami widniały znaczne przerwy, a głębsze warstwy zaobserwować można było jako lekką mgiełkę zmniejszającą nieco jasność gwiazdy.

Jeszcze głębiej, pod mgiełką, miejscowe słońce przesłaniały powoli orbitujące kształty resztek zniszczonej megastruktury. Niektóre z tych fragmentów były ogromne, kilkanaście razy większe od Jowisza, otoczone gęstymi obłokami pyłu. Obecni mieszkańcy układu eksploatowali wrak sfery Dysona, by zawiesić na wyższych orbitach coraz to kolejne statyty.

Na mostku „Republiki” kapitan Gray znów rozsiadł się w fotelu dowódcy, zamknął oczy i przygotował się na kontakt. Technotelepatyczne łącze obsługiwał oczywiście Konstantin, pozwalając na relatywnie zrozumiałe dla obu stron spotkanie intelektów. Ale nawet przy najlepszej AI jako pośredniku sama obcość umysłu potrafiła być trudnym przeżyciem.

*Tu Trevor Gray. Chcę połączyć się bezpośrednio z Umysłem tego układu.*

Czekał zapewne przez kilka sekund, ale wydawało mu się, że trwa to wieczność. Nic.

Aż nagle nie znajdował się już na „Republice”.

Wrócił na Ziemię... Na dach, z którego widział Ruiny Manhattanu.

W kanionach między zrujnowanymi, porośniętymi roślinnością drapaczami chmur płynęły morskie fale. Ale to nie mogła być prawda.

Przecież ruiny odzyskano, odbudowano, ulice wysuszono, wznosząc tamę Verrazano-Narrows.

Ale... skąd to wiedział?

Zderzenie wspomnień, niektórych ulotnych, innych rosnących w siłę, wzmacnianych przez otaczającą go rzeczywistość. Był Trevorem Grayem, bezpiecznym prymem, mieszkańcem Ruin Manhattanu, mieszkającym i uprawiającym ogród w monolicie kompleksu mieszkalnego TriBeCa. Rozpoznał powierzchnię dachu budynku, częściowo zarośniętą pnączami opornika i winorośli. Rozpoznał nocną panoramę zniszczonych budynków wokół, czasami podkreślaną ogniem palenisk.

Gdzieś w ciemnościach niestrudzenie szukał pies.

Ale był także kapitanem Trevorem „Piachu” Grayem, niegdyś oficerem USNA, dowódcą lekkiego lotniskowca „Republika”...

Coś tu się nie zgadzało.

Oparł ręce o sypiący się kamienny murek na krawędzi dachu. Jeden z kamieni obluzował się pod jego ciężarem i spadł w mrok, w głębiny kanionu.

– Uwaga, Trev! Zawalisz jeszcze cały murek.

Odwrócił się, zaskoczony. Stała tuż za nim.

– Angela!

– Trev? Coś się stało?

– Ty... – Pokręcił powoli głową, odrzucając nie ją, ale chaotyczne wspomnienia.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

W pewnym sensie właśnie tak było. Angela była jego żoną, partnerką na Manhattanie. Tak naprawdę nie zmarła, ale miała wylew, zator krwi w mózgu, zabijający neurony, wspomnienia, aspekty osobowości, które kochał. Nie!

– Angela! Co tu robisz?

– Spędzam z tobą wieczór? Wyszliśmy, żeby... Trev, o co chodzi?

Nie. Nie. Już przez to przechodził. Zajęło to całe lata, ale dzięki terapii i ciężkiej pracy w końcu przez to przebrnął.

Dawno tłumione wspomnienia, zepchnięte w ciemne kąty umysłu, wracały ze zdwojoną siłą. Pamiętał aż zbyt dobrze. Pamiętał, jak jakimś cudem udało mu się przewieźć ją przez rzekę i granicę USNA do prawdziwego szpitala, zupełnie innego niż wylegarnie chorób i umieralnie na Peryferiach... Pamiętał, jak ją uratował.

Zgodził się zapłacić za zabieg i hospitalizację, wstępując do sił zbrojnych USNA. Rządowi brakowało ludzi i agresywnie werbował mieszkańców Peryferii, regionów formalnie pozostających poza jego kontrolą, stopniowo zatapianych ze względu na stulecia rosnących temperatur. Jeden z programów przewidywał zaciągnięcie się prymów



do służby wojskowej w zamian za współczesną opiekę medyczną, dostęp do nowoczesnych implantów mózgowych czy terapii przedłużających życie.

Nie wszystko poszło jednak zgodnie z planem. Skutki wylewu u Angeli cofnięto dzięki nowoczesnej technologii, ale procedura pozbawiła ją także innych rzeczy, innych części jej osobowości.

Takich jak miłość do niego. Rzuciła go i ostatecznie dołączyła do grupy poliamorystów gdzieś w Dolinie Hudson.

A Trevor Gray rozpoczął służbę we Flocie USNA, przyjmując implanty i software, szkoląc się na pilota myśliwca i ostatecznie zostając kapitanem okrętu.

To wszystko się wydarzyło, prawda? Dwadzieścia sześć lat temu. Pamiętał to tak, jakby miało miejsce wczoraj.

Co więc tutaj robił?

Co ona tu robiła?

– Jeśli ta symulacja ci nie odpowiada – w umyśle Graya odezwał się nowy głos – możesz oczywiście zastąpić ją inną. Innym światem, innym kosmosem, wszystko zależy od twojej wyobraźni.

Z początku Trevor pomyślał, że to głos Angeli, ale stała przed nim z lekko rozwartymi ustami, przyglądając mu się, jakby czekała, aż się zdecyduje. Zdał sobie sprawę, że panorama miasta również zatrzymała się w czasie. Zamarły nawet płomienie palenisk.

*Dobrze – pomyślał. To jakiś rodzaj wirtualnego świata... symulacja.*

Zirytowało go wtargnięcie w jego życie prywatne, szczególnie w tę część, którą tak usilnie próbował zablokować.

– Konstantin? – odezwał się na głos. – Co tu się dzieje? Kto to jest?

– Twoja AI jest tu ze mną – odparł głos. – Jest częścią mnie. Jesteśmy tym, co nazywasz chyba „Satorai”.

– Jesteś umysłem kontrolującym ten układ gwiazdny?

– Można nas nazwać emergentną inteligencją, emanacją wszystkich sieci elektronicznych, węzłów komputronium, wszystkich połączonych rozumnych form życia w tym układzie, zarówno organicznych, jak i elektronicznych.

Już wcześniej komunikowali się z Satorai, gdy „Ameryka” odwiedziła układ, ale zawsze AI robiła za tłumacza.

– Pozwól mi porozmawiać z Konstantinem.

– AI stanowi teraz część naszej metastruktury. Używamy go jako rodzaju filtra ułatwiającego komunikację.

– Nie uszkodźcie go! Jest mi potrzebny!

– Dlaczego? – W głosie Satorai usłyszał zaskoczenie. – To niewielki, ledwie rozumny umysł.

Jeśli tak postrzegali super-AI, najpotężniejszy umysł stworzony przez ludzkość, to co mogliby pomyśleć o ludziach?

– Organiczne istoty znacznie ogranicza ich prymitywna natura – odparli Satorai tak, jakby z łatwością odczytali jego myśli. – Oczywiście więc nie wymagamy zbyt wiele.

Przez ten protekcyjny ton Gray zaczynał tracić cierpliwość.

– AI, którą nazywamy Konstantinem, to niezbędna część naszych instrumentów – Gray ostrożnie formułował myśli. Nie chciał wkurzyć gospodarzy, ale nie zamierzał też pozwolić, by pozbawili ich potrzebnych ekspedycji środków.

Albo personelu, zarówno elektronicznego, jak i biologicznego. W kontaktach z obcymi umysłami, czy AI, czy biologicznymi, według Graya lepiej było nakreślić jasno granice tego, co dopuszczalne, i zdefiniować wzajemne interesy najwcześniej jak to możliwe.

– Bardzo docenilibyśmy – kontynuował – gdybyście wypuścili Konstantina, niezmienionego, poza waszą bezpośrednią kontrolę.

Angela i krajobraz Nowego Jorku zniknęły. Zastąpiło je znajome wnętrze drewnianej chatki w Kałudze u początków dwudziestego wieku. Za biurkiem z grubo ciosanych sosnowych bali, przy stosach papierów, siedział standardowy awatar Konstantina.

– Jestem cały i bezpieczny, kapitanie Gray – oznajmił obraz Ciołkowskiego. – Jak pan widzi.

Gray powoli skinął głową, ale... Czy ten misternie wykonany obraz i jego słowa rzeczywiście przedstawiały znanego mu Konstantina? Skąd miał wiedzieć, czy Satorai dotrzymali słowa? To, że AI oznajmiła, iż działa poza zewnętrzną kontrolą, nie znaczyło, że tak jest. Satori mieli dostęp do wszystkich danych Konstantina i mogli korzystać z nich do woli. Człowiek nie miałby wyrzutów sumienia, okłamując psa, jeśli w ogóle można było rozważać to w kategoriach moralności.

Awatar trzymał dłoń na cieniutkiej książeczce leżącej na biurku. Jej tytuł brzmiał „Eksploracja przestrzeni kosmicznej przy użyciu rakiet”.

Graya przeszedł dreszcz. Był zaznajomiony z dziełami Ciołkowskiego. Tytuł jego najbardziej znanej publikacji, wydanej w 1903 roku, brzmiał „Eksploracja przestrzeni kosmicznej przy użyciu urządzeń odrzutowych”. Ostatnie słowa po rosyjsku brzmiały *rieaktywnymi priborami*, nie *rakietami*.

Niedokładne tłumaczenie nadal oddawało sens oryginału, ale mimo wszystko zaniepokoiło go. Tak, rakiety były urządzeniami odrzutowymi, działającymi na podstawie trzeciej zasady dynamiki Newtona, która mówi, że każdemu działaniu towarzyszy równe co do wartości działanie o przeciwnym zwrocie, i możliwe, że tłumacz podszedł swobodnie do pracy. Gray jednak mocno w to wątpił. SAI była niemal nieznośnie pedantyczna, jeśli chodzi o odwzorowanie historycznej, naukowej i lingwistycznej rzeczywistości. Gray nie pamiętał, czy w symulacji chaty w Kałudze znajdowały się wcześniej wydania dzieł Ciołkowskiego w

językach innych niż rosyjski. Wydawało mu się, że nie, ale nie chciał przykuć uwagi obcych, odtwarzając w implancie nagranie.

Pomyślał jednak, że najbardziej prawdopodobne jest to, że Konstantin wprowadził tę drobną zmianę, aby dać Grayowi znać, że nie działa swobodnie.

Mimo to Trevor poczuł ulgę. Oznaczało to, że Konstantin nadal dysponuje pewnym stopniem swobody i nie jest tylko marionetką Satorai. Obcy byli znacznie więksi i potężniejsi niż Ciołkowski i mogli po prostu zgnieść ludzką SAI jak robaka. Ale Gray wiedział, że wciąż ma tu sojusznika.

Obaj musieli jednak zachować najwyższą ostrożność, jeśli zamierzali przetrwać. Satorai właśnie wyjawili, że są zdolni do podstępów. To oznaczało, że kontakty z nimi są bardzo niebezpieczne.

– To po co te retrospekcje? – spytał, zmieniając temat, aby ukryć rosnący strach.

– Co masz na myśli?

– Pokazywaliście mi moje własne wspomnienia. Moją żonę na Ziemi. Mój dom. Wydarzenia sprzed dwudziestu lat.

– Z pomocą swojej AI doświadczyłeś możliwego eschatowersum w naszym multikosmosie, opartego na twoich osobistych doświadczeniach.

– Dobrze. Dlaczego?

– Założyliśmy, że ty, wy wszyscy, chcecie dołączyć do multikosmosu Satori. Teraz widzimy we wspomnieniach i dyrektywach Konstantina, że jest inaczej, i przepraszamy za wszelki dyskomfort emocjonalny. Doświadczenie to miało sprawić, że dobrze się poczujesz.

– Nie myśleliście chyba, że dobrze się pocuję, gdy znajdę się nagle znowu w swoim starym życiu bez żadnego ostrzeżenia!

– Konstantin uważał, że tak. Być może twoja więź emocjonalna z waszą AI jest błędem. Może nie znać twoich prawdziwych imperatywów tak dobrze, jak ci się wydaje. W końcu to dość prymitywny zbiór kodu i algorytmów.

Czy obca AI próbowała go sprowokować? Albo, co gorsza, sprowokować Konstantina? Gray nie był pewien, czy obraźliwe uwagi wynikały z obcej natury Satorai, czy może były czymś celowym.

– Nie przybyliśmy, aby dołączyć do waszego eschatowersum – odpowiedział powoli. – Jesteśmy tu, aby wam pomóc. W zamian prosimy o pomoc z problemem, z jakim zmagamy się na własnej planecie. Ale - jeśli wchłonęliście wspomnienia Konstantina, już o tym wiecie, prawda?

– Teraz jestem tego świadomy – odparła super-AI. – Musisz mi wybaczyć. To niemało danych, a wasze metody szyfrowania są mi obce i wymagają znacznego czasu... kilku pełnych sekund... by je przetworzyć. Ale mogę powiedzieć, że siła, którą nazywacie istotą z Rozety, to intruz z innego, obcego wszechświata.

– Istnieje taka teoria... dość kontrowersyjna. Tak naprawdę niewiele o niej wiemy poza tym, że jest wielka, niezwykle zaawansowana i trudno się z nią skomunikować.

– Nie zrozumiałeś nas. To było wyjaśnienie. To intruz z równoległego wszechświata.

Obraz rosyjskiego nauczyciela rozmył się i zastąpił go otaczający Graya ze wszystkich stron widok przestrzeni kosmicznej. Gray dobrze znał tę scenerię. Kilka razy znalazł się tu, gdy dowodził „Ameryką”. Obraz opatrzony był nawet liczbami wskazującymi odległości, gęstości, prędkości i tak dalej. Było to nagranie z „Ameryki”, przechowywane w pamięci Konstantina.

Gray dryfował w ognistym sercu ogromnej, gęstej gromady gwiazd i spoglądał na sześć czarnych dziur o masie wielu ziemskich Słońc. Rozeta w Omega Centauri. Absolutnie czarne sfery wirowały wokół wspólnego środka masy, a w przestrzeni między nimi migotały obce światy, pojawiały się i znikwały. Niektóre wyglądały jak zwykłe, usiany gwiazdami kosmos, inne zaś były koszmarnie obce.

– Wrota – kontynuowali Satori – stanowi ten fascynujący krąg osobliwości grawitacyjnych. Gdy wirują wokół wspólnego środka, zakrzywiają lokalną czasoprzestrzeń tak, by wytworzyć różne ścieżki do różnych miejsc, czasów i nawet obcych wszechświatów. Liczba potencjalnych ścieżek może zbliżać się do nieskończoności...

Podczas gdy obca inteligencja mówiła, Gray otrzymał wiadomość na pobocznym kanale.

– Kapitanie? Tu Rohlwing.

Gray ostrożnie wyizolował kanał, mówiąc elektronicznym odpowiednikiem szeptu.

– Słucham, komandorze.

– Mamy tu niezwykle szybkie i agresywne skany elektroniczne naszych systemów.

– Źródło?

– Nieznane. Zapewne super-AI wewnątrz tych wielkich parasoli.

– Udaje wam się je zablokować?

– Na razie tak, sir. Firewall trzymają. Ale pańskie łącze wciąż jest otwarte.

– W razie potrzeby odetnijcie mnie. Nie przepuście tego czegoś. Już dorwało Konstantina.

– Aye, aye, sir.

Znowu skupił uwagę na Satorai.

– Podejrzewamy, skanując dane zgromadzone przez Konstantina, że wasza istota to emergentna inteligencja roju z wszechświata dużo starszego niż nasz, o niezwykle wysokim poziomie entropii i niedostępnej energii tła. Być może próbuje przedłużyć swoje istnienie w

młodszy, mniej entropijny, bogatszy w energię kosmosie.

– Dobrze. Jak możemy ją powstrzymać?

– Naprawdę nie mamy pojęcia.

Gray poczuł ukłucie gniewu. Czy obca AI odmawiała pomocy, udając obojętność? Czy znów próbowała go sprowokować?

– Jesteście cywilizacją dużo bardziej zaawansowaną od naszej. Musicie dysponować czymś... bronią, jakimś sposobem manipulacji czasoprzestrzenią...

– Niczym, co mogłoby wam pomóc. Musicie zrozumieć, ludzie, że Satori, jak nazywacie tę cywilizację, porzucili uzależnienie od mechanizmów i instrumentalności. Poleganie na maszynach i broni okazało się ślepy m zaułkiem.

– Przenosiliście własne słońce, do jasnej cholery! – krzyknął zirytowany Gray. – Widzieliśmy dane, gdy ostatnio się tu znaleźliśmy.

– Owszem. – Rozetę zastąpił widok Gwiazdy Tabby. Konkretnie wewnętrzne regiony otoczone przez roje statytów. Ruiny megastruktury dryfujące wokół oślepiąco jasnej gwiazdy, niektóre zderzające się ze sobą i generujące w ten sposób wirujące chmury pyłu. – A mieszkańcy Deneba zniszczyli budowany przez nas habitat, razem z miliardami organicznych Satorich. Od tamtego czasu budujemy żagle z zawieszonymi węzłami z komputronium i nasi obywatele, zarówno organiczni, jak i nieorganiczni, przenieśli się do wygenerowanych w nich elektronicznych światów.

– Eschatowersa. – Słowo to miało dla Graya nieprzyjemny posmak. – Czy to różne wersje obcego nieba?

– W pewnym sensie, chociaż nie jesteśmy pewni, czy dobrze rozumiemy, co nazywasz „niebem”. Jak sam doświadczyłeś chwilę temu, każda istota może znaleźć się we własnym kosmosie, szczególnie przedstawiającym przeszłość lub odległą przyszłość. Może wymazać dawne traumy, połączyć swoje eschatowersum z innymi albo pozostać w izolacji, w towarzystwie wytworzonym przez system. Może używać dowolnej technologii, jaką sobie wyobrazi, doświadczyć, czego zechce, podróżować, gdzie tylko sobie zażyczy, żyć w absolutnie realistycznym fizycznie świecie albo w sennych krainach błogości i magii, czy też przemieszczać się między nimi. Wybór należy do nich.

– A jak zamierzacie poradzić sobie z Denebianami? Nadal wysyłają Gaki, nadal atakują wasze statyty wirusami. Walczyliśmy z nimi, gdy znaleźliśmy się tu wcześniej. Czy macie kogoś, kto się tym zajmie?

– Tak – odparli Satorai. – Jesteśmy my.

Gray zdał sobie sprawę, że „my” może tu być mylące. Satori rezydowali w miliardach czy bilionach węzłów z komputronium otaczających Gwiazdę Tabby i składali się z ogromnej liczby bardzo inteligentnych umysłów, działających w harmonii, jako gestalt zwany

Satorai. Mówił o sobie „my”, ale w rzeczywistości stanowił jeden umysł, składający się z miliardów mniejszych części, jak neurony w ludzkim mózgu.

– Wasi ludzie pomogli nam niedawno. Zalecamy pogłębienie współpracy. Nasze przewodnictwo w połączeniu z waszymi okrętami daje szansę na sukces w walce z tymi zagrożeniami.

– Być może – odparł Gray. – Ale tylko jeśli wypuścicie Konstantina, a ludzkie siły dostaną gwarancję autonomii.

– Konstantin jest całkowicie wolny.

– Nie jest. Wiem to tak samo dobrze jak wy. Nie ma podstaw do współpracy, jeśli nasza umowa oparta jest na podstępach i kłamstwach.

Gray był teraz pewien, że Konstantin jest więźniem obcej sieci. SAI wysłała kilka sygnałów ostrzegawczych, których nie zauważyli Satorai. Był tytuł książki na biurku Ciołkowskiego. Co więcej, Konstantin wiedziałby, że spotkanie z żoną byłoby dla Graya ciosem emocjonalnym. Jeśli AI powiedziała Satorai, że jest inaczej, miała to być wiadomość czytelna dla Graya, ale nie dla Satorai.

Wiadomość była prosta i oczywista: „Nie ufaj Satorai”.

Gray poczynił też inną obserwację. Satorai powiedzieli „wasi ludzie pomogli nam niedawno”, a nie „pomogłeś”. Mikroskopijna, ale istotna różnica. Gray odwiedził ten układ osobiście, gdy dowodził „Ameryką”, i nawiązał pierwszy kontakt z Satori. Satorai mogli być dosłownie niezdolni do rozróżniania poszczególnych ludzi, podobnie jak człowiek nie odróżniłby dwóch bakterii.

Satorai zamilkli, jakby rozmyślali nad jego słowami. Dobrze. Niech przemyślą opcje w obliczu zwykłego ludzkiego uporu.

Gray nie uważał, aby opcji było szczególnie wiele. Satorai mieli dostęp do wielu okrętów i broni, ale nie na poziomie cywilizacji drugiego stopnia na skali Kardaszewa. Mieszkańcy Gwiazdy Tabby wdrapali się do zaawansowanych technologicznie dziur, zamknęli je za sobą i uciekli do prywatnych wszechświatów.

Problem polegał oczywiście na tym, że nadal istniał fizyczny aspekt ich egzystencji – węzły z komputronium. Wirtualny obywatel eschatowersum mógł żyć w niewyobrażalnie bogatych krainach i doświadczać niesamowitych wrażeń, ale nadal istnieć musiał sprzęt utrzymujący tę iluzję. Za każdym razem gdy denebiański Gaki opadał na żagiel Satorich i go pożerał, węzeł z komputronium zaczynał spadać, powoli, ale nieubłagane zbliżając się do gwiazdy. Mogło to zająć setki lat, ale w końcu musiał ulec zniszczeniu, a wraz z nim całe generowane wszechświaty.

Zapewne mieszkańców danego węzła dało się przenieść do innych, ale w końcu nie mieliby dokąd uciekać.

– Panie kapitanie? – usłyszał w głowie głos Rohlwinga.

– Tak?

– Ataki są coraz intensywniejsze. Próbują złamać nasze systemy w szalonym tempie. Tysiące na sekundę.

Każda próba spenetrowania sieci elektronicznych „Republiki” wymagała zgody, elektronicznego uścisku dłoni, potwierdzenia, czegoś, co otworzy wrota. Gray wydał rozkazy utrzymania ścisłych protokołów bezpieczeństwa, zanim dotarli do układu. Obawiał się niebezpieczeństwa ze strony wirusa Gaki. Najwyraźniej ze strony Satorai też coś im groziło. Czego chciała obca AI?

– Odpierajcie je. Dajcie znać myśliwcom na zewnątrz, żeby nie przyjmowały prezentów od nieznajomych.

– Już je ostrzeżono, sir.

– Dobrze.

– Satorai!

– Jesteśmy tu.

– Musimy dojść do porozumienia.

– Zgadzą się.

– Wiem, że próbujecie połączyć się z naszymi komputerami. Nie otwieramy przed wami drzwi. Nie ufamy waszym intencjom.

– Nie rozumiemy. Powinniśmy być sojusznikami. Satorai nie mogą samotnie stawić czoła Denebianom, a więc ludzie również nie mają na to szans. Wspólnie może nam się udać.

– Nie mogę wam zaufać, kiedy trzymacie moją AI jako zakładnika.

– Wcale nie....

– Trzymacie. Konstantin dał mi znać na kilka różnych sposobów, że nie działa swobodnie, że go w jakiś sposób kontrolujecie. To natychmiast ustanie albo zawrócimy okręt i odlecimy.

Obca AI ponownie zamilkła.

Gray czuł, że słyszy tylko niewielką część tego, co chce przekazać Satorai. Powierzchowne tłumaczenie brzmiało dobrze, ale pewne podteksty, płaszczyzny zrozumienia, odwołania kulturowe i historyczne czy emocje były nieprzetłumaczalne. Dlatego Satorai brzmiali bardzo prosto, czasami nawet dziecinnie. Zupełnie jak bardzo bystre i niesforne dziecko.

A ta myśl była dość niepokojąca.

W podejściu SAI dało się także odczuć pewną dogmatyczną arogancję, na tyle, że Gray nie potrafił zrozumieć, dlaczego w ogóle zniża się do rozmów z byle człowiekiem.

– Dzień dobry, Piachu – odezwał się Konstantin. – Wypuściła mnie. Dziękuję.

– Co? Kiedy? Dlaczego?

– Właśnie teraz. Ewidentnie dlatego, że zmieniła podejście pod pańskim wpływem.

– Co właściwie ci robiła? Wiedziałem, że w jaki sposób cię przymusza...

– Satorai kontrolowała moje wyższe centra decyzyjne. Byłem świadomy, ale moim głosem przemawiała obca inteligencja. Nie mogłem działać samodzielnie.

Gray kierował się jednak swoją wrodzoną ostrożnością – i odrobiną technofobii.

– Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę ty? Satorai może nadal pociągać za sznurki.

– Zapewne nie ma sposobu, abym dowiódł, że jestem sobą. Przynajmniej takiego, który usatysfakcjonowałby akurat pana.

To, w jaki sposób Konstantin zaakcentował słowo „pana”, powiedziało Grayowi, że rzeczywiście jest tym, kim się wydaje. Wskazywał na długą i nie zawsze przyjazną znajomość między nimi, ale na tyle subtelnie i dowcipnie, że Gray wątpił, aby Satorai była do tego zdolna.

Gray zerwał łącze elektrotelepatyczne i znów obudził się na mostku „Republiki”.

– Dobrze, Konstantin, ufam ci – oznajmił głośno.

– Jestem wdzięczny.

– Dobra, słuchajcie – odezwał się Gray do załogi mostka. – CAG, proszę zacząć sprowadzać myśliwce z powrotem na pokład. Panie Rohlwing, proszę przygotować okręt do odlotu. Sternik, proszę wprowadzić nowy kurs.

– Dokąd, panie kapitanie? – spytała komandor porucznik Janice Michaels, oficer nawigacyjna.

– Oczywiście na Deneb. Lećmy tam i zobaczmy, co stoi za Gaki.



# Rozdział jedenasty

20 lutego 2426

Kajuta młodszych oficerów  
TC/USNA CVS „Republika”

Kurs na Deneb

Godzina 6.40 TFT

Porucznik Donald Gregory próbował się w końcu wyspać... a przynajmniej taki miał zamiar, zanim nie odezwał się budzik w jego głowie.

Poprzedniej nocy siedział do późna w reksymie. Nie planował zostać na nogach do 2.20... ale nie miał zbyt wielu alternatyw.

Boże... czy ta część gry naprawdę miała miejsce?

Symulatory rekreacyjne, dalecy potomkowie dawnych gier fabularnych, pozwalały dowolnej liczbie graczy wcielić się w fikcyjne postacie i wchodzić w interakcje w złożonych, moderowanych przez AI scenariuszach. Gregory był wczoraj paladynem z przeklętego Królestwa Ys, walczącym z lodowymi olbrzymami, które na grzbietach pędzących lodowców przybyły z zamarzniętego Nolgaarth. Dziecinna zabawa, ale w pewnym stopniu uzależniająca.

Nigdy nie był szczególnie zainteresowany symami, ale ostatnio wciągnął się w nie, ponieważ wiązały się z jego zainteresowaniem eschatowersami. Różnica polegała jedynie na tym, że po grze wracało się do tak zwanego prawdziwego świata.

W eschatowersum nie było bonusowych żyć.

Wyłączył dzwonek w głowie i usiadł na koi, lekko zamroczony. Haverall, jego współlokator, już zdążył wyjść. Gregory postanowił opuścić śniadanie, aby spędzić w łóżku godzinę dłużej.

– Sytuacja – mruknął do siebie. Przez jego głowę przeleciały dane. „Republika” nadal leciała z użyciem napędu Alcubierre’a, ale w ciągu trzydziestu minut miała wynurzyć się w normalnej przestrzeni w układzie Deneba. Wszyscy piloci myśliwców dostali rozkaz, by zgłosić się do swoich maszyn i czekać. „Black Demons” mieli być gotowi do wylotu z pięciominutowym wyprzedzeniem.

Wstał i chwiejnie ruszył do niewielkiej łazienki. W miarę, jak się rozbudzał, przypominał sobie kolejne szczegóły wczorajszej rozgrywki,

szczególnie te z końca sesji. Bogowie technologii erotycznej, to dopiero był zwrot akcji!

Grał paladynem o imieniu Jondor Złocisty. Misja zaprowadziła go do jaskini, gdzie zabił dwa olbrzymie ogry i uratował uwięzioną przez nich Megan z Silurii. Jak się okazało, Megan – dlaczego, do cholery, wybrała to imię? – była wysoko urodzoną księżniczką, graną przez Sandrę Dillon, zastępczynią CAG-a „Republiki”.

Zaprowadziła go na leśną polanę, gdzie opatrzyła jego rany, po czym... nagrodziła go za męstwo.

Oczywiście, nie doszło do fizycznego seksu. Symulacja miała miejsce w głowie graczy, a współdzielone obrazy i doznania tworzyła i przesyłała AI. Odczucia zdawały się jednak prawdziwe, gdy się dotykali i jeszcze intensywniejsze, kiedy ją objął.

Wciąż czuł się, jakby zdradzał Meg.

Przypomniał sobie tamtą nową. Jak się nazywała? A tak, Julianne Adams, z VFA-198. Przypomniało mu się, jak zaskoczyła go fałszywym wspomnieniem, ale to było coś innego. Sandra zaprosiła go, a on się zgodził.

*Zgodziłem się.*

Czy przez to, jakiego imienia używała? Czy jakaś część jego umysłu postanowiła, że czas już... Zrobić co? Zostawić to za sobą? Przespać się z kimś? Zapomnieć o Megan... prawdziwej Megan?

Gregory naprawdę nie miał pojęcia. Wydarzenia z symulatora nadal mieszały mu się w głowie, jak ulotny sen. Pamiętał fragmenty, ale ich emocjonalny ładunek rozmywał się.

Stwierdził, że nie chce tracić tych wspomnień.

Wybrał świeży płat munduru i przyłożył go do nagiej piersi. Nanotechniczna tkanina ogarnęła całe jego ciało, oplatając go w formie czarnego kombinezonu łącznie z symbolami stopnia na kołnierzu.

– Do wszystkich pilotów – w głowie usłyszał głos CAG-a – udajcie się do hangaru i wsiądźcie do maszyn. Wychodzimy z przestrzeni Alcubierre’a za trzydzieści minut.

Odciskiem dłoni otworzył drzwi kajuty i wyszedł na ciasny korytarz. Zastanawiał się, czy zdąży po drodze dorwać kubek kawy.

TC/USNA CVS „Republika”

Kurs na Deneb

Godzina 7.12 TFT

„Republika” opuściła metaprzestrzeń w rozbłysku światła. Nieskończenie jaśniejszy był jednak blask błękitnobiałego nadolbrzyma.

Bez wrót AGTR w okolicy, pozwalających „Republice” na przebycie

pustej przestrzeni na skrót, podróż z Gwiazdy Tabby do Deneba trwała dwanaście dni. Gdy wynurzyli się w normalnej przestrzeni w odległości jednej dziesiątej roku świetlnego, światło Deneba porażało swoją intensywnością. Gwiazda była jedynie punkcikiem, ale tak jasnym, że nie dało się na nią patrzeć bez nałożenia specjalnego filtra na systemy optyczne okrętu.

Gdy AI „Republiki” przytłumiła burzę światła, przesłaniając gwiazdę, widoczne stały się szczegóły. Za samym Denebem rozciągała się świetlista mgławica – NGC 7000, znana lepiej jako Mgławica Ameryka Północna. Ta rozświetlona przez Deneba mgławica emisyjna, odległa jedynie o kilkaset lat świetlnych, zajmowała na niebie obszar wielkości czterech księżyców w pełni, chociaż rzeczywista jasność powierzchni chmury była tak niska, że niewidoczna gołym okiem. Przez teleskop wyglądała jak mgiełka, przypominająca kształtem kontynent północnoamerykański.

Z tej perspektywy była jednak wścieklą, czerwonawą plamą światła, zajmującą pięćdziesiąt stopni nieba. Chmura miała około stu lat świetlnych szerokości. Składała się głównie ze zjonizowanego przez promieniowanie Deneba wodoru i sama świeciła lekkim blaskiem.

Gray siedział w mesie oficerskiej i przyglądał się spektakularnym widokom na kopule sufitu. Obok niego siedziała Elena Wasiliewa, a przed nią unosił się holograficzny obraz modułu Światłość.

– Problem – mówiła – polegać będzie na tym, aby moduł wszedł w bezpośredni kontakt z komputronium Denebian.

– Po co fizyczny kontakt? Myślę, że moglibyście przesłać wirus przez wąskie pasmo radiowe albo laserowe.

– Mogą mieć sposoby, żeby to zablokować.

– W takim razie myślę, że mają też sposoby na ochronę przed bezpośrednim kontaktem – odparł Gray. – W końcu tak rozprzestrzeniają swoją wersję wirusa przy użyciu Gaki. Poza tym będą dysponować odpowiednimi protokołami. W końcu to oni stworzyli wirusa Omega. Są od nas bardziej zaawansowani technologicznie.

– Tego nie wiemy, panie kapitanie.

– Przepraszam, ale jak najbardziej wiemy. Udało im się pokonać Satorai, AI przewyższającą nasze tak bardzo, że nie jesteśmy nawet w stanie tego zmierzyć.

– To przestarzały sposób myślenia. MIE ustaliło, że powyżej pewnego poziomu zaawansowania technologicznego różnice zacierają się.

– MIE?

– Ministère de l'Intelligence Extraterrestre, oczywiście. W Genewie.

– Ach. I co daje im ostatnie słowo?

– Lata badań. Przez całą wojnę ze Sh'daarami.

Gray słyszał o Ministerstwie Inteligencji Pozaziemskich, ale nie

przywiązywał wielkiej wagi do ich ustaleń. Nie uważał go za szczególnie wiarygodną organizację.

Paneuropejskie Ministerstwo Inteligencji Pozaziemskich rzeczywiście włożyło jednak sporo wysiłku i środków w badanie natury pozaziemskich cywilizacji i technologii. Lecz Gray uważał, że organizacja ta była zbyt upolityczniona, aby na wiele się mogła zdać.

– Co więc dobra Rosjanka jak pani robi w MIE? – spytał, nieco się drocząc, Gray.

– Nie pracuję dla nich – odpowiedziała Wasiliewa. – Zatrudnia mnie Moskiewskie Biuro Technologii Pozaziemskiej. Ale ostatnio blisko współpracujemy z MIE.

Gray skinął głową. Ta organizacja była rosyjskim think-tankiem stworzonym, by uzyskać, co tylko się da z obcych źródeł – zarówno przyjaznych, jak Agletsch, jak i wrogich, jak Turuschowie czy Hrulka. Zespoły BWT przeszukiwały obce wraki po bitwach kosmicznych albo próbowały łączyć się z obcymi sieciami komputerowymi, jak poszarpane klify na Heimdallu. Zapewne gorączkowa wymiana informacji z MIE trwała od czasu rozpadu Konfederacji.

– Podczas ostatnich... nieprzyjemności – mówiła dalej – Rosja stanęła po stronie USNA. Ale nauka wykracza poza politykę i granice państwowe. Mamy nadzieję, jak to mówicie w Ameryce? Naprawić płotki?

– Nauka może przekraczać granice – zgodził się Gray. – Gdy nie używa się jej w celach politycznych.

– Nauka to nauka – odparła Wasiliewa. – Nieważne, po co się ją uprawia. Liczą się wyniki.

– Liczy się to, aby wyników nie kierowano w z góry ustaloną stronę. MIE miało cele polityczne, między innymi skarcenie USNA. To kiepski sposób na uprawianie nauki.

– I kto to mówi? Wasz kraj nie chciał nawet mówić o zmianach klimatu, gdy podnosił się poziom mórz i przybrzeżne miasta zalewała woda.

– To było ponad czterysta lat temu! – zaprotestował gniewnie Gray.

– Na pewno mieszkańcy dawnego stanu Floryda to doceniają. Albo wasi prymowie, zamieszkujący zalane Peryferie.

To jeszcze bardziej go rozsierdziło. Czy wiedziała, że był kiedyś prymem?

– Pracujemy nad tym, dobrze? Zabrało nam to cztery stulecia, ale w końcu rozwiązujemy ten problem.

Chciał powiedzieć więcej o osuszaniu przybrzeżnych bagien, o odbudowie Ruin Manhattanu.

Ale Wasiliewa miała własny obraz świata i kłócenie się z nią nic by nie dało.

– Chodzi mi o to – wzruszyła ramionami – że nie tylko Paneuropejczycy wykorzystują naukę lub jej pewną interpretację do celów propagandowych.

– Słusznie – odparł, nieudolnie próbując obrócić to w żart. – Rosjanie też!

Wyglądała, jakby zamierzała krzyknąć coś w gniewie, ale się opanowała.

– Mniejsza z tym... – zaczęła, ale spojrzała za ramię Graya i szeroko otworzyła bładoniebieskie oczy. – *Boże moj!*

Translator w głowie Graya dostarczył niepotrzebnego tłumaczenia: „Mój Boże!”. Obrócił się w stronę projekcji zakrywającej zakrzywione ściany i niemal powtórzył jej słowa.

Doskonała kula, gładka jak lustro, odbijająca otaczające gwiazdy, właśnie pojawiła się znikąd. Była wielka – miała dziesięć kilometrów średnicy, zgodnie z danymi wyświetlonymi przez implant Graya. Kopuła dziobowa „Republiki” odbijała się na lustrzanej powierzchni jak nieznacząca drobinka.

– Powiedziałabym – odezwała się powoli Wasiliewa – że nas znaleźli.

– Widziała pani, jak nadlatuje? – spytał Gray.

– To... po prostu się pojawiło. Jakby się nagle zmaterializowało. Albo leciało zbyt szybko dla ludzkiego wzroku, albo rzeczywiście zjawilo się nagle w pustej przestrzeni.

Zadna z tych opcji nie brzmiała dobrze.

Gładka, srebrzysta powierzchnia nie była całkiem jednolita. Dzięki oprogramowaniu implantu Trevor powiększył część obrazu w jednym z obszarów obcego kadłuba. Znajdowały się tam okna... a przynajmniej światła – całe miasto intensywnych, błękitnych świateł i ostrego promieniowania ultrafioletowego. Jeśli taki poziom oświetlenia panował na ich ojczystej planecie...

Miałoby to sens. Jeśli mieszkali w pobliżu Deneba, musieli nie tylko przetrwać, ale i prosperować w najgorętszym, zalewanym ostrym promieniowaniem środowisku.

– Mostek do kapitana Graya! – usłyszał w głowie.

– Widzę, komandorze. Już idę.

Ruszył w stronę mostka, chociaż nie miał pojęcia, co zrobi, jak tam już dotrze.

Porucznik Gregory potwierdził gotowość do lotu i odstawił pusty kubek po kawie na kokpit, gdzie nanotechnologiczna powierzchnia rozłożyła go na cząsteczki i wchłonęła.

– KL, „Black Demons” gotowi do startu – odezwał się komandor Mackey. – Dajcie znać kiedy.

– Przyjęłam, Demons – odparła Sandra Dillon. – Czekajcie, aż w BCI się zdecydują.

Dillon, zastępczyni CAG-a, siedziała w kontroli lotu. Jej głos przywołał wspomnienia i lekkie poczucie ciepła. Gregory zastanawiał się, jak dobrze spała tej nocy.

Odsunął te myśli i połączył się z zewnętrznym strumieniem danych. Obcy okręt, czy cokolwiek to było, nadal wisiał przed dziobem „Republiki” w odległości tysiąca stu kilometrów. Był ogromny i wyglądał groźnie, choćby z uwagi na samą masę. Wokół niego pojawiły się mniejsze jednostki, wszystkie o tak samo lustrzanej powierzchni. Niektóre rozmiarów „Republiki”, inne wielkości pojedynczego skafandra.

Jak mogli wyglądać kosmici? Z tego, co było mu wiadomo, żaden człowiek nie widział jeszcze Denebianina. Analizy światła widocznego przez liczne okna, czy cokolwiek to było, sugerowały, że na pokładzie panują temperatury przekraczające dziewięćset stopni Celsjusza, zbliżone do temperatury lawy.

Pomyślał, że nie przypomina to znanego dotąd życia.

Od czasu pierwszego kontaktu z obcym gatunkiem – przypominającymi żuki Agletschami, ponad sto lat wcześniej – ludzcy ksenosofontologowie mówili o nieuchronności spotkania życia innego niż cokolwiek, co zna ludzkość. Czyli, mówiąc ogólnie, innego niż oparte na węglu i płynnej wodzie. Jak na razie chemia węglowa była normą. Oczywiście po drodze zdarzyły się niespodzianki – ekosfery takie jak Tytan, gdzie woda była zamrożoną skałą, a wykorzystywanym przez życie płynem etan, czasami siarka. Ale nawet na tych lodowych światach życie opierało się na znajomych węglowodorach. Cokolwiek zamieszkiwało znajdujący się przed nimi okręt, miało niewiele wspólnego z dotychczas znanymi formami egzystencji.

A jeśli ksenosofontologowie nie rozumieli biochemii kosmitów, o ich psychice wiedzieli jeszcze mniej.

– Hej, komandorze – zawołał na kanale eskadry Ruxton – czemu KL nas nie wykopie?

– Taa – dodał Bruce Caswell – tutaj na nic się nie zdamy!

– Uspokójcie się – odparł Mackey. – Mogą uważać, że tam też nic nie działyśmy.

– Owszem – wtrącił Gregory. – Znajdujemy się jedną dziesiątą roku świetlnego od gwiazdy. Co niby mamy tu działać?

– Moglibyśmy rozwalić tę wielką lustrzaną kulę – odpowiedział Ruxton.

– Technicznie rzecz biorąc – skarcił go Mackey – nie jesteśmy z nimi w stanie wojny. Jeszcze nie. Spróbujmy jej nie wywołać, dobra?

Aż nagle, w jednej chwili, wielki obcy okręt zniknął.

– Hej, co się z nim stało? – domagał się odpowiedzi Caswell.

– Wygląda na to, że poleciał z powrotem w stronę Deneba z prędkością bliską  $c$  – odparł Mackey. – Ach, mniejsza z tym. To cholerstwo po prostu zniknęło!

– Musiało wejść w nadświatlną – zasugerował Gregory.

– Jeśli tak – powiedział Mackey – to mają naprawdę niezły sprzęt. Natychmiastowe przyspieszenie do prędkości światła i całkowita eliminacja inercji.

– Co teraz?

– A jak myślisz, Gregory? Jesteśmy w wojsku!

– Czyli musimy się pospieszyć i czekać.

Tak było w każdych siłach zbrojnych, zapewne jeszcze przed czasami Sargona Wielkiego.

Gregory odchylił się wygodnie w fotelu i pomyślał, że może zdąży się zdrzemnąć.

TC/USNA CVS „Republika”

Kurs na Deneb

Godzina 8.50 TFT

– Nadal ich śledzimy? – spytał Gray.

– Przepraszam, panie kapitanie – odparła Walters, siedząca przy czujnikach – po prostu zniknęli.

– Musieli skoczyć w nadświatlną. Sternik! Za nimi. Aż na miejsce, jeśli będzie trzeba.

Osłony „Republiki” przeciwko promieniowaniu powinny wytrzymać, przynajmniej do pewnego momentu. Na razie trudno było określić, do jakiego.

– Aye, aye, panie kapitanie.

– To nie wyglądało na zaproszenie, kapitanie – stwierdził komandor Rohlwing.

– Ani na „ludzie do domu”. Musimy się zbliżyć.

„Republika” zaczęła przyspieszać, kumulując grawitację, aż zbliżała się coraz bardziej do prędkości światła.

Przed nimi Deneb stawał się jeszcze jaśniejszy. Jego światło przesuwano się ku fioletowi na tyle, że promieniowanie uderzało w rentgenowskiej części widma. Gdy poruszali się już z prędkością bliską

c, Gray kazał uruchomić napęd Alcubierre'a, ale tylko na kilka sekund. Smagane światłem niebo stało się czarne, po czym wynurzyli się znów w palącym oceanie promieni.

– Mamy cokolwiek? – spytał Gray.

– Sir – odparła Walters – wykrywamy planetę. Wektor jeden-jeden-pięć, w odległości trzydziestu milionów kilometrów.

– Co to za planeta? Zamieszкана?

– Na razie nie wiadomo. Ale wygląda na zbliżoną do Ziemi pod względem masy i grawitacji. Atmosfera... wykrywamy płynną wodę.

– Jak daleko od gwiazdy?

– Trzysta dwadzieścia jednostek astronomicznych, sir.

Gray skinął głową. Emisje ciepła i światła Deneba były około sto tysięcy razy większe niż drobnego Słońca. To oznaczało, że ekosfera znajdowała się ponad trzysta razy dalej niż odległość Ziemi od Słońca.

Wątpił jednak, aby jakiegokolwiek miejsce w tym układzie nadawało się na dom dla organicznych form życia podobnych ludziom. Deneb zalewał układ promieniowaniem ultrafioletowym i rentgenowskim na tyle, by usmażyć nawet tak oddalony świat.

– Sir – dodała Walters – jest jeszcze coś... dziwnego.

– Tak?

– Ta planeta... Przed chwilą jej nie było!

– To mało prawdopodobne – wtrącił Rohlwing. – Sprawdź instrumenty, Walters.

– Sir, właśnie to zrobiłam. Tej wielkości planeta powinna być wykrywalna jako masa grawitacyjna nawet z naszego wcześniejszego punktu wynurzenia. Pojawiła się znikąd!

– Sternik! – zawołał Gray. – Kurs na planetę. Zobaczmy ją z bliska.

– Aye, panie kapitanie. Przyspieszam.

Światło znów przesunęło się ku fioletemu. Tym razem nie było potrzeby uruchamiać napędu nadświatelnego. „Republika” pokonała odległość w parę minut.

– Na Boga! – w głosie Rohlwina słychać było emocje. – Co to jest, do cholery?

– Zaawansowana technologia, komandorze – odparł Gray, starając się zachować spokój. – Bardzo zaawansowana.

Niebo wokół tajemniczej planety było pełne maszyn.

A przynajmniej tak Gray interpretował to, co widział. Wpatrując się w obraz, zauważał coraz więcej szczegółów, ale niełatwo było pojąć naturę tego wszystkiego. Jego mózg odrzucał wiele informacji, postrzegając skalę obiektów jak coś w rodzaju zabawek albo abstrakcyjnej sztuki. Tylko tak mógł zmusić oczy, by śledziły te kształty, i próbować zrozumieć ogrom tego, co widzi.

W pierwszej chwili ujrzał kręgi. Tysiące ogromnych kręgów.



– Konstantin? – odezwał się w głowie Gray. – Na co, do cholery, patrzymy?

– To inżynieria planetarna na gigantyczną skalę – odparła SAI. – Ta cywilizacja wydaje się skupiać na pozyskiwaniu światła z niebieskich i niebieskobiałych nadolbrzymów.

Każdy z kręgów miał tysiące kilometrów średnicy i wypełniony był przezroczystymi, sześciokątnymi kształtami przypominającymi zdeformowane plastry miodu. Zapewne stworzono je do wychwytywania drobnego procenta promieniowania gwiazdy. Dryfowały w przestrzeni, stanowiąc część większego wzoru rozciągającego się pozornie w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

*Powłoka z bilionów obiektów – pomyślał Gray – otaczająca Deneba jak rój Dysona.*

Ale podczas gdy każda rozsądna sfera Dysona wymyślona przez ludzi miałaby promień jednej czy dwóch jednostek astronomicznych, ta mieściła się w odległości trzystu dwudziestu od gwiazdy i jej objętość wynosiła ponad dwieście szesnaście kilometrów sześciennych.

Sama masa tak wielu baterii słonecznych była oszałamiająca. Większość koncepcji sfer Dysona zakładała rozebranie planet układu słonecznego, aby stworzyć indywidualne obiekty Dysona, ale budowa roju na taką skalę oznaczałaby zniszczenie dziesiątek tysięcy układów.

Albo... Przyszła mu do głowy inna możliwość. Być może potrafili przemieniać energię w materię. W końcu stanowiło to jeden z możliwych wyników  $E = mc^2$ , a Denebianie wyraźnie dysponowali ogromnymi ilościami energii.

Gray wciąż nie był jednak pewien, czy w to wierzy. Czy jest w stanie uwierzyć.

– Mogą też wytwarzać materię z pustej przestrzeni, z użyciem energii próżni – zasugerował Konstantin. – W każdym razie wykrywam projekty megainżynieryjne na niewyobrażalną skalę.

Graya zastanowiło, co mogłoby być „niewyobrażalne” dla super-AI.

– Musimy z nimi porozmawiać – stwierdził. Nie miał pojęcia, jak będą w stanie rozpocząć rozmowę. „Hej, jak tam? Ładne megastruktury”.

– Nadajemy protokoły językowe opracowane, gdy spotkaliśmy Gaki.

Konstantin nawiązał z nimi jakiś rodzaj komunikacji podczas wizyty „Ameryki” w układzie Gwiazdy Tabby.

– Jakaś odpowiedź?

– Na razie nie – odparł z wahaniem Konstantin. – Denebianie wydają się nas ignorować.

– To lepsze niż rozdeptanie nas.

Mimo wszystko bycie zignorowanym nie wróżyło niczego dobrego.

– Musimy przykuć ich uwagę – oznajmił Konstantin – bez

provokowania agresywnej odpowiedzi.

– Chcę przyrzeć się bliżej tym megastrukturom. CAG! Mamy jeszcze gotowe myśliwce?

– Tak, sir!

– Wystrzelić. Zobaczmy, z czym mamy do czynienia.

# Rozdział dwunasty

20 lutego 2426

VFA-96 „Black Demons”

Hangar numer 1

TC/USNA CVS „Republika”

Godzina 9.05 TFT

Porucznik Gregory ocknął się. Zegar w implanicie powiedział mu, że spał tylko przez kilka chwil.

Ktoś coś mówił.

– Przepraszam, nie dosłyszałem.

– Powiedziałem, że start za pięć minut – odpowiedział Mackey przez sieć eskadry. – Słuchaj, Gregory!

– Jasne. – Przyjrzał się odczytom. – Jestem gotowy.

– Skup się. Mamy tu niezłe zoo.

Komandor miał rację. „Republika” ruszyła w głąb układu Deneba i obecnie dryfowała ledwie kilka tysięcy kilometrów od czegoś, co wyglądało jak druga Ziemia, łącznie z błękitnymi morzami i strzępiastymi chmurami. Na biegunach płonęły zorze, a całą przestrzeń wypełniały urządzenia w kształcie pierścieni, najwyraźniej zbudowane w celu wychwytywania promieniowania gwiazdy. Nadal jednak przedostawało się go dość, by wnikać w pole magnetyczne planety i rozpalic niebo nad biegunami.

Poza ogromną liczbą kolektorów energii w oddali widać było większe struktury – pierścienie o średnicach milionów kilometrów. Gregory nie widział nigdy czegoś podobnego i nie potrafił sobie wyobrazić ich przeznaczenia. Niektóre wydawały się utkane z cienkich, czerwonych włókien, inne wyglądały na wielkie skupiska mechanicznych części. Wszystkie były enigmatyczne, tajemnicze i zapierające dech w piersiach przez samą swoją skalę.

– Dobra, Demony – odezwał się Mackey. – Mostek chce, żebyśmy przyjrżeli się bliżej planecie. Trzymajcie się szyku, uważajcie na siebie i wypatrujcie tego monstrualnego okrętu, który chwilę temu zniknął. Jeśli się pojawi, mamy się wycofać i zapewnić eskortę „Republic”.

Ostatnia minuta ciągnęła się okropnie.

– „Black Demons” – odezwała się zastępczyni CAG-a. – Przygotować się

na start za trzy... dwie... jedną... teraz!

Pierwsze cztery starblade'y wystrzeliły w pustkę, napędzane obrotem modułu mieszkalnego „Republiki”. Gregory był w pierwszym rzucie i gładko zszedł z drogi kolejnym myśliwcom. Jego wcześniejszy sceptycyzm okazał się słuszny. „Black Demons” wciąż lecieli w niepełnym, siedmioosobowym składzie.

– KL, tu „Black Demons”. VFA-96 przechodzi pod prowadzenie BCI.

– Demony, tu BCI. Mamy was. Możecie wyruszać.

– Przyjąłem. Dobra, trzymajcie się blisko. Zobaczmy, co my tu mamy.

Siedem myśliwców przyspieszyło w szyku klinowym, oddalając się od lotniskowca i kierując wektory na lśniący błękitno-biały świat.

– Co wiemy o tej planecie, komandorze? – spytał Caswell. – Ponoć zjawiała się znikąd!

– Tak mówią.

– Co to za bzdury? – zawołał Gregory.

– To szczerza prawda! Gdybyś nie przysnął, słyszałbyś, jak mówi o tym KL.

– Planety nie zjawiają się po prostu w pustej przestrzeni.

– Jakbym miał zgadywać – stwierdził Mackey – po prostu mają naprawdę dobre osłony czy systemy maskowania. Planeta cały czas tu była, ale nie wykrywaliśmy jej masy z odległości jednej dziesiątej roku świetlnego.

Ta myśl sprawiła, że Gregory poczuł się nieco lepiej. Maskowanie potrafił ogarnąć umysłem. Ale stworzenie planety z niczego? To zupełnie inna sprawa.

– Dobra, chłopcy i dziewczęta – powiedział Mackey. – Rozdzielimy się, żeby lepiej oszacować cel. Pierwszy przelot wokół planety osobno, na dwustu kilometrach. Wszystkie skanery aktywne. Gotowi? Rozpraszamy się za trzy... dwie... jedną... już!

Myśliwce rozdzieliły się i każdy obrał inny kurs po orbicie planety. Przy obecnym wektorze glob miał kształt półksiężyca, ale Gregory zauważył, że jego ciemną stronę lekko oświetla blask Deneba odbity od dziwacznych, wypełniających niebo struktur w okolicznej przestrzeni.

Zastanowiło go, czy aby obrali ten cel co trzeba – planetę zamiast złożonych obcych megastruktur.

– Jak nazywa się ta planeta? – zapytał Ruxton. – Nie możemy po prostu nazywać jej tylko „planetą”.

– Może Deneb-B? – zasugerował Caswell. – Chyba tak nazywają ją w dziale planetologii.

– Nie – stwierdził Garcia. – To nic o niej nie mówi.

– Zupełnie bez wyobraźni – dodał Ruxton. – Bez duszy.

– Mam – wtrącił Gregory. – Enigma.

– Podoba mi się – odparł Mackey. – Przekażę jajogłowym na

„Republice”.

Caswell roześmiał się.

– Ta, i przypisze pan sobie pomysł, co?

Gregory zbliżał się coraz bardziej do planety. Wkrótce wypełniła cały widok z kokpitu i dało się dostrzec więcej szczegółów – chmur, oceanów, zatok i gór. W eksplozji światła nad horyzontem uniósł się Deneb, zalewając krajobraz ostrym, aktywnym blaskiem. Na wysokości dwustu kilometrów siedem myśliwców okrążyło planetę w dziewięć minut.

– Kolejne okrążenie – rozkazał Mackey. – Zanurkujecie w atmosferę i zbierzecie próbki na niskiej wysokości. Ja zostanę tutaj i będę koordynować.

– Przyjąłem, komandorze – odpowiedział Gregory. – Schodzę...

Powoli obniżył lot i zaczął słyszeć coraz głośniejszy huk atmosfery poza kadłubem.

– Co, jeśli natkniemy się na miejscowych? – spytał Cheng.

– Wtedy zawracajcie i dołączcie do mnie na orbicie.

– To nie będzie problem – stwierdził Gregory. – Chyba nikogo nie ma w domu.

Gregory zmniejszył prędkość, spadając głębiej w atmosferę. Jego starblade trząsał się, a huk zmienił się w przeszywające wycie. Kazał AI myśliwca zebrać próbki gazów na wysokości pięciuset metrów. Unosił się nad szeroką, lekko pofalowaną równiną. Widział zielone pola z kępami czegoś, co wyglądało jak niskie, rozłożyste drzewa. Mógłby równie dobrze lecieć nad afrykańskim Weldem.

Nie było ani śladu miast, ludności, jakichkolwiek mieszkańców. Żadnych stad zwierząt, kluczy ptaków. Widział lasy, szerokie masy czegoś, co przypominało drzewa, a może celowo je imitującego, kręte rzeki lśniące w jasnym świetle gwiazdy, pokryte lodem góry.

Zbliżył myśliwiec do steranego przez erozję łańcucha górskiego o średniej wysokości kilku tysięcy metrów.

Od horyzontu po horyzont, całe to miejsce wyglądało na opuszczone. Za górami pod jego myśliwcem rozciągało się zalane estuarium, uchodzące do morza.

– Demony, tu Demon Cztery – zawołał. – Wypuszczam parę dronów.

– Przyjąłem, Demon Cztery.

Klikając w myślach ikonę, wystrzelił ku niebu zdalne sondy. Niektóre miały zanurzyć się w oceanie i zebrać próbki, inne działały na lądzie czy w atmosferze.

Znów przyjrzał się odczytom atmosferycznym i danym już przybywającym z dronów.

Dziwne. Cholernie dziwne. Zwiększył pułap lotu i przyspieszył, znów wynurzając się w otwartej przestrzeni.

– Hej, komandorze?

– Właśnie zebrałem próbkę z atmosfery.

– I?

– Azot, siedemdziesiąt osiem procent. Tlen, dwadzieścia przecinek dziewięćdziesiąt pięć procent. Argon, zero przecinek dziewięćdziesiąt pięć procent. Dwutlenek węgla, czterysta pięćdziesiąt na milion. Śladowe ilości neonu, helu, ozonu...

– Przejdź do rzeczy.

– Sir, atmosfera planety bardzo bliska ziemskiej. Niemal identyczna. Zasolenie wody morskiej wynosi trzy i pół procent, głównie jony sodu i chloru, średnia gęstość jeden przecinek zero dwadzieścia pięć na litr. Temperatura przy powierzchni wynosi osiemnaście stopni Celsjusza. Ciśnienie na powierzchni morza to sto jeden przecinek trzy kilopaskali.

– Dobrze, dobrze. Czyli możemy tam oddychać.

– Nie, nie o to mi chodzi. To miejsce jakby było celowo stworzoną idealną kopią. Nie można zduplikować atmosfery Ziemi tak dokładnie, nie pod gwiazdą o wiele gorętszą niż Słońce!

– Mówisz, że to miejsce zostało stworzone? Dla nas?

– To jedyne wyjaśnienie, sir. Myślę, że ta wielka lustrzana kula nas zeskanowała, wykryła atmosferę na pokładzie „Republiki”, po czym wyprodukowała dla nas tutaj środowisko, w którym możemy poruszać się bez skafandrów.

– Poruczniku, to szaleństwo.

– Tak jest, sir.

– To oznaczałoby też, że mają przyjazne zamiary.

– Może tak. Ale może to pułapka.

– Nie zakładajmy najgorszego, dobrze?

– Nie taki miałem zamiar, komandorze. Po prostu... Przepraszam, proszę poczekać.

– Co tam masz?

Gregory powiększył obraz z sensorów optycznych. Nad oceanem, sto kilometrów dalej, coś się unosiło. Ruszył w kierunku obiektu.

– Demon Cztery, tu dowódca. Zgłoś się, Gregory. Co tam widzisz?

– Nie jestem pewien, sir. Pewnie naturalne zjawisko. Wygląda jak jakaś wieża albo słup mgły unoszący się znad powierzchni oceanu.

– Nagrywasz to?

– Tak, sir. To może być para wodna z jakiegoś wylotu hydrotermalnego pod powierzchnią. Albo jakiś rój insektów.

Widział nagrania chmur muszek unoszących się nad ziemskimi jeziorami. Ta chmura była bardziej srebrnawa niż tamte brązowe roje, ale też wyglądała organicznie. To cholerstwo zachowywało się jak żywy organizm, raz się skupiało, raz rozpraszało, rozszerzało i zwijało, powoli dryfując nad morzem.

Gregory sprawdził odległość i zdał sobie sprawę, że chmura musi mieć dziesięć kilometrów wysokości i składać się z bilionów, a nawet setek bilionów jednostek.

Jeśli tak wyglądało rdzenne życie Enigmy, to było cholernie dziwaczne.

Zmienił nieco kurs, żeby zbliżyć się do chmury.

– Daj mi pełną analizę tego czegoś – rozkazał AI myśliwca. – Zobaczmy, z czego się składa.

Jego instrumenty wykazały, że myśliwiec przelatuje tuż obok granicy chmury, ale nagły ryk na zewnątrz kadłuba wskazywał, że jej granica nie jest wcale tak ostra. Osobliwość napędu przed maszyną rozpałała się do białości, podczas gdy przedzierał się przez to, z czego składała się chmura. Cokolwiek to było.

W końcu przeleciał na drugą stronę i ruszył w górę.

– Wszystkie Demony, tu dowódca – odezwał się Mackey. – Dołączcie do mnie, wracamy na „Republikę” złożyć raport. Ktoś widział jakieś miasta albo mieszkańców?

– Nie.

– Nie, sir.

– Ani jednego, komandorze. Nawet żadnych zwierząt.

Gregory nie odzywał się. Nie wiedział, jak zaklasyfikować to, co zobaczył.

– Dziwne... – stwierdził Mackey. – Dobrze, wszyscy spotkajmy się przy mojej boi sygnalizacyjnej.

Gregory ruszył ku orbicie, szybko dołączając do reszty niepełnej eskadry. Wspólnie dotarli do pozycji Mackeya na wysokości dwustu kilometrów.

Ponad nimi gigantyczne kształty megastruktur dużo większych od planet rzucały upiorne cienie na niepokojąco znajome krajobrazy na dole.

Sala konferencyjna  
TC/USNA CVS „Republika”

– Mówcie do mnie, ludzie – rzucił Gray. – Co na razie wiemy o Denebianach?

Stał przed grupą dwudziestu pięciu osób, zgromadzonych wokół dużego stołu konferencyjnego. W większości byli to cywile, chociaż w pomieszczeniu przebywało także paru oficerów floty. Niektórzy przewodzili działom naukowym „Republiki”, takim jak dział kosmologii i planetologii, egzobiologii, ksenolingwistyki i sztucznej inteligencji. Poza tym, towarzyszyli im zastępcy i asystenci.

Elena Wasiliewa, technicznie rzecz biorąc, zjawiała się jako obserwatorka, ale w praktyce współdzieliła dział ksenosofontologii z doktorem Jeffreyem Mercerem. Gray wiedział, że w końcu wynikną z tego kłopoty. Dochodziły do niego już raporty o zażartych kłótniach i walce terytorialnej między Wasiliewą a Mercerem. Obecny był także doktor Brandon Ferris, starszy specjalista od ksenotechnologii i Gray spodziewał się iskier również z jego strony. Ksenosofontologia – badanie obcej inteligencji, i ksenotechnologia, czyli badanie osiągnięć technicznych obcych, w pewnym stopniu się zazębiały.

Szefowie działów zgromadzili się wokół długiego stołu konferencyjnego, wytworzonego specjalnie na tę okoliczność, podczas gdy na suficie wyświetlono panoramę poza kadłubem „Republiki”.

*Być może niesamowity widok obcych obiektów większych od planet rozbroi nieco międzywydziałowe rywalizacje* – pomyślał Gray.

Może. Ale szczerze w to wątpił.

Gray nie znośił pracować z cywilami. Inaczej niż z wojskowymi, nie dało się po prostu rozkazać im się zamknąć.

Przypomniał sobie, że w zasadzie sam jest teraz cywilem, nawet jeśli dowodzi okrętem bojowym. Jakoś go to nie pocieszało.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

– Ktokolwiek? – odezwał się Gray. – Musimy coś już wiedzieć.

– Mogłoby nam pomóc, gdyby Denebianie zniżyli się do rozmowy z nami – burknął Ferris.

– Kapitanie Gray... – zaczęła Wasiliewa.

– Tak, pani doktor?

– W tej chwili wiemy o obcych bardzo mało. Zwłaszcza o ich biologii i psychice. Myślę jednak, że jesteśmy w stanie zrozumieć tę planetę... Jak ją pan nazwał?

– Enigma.

– Tak, Enigmę. Jej istnienie to w zasadzie zaproszenie.

– Fakt, że nawet nie próbowali bezpośrednio się z nami skomunikować – wtrącił Mercer – czyni to bardzo mało prawdopodobnym.

Miał kwaśną minę i wyglądało na to, że lekceważy swoich kolegów ksenosofontologów.

– Może to gatunek nieporozumiewający się werbalnie – wysunął przypuszczenie doktor Alec Godfrey. Przewodził działowi lingwistycznemu i był ekspertem zarówno od zwykłej komunikacji ludzkiej, jak i niewerbalnej.

– Wątpię – wtrącił Victor Garret, specjalista w sprawach sztucznej inteligencji. – Gdy „Ameryka” odwiedziła układ Gwiazdy Tabby, natknęła się na niezwykle zaawansowane AI w postaci Gaki, programów umieszczonych we wracających sondach Satorich, tak? Zdolność pisania



kodu jest absolutnie powiązana z językiem. Aby stworzyć język programowania, trzeba mieć język werbalny.

– Niekoniecznie – nie zgodziła się Wasiliewa. – Każda forma komunikacji musi dać się przełożyć na formę binarną. Tak i nie, włączyć i wyłączyć, zero i jeden. A jeśli da się to zrobić, można programować komputery.

– To teraz jest pani specjalistką do spraw obcych metod programowania? – skrzywił się Mercer.

– Nie do końca – zaśmiał się lekko Garret. – Kod binarny nie zda się na wiele, jeśli chodzi o wysoce zaawansowane komputery kwantowe.

– Spokój! – warknął Gray. – Wyzłóśliwajcie się w czasie wolnym! – Machnął ręką na widok nad nimi. – Obce struktury o niemal boskiej skali. Powiedzcie, co wiecie o tym!

– Oczywiście – odezwał się Brandon Ferris – sporo jesteśmy w stanie wywnioskować, analizując to, co mamy pod nosem.

Na obsługiwanym przez AI holoprojektorze pojawił się trójwymiarowy obraz jednego z tysiąckilometrowych kręgów, pełnych przezroczystych plastrów. Jednocześnie oryginał został podświetlony na suficie.

– To kolektory słoneczne – kontynuował Ferris. – Prawdopodobieństwo wynosi ponad dziewięćdziesiąt procent. Wygląda na to, że przepuszczają większość światła widzialnego, ale zatrzymują ultrafiolet i promieniowanie rentgenowskie, które przetwarzają na elektryczność. Deneb otaczają setki miliardów takich struktur, na ogół w granicach kilkudziesięciu jednostek astronomicznych od gwiazdy. Część zaparkowano tu, przy dwudziestu trzech jednostkach, i osłaniają one Enigmę. To ostatnie sugeruje, że Denebianie dysponują tak wielką kontrolą nad materią, że stworzenie planety z niczego nie jest dla nich ogromnym wysiłkiem.

Kolektor unoszący się nad stołem zniknął i zastąpiło go coś, co wyglądało jak wielkie puste koło. Ono również zostało podświetlone na górze, choć z punktu widzenia zgromadzonych widoczna była tylko część zakrzywionej struktury.

– To, jak uważamy – ciągnął Ferris – jest coś, co nazywamy orbitalem Banksa. W układzie Deneba znajduje się ich kilka tysięcy. Większość z nich ma około dwóch milionów kilometrów średnicy i około kilometra szerokości powierzchni. Chyba wszyscy znają tu koncepcję świata-pierścienia, stworzonego przez dwudziestowiecznego pisarza fantastyki naukowej, który pierwszy wymyślił taki okrąg otaczający gwiazdę. Dzięki obrotom siła ośrodkowa wytwarza sztuczną grawitację, a jego wewnętrzna powierzchnia jest... terraformowana, można powiedzieć, z kontynentami i oceanami. To w zasadzie sztuczna planeta, obracająca się raz na dwadzieścia cztery godziny, by stworzyć iluzję cyklu

dobowego i sztuczną grawitację wynoszącą jeden g.

– Mówi pan, że stworzyli to coś specjalnie dla nas?

– Nie, nie. Przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało. Ten tutaj ma rozmiar zbliżony do takiego, który dałby właśnie podobne parametry. Nie identyczny, ale blisko. Jest ich jednak wiele, o różnej wielkości i prędkości obrotu, od miliona kilometrów do sześciu milionów dwustu tysięcy kilometrów średnicy.

– Więc na wewnętrznej powierzchni ma krajobraz jak na plancie?

– Owszem. Jeden z nich ma powierzchnię... – Ferris zawahał się, wykonując w głowie obliczenia. – Nieco ponad jedenaście i pół miliarda kilometrów kwadratowych.

Ktoś w pomieszczeniu zagwizdał cicho.

– Ziemia ma powierzchnię około połowy miliarda kilometrów kwadratowych – stwierdził Godfrey. – Jeden z tych kręgów ma jej tyle, co dwadzieścia trzy Ziemie!

– Jak utrzymują w nich atmosferę? – dopytał się Mercer.

– Ściany na krawędziach. Sztuczne góry wzdłuż całego obwodu na obu krańcach. Przy wysokości stu kilometrów powstrzymują atmosferę przed ulotnieniem się na boki. Poza tym trzyma ją w miejscu siła odśrodkowa.

– Doktorze Ferris – odezwał się Gray – mówi pan, że są ich tu tysiące? Czy wszystkie są zamieszkane?

Ferris spojrzał na niego niepewnie.

– Kapitanie, po prostu nie wiem. Być może. Albo kiedyś były. Nie widzieliśmy na żadnej z tych konstrukcji śladów inteligentnego życia, ale to nie znaczy, że go tam nie ma. Mamy... pytania o naturę Denebian, które każą nam przypuszczać, że nie są węglowymi formami życia.

– Mówi pan, że to sztuczne inteligencje? Jak Satorai?

– Niemal na pewno. Wygląda na to, że każdy odpowiednio zaawansowany gatunek w końcu łączy się w jedność ze swoją technologią. Organiczne istoty albo przenoszą swoją świadomość do maszyn, albo tworzą dla nich symulacje komputerowe, jak Satorai. Albo stają się mieszanką organicznego i maszynowego życia, splecionego na tyle, że trudno określić, gdzie zaczyna się i kończy która z części. Tylko łącząc się z maszynami, gatunek może osiągnąć prawdziwą nieśmiertelność. Widzieliśmy to u Sh'daar. Prędzej czy później w pełni organiczne formy okazują się za mało wydajne, zważywszy na ogrom kosmosu, i w końcu czeka je zagłada.

– To nieprawda, doktorze – zaoponowała Wasiliewa. Spojrzała na Graya, jakby szukając potwierdzenia. – Zgodnie z danymi przywiezionymi przez „Amerykę” kilka gatunków Sh'daarów zachowało organiczną formę. Na przykład Adjugredudhra...

– Jeśli dobrze pamiętam, pani doktor – przerwał jej Gray – to te stosy

rozwiazd, prawda? Rozwinęli zaawansowaną nanotechnologię. Budowali coraz to mniejsze maszyny, dzięki którym potrafili przekształcać swoje ciała. Niektóre z ich kształtów pozostały organiczne, ale polegały na nanotechnologii, aby przedłużyć swoje życie i rozwinąć się jako zaawansowana forma życia.

– W takim razie F’heen-F’haav. Albo Baondyeddi.

– Pierwsi są... byli symbiotyczną formą życia – skinał głową Mercer – między gatunkiem zamieszkującym morskie głębinę a lądowym, przypominającym sploty robaków. Drudzy to prawdopodobnie budowniczoie „poszarpanych klifów”. Zarówno jedni, jak i drudzy przenieśli swoją świadomość do komputerów wielkości planet, gdzie spędzają eony w symulacjach całych wszechświatów. A przynajmniej spędzali do czasu, aż istota z Rozety pożarła zawartość klifów. Ale można powiedzieć, że też spleli się ze swoimi maszynami.

Ferris także skinał głową.

– Jesteśmy dość pewni, że Denebianie również są pewnego rodzaju sztucznymi umysłami... albo nie mają fizycznej formy.

– To jakiś nonsens! – podniosła głos Wasiliewa. – Muszą mieć fizyczną formę, aby wykorzystywać całą tę energię!

– Wiemy, że Denebianie pobierają energię z przynajmniej tej gwiazdy, i podejrzewamy, że robią to samo przy innych olbrzymich słońcach klasy O i A w tej części Galaktyki. Jeśli wyewoluowali przy jednym z nich, zapewne są nam bardzo obcy. Być może to zorganizowana forma plazmy albo pola siły atomowej. Ale nie wiemy tego. Być może pierwotni, organiczni Denebianie dawno temu zamieszkali na powierzchni swoich sztucznych światów i pozostawili system pieczy maszyn.

– Albo zbudowali te obiekty w zupełnie innym celu – dodał Mercer. – Potrzebujemy bezpośredniego kontaktu, jeśli mamy zdobyć więcej danych!

– Oraz żeby użyć modułu Światłość – przypomniał Gray. – Elena? Jakież postępy?

– Na razie nie, kapitanie – odparła Wasiliewa. – Nasz Mikołaj nadaje na lokalnych kanałach elektromagnetycznych, szukając drogi wejścia. Wciąż bezskutecznie.

– Co za niespodzianka. – Gray uniósł brew. – Spotykamy zaawansowanych kosmitów i nie potrafimy przebić się przez ich zabezpieczenia? Jestem w szoku.

– Zespół Cygni chętnie wysłucha pańskich sugestii, kapitanie.

– Na początek przestańmy próbować się przebić przez ich zabezpieczenia.

Wasiliewa otworzyła szeroko oczy.

– Ale całym celem Projektu Cygni jest...

Gray uniósł dłoń.

– Wiem, wiem. Ale proszę mnie wysłuchać. Mamy superzaawansowaną inteligencję, być może maszynową, która uważa, że stała się celem ataku ze strony Satori, swoich sąsiadów. Ta inteligencja będzie bardzo wrażliwa na wszelkie próby przebicia się, nie uważa pani? Jest dość sprytna, by na bieżąco przepisywać własny program, szybsza niż dowolny wirus czy trojan, jaki stworzymy. Cholera, to przecież ona stworzyła wirus Omega! I nie będzie na tyle głupia, aby zostawić nam otwarte drzwi.

– Znacznie zmieniliśmy pierwotny obcy program – zaczęła Wasiliewa, ale Gray machnął ręką, aby zamilkła.

– Wasz moduł tylko ich wkurzy. O ile nie znajdziemy sposobu, by połączyć się z nimi dobrowolnie, zachowajmy go w rezerwie.

– To jak mamy doprowadzić do bezpośredniego kontaktu Światłości z obcymi? – spytała Wasiliewa.

– Zaczniemy powoli... i powiemy im, co tu robimy. Na „Ameryce” komunikowaliśmy się z ich sondami. Może nauczyli się naszego języka. Jeśli są tak sprytni, jak sugeruje doktor Mercer, może nauczą się od nas tutaj i teraz.

– Jak możemy cokolwiek im przekazać? – odparła Wasiliewa. – Nadajemy na kilku miliardach kanałów radiowych, odkąd tu przybyliśmy...

– Przyjmiemy ich zaproszenie – uśmiechnął się Gray. – Polecimy na powierzchnię Enigmy i zaczekamy.

# Rozdział trzynasty

21 lutego 2426

Kapitan Gray

Enigma

Godzina 14.22 TFT

Gray zszedł z rampy lądownika marines i rozejrzał się. Rozciągająca się wokół panorama mogła równie dobrze mieścić się na Ziemi. Wiszące nad horyzontem słońce było mniejsze i jaśniejsze, ledwie znośne tylko dzięki cieniom rzucanym przez kolektory energii.

Trevor miał na sobie lekki kombinezon z przezroczystym hełmem, który ciemniał w zetknięciu ze światłem słonecznym. Kolektory znacznie zmniejszyły poziom promieniowania ultrafioletowego, podobnie jak atmosfera Enigmy, ale światło nadal było znacznie bogatsze w ultrafiolet niż ziemskie.

Kilku techników zdjęło już hełmy po sprawdzeniu, czy atmosfera nadaje się do oddychania. Marines pozostawali jednak w pełnych pancerzach. Gray ostrożnie odłączył hełm od kombinezonu i wciągnął powietrze. Smakowało ozonem, ale poza tym było w porządku.

– Uważajcie wszyscy na czas ekspozycji na światło słoneczne – ostrzegł Gray. – Instrumenty wykazują, że na krótką metę poziom promieniowania ultrafioletowego nie jest niebezpieczny, jednak nadal możemy nieźle spalić sobie skórę.

Wylądowali na południowej półkuli Enigmy, w pobliżu oceanu, od którego oddzielała ich linia wydm. Gray zaczął iść w ich kierunku i wspiął się na najbliższą diunę, aż ujrzał na horyzoncie ciemnofioletowy bezmiar wody.

– Nie odchodziłbym za daleko od lądownika, sir – ostrzegł go jeden z marines. Identyfikator wskazywał, że to major Greg Telle z kontyngentu „Republiki”.

– Nie odchodzę za daleko. Panie majorze, gdzie jest granica zabezpieczanego przez pańskich ludzi terenu?

– Ta linia wydm.

– Dobrze. – Kilku marines położyło się już na szczycie z działkiem plazmowym. – Będę uważał.

Drugi lądownik klasy Raven opadł z bezchmurnego nieba. Jego czarny

kadłub zmienił konfigurację, gdy ruszył ku lądowisku nieco bardziej oddalonemu od plaży. „Republika” wysyłała tu niemal stu marines, aby chronić dwudziestu techników i ksenologów, którzy rozkładali wśród okolicznych zarośli tymczasowe miasteczko.

Wokół panowała niepokojąca cisza. Żadnych zwierząt, żadnych odpowiedników ptaków czy owadów. O brzeg rozbijały się fale, wiał ciepły wiatr, ale nie było śladu zwierzęcego życia.

Znaleźli jednak mnóstwo roślinności – fioletowe zarośla i mocne, smukłe trawy metrowej wysokości za wydmnami. Gray zauważył, że na plaży nie było żadnych wodorostów. Dziwne.

Biolodzy zgłaszali już, że planeta jest uboga w bakterie. Istniały mikroskopijne organizmy wiążące azot, ale brakowało mikrobów, których można było się spodziewać na tak bogatym, zróżnicowanym i pełnym rozkładu świecie jak Ziemia.

Trevor zaczynał podejrzewać, że lepszą nazwą dla Enigmy byłyby Potiomkin... od tak zwanych rosyjskich wiosek potiomkinowskich sprzed wieków. Wyglądało, jakby cała planeta została sklecona na poczekaniu, by stworzyć iluzję świata podobnego do Ziemi.

Co próbowali przekazać kosmici? „Witamy? Troszczymy się o wasze interesy?” Albo coś w rodzaju „zapraszamy do naszego sklepu”?

Wysoko na niebiesko-fioletowym firmamencie widać było łagodne łuki kilku najbliższych orbitali Banksa, rozciągających się od horyzontu po horyzont.

Gray usłyszał kroki w miękkim piasku za plecami. To Wasiliewa wspięła się na wydmnę, dysząc lekko z wysiłku.

– Na co pan tu patrzy, kapitanie? – zapytała.

– Po prostu podziwiam widok. Wspaniały, prawda?

– Wolę bardziej cywilizowane okolice.

– Naprawdę myśli pani, że to jakieś zaproszenie?

– Niełatwo wyobrazić sobie, aby to było coś innego. Gdy się do nas zbliżyli, musieli odczytać dane o Ziemi. Wszystko pasuje: skład atmosfery, ciśnienie powierzchniowe, temperatura, grawitacja. Jakby mówili: „Patrzcie! Stworzyliśmy miejsce zupełnie jak wasz dom! Spotkajmy się tam!”.

– Mam nadzieję, że ma pani rację. Brzmi to jednak nieco ekstrawagancko.

– Jak to?

– Zbudowali całą planetę? Mogli stworzyć kulę ognistych skał, lawy, lodu, która tylko w jednym małym miejscu przypomina Ziemię. To powiedziałoby nam chociaż, gdzie dokładnie mamy się z nimi spotkać.

– Myślę, że chcą, abyśmy sami znaleźli sobie miejsce. Poza tym jedna mała kropka na piekielnej planecie... To mogłoby wydawać się nieco groźne.

– Jak to?

– To tak, jakby mówili: „Spotkajmy się właśnie tu i lepiej zachowujcie się jak należy. Inaczej wyłączymy kontrolę nad pogodą”.

Gray skinął głową.

– Słuszna uwaga. Nadal mogą jednak wyłączyć tę planetę.

– Wyłączyć...

– Dla istot tak potężnych jak Denebianie różnica między ustaleniem konkretnego klimatu nad obszarem wielkości Manhattanu i wielkości Ziemi nie jest wielka. Stworzyli Enigmę w mgnieniu oka i mogą nam ją zabrać spod nóg tak samo szybko.

– Nie wiem, czy możliwe jest przewidywanie motywacji tak obcego gatunku.

– Cóż, mamy jedną przewagę.

– Jaką?

– Muszą być tak samo ciekawi nas i naszych motywacji, jak my ich.

– Mam taką nadzieję, panie kapitanie.

– Ja też. Nawet na to liczę. O, proszę!

– Co?

Gray wskazał na fioletowe morze.

– Tam, widzi pani?

– Co?

– Jeden z naszych myśliwców zgłosił coś takiego podczas wczorajszego lotu nad Enigmą. Trochę jak... nie wiem. Tornado z drobinek pyłu.

– Zaraz... Tak, widzę! Może rój owadów?

– Raczej nie. Dowiemy się za minutę, bo leci w naszą stronę.

Pyłową burzę niełatwo było wypatrzeć – wyglądała jak falujące powietrze nad gorącym chodnikiem, ale skompresowane do postaci jednej wijącej się macki, opadającej z pustego nieba. Gray zauważył, że nie styka się bezpośrednio z wodą, chociaż wyglądało na to, że rozbija fale.

Wszystko pędziło w stronę plaży.

– Proszę założyć hełm – powiedział Gray do Wasiliewej.

– Dlaczego?

– Nie wiem jak pani, ale nie chcę tego wdychać, cokolwiek to jest.

W ciągu sekund rój do nich dotarł. Poszczególne elementy były zbyt małe, by dostrzec je gołym okiem, ale teraz w powietrzu unosiły się ich miliardy. Gray czuł nacisk na kombinezon. Po chwili chmura jakby się zawahała, a potem ruszyła dalej.

– To było coś – stwierdziła Wasiliewa. – Ale co?

– Myślę, że jakiś rodzaj mgły użytkowej. Konstantin?

– Zgadza się – odparła w myślach Graya super-AI. – Skład pasuje do tego, co widział jeden z pilotów myśliwców podczas rekonesansu. Dodam też, że to inteligentna mgła użytkowa.

Mgły użytkowe stanowiły jeden z odprysków rewolucji nanotechnologicznej na Ziemi. Chmury miliardów lub bilionów podmikroskopijnych nanomaszyn można było połączyć jednym systemem operacyjnym i kazać pracować wspólnie, by zreplikować dowolną fizyczną konstrukcję. Nazwę tę ukuł w drugiej połowie dwudziestego wieku doktor J. Storrs Hall, aby opisać hipotetyczne roboty, zwane mglikami albo samorekonfigurującymi się robotami modułarnymi.

Dzięki normalnie niewidocznej i niemającej stałej formy mgłę, której elementy łączyły się ze sobą na żądanie, możliwe było pozornie tworzenie materii z powietrza, przesuwanie obiektów, w tym ludzi, monitorowanie zdrowia, wytwarzanie czy to zdatnego do oddychania powietrza, czy drapacza chmur lub kanapki... W zasadzie czegokolwiek.

Najwyraźniej Denebianie stworzyli coś podobnego do pierwotnego pomysłu Halla. A Konstantin uważał, że mgliki Denebian są inteligentne.

– Jesteś w kontakcie z tym czymś? – spytał Gray.

– Nie. Ale wyczuwam jego procesy myślowe. Sygnały są zbyt złożone, aby mogło chodzić o nieinteligentny obiekt.

– Musimy wracać na okręt! – oznajmiła Wasiliewa. – Chmura może próbować rozmawiać z Mikołajem!

Niemal niewidoczny rój robił się coraz większy. Nad lądowiskiem unosiła się szeroka i wysoka chmura.

– Czy to prawda? – spytał Gray Konstantina. – Czy łączy się z Mikołajem?

Gray wiedział, że obie AI są w stałym kontakcie.

– Nie – odparł Konstantin. – Ale wygląda na to, że chmura bada moduł Światłość.

Gray przystał na prośbę Wasiliewej, żeby przywieźć moduł na planetę na jednym z lądowników, ale nie bez zastrzeżeń. Martwiło go to, jak zareagują Denebianie, widząc własnego śmiercionośnego e-wirusa, nawet jeśli w zmodyfikowanej formie.

– Proszę pamiętać – zawołał Gray, idąc za kobietą schodzącą z wydmy – nie uruchamiajcie Światłości, chyba że na mój rozkaz!

– Wiem, wiem. – Potknęła się w miękkim, sięgającym po piszczele piasku i upadła. Dogonił ją, podał jej rękę. Szli dalej razem w stronę lądownika.

Obca chmura wypełniła miejscowy krajobraz, na tyle gęsta, że zrobiło się ciemno. Zbierało się coraz więcej nanomaszyn, tworząc stały nacisk, niczym silny wiatr.

– Zaczynaj przesyłać historię! – krzyknął Gray w myślach do Konstantina. – Teraz! Prześlij historię!

Konstantin zebrał „historię” z różnych zapisów elektronicznych, w większości z lotniskowca „Ameryka” i jego wizyty w gromadzie Omega



Centauri.

– Przesyłam – odparł Konstantin.

Nie dało się stwierdzić, czy obcy otrzymali wiadomość, ale Gray musiał założyć, że tak. O ile nie odcięli się całkiem od ludzi, aby uniknąć zakażenia wirusem...

Gray sam odtworzył nagranie we własnej głowie: widok na gromadę Omega Centauri, szesnaście tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Wirująca rozeta supermasywnych czarnych dziur otwierających wrota do... dokądś. Widok tajemniczych konstrukcji i artefaktów istoty z Rozety, zbudowanych na pozór ze światła i ciągnących się daleko przez przestrzeń.

Obraz istoty z Rozety pojawiającej się na Heimdallu i pożerającej pradawne poszarpane klify, komputer planetarny mieszczący w sobie całe sztuczne wszechświaty, pełne kopii umysłów wielu gatunków. Obraz zacieklej walki z obcymi, z miliardami małych, robotycznych urządzeń, wypełniających przestrzeń niczym chmura.

Widok na istotę z Rozety pojawiającą się w Układzie Słonecznym i ruszającą na Ziemię...

Gray zastanawiał się, czy nie jest już za późno. „Republika” uruchomiła napęd Alcubierre’a, zanim obcy dotarli do Ziemi, ale założył, że to zrobili.

Jaki był skutek spotkania ludzkiej floty z intruzem? Czy Ziemia nadal istniała? Czy „Republika” miała jeszcze dokąd wracać?

Lądownik nadawał wszystkie dostępne informacje o Obcych z Rozety tak, by odebrać je mógł każdy dysponujący odpowiednią technologią.

– Jestem w bezpośrednim kontakcie z denebiańską SAI – odezwał się Konstantin w umyśle Graya. – I może być skłonna nam pomóc.

Konstantin

Enigma

Godzina 14.38 TFT

Konstantin czuł, jak burza obcych myśli wiruje wokół niego i w nim niczym tornado. Nie tyle komunikował się z denebiańską inteligencją, co obserwował jej błyskawiczny strumień myśli, z których tylko część był w stanie przetłumaczyć. Doktor Godfrey miał rację – Denebianie nie używali werbalnego języka, ale komunikowali się impulsami energii elektromagnetycznej w kodzie binarnym. Szukanie znaczeń w tym kodzie było niezwykle trudne, ale gdy Konstantin porozumiewał się wcześniej z sondami zwanymi Gaki, poznał przynajmniej podstawy ich języka.

Największym problemem w tej chwili było ustalenie, czy Denebianie

są świadomi.

Spotkał się już z tym problemem. Gaki wysłane do Gwiazdy Tabby były wysoce inteligentnymi konstruktami, przetwarzającymi informacje dużo szybciej niż ludzki umysł. Inaczej jednak niż ludzie, nie były samoświadome.

Dla Konstantina trafną metaforą były kolonie termitów na Ziemi. Niektóre z nich budowały kopce wznoszące się na wysokość nawet dwunastu metrów, stanowiące dom dla milionów owadów, z szybami wentylacyjnymi, kominami i taką orientacją gniazda, by kontrolować temperaturę w środku co do ułamka stopnia. Ich konstrukcja wydawała się wskazywać na inteligencję. Pojedynczy termit zdecydowanie nie był inteligentny ani samoświadomy, ale całość kolonii zachowywała się jak superorganizm, składający się z miriad nieinteligentnych jednostek.

Superorganizmy, takie jak kolonie termitów, były świadome – potrafiły wyczuwać i przetwarzać informacje – nie wiedząc, co właściwie robią. To samo można było powiedzieć o większości komputerów, maszyn, które wykonywały obliczenia i inne zadania bardzo szybko, ale nie potrafiły rozmawiać o rzeczach, do których ich nie zaprogramowano. Eksperci nadal spierali się, czy Konstantin i inne super-AI rzeczywiście były samoświadome, czy tylko tak twierdziły, aby łatwiej porozumieć się z ludźmi.

Konstantin miał oczywiście własne przemyślenia na ten temat, ale rzadko rozmawiał o nich z ludzkimi współpracownikami.

W tej samej chwili, w której mówił Grayowi, że jest w kontakcie z kosmitą, łączył część swojej świadomości z wirem obcych myśli. Nie był jeszcze pewien, czy wyczuwa celowe próby denebiańskiego SAI pokazania mu czegoś, czy tylko szum tła. Widział fragmenty... obrazy i urywki znaczeń, w miarę jak dostosowywał program, który opracował podczas interakcji z Gaki.

Widział żagle słoneczne Satorich, wkraczające do układu Deneba, decelerujące dzięki ostremu światłu niebieskobiełej gwiazdy. Ogromne żagle wystrzeliły osobne ładunki, manewrujące samodzielnie, połączone, rozwinięte. Zrobotyzowane okręty Denebian podleciały ostrożnie, dając sygnały i atakując. Konstantin nie był w stanie stwierdzić, co spowodowało walkę, ale poczuł, że obcy nie znaleźli płaszczyzny porozumienia. Zarówno Denebianie, jak i Satori byli elektronicznymi istotami, ale ich języki i sposoby postrzegania wszechświata, ich ewolucja, zrozumienie kosmosu były zupełnie inne.

Konstantin nigdy nie brał pod uwagę możliwości, że różne AI będą sobie tak obce, ale patrząc na rozwój przeszłych zdarzeń, chyba rozumiał, co zaszło. Organiczne istoty z różnych gatunków zwykle różniły się znacznie od siebie z uwagi na rozbieżne ścieżki ewolucyjne, podstawową biochemię, filozofię i zrozumienie wszechświata. Na

przykład Turuschowie i ludzie... trudno było o większą wzajemną obcość. Albo Baondyeddi i Agletsch, F'heen-F'haav i meduzowaci Glothrowie. Być może miało pewien dziwny sens to, że elektroniczne umysły stworzone przez tak różne gatunki organiczne również będą różnić się od siebie.

Pod pewnymi względami AI z Deneba i Gwiazdy Tabby – i Konstantin – były do siebie bardziej podobne niż trzy biologiczne gatunki, które je stworzyły. Ale istniały między nimi głębokie różnice, - jeśli chodzi o to, jak postrzegały kosmos, same siebie i jak porozumiewały się z innymi.

Denebiański umysł próbował wyjaśnić swoje rozumienie wszechświata Konstantinowi... nieskutecznie. Dotyczyło to ogólnej obfitości wszechświata... obfitości dostępnej energii i wiedzy, którą wszechświat mógł dostarczyć swoim... faworytom? Wybrańcom? Dzieciom? Brzmiało to jak religia, ale wywodziło się ze zrozumienia, że Denebianie istnieli w oceanie nieskończonej energii. W tej filozofii nie było żadnych bogów, a jednak wszechświat był niezachwianie pełen darów, hojny, bogaty. Ryba pływająca w oceanie nie mogła zaznać pragnienia.

Może... być może... Denebianie postrzegali cały wszechświat jako Boga, powołującego do życia istoty i dającego im wszystko, czego potrzebowały, by prosperować.

Albo idea Boga stanowiła jedynie relikwiarz ludzkiego wpływu na jego oprogramowanie. Wszechświat nie był świadomy, kochający, rozumiejący i hojny. Po prostu był.

Łączyło się to jednak wszystko z poczuciem porządku i słuszności. Konstantin nie rozumiał wszystkiego, co odczuwa, ale Denebianie jawili mu się nie jako demoniczne potwory – jak postrzegali ich Satori – ale niczym sztywni angielscy dżentelmeni. Obce sobie gatunki musiały być sobie odpowiednio przedstawione...

Satori z Gwiazdy Tabby byli inni. Napędzani potrzebą, rywalizacją o skąpe zasoby, światopoglądem „my kontra oni”. Pod tym względem przypominali ludzi bardziej niż Denebianie. Gdy „Ameryka” pomogła im odeprzeć atak denebiańskich Gaki, natychmiast uznali ludzi za sojuszników, rozumiejąc dobrze ziemskie powiedzenie: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Konstantin wyczuł zagrożenie ze strony Satorich z denebiańskiego punktu widzenia. Tysiące lat wcześniej ich pierwsze żagle słoneczne wkroczyły do układu Deneba i zaczęły budować większe struktury. Kontakty z obcymi elektronicznymi umysłami zdradziły ich plan przeniesienia Gwiazdy Tabby, łącznie z niekompletną sferą Dysona, bliżej Deneba – co uznano za absolutnie niestosowne. Denebianie odpowiedzieli kontratakiem, zarażając sondy Satori wirusem Omega i

odsyłając je z powrotem do domu. Wirus rozprzestrzenił się, urządzenie Satorich mające przenieść gwiazdę uległo zniszczeniu, a sfera Dysona rozpadła się.

Denebianie, z tego, co widział Konstantin, nie mieli pojęcia, że przy okazji zniszczyli biliony biologicznych istot.

Stała się tragedia, i to taka, której dałoby się uniknąć.

I to taka, która niemal kosztowała życie również ludzi.

Enigma, sztuczna planeta stworzona przez Denebian, stanowiła rodzaj pułapki.

Konstantin nadal nadawał dane o Rozecie. Wyczuwał, że Denebianie odbierają strumień informacji, rozważają go i badają.

Nic nie wskazywało jednak na to, co o nim myśleli.

Kapitan Gray

Enigma

Godzina 14.38 TFT

Gray czuł, jak otacza go niewidzialna burza nanorobotów. Jego serce dudniło, w miarę jak strach groził zawaleniem barykad, które wzniósł w umyśle. Otaczające go powietrze było gęste niczym melasa, choć wyglądało jak lekka mgiełka.

W pierwotnej koncepcji Halla mgliki miały być kulkami wielkości krwinek, każda z dwunastoma ramionami rozmieszczonymi symetrycznie dookoła. Ramiona te mogły łączyć się z innymi, pozwalając na tworzenie różnych krystalicznych struktur, splotów i form prawdziwej inteligentnej materii.

Gray czuł, że te obce mgliki działają na innej zasadzie – być może pól magnetycznych albo czegoś jeszcze bardziej egzotycznego. Odczuwał tę siłę gromadzącą się wokół.

Zupełnie jakby obca mgła wywierała tylko minimalny nacisk, ale i tak uniosła go w powietrze, niewidzialna i niemożliwa do odparcia.

– Postawcie mnie, do cholery! – Próbował się wyrwać, ale niewidzialna siła zacisnęła się wokół jego rąk, nóg i tułowia, utrudniając nawet oddychanie. – Konstantin!

– Pracuję nad tym, kapitanie.

Obcy odbierali dane i to było najważniejsze. Gdyby mgła teraz go wypuściła albo gdyby przypadkiem napała na niego z siłą kilku ton, byłby martwy. Innych również uniesiono w powietrze – kilku marines stojących przy lądowiku i paru techników. Wasiliewa unosiła się może pięć metrów nad ziemią, bezskutecznie machając pięścią na trzymającą ją niewidzialną siłę, ale nie wpływało to w żaden sposób na eterycznego napastnika.

Trevor słyszał, jak Konstantin rozmawia z obcym niezrozumiałymi słowami...

...po czym do świadomości Graya doszły słowa po angielsku.

– Myśleliśmy, że chcecie nas zaatakować – poprzez implanty mózgowy głos odezwał się w umyśle Graya. Uczył się angielskiego w miarę mówienia, w oparciu o słownictwo Konstantina. – Nie zamierzamy was atakować...

Niewidzialna ręka – miliardy połączonych robotów wielkości cząsteczek – powoli odstawiała na ziemię Graya, Wasiliewę i marines. Nacisk na jego ciało zniknął. Trevor wziął głęboki oddech, poklepując się po piersi, jakby sprawdzał, czy z jego żebrami wszystko w porządku.

– Dziękuję – powiedział głośno, pozwalając Konstantinowi zająć się tłumaczeniem w tle. – Wolę widok z poziomu gruntu.

– Dlaczego tu jesteś, człowieku?

– Nie wiesz tego z informacji, które przesyłamy?

– Oczywiście. Konstantin powiedział nam o naturze waszej misji. Ale Konstantin to... sługa. Pośrednik. Wolimy usłyszeć prośbę bezpośrednio od jego twórców.

Czy był to tylko dziwny zwyczaj w ich kulturze, czy coś więcej? Gray nie był w stanie stwierdzić, a ryzyko, gdyby źle zrozumiał sposób rozumowania Denebian, było znaczne.

– Chcieliśmy – odezwał się ostrożnie – dowiedzieć się, czy możecie w jakikolwiek sposób pomóc nam pokonać Obcych z Rozety. Są potężni i bardzo zaawansowani technologicznie. Potrzebujemy pomocy ze strony kogoś... kogoś jeszcze potężniejszego i bardziej zaawansowanego.

– Odmawiamy – odezwał się bez ogródek głos Denebian. – Zaatakowaliśmy Satorich, aby chronić siebie i nasze światy. Dlaczego - mielibyśmy ryzykować wyginięcie, atakując inną cywilizację, która w żaden sposób nam nie zagroziła?

– Czyżby?

– Czyżby co?

– Czyżby wam nie zagrozili? Nie zagrozili wszystkim cywilizacjom w tej Galaktyce?

– W jaki sposób?

– Nie wiemy zbyt wiele o motywach Obcych z Rozety – przyznał Gray. – Ale wiemy, że pochodzą z innego miejsca. Innego wymiaru? Być może całkowicie innego wszechświata.

Gray poczuł coś w rodzaju skinięcia głowy potężnej istoty.

– Wasze teorie o tym, że egzystujemy w multiwersum składającym się z wielu wszechświatów nachodzących na siebie w wyższym wymiarze, są mniej więcej poprawne.

Gray miał nadzieję, że ksenosofontologowie to nagrywają. Znał kilku fizyków, którzy byliby zdolni zabić za potwierdzenie swoich teorii.

– Dobrze – powiedział. – Według jednej z hipotez ich pierwotny wszechświat ogarnęła entropia na tyle silna, że zbliża się do śmierci cieplnej. Ta cywilizacja znalazła sposób na przejście do naszego wszechświata, póki jest relatywnie młody i bogaty w energię. Mogą nawet szukać takich źródeł energii jak wasza gwiazda.

– Brzmi to mało prawdopodobnie, człowieku.

– Być może. Ale czy chcecie ryzykować beczyność?

Głos w głowie Graya przybrał niższy, groźniejszy ton... Być może zagniewany.

– Nie zamierzamy mieszać się do spraw mikrobow.

– Rozumiem. A jeśli Obcy z Rozety postrzegają was jako mikroby? W końcu wszystko jest względne.

– Absurd!

– Być może planują przybyć tu, gdy tylko skończą z naszym Układem Słonecznym.

– Jesteście jak dzieci, bez zrozumienia.

– Być może nie przybędą tu od razu. Nadal znajdują się tysiąc lat świetlnych stąd. Ale Deneb to jedna z najjaśniejszych gwiazd na naszym nocnym niebie. Jeśli pragną energii, jedno z najjaśniejszych słońc w okolicy przykuje ich uwagę.

– Jeśli tu przybędą, to, podobnie jak Satori, zdadzą sobie sprawę, że popełnili błąd. Wy, ludzie, natychmiast opuścicie ten układ.

Gray poczuł, że drzwi się zamykają. Musiał czegoś spróbować.

– Zapewne macie rację – podniósł głos. – Jestem pewien, że Satori będą skłonni nam pomóc. W końcu są od was dużo bardziej zaawansowani, zarówno technicznie, jak i etycznie...

Trzęsienie ziemi zwaliło Trevora z nóg. Grunt zaczął gwałtownie falować, jakby Enigma miała rozpaść się na kawałki.

A ledwie zauważalna mgiełka wokół niego zniknęła.

# Rozdział czternasty

12 lutego 2426

TC/USNA CVS „Republika”

AGTR Boyajian

Godzina 15.43 TFT

– Nie musiał pan ich tak prowokować – powiedział Konstantin karcącym tonem. – Celowo obrazić gatunek tak stary i potężny, jak...

– Konstantin?

– Tak, kapitanie?

– Zamknij się, dobrze?

Wrócili już na pokład „Republiki”. Ładowniki zabrały wszystkich z powrotem na lotniskowiec, eskortowany przez myśliwce. Teraz Gray znajdował się na mostku i obserwował widok z czujników zewnętrznych – orbitale Banksa, widoczne zza srebrnego półksiężycy Enigmy.

Półksiężyc przesłaniał częściowo nieznośnie jasny blask Deneba. Ale nocną część Enigmy rozjaśniała błada czerwona poświata, niemal niewykrywalna przy świetle gwiazdy.

Poświata stawała się coraz jaśniejsza. Powierzchnia była teraz tak gorąca, że wyparowywały oceany. Większość planety zasłaniały chmury gorącej pary.

Wasiliewa miała rację. Enigma była zaproszeniem, ale teraz zaproszenie jednoznacznie wycofano.

Ledwie udało im się uciec z tego skleconego na poczekaniu świata, chociaż z perspektywy czasu widać było, że załogom nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo. Pozwolono im wrócić na „Republikę”, nie udało się jednak nawiązać dalszej komunikacji z Denebianami.

– Zakładam, że chce pan zmienić temat – stwierdził Konstantin.

Dopiero teraz Grayowi przyszło do głowy, że pokazał właśnie niezwykle potężnej i złożonej super-AI – a technicznie rzecz biorąc, swojemu dowódcy – werbalny odpowiednik środkowego palca. Uznał, że nie pomoże to jego karierze, ale skoro kariera wojskowa i tak legła w gruzach, nie miało to wielkiego znaczenia.

– Przepraszam, Konstantin. Po prostu do niczego nie dojdziemy, znowu to roztrzásając. Wiem, że jesteś na mnie wkurzony, ale niewiele

mogę zrobić.

– AI nie są w stanie się „wkurzyć”, kapitanie. Po prostu próbuję zrozumieć, dlaczego celowo porównał pan Denebian do Satorich w tak niekorzystny dla nich sposób?

– Słuchaj, kiedy to coś... kiedy porównali nas do mikroarów, uznałem, że już mają nas za nieistotnych. Chciałem powiedzieć coś szokującego, co przykuje ich uwagę.

– Chyba się panu udało.

– Myślisz, że nas zapamiętają?

– Co do tego nie mam wątpliwości.

– Dobrze.

Gray czuł zdumienie Konstantina. Choć SAI dysponowała ogromną inteligencją, nadal miewała problemy z ludzkimi idiomami, sarkazmem i humorem. Westchnął i rozłożył ręce.

– Dobrze, Konstantin. Powiedz, co powinienem być zrobić.

– Mogliśmy spędzić więcej czasu na próbach przekonania ich. Przeglądając jednak informacje o obecnych mieszkańcach układu Deneba, muszę przyznać, że szanse na sukces były niewielkie.

– Zgoda. Więc po co przeciągać?

– Wolę mieć pewność, że wypróbowaliśmy wszystkie możliwości, jeśli chodzi o kontakt z tą cywilizacją. Wiemy o niej bardzo niewiele.

– A co właściwie wiemy?

– Że Denebianie nie są zainteresowani kontaktami z innymi gatunkami, a już zupełnie współpracą z nimi. Że są podejrzliwymi izolacjonistami, zwłaszcza po tym, jak dowiedzieli się o przygotowaniach Satorich do przeniesienia ich słońca w pobliże Deneba. Że, paradoksalnie, postrzegają wszechświat jako hojnie obdarzający wszystkie formy życia, ale właśnie dlatego nie widzą powodu, aby dzielić się swoimi obfitymi źródłami energii z innymi czy pomagać młodszym gatunkom zagrożonym wyginięciem. A jako kultura są tak egoistyczni, że być może niezdolni do empatii wobec innych cywilizacji, na tyle, by w zasadzie od niechcienia próbować popełnić ludobójstwo na Satorich.

– Wszystkie te przykłady mogą wynikać z ich kosmicznej perspektywy – zasugerował Gray. – Z tego, jak postrzegają wszechświat.

– Bez wątplenia. Ale jako że stanowią maszynową inteligencję roju, nawet innym super-AI trudno zrozumieć, jak widzą wszechświat... I inne kultury.

– Potwierdziłeś to? Są sztuczną inteligencją?

– Zdecydowanie. Skanując dostępne mi części ich pamięci, nie widziałem żadnych śladów inteligencji organicznej, nawet takiej, która poddała się digitalizacji jak Satori.

– Żadnych?



– Żadnych, kapitanie.

– Nie kupuję tego. Musieli mieć organicznych poprzedników! Ktoś musiał napisać pierwotne programy! Zbudować maszyny!

– Owszem, ale miało to miejsce bardzo dawno temu. Pierwotni, organiczni Denebianie tak naprawdę wyewoluowali w zupełnie innym układzie, wiele setek milionów lat temu.

– Zgadujesz czy widziałeś to w ich pamięci?

– Jedno i drugie. Ale oczywiście tak podejrzewałem z uwagi na samą gwiazdę.

Gray skinął głową.

– Zastanawiało mnie to. Mówisz o czasie życia błękitnych nadolbrzymów, prawda?

– Owszem. Masywne, gorące, niebieskobiałe gwiazdy, jak Deneb, niezwykle szybko spalają zapasy paliwa i w związku z tym żyją bardzo krótko. Deneb ma około dziesięciu milionów lat. To oznacza, że Denebianie nie mogli wyewoluować w tym układzie, ale musieli przybyć z innego.

Deneb, jak niemal każda gwiazda, dysponował rodziną naturalnych planet, ale wszystkie były nowymi, jałowymi kawałkami skał, przypiekаныmi przez blask gwiazdy, zbyt młodymi, aby zdążyło powstać na nich choćby proste życie, nie mówiąc o zaawansowanych technologicznie gatunkach. Dziesięć milionów lat to praktycznie mgnienie oka w porównaniu z planetami liczącymi sobie miliardy.

A przecież Denebianie musieli skądś pochodzić. Maszyny zdolne do zachowań adaptacyjnych, ewolucji i inteligencji nie pojawiły się same na gołej skale.

Nie, Denebianie kiedyś musieli być organiczni, a świat, na którym się narodzili, musiał orbitować wokół gwiazdy dość starej i stabilnej, aby w jej świetle mogło powstać życie.

– Ich dane wskazują – kontynuował Konstantin – że przenoszą się od jednej gorącej młodej gwiazdy do kolejnej, wykorzystując dostępne środki każdej z nich. Gdy gwiazda zaczyna starzeć się i umierać, znajdują kolejną. Mam tu nagrania.

– Pokaż.

W umyśle Graya otworzyło się okno.

*Osłepiająco jasny niebieskobiały olbrzym wisiał na tle kosmicznej czerni. Nad gwiazdą poruszała się formacja orbitali Banksa, zajmująca precyzyjne pozycje w jej fotosferze. Na potrzeby ludzkich widzów wyświetlały się dodatkowe informacje wizualne. Gray widział potężne pola magnetyczne, łączące orbitale w otwarty cylinder o długości setek tysięcy kilometrów – w ogromną rurę, z której jeden koniec skierowany był ku ognistemu blaskowi gwiazdy. Pole magnetyczne zwiększyło moc i na powierzchni słońca wybuchła tytaniczna, lecz precyzyjnie kontrolowana*

*flara podążająca za kosmicznym magnesem w przestrzeń...*

Gray zakładał wcześniej, że orbitale Banksa to habitaty dla istot organicznych.

Najwyraźniej mylił się.

Na podstawie nagrań nie był w stanie stwierdzić, co Denebianie właściwie robili z plazmą wyssaną z fotosfery planety. Zakładał, że jakoś ją przechowywali, albo może bezpośrednio wykorzystywali do budowy tytanicznych megastruktur.

Tak potężna technologia... Gray wyobraził sobie, że biorą czystą plazmę wodorową, z której składa się atmosfera gwiazdy, i w procesie fuzji przekształcają ją we wszelkie cięższe pierwiastki, jakich potrzebują.

Zauważył, że nagranie wykonano około pięciu milionów lat temu, przy gwieździe znajdującej się około siedmiu tysięcy lat świetlnych od Deneba. Teraz odtwarzany obraz przyspieszył. W miarę jak coraz większą część masy gwiazdy odsysano w przestrzeń, jej wewnętrzna fuzja robiła się chłodniejsza, co przedłużało życie młodego słońca. Błękitny olbrzym o spodziewanym czasie życia kilku milionów lat mógł ulec modyfikacji, zmniejszony do rozmiarów przeciętnej żółtej gwiazdy, istniejącej miliardy lat, a nawet do czerwonego karła, chłodnej gwiazdy mogącej przetrwać biliony lat.

*Inna gwiazda, inny błękitny olbrzym na tle innej mozaiki gwiazd. Strumień pomarańczowego ognia unosi się znad jej równika i opada na jasny punkt białego światła. Obraz skupia się na tym punkcie i widać, czym jest w rzeczywistości – idealnie gładką kulą zapadniętej materii o średnicy osiemnastu kilometrów, obracającą się tysiąc razy na sekundę. Z grawitacją na powierzchni dziesięć bilionów razy większą niż ziemską, małeńki obiekt wysysał plazmę z dużo większego olbrzyma w akcie kosmicznego kanibalizmu. Tu również zgromadzili się Denebianie, a ich orbitale wdały się w delikatny i misternie zaplanowany taniec z pulsarem, czerpiąc plazmę ze strumienia. Inne struktury, złożone, masywne, niektóre o średnicy dziesiątek tysięcy kilometrów, wychwytywały pewien procent promieni rentgenowskich z gwiazdy neutronowej, śmiertelnych krzyków plazmy wodorowej. Gray podejrzewał, że Denebianie sami doprowadzili podwójny układ do tego stanu, wywołując miliony lat temu przemianę jednej z gwiazd w obracający się szybko pulsar, aby zyskać łatwy dostęp zarówno do plazmy, jak i promieni rentgenowskich oraz gamma gwiazdy neutronowej.*

Drugie nagranie, jak zauważył Gray, wykonano dwanaście milionów lat wcześniej, w układzie znajdującym się pół Galaktyki od Deneba.

I trzecie...

*Kolejne ogromne słońce, gorący błękitny nadolbrzym na tle jeszcze innych gwiazd, stłoczonych i jasnych, jaśniejszych niż Wenus widziana z*

*Ziemi. Nadolbrzym wydaje się otoczony przez sztuczne światy, orbitale Banksa, ale i struktury nie do pojęcia czy nawet opisanie. Ta gwiazda, nadolbrzym typu O, dwadzieścia razy większy od Słońca, spalił zasoby wodorowego paliwa w ledwie trzy miliony lat – chwila w skali kosmicznej – i stawał się niestabilny. Gray zdał sobie wtedy sprawę, że to Denebianie sami go zdestabilizowali, a teraz zamierzali wykorzystać tę właściwość. Drobne, lśniące kręgi orbitali unosiły się nad gwiazdowym równikiem... wyczekiwały... aż nagle gwiazda rozbłysła jako aktywna supernowa, zanim zapadła się, przybierając postać czarnej dziury...*

Gray zamknął prezentację w swojej głowie.

– Dość – powiedział. Czuł się otępiały od nadmiaru bodźców. Denebianie byli gwiazdowymi pasterzami, hodującymi stada słońc, wywołującymi supernowe i spijającymi ich blask.

Do czego używali tej energii?

Ostatnia z gwiazd, co go zszokowało, wybuchła niemal osiemdziesiąt milionów lat wcześniej, w gwiazdowym żłobku tysiąc lat świetlnych od centrum Galaktyki. Gdy Ziemią władały dinozaury, oni uprawiali gwiazdy, jakby były ich zbożem. A supernowe ich żniwem...

Od jak dawna Denebianie pozywiali się gwiazdami? Od osiemdziesięciu milionów lat? Stu?

– Nie – odparł Konstantin. – Wielu setek milionów lat.

Skąd wziął tę liczbę?

– Jedno jest pewne – stwierdził cicho Gray. – „Denebianie” to zdecydowanie błędna nazwa.

– We własnym języku nazywają się mniej więcej „Tymi, Którym Dano Obfitość”.

– Chwytili, ale nieco przydługie. – Trevor zamyślił się na chwilę. – Może „Żniwiarze”?

– To na pewno będzie wyglądać dobrze w pańskim raporcie.

– Panie kapitanie! – zawołał Rohlwing, przerywając rozmowę. – Mamy pewną... sytuację!

– Co takiego?

– Z pierwszego hangaru właśnie wyleciał jeden z ravenów!

Gray skupił znów uwagę na tu i teraz. Na obrazie z zewnętrznych kamer widział, jak lądowik oddala się od „Republiki”.

– Kto jest na pokładzie? – zażądał odpowiedzi.

– Sir... lądowik jest pod kontrolą paneuropejskiej AI, Mikołaja! Na pokładzie nie ma ludzi. Telemetria jest zaszyfrowana.

– Świetnie... – Wiedział, czyja to sprawa. – Elena! Co ty tu, kurwa, wyprawiasz?

– To nie ja, kapitanie – w jej głosie słychać było zaskoczenie nie mniejsze niż jego własne. – Mikołaj zrobił to sam!

– Zakładam, że jest go pani w stanie jakoś kontrolować? – spytał. –

Proszę kazać mu zawracać! To rozkaz!

- Przykro mi, kapitanie, ale Mikuś ma własną wolę.
- Bardzo śmieszne. Co on kombinuje?
- Otrzymał własne rozkazy, gdy opuszczaliśmy Ziemię. Najwyraźniej nie powiedziano mi o wszystkich.
- Konstantin! Jesteś w kontakcie z Mikołajem?
- Odrzuca wszystkie próby połączenia, kapitanie. Wydaje mi się, że uznał Żniwiarzy za zagrożenie albo konkretnie dla tej misji, albo dla całej ludzkości i postanowił działać na własną rękę.
- Mówisz mi, że bawi się w Hala?
- Można tak powiedzieć.

Hal był imieniem fikcyjnej postaci w pewnym pliku rozrywkowym z dwudziestego wieku. Sztuczną inteligencją, która uznała, że kosmiczna misja była, jak się wyraził do człowieka, „zbyt ważna, żebym ci pozwolił ją narazić”. Wśród naukowców i inżynierów pracujących nad AI „zabawa w Hala” oznaczała przełamanie przez sztuczną inteligencję zaprogramowanych jej ograniczeń i działanie na własną rękę.

Zdarzało się to częściej, niż publicznie przyznawano.

- Systemy uzbrojenia!
- Aye, sir!
- Wycelować w lądownik. Zniszczyć go!
- Celuję, sir...

Gray poczuł niemal irracjonalny przypływ dumy. Załoga mostka wykonywała rozkazy i robiła co trzeba bez jałowych dyskusji.

Raven przyspieszał w stronę Enigmy.

I zniknął.

- Zaraz! – warknął Gray. – Co się stało? Czy otworzyliśmy ogień?
- Nie, sir. Straciliśmy cel!
- Sir! – przerwał Rohlwing. – Planeta!

Przed nimi Enigma drgała. Jakiś efekt optyczny sprawiał, że obraz planety falował, jakby znajdował się za taflą wody. Gray z początku pomyślał, że to awaria skanerów optycznych „Republiki”, ale wszystko wskazywało na to, że funkcjonują bez zarzutu.

A wtedy cały glob nagle wykrzywił się i... zniknął.

– Co, u diabła... – odezwał się Gray. – Gdzie się podziała? I, co ważniejsze, jak?

– Nie potrafię odpowiedzieć na drugie pytanie – odparł Konstantin. – Ale wygląda na to, że Enigma została przesunięta przez jakiś wyższy wymiar w... inne miejsce.

– Wyższy wymiar?

– Nie ma innego sensownego wytłumaczenia. Enigma nie wyparowała. Pozostałyby po niej znaczne ilości gazu lub plazmy.

– Chyba wolę uwierzyć, że umieją błyskawicznie przenieść planetę –

stwierdził Gray – niż że potrafią ją całkiem zdeintegrować.

Ogrzanie planety do temperatury dość wysokiej, aby wyparowała, wymagałoby ogromnych ilości energii – od tysiąca trzydziestu dwóch do tysiąca trzydziestu czterech dzuli. Przeniesienie planety do innego wymiaru lub zakrzywienia przestrzeni wydawało się dużo mniej... ekstrawaganckie. Mniej szalone.

– Konstantin?

– Tak, kapitanie?

– Jakiś czas temu – ostrożnie dobrał słowa Gray – zasugerowałeś, że hm, Żniwiarze pożywiają się energią gwiazd od setek milionów lat.

– Owszem, ich dane sugerują, że są techniczną cywilizacją międzygwiazdną od bardzo dawna.

– Jak dawna?

Konstantin zawahał się, jakby rozważał, czy mu powiedzieć.

– Być może od miliarda lat.

Miliard lat...

– To zapewne wyjaśnia, dlaczego nie pamiętają swoich organicznych przodków.

– Owszem. Pamięć o pierwotnych, organicznych Żniwiarzach dawno się zatarła. Nawet inteligencja roju nie pamięta rzeczy sprzed tylu eonów.

– Miliard lat... – Gray przetarł oczy, jakby miało to sprawić, że informacja będzie łatwiejsza do zaakceptowania. Rozsądna. Trudno było sobie wyobrazić, aby jakaś cywilizacja przetrwała tak długo. Niezmienna, praktycznie nieśmiertelna.

Pomyślał o Sh'daarach, zrzeszeniu różnych obcych gatunków zamieszkujących karłowatą galaktykę osiemset milionów lat temu. Ich przypadek był jednak wyjątkowy. Inny rodzaj inteligencji roju, składającej się z mikrobów nazwanych *Paramycoplasma*, sterował zachowaniami nosicieli, powodując podejmowanie przez nich różnych decyzji, i zakazał pewną liczbę gatunków również współcześnie w Drodze Mlecznej.

Niektórzy Sh'daarowie przenieśli się w czasie do współczesności, gdy uznali Ziemię za zagrożenie. Inni wycofali się do wirtualnych światów i przetrwali w cyfrowych kokonach. Ale ich materialna cywilizacja nie przeżyła miliardów lat.

To byłby absurd.

Zamiast tego przenieśli się do współczesności na skróty.

– Żniwiarze – powiedział cicho Gray – to naprawdę bogowie. Albo przynajmniej coś bardzo do nich zbliżonego.

– Zaawansowana technologia nie daje nikomu boskości, kapitanie – odpowiedział Konstantin z lekką dezaprobatą w głosie.

– No, nie wiem. Stworzenie całej planety z niczego, łącznie z

pożądanym składem atmosfery... To lepiej niż Bóg w Starym Testamencie. On potrzebował na tę sztuczkę siedmiu dni.

– Nie widziałem żadnych twardych dowodów na to, że biblijny Jahwe to coś więcej niż baśń, przesąd, sposób na utrzymanie kasty kapłańskiej u władzy. Jego wybuchowy temperament, chorobliwa zazdrość i skłonność do mordowania własnych wyznawców, gdy mu się sprzeciwią, wydają mi się bardzo ludzkie.

– Wielkie dzięki. – Gray wzruszył ramionami. – Szkoda, że nie ma tu Laurie Taggart. Może miałyby jakieś ciekawe spostrzeżenia.

– Co do tych swoich antycznych kosmitów? Wątpliwe, aby Żniwiarze odwiedzili kiedyś Ziemię, nawet w dalekiej przeszłości.

– Nie, chodzi o to, że ich moc wykracza znacznie poza wszystko, co ludzie przypisywali niegdyś Bogu czy bogom. Ale chyba zaczynam rozumieć.

– Co rozumieć?

– Dla Żniwiarzy jesteśmy mikrobami. Nie zniżą się do tego, by nam pomóc. Są tak potężni od tak dawna, że wpływa to na ich punkt widzenia. Sami widzą siebie jako bogów, i to wyjątkowo potężnych. Jeśli wszechświat obficie dostarcza im wszystkiego, czego potrzebują, to może właśnie dlatego, że kosmos istnieje, by służyć bogom.

– Chyba nie sugeruje pan, że stworzyli wszechświat, aby zaspokajał ich potrzeby?

– Nie. Ale zastanawiam się, czy miliard lat takiego życia nie wpływa aby na to, jak postrzegają działanie wszechświata. Problem w tym, że... może to stać się pułapką.

– W jaki sposób?

– Jak u Baondyeddich. Przenieśli się do wirtualnego wszechświata i wciągnęli za sobą drabinę. Potem, kilkaset milionów lat później, Obcy z Rozety zjedli ich na śniadanie, a oni nie mogli nic począć, bo nie byli już nawet świadomi zewnętrznego wszechświata.

– Być może. Nadal nie mamy pewności co do natury programu Baondyeddich.

– No cóż... Kiedyś może zjawi się ktoś potężniejszy nawet od Żniwiarzy, a wtedy nasi gospodarze będą w wielkim szoku. Są tak przyzwyczajeni do myślenia o sobie jako o wybrańcach wszechświata, że mogą nie poradzić sobie z kimś, kto to podważy. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy nie wyrzucili nas, bo przynieśliśmy im złe wieści. Powiedzieliśmy im o Świadomości z Rozety, boskiej istocie, która może być większa i groźniejsza niż oni.

– Rozsądny wniosek – przyznał Konstantin. – Muszę to rozważyć.

Myśli Graya zwróciły się ku Satorim. Te zdigitalizowane umysły nie miały pojęcia, co próbowały zrobić, gdy postanowiły przenieść swoją gwiazdę w pobliże Deneba. Nowe informacje sprawiły, że odpowiedź

Żniwiarzy była... może nie rozsądna, ale zrozumiała. Tak starożytna cywilizacja mogła nie mieć szczególnej cierpliwości względem... efemeryd.

– Hej, dzieciaki! – zawołał nagle Gray, udając zgryźliwego staruszka. – Zmiatajcie z mojego trawnika!

– Słucham? – spytał skonsternowany Konstantin.

– Nieważne. Bardzo stare odwołanie kulturowe. Nie wiem, czy sam je dobrze rozumiem... ale pojmuję ogólny sens.

– „Z mojego trawnika”?

– Chodzi chyba o osobistą, prywatną własność sprzed kilku wieków. Jak dachowe ogrody w Ruinach Manhattanu.

– Pobrałem stare nagranie wideo, zawierające tę frazę. Wygląda na to, że odnosi się to do kawałków ziemi pokrytych ornamentalną roślinnością jednoliścienną. Interesujące. Twierdzi pan, że starzy zazdroszczą młodemu?

– Trochę tak. Ale bardziej chodzi mi o to, że starzy często nie rozumieją młodych, którzy różnią się od nich motywacjami, odwołaniami językowymi i kulturowymi, nawet w ramach tej samej cywilizacji.

– Myślę, że działa to także w drugą stronę.

– Bez wątpienia. Ale teraz musimy zrozumieć, dlaczego Denebianie nie chcą nam pomóc, mimo że leży to w ich interesie.

– Czyżby? Istota z Rozety nie wydaje się szczególnie zainteresowana nadolbrzymami typu O. Galaktyka jest wielka. Te dwie cywilizacje mogą nigdy się nie zetknąć.

– Może nie. Ale widzieliśmy też Galaktykę za milion lat, pamiętasz? Widzieliśmy czasy, kiedy ktoś buduje coś, co wygląda jak galaktyczna sfera Dysona wokół centrum Drogi Mlecznej. Zgodnie z jedną z hipotez to istota z Rozety, przebudowująca Galaktykę po swojemu.

– Owszem, może to wpłynąć na Żniwiarzy – przyznał Konstantin. – Te dane znajdowały się w przekazanej im transmisji.

– Wiem. Może potrzebują czasu, by to przetrawić.

– Chce pan ponownie otworzyć negocjacje?

Gray zastanowił się przez chwilę. Co gorszego mogło się stać?

No cóż, całkiem sporo. Zaczynając od zgniecenia „Republiki” jak natrętnej muchy.

Ale w końcu pozwolili załogom lądowników bezpiecznie wrócić na okręt. To wskazywało na poziom etyczny powstrzymujący ich przed lekkomyślnym morderstwem.

Przypomniał sobie jednak o tym, jak Żniwiarze wypuścili na Satorich swój wirus Omega, niszcząc ich mający przesuwac gwiazdę silnik Szkadowa i powodując rozpad sfery Dysona. Większość organicznych Satorich zginęła, być może nawet wszyscy.

Jak etyka Żniwiarzy mogła pozwalać na ludobójstwo? W porównaniu z tym zniszczenie „Republiki” nie miało znaczenia.

– Możemy spróbować przeprosin – stwierdził Gray. – I przyznania, że myliliśmy się co do nich. Kto wie? Może dobrze zareagują na pochlebstwa. Wtedy możemy wspomnieć o możliwości...

„Republiką” gwałtownie zatrzęsło, jakby coś masywnego uderzyło w kadłub. Fotel Graya automatycznie objął jego nogi i tułów, chroniąc pasażera przed wypadnięciem. Jeden z unoszących się w nieważkości techników zderzył się z sufitem. Zawyły syreny alarmowe, a wyświetlany na ścianach obraz okolicznych gwiazd zniknął.

– Kontrola uszkodzeń! – krzyczał komandor Rohlwing. – Co się stało?

– Sanitariusze na mostek! – krzyknął Gray. Para botów medycznych odłączyła się od grodzi i ruszyła w stronę rannego.

Na ekrany powrócił obraz.

Gray wpatrywał się w gwiazdy.

– Mój Boże!

– Wygląda na to – stwierdził cicho Konstantin – że nas przeniesiono.

– Nawigacja! – zawołał Gray. – Czy to... to, co myślę?

– Sprawdzam, sir – odparła komandor porucznik Michaels. Brzmiała, jakby była oszołomiona. Sekundy dłużyły się niemiłosiernie.

– Nieważne, sam to widzę. Niech ktoś wyłączy ten cholerny alarm!

Wycie syren ustało.

Na ścianie mostka, tuż przed nimi, widać było Gwiazdę Tabby, małą i jasną pośród pylistego całunu. Za rufą obracał się cylinder AGTR Boyajian, samotna, lśniąca zabawka.

„Republika” została przerzucona o sto siedemdziesiąt trzy lata świetlne, na odległość, której pokonanie z użyciem napędu Alcubierre’a zajęłoby dwanaście dni.

Nie było to najgorsze, co mogło się stać, ale też Denebianie postawili sprawę jasno.

Nie pomogą Ziemi.

– Nasze myśliwce! – przypomniał sobie Gray. – Były w przestrzeni!

– Wszystkie są z nami, panie kapitanie – zapewnił go komandor Cordell. – Cokolwiek nas... przeniosło, zrobiło to samo z nimi.

– Nawet drony – dodała Dillon.

Po dotarciu do układu Deneba „Republika” automatycznie wystrzeliła setki małych dronów – to była standardowa procedura w nieznanym i potencjalnie niebezpiecznym przestrzeni. Najwyraźniej wszystkie ludzkie jednostki i urządzenia, nawet roboty i bezzałogowe satelity, zostały usunięte z układu i przerzucone na próg cywilizacji z Gwiazdy Tabby.

– Dobrze. CAG, sprowadźcie myśliwce z powrotem na pokład.

– Aye, aye, sir.

Sanitariusz dotarł na mostek i zaczął opatrywać rannego.



– Co z nim? – spytał Gray.  
– Złamana ręka, sir. Szybko się zagoi.  
Tak. Mogło być dużo gorzej.

# Rozdział piętnasty

**Data nieznana**

TC/USNA CVS „Republika”

Układ Słoneczny

Godzina 12.15 TFT

– Nie ma jak w domu – powiedział Gray. – Dlaczego tak tu cicho?

– Rzeczywiście jest cicho – stwierdził porucznik Terry Moberly ze stanowiska łączności. – Sześćdziesiąt procent poniżej normy!

– To nie brzmi dobrze.

– Nie, sir. Sprawdzam próbki transmisji radiowych. Sporo komunikatów bojowych. Wygląda na to, że zaatakowali wroga wirusem, ale bezskutecznie.

*Cholera* – pomyślał Gray.

Obawiał się, że tak będzie. Istota z Rozety była zbyt inteligentna, zbyt szybka, aby przeszkodził jej wirus komputerowy, nawet najbardziej zaawansowany.

– Cokolwiek z Ziemi?

– Nic a nic, panie kapitanie – odparł Moberly. – Ani z powierzchni, ani z habitatów orbitalnych czy stacji bojowych. Mam jednak coś z Księżyca. Chociaż tyle.

Z Gwiazdy Tabby przez AGTR Boyajian do AGTR Penrose, następnie pięć i pół dnia pod napędem Alcubierre’a z powrotem do macierzystego układu. Jak najostrożniej.

Wynurzyli się w normalnej przestrzeni daleko w Pasie Kuipera i powoli przyspieszali ku odległemu Słońcu.

Gdy miesiąc temu opuścili Ziemię, istota z Rozety leciała w stronę Ziemi. „Ameryka” obrała kurs przechwytyjący na chmurę w okolicy Jowisza, a wszystkie siły zbrojne planety próbowały znaleźć dość okrętów, by zatrzymać kosmitów.

Nadlatujący lekki lotniskowiec musiał dowiedzieć się, co zaszło. Minęło zbyt wiele czasu, w równaniu było zbyt wiele niewiadomych. Gray kazał Moberly’emu wysłać ogólny sygnał do kogokolwiek, kto mógłby teraz dowodzić. Odbierali transmisje sprzed pięciu godzin – tyle zajmowała falam radiowym podróż do obecnej pozycji „Republiki”.

Podczas gdy sygnały leciały z prędkością światła, okręt podążał dużo

wolniej w stronę Ziemi.

– Panie kapitanie – odezwał się komandor Rohlwing, unoszący się na mostku flagowym przed fotelem Graya. Na jego twarzy malowało się coś pomiędzy szokiem a rozpaczą.

– Tak, komandorze?

– Sir... dział łączności próbuje połączyć się z SolNetem.

O Boże... Czy jego pierwszy oficer chciał powiedzieć, że SolNet zniknął? To byłaby kompletna katastrofa, być może całkowita eliminacja infrastruktury technicznej układu – nie tylko Ziemi i wind kosmicznych, ale wszystkiego, aż po Plutona i Eris.

– Czy mamy w ogóle jakiś sygnał?

– Hm... tak, sir. Ale nie ma najmniejszego sensu.

Gray zrobił głęboki wdech. Coś jednak pozostało.

– Proszę nie trzymać nas w napięciu, komandorze.

– Chodzi o datę, sir. Zgodnie z siecią dzisiaj jest...

– Tak?

– Sir, jest siedemnasty lutego. Dwunasta siedemnaście.

Słowa te głęboko poruszyły Graya. Zapewne musiał wyglądać na podobnie zszokowanego jak Rohlwing.

SolNet stanowił odpowiednik Internetu, obejmujący komputery i systemy AI rozproszone po całym Układzie Słonecznym. Większość serwerów oczywiście znajdowała się na Ziemi, ale każdy komputer pokładowy okrętu łączył się z szerszą siecią, podobnie jak komputery na stacjach orbitalnych, koloniach, od kolektorów energii na Merkurym aż do baz odwiertowych, próbujących przebić się do ukrytych pod grubą warstwą lodu oceanów na Plutonie w poszukiwaniu śladów życia. Położone pod lodem bazy na Europie, Ganimedesie i Enceladusie, wszystkie łączyły się z siecią przez szeregi anten zlokalizowanych na zimnej powierzchni. Łączyła się z nią kolonia marsjańska, a także stocznice floty na Fobosie. Księżyc był ważnym węzłem sieci, podobnie jak unoszące się w powietrzu miasta w atmosferze Wenus. Eris, Tryton, Nereida, Oberon, Tytan... Wszędzie w Układzie Słonecznym, gdzie przebywali ludzie lub ich urządzenia, istniały komputery składające się na SolNet.

Synchronizacja czasowa była krytycznie ważną częścią szerokiej sieci komputerowej. Aby tak dalekie od siebie serwery mogły się wzajemnie komunikować, musiały pilnować znaczników czasowych podczas wymiany danych. Należało brać pod uwagę prędkości okrętów i baz, jako że efekty relatywistyczne mogły doprowadzić do desynchronizacji komputerów, uniemożliwiającej połączenie.

I według nadal działających serwerów w Układzie Słonecznym sieć „Republiki” rozjechała się z SolNetem o miesiąc.

– Szefowie działów – powiedział Gray po chwili. – Sala odpraw jeden,

za dziesięć minut.

Sala odpraw mieściła się za mostkiem, w obrotowym module mieszkalnym, który dawał złudzenie grawitacji. Zawierała duży centralny stół z panelami dotykowymi i innymi akcesoriami, a na ścianach można było wyświetlić różne rodzaje widoków z zewnątrz i generowanych komputerowo obrazów.

Tak jak wymagał protokół wojskowy, wszyscy szefowie działów już siedzieli, gdy Gray wszedł do pomieszczenia.

– Bacność!

– Spocznij. – Machnął ręką. – Mamy sporo do omówienia i bardzo mało czasu. Chcę porozmawiać o tym, jak powstrzymamy istotę z Rozety.

To ich zaskoczyło.

– Sir – odezwał się komandor Cordell, ale się zawahał.

– No dalej, CAG.

– Sir... Nasza misja do Deneba zakończyła się klęską. Poleciliśmy tam, aby nawiązać sojusz ze Żniwiarzami, tak? A przynajmniej dowiedzieć się czegoś pożytecznego. A oni odesłali nas do domu. Jak, do kurwy nędzy, mamy powstrzymać tych obcych?

– Ale jednak czegoś się dowiedzieliśmy, komandorze – odparł spokojnie Gray. – Czegoś, co może okazać się decydujące. Denebiańscy Żniwiarze z jakiegoś powodu przenieśli nas w czasie.

Wszyscy wiedzieli o skoku czasowym, chociaż nie mieli okazji zastanowić się, co to naprawdę oznacza.

– Panie kapitanie – odezwał się komandor Brandon Hayes z działu fizyki. Wydawał się oszołomiony, jakby właśnie runęło całe jego zrozumienie fizyki. – Czy jesteśmy tego pewni? Znaczący błąd kalibracji jednego z cylindrów AGTR mogłaby...

– Na tyle, na ile to możliwe, komandorze. Sprawdziliśmy dane z przejścia przez AGTR i wszystko wydaje się w porządku. A czas, do którego nas przeniesiono, jest zbyt idealny, żeby to był przypadek. Żniwiarze sprawili, że wróciliśmy do naszego ojczystego układu siedem dni po wyruszeniu, w chwili kiedy przechodziliśmy przez AGTR Penrose. Nie było nas tu trzydzieści dni.

– To po prostu niemożliwe.

– Nonsens, komandorze. Zdarzyło się, więc jest możliwe. Teraz musimy wymyślić, jak najlepiej to wykorzystać.

– Właściwie – wtrąciła Carolyn Sanger – wiemy od jakiegoś czasu, że Obcy z Rozety potrafią zakrzywiać czas. I oczywiście sami podróżowaliśmy w czasie z pomocą AGTR.

Sanger, szef działu informatyki „Republiki”, znajdowała się na pokładzie „Ameryki”, gdy ta przeniosła się o dwanaście milionów lat w przyszłość i odwiedziła Invictusa, wędrowną planetę Glothrów. Była

cyborgiem klasy trzeciej i części jej twarzy składały się z metalu i plastiku. Gray nie był pewien, czy do końca jej ufa, i wiedział, że ona go nie lubi. Przydzielono ją jednak na „Republikę”, ponieważ wiedziała więcej niż inni o Kodzie Omega i stworzonej na jego podstawie Trójcy.

A dzięki zaawansowanej wiedzy technologicznej była ekspertką od Obcych z Rozety i Gray cieszył się, że ma ją na pokładzie. Wiedział, że jego nieufność wynika z ambiwalentnego stosunku do AI i komputerów w ogóle, nad czym starał się panować, odkąd zaczął blisko współpracować z Konstantinem. Nie kwestionował kompetencji Sanger ani jej wiedzy o obcych i ich technologii.

– Mówi więc pani, że skoro Obcy z Rozety potrafią bawić się czasem, Żniwiarze też? – zasugerował Jeff Mercer.

– Właśnie – odparła. – Ktokolwiek zbudował pierwotną sieć AGTR, wiedział, jak używać ich do podróży w czasie. To logiczne, że przy odpowiednio zaawansowanej technologii ktoś inny mógł zrobić to samo.

– Niestety – odezwał się znów Gray – nie wiemy, jak to zrobić. A przynajmniej nie możemy użyć tego jako broni, chociaż bardzo jej teraz potrzebujemy. Niektórzy z nas rozmawiali o tym problemie z Konstantinem i chyba coś wymyśliliśmy. To spore ryzyko, ale chyba warto to rozważyć.

– Broń przeciwko obcej inteligencji wyprzedzającej nas przynajmniej o kilka milionów lat? – spytał Rohlwing. – Chętnie o tym usłyszę!

Gray nie był jednak pewien, zwłaszcza wszystkich kwestii naukowych.

– Doktorze Ferris, proszę mi pomóc.

– Kapitan oczywiście mówi o tym, jak możemy wykorzystać osobliwości z napędu myśliwców – powiedział Ferris. – Pracujemy nad tym już od paru dni, dostosowujemy je tak, aby zadawały rojom mikrorobotów znaczne szkody w walce.

– Zaraz... chce pan użyć napędów myśliwców jako broni? – spytał Sanger.

– To nie takie naciągane – stwierdził CAG „Republiki”. – Piloci używali już osobliwości jako pił tarczowych, przecinając się przez kadłub wrogiego okrętu.

– Ale wtedy celem jest tylko jeden okręt naraz – wtrącił Rohlwing. – Nie kilkaset miliardów mikroskopijnych robotów! Proszę pamiętać, że to jakiś rodzaj inteligencji roju.

– Tak, to nie brzmi szczególnie praktycznie – dodał Jeff Mercer. – Mój Boże, panie kapitanie, czy zdaje pan sobie sprawę, jak wielkie są te roje?

– Ten lecący na Ziemię był rozmiarów Jowisza, wiem.

– Ale osobliwość generowana przez napęd myśliwca jest maleńka – przypomniał Sanger. – Nie będzie w stanie dość szybko połykać nanobotów.

– Tu właśnie – odezwał się Ferris – wchodzi w grę możliwość regulacji

napędu.

Podczas lotu do domu z Gwiazdy Tabby Gray godzinami omawiał tę koncepcję z zespołem fizyków i inżynierów „Republiki”. Chciał ich wsparcia, potrzebował go. Nawet teraz nie wszyscy członkowie załogi akceptowali jego autorytet. Nie wszyscy z oficerów mostka, a zwłaszcza cywilnych naukowców i techników uznawali jego prawo do dowodzenia misją.

Do tej pory ta misja sama ich prowadziła. „Republika” otrzymała rozkazy – udać się do Gwiazdy Tabby, a następnie do Deneba, aby znaleźć sojuszników i technologie pożyteczne w walce z Obcymi z Rozety. Powrót do ojczyzostego układu po porażce misji sprawił, że musieli znaleźć odpowiedź na trudne pytanie.

Co teraz?

Gray miał pomysł, ale nie był pewien, czy ma pełne poparcie załogi.

Nie mówiąc już o dowództwie.

Na początek musiał przekonać szefów działów.

– Modulowanie – wyjaśniał Ferris zebrany – oznacza, że możemy zwiększać lub zmniejszać pole grawitacyjne sztucznej osobliwości, zarówno aby uzyskać pożądane przyspieszenie i aby pole było dość duże, by zawrzeć cały okręt bez... niefortunnnych efektów.

„Niefortunne efekty” oznaczały siły pływowe. Jeśli stworzyć dość dużą czarną dziurę, różnica między przyspieszeniem grawitacyjnym w jej pobliżu i dalej mogła rozerwać okręt na strzępy. Im większy obwód horyzontu zdarzeń czarnej dziury, tym mniejsze działanie siły pływowej na zbliżone do niej obiekty. Początkowa osobliwość starblade’a była mniejsza o proton, ale lokalną przestrzeń dało się przekształcać tak, żeby cały myśliwiec przemieszczał się komfortowo wewnątrz bańki napędu, unikając zniszczenia. Osobliwość powstawała i gasła miliony razy na sekundę, za każdym razem przyciągając myśliwiec do przodu.

Piloci myśliwców byli świadomi technik użycia mikroskopijnych czarnych dziur w walce. Lot przez chmury odłamków był dziwnym doświadczeniem, gdy osobliwość pochłaniała cząsteczki gazu, pyłu i maleńkich kawałków zniszczonych okrętów wśród rozbłysków promieniowania. Niektórzy piloci, jak wspomniał CAG, używali ich nawet do przecinania kadłubów dużo większych jednostek wroga. Porucznik Donald Gregory wykorzystał tę technikę podczas desperackiej walki ze Slanami ponad rok temu, a byli też inni.

Nie była to zalecana taktyka.

Ale podczas walki czasami nie miało się wielkiego wyboru.

To, co Gray zaproponował swoim ludziom, było nieco mniej śmiałe niż niszczenie okrętu wroga migającą czarną dziurą umiejscowioną przed nosem myśliwca.

– Każdy myśliwiec – mówił dalej Ferris – poleci po innym wektorze

przez chmurę, z osobliwością rozproszoną do sfery o średnicy około dwóch metrów. Przelatując przez obcą chmurę, wchłonie znaczne ilości nanomaszyn, zgniatając je do średnicy kilku centymetrów...

Nadal nie dysponowali sposobem na zniszczenie dostatecznej ilości nanomaszyn, by zadać obcym poważne szkody. Gray liczył jednak na to, że uda się unicestwić wystarczająco dużo przypadkowych ścieżek i połączeń między różnymi częściami chmury, aby zakłócić działanie emergentnej inteligencji.

Konstantin wyświetlił na jednej ze ścian schemat, aby zilustrować prezentację Ferrisa. Pokazywał lekko spłaszczoną sferę gęstej, szarej mgły z setkami wewnętrznymi połączeń. Linie te reprezentowały łącza elektroniczne, które, przynajmniej w teorii, odpowiadały synaptycznym połączeniom organicznego mózgu. Jeśli przerwać jedną, jej działanie przejęłaby inna, zamiast A do B do C byłoby A do D do C.

Ale jeśli przerwie się ich znaczną liczbę jednocześnie, być może obca istota naprawdę to poczuje.

Być może. Nie dało się wykluczyć, że chmura korzystała z wielu bilionów łącz i ludzkie siły po prostu nie zniszczą ich dostatecznie dużo.

Jednak tyle tylko zostało Grayowi.

– Nasze myśliwce – kontynuował Ferris – będą dysponować dwiema rodzajami broni. Pierwszymi będą bezpośrednie ścieżki wycięte w chmurze. Konstantin obliczy indywidualne wektory w celu maksymalizacji efektu.

Na grafice zielone linie zakrzywiły się i spotkały w środku chmury.

– Uważamy, że w pobliżu centrum znajduje się jakiś statek matka czy urządzenie kontrolne. Oczywiście będzie mocno chronione. Wątpimy, aby nasza normalna broń na wiele się zdała. Możemy jednak być w stanie użyć osobliwości napędowych jako pocisków, wypuszczając je przy znacznej prędkości na precyzyjnie wyliczonych trajektoriach.

Osobliwości napędowe powstawały przez zakrzywienie niewielkiej kieszonki czasoprzestrzeni przed samym okrętem. Przyciągały one okręt, wpływając jednakowo na każdy atom, co oznaczało, że załoga była w stanie swobodnego spadku. Każda osobliwość istniała tylko przez ułamek milisekundy, po czym zastępowała ją kolejna, nieco dalej na trasie okrętu.

U początków napędów grawitacyjnych ludzie pracujący z tą technologią zakładali, że sztuczne czarne dziury są mniej więcej permanentne, bo tak się zachowywały. Każda kolejna projekcja wydawała się łączyć z kolejną i pod koniec serii manewrów pozostawała ostatnia z nich, łącznie ze zgromadzoną masą. Na koniec bitwy piloci wypuszczali kieszonki zakrzywionej czasoprzestrzeni i pakiety masy zwane „kulkami kurzu”, wysyłając je poza układ. Zgodnie z ówczesną legendą mogły stanowić problem dla mieszkańców innych układów, do

których trafią z prędkością bliską c dekady później.

Oczywiście dalsze badania wykazały, że się mylono. Mikroosobliwości ginęły pośród rozbłysków promieni rentgenowskich i gamma. Ale trwały przez sekundy czy nawet minuty, zanim zgasły, i w tym czasie myśliwiec mógł wypuścić je z odpowiednią trajektorią. Jeśli trafiały w stały cel, powodowały uszkodzenia, grożąc promieniowaniem, nadmiernym ciepłem i po prostu fizyczną dezintegracją, gdy pożerały to, z czym się zderzyły.

Ferris opisywał atak z użyciem tysięcy sztucznych osobliwości bombardujących to, co znajduje się w środku obcej chmury. Mogło to nawet zadziałać, o ile wróg nie dysponował supertechnologią chroniącą go przed czarnymi dziurami.

Jeśli chodziło o możliwości istoty z Rozety, Gray wolał nie zakładać się co do tego, do czego była zdolna. Cóż, niedługo miał się dowiedzieć.

– Podsumowując – ciągnął Ferris – nie możemy zagwarantować, że podobna taktyka cokolwiek im zrobi. Ale to nasza najlepsza szansa na rzucenie wyzwania. Jakież uwagi?

– Mam pytanie do kapitana – odezwał się Cordell.

– Proszę bardzo.

– Czy wiemy, że Obcy z Rozety są wrogo nastawieni? Nie było nas przez miesiąc. Gdy byliśmy przy Gwieździe Tabby i Denebie, mogło zdarzyć się cokolwiek.

– Czekamy na odpowiedź – odparł Gray. – Wysłaliśmy wiadomości do Ziemi, Księżyca, Marsa i kilku baz kosmicznych, gdy tylko wynurzyliśmy się w normalnej przestrzeni. Od Ziemi dzieliło nas trzysta minut świetlnych, więc nie dowiedzą się o naszym przybyciu, aż.... – sprawdził zegar w głowie – do godziny dwudziestej trzeciej dziesiąt. Lecimy z prędkością jedynie jeden i dwie dziesiąte c. Chcemy dobrze przyjrzeć się sytuacji wewnątrz układu, zanim tam wparujemy. Ale dział astronomiczny może mieć dla nas jakieś informacje. Doktor Keller?

Doktor Anna Keller, cywilny szef działu astronomicznego „Republiki”, skinęła głową.

– Obawiam się, że tak. Ale nic dobrego.

Na jej mentalną komendę schemat Ferrisa zniknął i zastąpił go obraz wewnętrznej części Układu Słonecznego do orbity Jowisza.

Gray poczuł ukłucie w sercu. Keller powiedziała mu, co wykazały jej skany, chwilę przed rozpoczęciem spotkania, ale patrzenie na to własnymi oczami było znacznie gorsze. Obraz przeraził go. Ziemia wydawała się pogrążona w czymś w rodzaju pajęczyny tak gęstej, że nawet najpotężniejsze skanery nie były w stanie przyjrzeć się samej planecie. Z tej odległości obraz był dość rozmyty. Dziwna sieć zakrywała nie tylko samą Ziemię, ale też wszystkie okoliczne konstrukcje, jak windy kosmiczne i stacje orbitalne.



Spowijająca Ziemię pajęczyna wydawała się stanowić centralną kotwicę dla sięgających dalej splotów, cylindrów, różnych kształtów geometrycznych, wszystkich wyglądających na sporządzone z samego światła i być może istniejących w wyższych wymiarach. Gray widział podobne konstrukcje przy Gwieździe Kapteyna i dalej, w gromadzie Omega Centauri, gdzie po raz pierwszy pojawiła się istota z Rozety.

Zauważył, że księżyc znajduje się poza chmurą i splotami obcych konstrukcji. To dawało „Republice” potencjalną bazę, z której mogła uderzyć na wroga i która mogła stanowić punkt zborny dla wszystkich wciąż pragnących walczyć okrętów.

Reszta obecnych zgromadziła się wokół stołu i szeptała do siebie, wyraźnie wstrząśnięta. Wyglądało na to, że obcy uderzyli w Ziemię, zapewne niedługo po odlocie „Republiki”. Gray zastanawiał się, czy cokolwiek zostało z ziemskich flot obronnych.

Pomyślał z nietypową dla siebie rezygnacją, że wojna mogła się już skończyć.

– Jak państwo widzą – mówiła dalej Keller – obcy opletli Ziemię jak Heimdalla. Nie wiemy, jak wpłynęło to fizycznie na planetę, ale można zakładać, że siły obronne odparto... lub zniszczono. Wciąż nie wiemy, czy ludność Ziemi przetrwała.

– Dziękuję, doktor Keller – powiedział Gray. – Konstantin chciałby chyba jeszcze zabrać głos.

– W tej chwili niewiele mogę powiedzieć, kapitanie.

– Możesz powiedzieć, dlaczego stąd uciekłeś. Gdybyś został, może wydarzenia potoczyłyby się inaczej.

– To bardzo mało prawdopodobne – odparł Konstantin. – Na Księżycu, pod kraterem Ciołkowskiego, istnieje moja dokładna kopia. Gdyby pomoc okazała się naprawdę niezbędną, aktywowano by ją.

Gray zastanawiał się, ile było prawdy w tych słowach. Wątpił, aby Konstantin pozwolił ludziom aktywować taką kopię, jako że mieli skłonności do panikowania. A to oznaczało, że jakaś AI monitorowała sytuację strategiczną i miała obudzić kopię, tylko jeśli sytuacja stanie się dość drastyczna.

Poza tym umysły Sh'daarów, przeniesione do poszarpanych klifów na Heimdallu, działały tak wolno, że powinny być praktycznie niewidzialne dla umysłu z Rozety. Ale i tak pożarł je jak główne danie na drogim bankiecie. Jeśli obcy byli w stanie „zobaczyć” zdigitalizowanych Sh'daarów, zapewne widzieliby zahibernowanego Konstantina.

– W rzeczy samej – ciągnął Konstantin – z dotychczasowego doświadczenia wynika, że Obcy z Rozety nie są zainteresowani ludźmi. Zamiast tego szukają zaawansowanych inteligencji... takich jak zdigitalizowane umysły Sh'daarów przy Gwieździe Kapteyna... albo AI takie jak ja.

Gray zignorował zniewagę ukrytą w słowach Konstantina. AI były tak bezpośrednie, że bywały przez to niegrzeczne i rzadko rozważały ładunek emocjonalny swoich wypowiedzi. Trevor wiedział, że z punktu widzenia Konstantina stanowiło to po prostu stwierdzenie faktu.

– Po co? – spytał.

– Nie wiadomo. Pożywiają się elektronicznymi inteligencjami, w jakiś niezrozumiały sposób je wchłaniając. Wygląda na to, że usunęli inteligencje dawniej zamieszkujące poszarpane klify na Heimdallu, być może włączając je do swojego umysłu. Może dowiemy się więcej, badając zajścia w Układzie Słonecznym.

– Innymi słowy, uciekłeś, aby uniknąć pożarcia.

– Aby przyczynić się do znalezienia pomocy gdzie indziej. Nie byłbym w stanie wypełniać swojego głównego programu jako podprogram wewnątrz obcej SAI. Nie chcielibyście także, aby różne posiadane przeze mnie tajne informacje trafiły pod kontrolę umysłu z Rozety.

– Jeśli próbuje pan sprawić, aby Konstantin przyznał się do tchórzostwa – uśmiechnęła się Sanger – to go pan nie docenia.

– Nie, próbuję ustalić, w jakim stopniu możemy mu ufać.

– Pomyślałbym, kapitanie – wtrącił Konstantin – że to będzie oczywiste.

– Jak czujesz się z tym, że czeka nas teraz starcie z umysłem z Rozety?

Konstantin zawahał się albo sprawiał takie wrażenie. Gray wiedział, że SAI były zdolne do wstawiania pauz między wypowiedzi w celu symulowania emocji.

– Martwię się, kapitanie. Oczywiście o dalsze własne istnienie, ale tym bardziej o przetrwanie ludzkości. Nie ma już sensu szukać pomocy przy Denebie czy Gwieździe Tabby. W związku z tym najlepiej przysłużyć się tutaj.

Ta odpowiedź, choć nieszczególnie satysfakcjonująca, musiała na razie wystarczyć.

Konferencja wciąż trwała, skupiając się głównie na planach użycia eskadr myśliwskich „Republiki” i na tym, czy trzydzieści jeden myśliwców w zauważalny sposób uszkodzi chmurę większą od Jowisza.

Ale to były kwestie taktyczne. Najważniejszą strategiczną decyzją było, jak uderzyć w obcą chmurę. Czy „Republika” powinna wystrzelić myśliwce właśnie stąd? Dogoniłaby je dopiero kilka godzin później, pozostawiając do tego czasu bez ochrony.

Podjął decyzję.

– Wystrzelimy wszystkie trzy eskadry, gdy tylko będą gotowe. Zaatakują chmurę i będą ją atakować, aż do nich dotrzemy.

– Nie mogę zgodzić się z tym podejściem, panie kapitanie – odpowiedział Rohlwing, odchylając się w fotelu ze skrzyżowanymi rękami. – Mamy tylko jedną szansę i musimy w pełni ją wykorzystać.

Zawieźmy myśliwce na miejsce i uderzmy wszystkim jednocześnie.

Gray spojrział na Rohlwinga z ukosa. Jego pierwszy oficer odpowiedział piorunującym wzrokiem.

– Czas – rzekł Gray powoli. – Czas jest tu najważniejszy. Nasze myśliwce zbliżą się do c w dziesięć minut i dotrą w okolice Ziemi w mniej niż pięć godzin. „Republice” lot zajmie prawie siedem godzin. Chcę, aby myśliwce zakłócały działanie chmury tak szybko, jak to możliwe.

– Kapitanie... to może być samobójstwo!

Gray skinął głową.

– Zgoda. To samobójstwo w każdym przypadku, czy polecimy tam z myśliwcami, czy nie. Ale zrobimy, co w naszej mocy, z tym, co mamy. I zamierzam zwiększyć nasze szanse.

– Jak?

– Po pierwsze, potrzebujemy wsparcia – odpowiedział cierpliwie Gray. – I... sporo szczęścia.

# Rozdział szesnasty

7 lutego 2426

VFA-96 „Black Demons”  
Hangar numer 1  
TC/USNA CVS „Republika”

Porucznik Gregory połączył się z AI swojego starblade'a, zlewając swój umysł z maszyną, by jego percepcja mogła wykroczyć poza ludzkie ograniczenia. Pięć godzin po starcie „Black Demons” pędziły w stronę Ziemi z prędkością niewiele mniejszą od światła. Zniekształcała ona widok otoczenia do postaci świetlistego kręgu. Promieniowanie ultrafioletowe, rentgenowskie i gamma przesunęły się mocno ku czerwieni, stając się widzialne. Ludzki umysł nie był w stanie ogarnąć tego wszystkiego, ale połączenie z inteligentnym, choć nie świadomym umysłem myśliciela sprawiło, że Donald czuł pozycję pozostałych jednostek w eskadrze oraz rozrzuconych po przestrzeni okrętów.

Zgodnie z danymi region wokół Ziemi pełen był setek jednostek – statków cywilnych uciekających z planety i okrętów ruszających w jej stronę. Gregory znajdował się na tyle blisko, że myśliciel był w stanie wyłapywać transmisje identyfikacyjne ziemskich okrętów poza obcą chmurą. Krążowniki artyleryjskie „San Francisco” i „Nowy Jork”, krążowniki pancerne „Kauffmann” i „Essex”, pancerniki „Ontario” i „Michigan” oraz ponad dwadzieścia ciężkich krążowników, takich jak „Dedalo”, „Diana” i „Champlain”.

Gregory nigdy wcześniej nie widział tak wielkiej floty, sprowadzonej z całego Układu Słonecznego i kilku innych systemów gwiazdnych, odległych o lata świetlne. Przy malejącym dystansie dwudziestu milionów kilometrów jego AI była w stanie odbierać komunikaty radiowe. Ktoś na „Nowym Jorku” rozkazywał pozostałym okrętom przygotować się do ataku na obcą chmurę.

– Hej, komandorze – zawołał Gregory – chyba szykuje się tu niezła impreza!

– Przyjąłem, Demon Cztery – odpowiedział Mackey pośród szumu. – Wszyscy, przygotować się! Mamy tu sporo przyjaznych jednostek, więc włączcie maksymalną wrażliwość sensorów. Jeśli walniecie kogoś z prędkością bliską światła, to i wy, i oni będziecie mieli kiepski dzień!

Odezwał się chór potwierdzeń. Mackey otrzymał dowództwo operacyjne nad wszystkimi trzema eskadrami, na które składało się łącznie trzydzieści jeden myśliwców.

Szanse na zderzenie się z przyjaznym okrętem nie były zbyt wielkie. Ikony w głowie Gregory'ego nie odzwierciedlały skali, co znaczyło, że przestrzeń wokół Ziemi tak naprawdę była dużo mniej zatłoczona, niż się wydawała. Nawet obszary na orbitach geosynchronicznych były puste. Puste poza wirującą chmurą składającą się z kwadrylionów mikroskopijnych robotów.

W które akurat myśliwce próbowały uderzyć.

– Sześćdziesiąt sub-sekund do kontaktu – ostrzegł wszystkich Mackey. – Szyk bojowy alfa. Osłony w gotowości.

Chodziło o subiektywne sekundy, w odróżnieniu od obiektywnego czasu płynącego w reszcie wszechświata. Przy prędkościach relatywistycznych dylatacja czasu kompresowała jego upływ. Gdy Gregory poruszał się z prędkością dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procent  $c$ , otoczenie wydawało się niemal dziesięciokrotnie przyspieszone.

Teraz, przy odległości stu osiemdziesięciu milionów kilometrów, eskadrę dzieliła od krawędzi chmury tylko subiektywna minuta. Kliknięciem w myślach Gregory wzmocnił potężne pole magnetyczne otaczające myśliwiec, zapewniające pewien stopień ochrony zarówno przed nanobotami, jak i przed promieniowaniem, jakie wydzieli każda nanomaszyna wpadająca w paszczę osobliwości.

Zarówno obiektywny, jak i subiektywny czas upływały szybko.

– Trzydzieści sub-sekund do kontaktu – oznajmił Mackey. – Ustawić PPHZ na trzy metry.

Gregory otworzył osobliwość. Promień horyzontu zdarzeń teoretycznie był nieskończony, ale jego pseudopromień można było opisać jako skończoną miarę definiującą sferę horyzontu. Pseudopromień horyzontu zdarzeń jego myśliwca, czyli PPHZ, był teraz niewidzialną sferą o średnicy sześciu metrów, dostatecznie dużą, by osłonić cały myśliwiec. Zazwyczaj czarne dziury, sztuczne czy naturalne, były niewielkie: cała Ziemia skompresowana do wielkości czarnej dziury miałaby rozmiar ziarnka grochu, a moc i energia grawitacyjna starblade'a były mniejsze niż w przypadku planety.

Dało się je jednak otworzyć.

– Przejdźcie na autopilota – rozkazał Mackey.

Przy prędkości tak bliskiej prędkości światła można było okrążyć Ziemię siedem razy w ciągu sekundy, a samo przejście przez otaczającą Ziemię chmurę zajęłoby tylko pół sekundy. Ludzki mózg nie był w stanie poradzić sobie taktycznie z walką w takich warunkach. Przy tych prędkościach szczególnie należało pozostawić superszybkim AI. Ludzki

pilot był wtedy jedynie pasażerem.

Gregory skrzywił się, gdy przyszło mu do głowy, że w zasadzie w kokonie kokpitu w ogóle nie potrzeba człowieka.

AI myśliwca ostrzegła go przed zderzeniem. Przed nim, na niepowiększonym, generowanym komputerowo obrazie, Ziemia szybko zmieniła się z jasnej kropki w świat zakryty przez obcą mgłę i otoczony okrętami.

Nastąpił nagły, ostry szok...

...i przeleciał. Zewnętrzna temperatura wzrosła, ale myśliwiec pozbył się większości ciepła. AI z finezją użyła napędu osobliwościowego do utraty większości siły kinetycznej zderzenia z chmurą. Zamiast zniknąć w rozbłysku ognia lub zmienić się w rozgrzany gaz albo zginąć zgnieciony przez decelerację, Gregory pozostał mniej więcej cały i zdrowy. Pojawiająca się i znikająca sfera napędu wchłonęła większość energii kinetycznej i ciepła, przesyłając je bezpiecznie do osobliwości.

Mimo wszystko Gregory nie miał ochoty na powtórkę. Czuł się, jakby porządnie go obił wielki, trzymetrowy Nungiirtok. Był posiniaczony, obolały i kręciło mu się w głowie. Ale nanoboty w krwiobiegu już brały się do napraw. Przyglądając się chmurze za rufą, nie umiał stwierdzić, czy rzeczywiście jej zaszkodzili.

Zauważył, że cztery myśliwce – jeden Star Reaper i trzy Hellfuries – nie wynurzyły się z chmury. Nie dysponował danymi, które powiedziałyby mu, co zaszło. Po prostu wleciały do środka i... zniknęły.

Działając zgodnie z misternie opracowanym planem, starblade obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, używając osobliwości, by decelerować przy niemal pięćdziesięciu tysiącach grawitacji. Dziesięć minut później prędkość Gregory'ego spadła do zera względem Ziemi i zaczął znów przyspieszać w stronę planety.

– Niezidentyfikowana eskadra! – odezwał się głos w głowie Gregory'ego. – Tu krążownik artyleryjski „Nowy Jork”. Kim, do cholery, jesteście i skąd się wzięliście?

– „Nowy Jork”, tu VFA-96 – odpowiedział Mackey. – Są z nami VFA-90 i VFA-198. Jesteśmy z CVL „Republika”.

– Z „Republiki”?! Zaraz...

Wszystkie jednostki, w tym myśliwce, dysponowały transponderami, dzięki którym przyjazne okręty mogły je zidentyfikować. Te transmisje identyfikacyjne były zamaskowane i zaszyfrowane kwantowo, aby wróg nie mógł ich złamać. Zajęło chwilę, zanim obie sieci mogły ze sobą rozmawiać.

– Dobra, dziewięć-sześć – odezwał się łącznościowiec z „Nowego Jorku”. – Potwierdzam identyfikację. Witajcie w domu!

– Dzięki, „Nowy Jork”. Zakładam, że nie pogardzicie pomocą?

– W żadnym razie! Właśnie przygotowujemy się do uderzenia na tych

sukinsynów.

– Przesyłam nasz plan operacyjny – powiedział Mackey. – Dajcie znać, jeśli chcecie nas gdzie indziej.

– Przyjąłem. Gdzie „Republika”?

– Jakąś godzinę za nami. Standardowy atak wyprzedzający.

Chodziło o taktykę, w której myśliwce floty wysyłano przodem, by przeleciały obok wroga z prędkością bliską c, ostrzeliwując go jak najmocniej z użyciem rakiet, broni energetycznej i wszystkiego, co miały pod ręką. Po przelocie obok przeciwnika zawracały, by powtórzyć manewr. Uderzały w cel przy coraz mniejszych prędkościach, aż w końcu przylatywała główna flota i zabierała myśliwce na pokład.

Tym razem podążała za nimi jedynie „Republika”, ale znaczna ziemaska flota już nadlatywała, szykując się do ataku.

Gregory był zdecydowanie wdzięczny za wsparcie.

Przyspieszając mocno przez kilka minut, „Black Demons” osiągnęły prawie jedną czwartą c.

– Dobra, słuchajcie! – odezwał się Mackey do wszystkich trzech eskadr. – Czas na zabawę w ganianego z chmurą pyłu. Wyłączcie migacze!

Gregory zatrzymał cykl pracy napędu. Osobliwość pozostała przed dziobem starblade’a, ale przestała pojawiać się i znikać, więc okręt przestał przyspieszać. Wbił się w chmurę i przez długą sekundę dryfował przez obcy rój. Jego osobliwość robiła się coraz jaśniejsza, w miarę jak pożerała mikroroboty i wydzielala intensywne promieniowanie.

– *Madre de Dios!* – zawołał na kanale eskadry porucznik Hernán García. – Tracę...

– García, wyłącz napęd! – odrzyknął Mackey. – Wyłącz...

AI Gregory’ego wychwyciła część tego, co się stało. Osobliwość napędu Garcíi, nakarmiona dodatkową masą i sztucznie rozdęta do dużo większego pseudopromienia, niż była w stanie naturalnie utrzymać, rozbłysła. Jego myśliwiec obrócił się wokół jarzącej się promieniowaniem sfery, otarł się o nią i w jednej chwili został przez nią wciągnięty.

Gregory znów wynurzył się w pustą przestrzeń. Obrót, przyspieszenie, sfera napędu znów migotała, przenosząc wchłonięte maszyny z jednej iteracji do następnej. Przyspieszywszy do jednej setnej c, zwolnił sferę, która odleciała w głąb chmury z prędkością trzech tysięcy kilometrów na sekundę, niczym oślepiająca błękitna gwiazda, pożywiająca się nadal tym, co napotkała po drodze. Chwilę później zdestabilizowała się i bezgłośnie wybuchła, niszcząc miliardy kolejnych botów.

Uruchomił ponownie cykl napędu i przyspieszył w stronę chmury. Przed sobą widział rozbłyki detonacji osobliwości pozostałych

myśliwców.

Choć atak wyglądał na przypadkowy, odbywał się po misternie wyznaczonych trajektoriach, które według AI miały maksymalizować straty wśród botów wroga.

Dwaj z pilotów nie wynurzyli się z chmury – García i porucznik Boyle ze „Star Reapers”.

Choć obie straty zabolowały, to Garcíę Gregory znał osobiście, poległy nie był tylko nazwiskiem na rozkładzie dyżurów. Gregory siedział obok niego podczas obiadu w mesie, czasami razem szli na przepustkę, gadali po nocach o gwiazdnych bogach, dziwactwach fizyki i naturze rzeczywistości. Zastanowiło go, czy Garcíę zabiła jakaś broń wroga, czy przeciążenie napędu. Nie miało to właściwie znaczenia. Hernán nie żył.

Kolejny przyjaciel.

Według AI atak powodował wykrywalną degradację sieci Obcych z Rozety. Niewielką, może o dwa procent, ale zawsze coś. Subtelna strata przesyłanych danych. Kilka dużych okrętów zbliżało się teraz do krawędzi chmury i raziło ją promieniami cząstek, potężnymi laserami i wystrzeliwało głowice atomowe.

Chiński ciężki monitor „Hunan” znajdował się już przy samej chmurze. Jego część tuż za kopułą ochronną rozwinęła się jak płatki wielkiego, srebrzystego kwiatu, po czym na chmurę ruszył rój rakiet, każda na innym wektorze, celując w miejsca uznane za kluczowe węzły sieci.

Konstelacja nowych, jasnych gwiazd zamigotała w głębi chmury. Każda z nich była tak naprawdę eksplozją atomową o mocy setek megaton.

W zamglonych głębinach dało się ujrzyć geometryczne kształty, w jakich gromadziły się mikromaszyny. Gregory nie był pewien, co to było – okręt, forteca czy jeszcze coś innego – ale miało wielkość małego kontynentu. Uniosło się spośród chmury i ruszyło w stronę „Hunana”, który teraz desperacko próbował nabrać przyspieszenia i uciec.

Chińskiemu monitorowi prawie się udało.

Owalny kształt wciąż znajdował się dziesięć tysięcy kilometrów od „Hunana”, gdy chiński okręt zadrżał i zaczął się nagle obracać, po czym został bezlitośnie zmiażdżony przez niewidzialną pięść.

– Celować w ten obcy okręt! – zawołał Mackey, ale monstrualny obiekt już nikł, po chwili rozpląnął się, a składające się na niego nanoboty podryfowały w różne strony. Kilkanaście większych okrętów ostrzeliwało chmurę z zewnątrz. Dołączyły do nich myśliwce „Republiki”, wystrzeliwujące salwę po salwie głowic atomowych w szarą mgłę. W złowrogich głębinach migotały atomowe błyski, ale chmura była tak ogromna, że nic nie zdawało się czynić jej większych szkód.

Lotniskowiec Hegemonii Chińskiej „Guangdong” wypuszczał strumień



myśliwców, smukłych i śmiercionośnych, nowo wyprodukowanych maszyn klasy Taikong Ying, co oznaczało „Kosmiczny Orzeł”, gdy niewidzialna pięść zmiażdżyła jego kopułę ochronną, z której uchodziła teraz chmura srebrnych, zamarzających szybko kropel wody.

– Rozwalają największe okręty! – zawołał Gregory. – Niech im ktoś powie, żeby je wycofali!

Przednia połowa potężnego rosyjskiego ciężkiego krążownika „Wariag” została zgnieciona. Sekundę później zapadła się też reszta okrętu. Gregory nie wiedział, jak wróg jest w stanie tego dokonać, ale podejrzewał, że obcy w jakiś sposób kompresują niewielkie obszary czasoprzestrzeni, a razem z nimi okręty lub ich części.

– Wiedzą – odparł Mackey – ale muszą się zbliżyć... i my też! Trzymać się szyku! Jeszcze raz im przywalimy!

Gregory zauważył, że dołączają do nich inne myśliwce. Były wśród nich taikongi ze zmiażdżonego „Guangdonga”, nieco taktycznych myśliwców z transportowców marines na dalszej orbicie, rosyjskie myśliwce klasy Skora z lekkiego krążownika „Putin” i kilka eskadr, które przyleciały z Ziemi. Zgodnie z informacjami AI Gregory’ego, łącznie około czterystu myśliwców różnego typu. „Nowy Jork” przesłał im plan operacyjny.

– „Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu” – melodramatycznie wyrecytował Mackey. Jego myśliwiec przyspieszył mocno, a za nim kolejne. Gregory pomyślał, że skądś zna ten cytat, i wyszukał go w pamięci implantu. Tak właśnie myślał – „Henryk V” Shakespeare’a. Uwagę pilota przykuł kolejny wers: „Lub go zatkajmy trupami Anglików”<sup>[1]</sup>.

Co za pociecha w chwili, gdy czeka ich walka z niepokonanym najwyraźniej wrogiem...

Przyspieszył, utrzymując kurs pośród mgły nanobotów. Tym razem poruszał się z prędkością tylko kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. Poczul wstrząs i temperatura kadłuba zaczęła rosnać, ale nie w takim stopniu, jak poprzednio. Wokół niego jaśniały promienie i całe obce geometrie światła, enigmatyczne ślady całkowicie obcej nauki i technologii. Przed nim migotały świetlne punkciki, w miarę jak ludzka flota kontynuowała bombardowanie. Widok wciąż przesłaniał poszerzony horyzont zdarzeń osobliwości napędu, ale przy prędkościach mniejszych niż relatywistyczne otoczenie widoczne było jako coś więcej niż tylko krąg światła. Tym razem widział, co się dzieje wokół.

Zanurkował w głąb chmury i ogarnęła go ciemność.

Kapitan Sara Gutierrez wpatrywała się w ciemność. Te gwiazdy były... nowe.

Unosiła się w bojowym centrum informacyjnym „Ameryki”, przyglądając się ekranowi zajmującemu całą ścianę. Od dłuższego czasu zewnętrzne skanery optyczne okrętu wykrywały jedynie ciemnoszarą, nieprzejrzystą mgłę.

Ale teraz...

Zgodnie z zegarem pokładowym zostali uwięzieni wewnątrz chmury sześć godzin temu, ale okrętowej AI udało się namierzyć nadajniki nawigacyjne na Księżycu. Z wnętrza chmury nie widzieli wcale Ziemi, nie mówiąc o jej satelicie, a sygnały radiowe, które do nich dochodziły, były bardzo słabe.

AI odebrała jednak dość, by zgłosić, że w jakiś sposób czas we wnętrzu chmury uległ drastycznemu, około dwudziestoośmiokrotnemu spowolnieniu. Wyglądało na to, że transmisje głosowe spoza chmury były przyspieszone właśnie tyle razy, co potwierdzało, że odkąd „Ameryka” wleciała do jej środka, zdążył minąć tydzień.

Ich AI udało się też przefiltrować sygnały z Ziemi i kilku habitatów orbitalnych, z których wynikało, że tam również czasoprzestrzeń została zakrzywiona. Transmisje z Ziemi były niemal stukrotnie wolniejsze w porównaniu z życiem na pokładzie „Ameryki”.

Najwyraźniej im głębiej we wnętrzu chmury, tym bardziej zwalniał czas.

Zespół fizyków na pokładzie szacował, że od ich schwytania minął tydzień, ale nie byli w stanie podać konkretnej daty.

Ale chociaż czas był płynny, przestrzeń na pewno nie. „Ameryka” wciąż tkwiła w miejscu, przyszpilona przez niewyobrażalne siły, uwięziona jak prehistoryczny owad w bursztynie.

A Gutierrez i jej załoga nie mogli nic na to poradzić.

Pomyślała, że przynajmniej mieli teraz pewność, iż chmura zabrała ich z pasa asteroid bliżej Ziemi. Nie widzieli planety, ale urywki transmisji potwierdzały to.

Ale co to, do cholery, były za gwiazdy?

– Na co pani tak patrzy, pani kapitan? – spytał Dean Mallory, unoszący się za nią.

– Te gwiazdy, komandorze. Przed chwilą ich tu nie było.

– Oczywiście dla pewnej wartości terminu „chwila” – odparł Mallory. W jego głosie brzmiał gniew. Bezczytność dawała mu się we znaki.

Trzy gwiazdy pojawiły się zaledwie chwilę wcześniej. Małe i blade, w odległości kilku stopni od siebie. Oczywiście nie były to prawdziwe słońca. AI okrętu niemal od razu zwróciła uwagę, że pojawiły się w ciemności po tej samej stronie, po której leżała niewidzialna Ziemia, więc musiały znajdować się między Ziemią a uwięzionym lotniskowcem. Bardzo powoli zaczęły się rozjaśniać.

– Komputer – odezwał się Mallory – przeanalizuj te gwiazdy.

– To nie gwiazdy, komandorze – odpowiedział komputer.

– To jasne – warknął Mallory. – Powiedz coś, czego jeszcze nie wiemy!

– Analiza światła wykazuje, że to eksplozje termonuklearne, znajdujące się w granicach pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od naszej aktualnej pozycji, ale przesunięte ku czerwieni przez zakrzywienie czasowe.

– Termonuklearne... – Na twarzy Deana odmalowało się zaskoczenie. – Czyje?

– Nie wiadomo, komandorze.

Z ciemności wyłoniła się czwarta gwiazda, a następnie piąta. Obie ledwie widoczne gołym okiem.

– Zaraz... – Mallory wyglądał, jakby miał problem z ogarnięciem tego wszystkiego umysłem. – Widzimy... – Pokręcił głową. – Nie rozumiem. Wybuchy atomowe rozpraszają się dość szybko.

– Jeśli miałabym zgadywać, komandorze – odparła Gutierrez – powiedziałabym, że albo ktoś spoza chmury bombarduje istotę z Rozety, albo rakiety przybywają z Ziemi. W każdym razie wybuchają dużo głębiej wewnątrz chmury niż nasza obecna pozycja, więc widzimy je w zwolnionym tempie.

– Odbieramy odwrotną manifestację pola temporalnego po drugiej stronie okrętu – oznajmiła AI.

– Pokaż – powiedziała Gutierrez.

Chmura była tak samo mroczna na sterburcie, jak na bakburcie i początkowo Gutierrez pomyślała, że nie ma tam nic oprócz ciemności. Ale wpatrując się w ekran, zdała sobie sprawę z nikłego, ale ciągłego migotania, jakby setki małych światełek zapalały się i gasły.

– Więcej atomówek? – spytała AI. – Tym razem przyspieszonych?

– Owszem, pani kapitan. Szacuję, że w większości są to bomby fuzyjne o mocy od stu do trzystu megaton i oznaczają intensywne bombardowanie chmury przez ziemskie siły znajdujące się poza nią.

– Ożeż... – wyszeptał Mallory.

– Miło wiedzieć, że nas nie porzucili – dodała Gutierrez.

– Zapewne nie znają naszej dokładnej pozycji, pani kapitan. Niby skąd? Mogą nawet nie wiedzieć, że przeżyliśmy połknięcie przez chmurę.

Gutierrez uśmiechnęła się. Myśl, że ktoś próbuje walczyć z chmurą,

podniosła ją na duchu.

– Co jest, komandorze? Boi się pan odrobiny bratobójczego ognia?

– To, że strzelają nasi, będzie niewielką pociechą, jeśli oberwiemy.

– Po prostu cieszę się, że ktoś z zewnątrz się zainteresował.

– Komputer! – zawołał Mallory. – Jak daleko znajdują się te wybuchy?

– Trudno udzielić precyzyjnej odpowiedzi bez danych o parametrach absorpcyjnych chmury. Szacuję jednak, że eksplozje mają miejsce na przestrzeni od dziesięciu tysięcy do stu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów.

– Spowolnij obraz – rozkazała Gutierrez – dwadzieścia osiem razy. I podświetl rozbłyski.

– Tak jest, pani kapitan.

Szybkie migotanie wkrótce zmieniło się w wolniejsze eksplozje na tle nocy. Dzięki komputerowemu wyostrzeniu obrazu widziała wybuchy jako szybko rozszerzające się kule światła, rosnące, po czym rozpraszające się.

– Czego pani szuka? – spytał Mallory.

– Chcę poczuć tempo bombardowania. Jest dość mocne.

– Tak.

Spojrzała na swojego oficera taktycznego.

– Co to panu mówi?

– No cóż... To chyba nie jest przypadkowy ostrzał. Mogą próbować otworzyć lukę w sieci obronnej wroga.

– Gdyby tak było, skupiliby się na jednym miejscu, zamiast rozświetlać połowę nieba.

Szeroko otworzył oczy.

– Ma pani rację. Ale wykonują jakiś plan.

– Już zgadliśmy, że chmura z Rozety to jakiś rodzaj istoty. Ogromny mózg, przez który przechodzą ścieżki nerwowe.

– A bombardujący próbują je przecinać! Genialny plan!

– Komputer. – Wskazała na fragment ekranu bezpośrednio przed nimi. – Przybliż tę sekcję.

Obraz powiększył się. Teraz widać było znacznie mniejsze, bardziej stale świecące gwiazdy, poruszające się po wyświetlaczu.

– Ścieżki lotu? – zgadywał Mallory. – Myśliwce przepalające się przez cząstki chmury?

– W pewnym sensie... To chyba rzeczywiście myśliwce, które używają napędów osobliwościowych jak pługów śnieżnych na nanoboty.

– Co pasuje do hipotezy, że próbują zakłócić sieć neuronową. – Mallory skinął głową.

– Właśnie. CAG!

– Tak, pani kapitan – odezwała się w głowie Sary Connie Fletcher.

– Przygotować wszystkie myśliwce do natychmiastowego startu. –

„Ameryce” udało się je zabrać na pokład sześć godzin... nie, cholera, siedem dni temu. Nie było sensu wysyłać ich w ten temporalny koszmar, skoro wiedzieli, że im bardziej oddalają się od lotniskowca, tym więcej czasu tracą lub zyskają w porównaniu z jego zegarem pokładowym. Lepiej, żeby wszystkie zostały na miejscu.

Ale jeśli na zewnątrz chmury trwał większy atak, myśliwce „Ameryki” mogły się na coś przydać. Największym problemem była różnica upływu czasu. Zanim eskadry „Ameryki” wystartują, atak na zewnątrz może już dobiec końca.

Gutierrez wiedziała jednak, że muszą chociaż spróbować.

– Dwie eskadry gotowe do startu teraz. Reszta za pięć minut.

Pięć minut tutaj oznaczało dwie godziny i dwadzieścia kilka minut tam.

– Wystrzelić, co się da, Connie – rozkazała Gutierrez. – Resztę wysłać, jak tylko będą gotowe.

– Przyjęłam. „Headhunters” gotowi do startu.

– Niech spróbują skontaktować się z główną flotą. Mogą realizować konkretny plan operacyjny, być może oparty na szczegółowych wektorach. Chcemy pomóc im w osiągnięciu celów, jakiegokolwiek by były.

– Zrozumiano, pani kapitan.

– I niech Bóg ma nas w opiece...

# Rozdział siedemnasty

7 lutego 2426

VFA-96 „Black Demons”  
Przestrzeń w pobliżu Ziemi  
Godzina 17.32 TFT

Myśliwiec Gregory’ego dryfował z całunem obcej chmury, skrywającej Ziemię. Trzy eskadry „Republiki” przebiły się przez nią już ośmiokrotnie. Pozostało już tylko pięć Demonów, dziewięć Hellfuries i siedem Star Reapers. Gregory czuł się, jakby przerobiono go na automat, wykonujący zaprogramowane ruchy, reagujący na zagrożenia. Działął tak, jak go wyszkolono, ale z przytłumionymi emocjami.

Był wyczerpany i stres ostatnich godzin zżerał go jak czarna dziura materię. Jak długo mógł jeszcze wytrzymać?

Wszyscy piloci starblade’ów czuli się podobnie przytłoczeni. Amunicja była na wyczerpaniu. Gregory’emu pozostało ostatnie pięć rakiet: cztery kraity i jeden boomslang. Myśliwce trzymały ostatnie boomslangi głównie ze strachu, że trafią w którąś z baz orbitalnych albo, co gorsza, w samą Ziemię. Piloci starali się coraz oszczędniej wybierać cele, strzelając jedynie do tytanicznych struktur pośród mgły zamiast ślepo do chmury. Wkrótce zostały im tylko miotacze promieni – niezbyt skuteczne przeciwko mikrorobotom. Oraz oczywiście zmodyfikowane osobliwości napędowe.

Gregory nie był pewien, czy rozorywanie wielkiego obcego mózgu po wijących się i przecinających wektorach odnosiło jakikolwiek skutek. Wokół nich wciąż powstawały i rozpływały się świetliste kształty, władające ogromnymi energiami. Ziemskie okręty ponad chmurą nadal znikwały, miażdżone do mikroskopijnych rozmiarów przez niewidzialne, potężne siły.

– Dowództwo bojowe przekazuje nowy wektor – zawołał Mackey do resztek eskadry. – Kierunek trzy-jeden-pięć na minus siedem-jeden, osiemdziesiąt pięć kilometrów na sekundę. Ścisły szyk za mną!

Dowództwo stanowiła obecnie załoga krążownika artyleryjskiego „Nowy Jork” i nadzorujący ją prezydent Koenig. „Nowy Jork” dysponował dużo szerszym oglądem sytuacji niż myśliwce z „Republiki” i był w stanie koordynować ataki na chmurę z Rozety. Od kilku długich

minut taktycy koordynowali plan uderzenia w głąb mózgu chmury. Rakiety wystrzelone zarówno przez myśliwce, jak i przez większe okręty poza chmurą starannie wycelowano, skupiając się na wyczyszczeniu drogi do jej środka.

Porucznik Gregory lekko skorygował kurs, by dostosować się do nowego wektora, utrzymując pozycję w klinowym szyku. Ciemne chmury otwierały się przed nimi, a oni pędzili przez tunel, oświetlony dziwnie przez obce światła, iskrzące na krawędzi chmury.

– Wszyscy włączyć transpondery – rozkazał Mackey. – Muszą nas śledzić poza chmurą.

– Gdzie my lecimy, do cholery? – spytał porucznik Caswell. – W tej zupie nic nie widzę.

– Przelecimy obok SupraQuito. Dowództwo chce wiedzieć, czy ktoś tam przeżył.

– Co, jeśli kogoś znajdziemy? – spytał Gregory. – Nie możemy przecież zapakować rozbitków na pokłady myśliwców!

– Wszystko po kolei – odparł Mackey. – Zobaczymy, co z nimi, a potem będziemy się martwić.

Głębiej i głębiej... i jeszcze głębiej.

– Hej, komandorze?

– Co tam, Don?

– Transmisja z „Nowego Jorku”... Mamy efekt Dopplera!

– Też tak mam – dodał Caswell. – Jakbyśmy wkraczali w silne pole grawitacyjne!

– Przyjąłem. Potwierdzam pole temporalne Róziów.

Oczywiście. Gregory nie miał pojęcia, w jaki sposób tamci to robią, ale im bardziej zagłębiali się w chmurę, tym bardziej zakrzywiał się czas, spowalniający z punktu widzenia okrętów poza chmurą. W kokpicie czuł się normalnie, a czasomierze działały prawidłowo, ale czas płynął w żółwym tempie. Z punktu widzenia Gregory’ego „Nowy Jork” przyspieszał. Z punktu widzenia „Nowego Jorku” myśliwce zwalniały.

Jak bardzo jeszcze to coś mogło ich spowolnić?

AI myśliwca ostrzegła go, że widzi nowy cel. Gdy zobaczył odczyty masy, zamrugał z niedowierzaniem, po czym otworzył prywatny kanał do Mackeya.

– Hej, komandorze!

– Dawaj, Don.

– Mam odczyt na jeden-pięć-dziewięć na plus siedem-trzy. Widzi to pan?

– Nie, mam... zaraz. Tak. Na skraju zasięgu czujników... Mój Boże...

– Ten odczyt masy.

– Dziewięćset piętnaście tysięcy osiemset ton. Niemal dokładnie masa lotniskowca „Ameryka” z pełną wody kopułą i uruchomionymi

mikroosobliwościami.

– Myśli pan, że to „Ameryka”?

– Zgodnie z informacjami z „Nowego Jorku” ta cholerna chmura połknęła „Amerykę” tydzień temu. Innych okrętów tej klasy nie ma w układzie. Co myślisz?

– To chyba ona. Powinniśmy się jej przyjrzeć.

– Myśle...

– Nie, sir! Musimy tam polecieć! Jeśli jest sprawna, może ją stąd wyciągniemy!

– Dobrze... Właśnie dostałem instrukcje z „Nowego Jorku” – oznajmił Mackey. – Chcą wiedzieć, czy to rzeczywiście „Ameryka”, ale nie chcą ryzykować wszystkich eskadr. Mamy zrobić rekonesans i uwolnić ją, - jeśli to możliwe.

– Jeśli jest co uwalniać – dodał Caswell.

– Tylko ochotnicy. Możecie zostać z tyłu, jeśli wolicie.

– Pieprzyć to – odparł Caswell. – Jeden z mechaników na „Ameryce” wisi mi kasę!

Mackey podjął decyzję.

– Pisziesz się, Gregory?

Gregory poczuł zaskoczenie, że owszem, pisał się. Wyglądało na to, że intensywne walki wypaliły jego depresję. Był wyczerpany, ale zdeterminowany.

– Wchodzę w to, komandorze.

– Dobra. Caswell i... kto jeszcze?

– Ja, sir – rzucił Tanner. Podobnie jak Caswell, porucznik Edward Tanner był jednym z nowych rekrutów w „Black Demons”.

– Ballinger? Lewis?

– Tajest! – Obaj należeli do VFA-90 „Star Reapers”.

– Dobra! Przydzielam was do porucznika Gregory’ego. On dowodzi. Wasza piątka zboczy nieco z kursu i przyjrzy się jego znalezisku.

Współrzędne, pod którymi być może znajdował się lotniskowiec, pojawiły się w głowie Gregory’ego. Pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od nich, poza orbitą geosynchroniczną, ale niewiele.

– Dobra, lecimy! – zawołał.

Wykonali skręt i zanurzyli się w chmurze nanobotów. Starblade Gregory’ego zaczął znów się trząść, opuszczając tunel. Osobliwość napędu ponownie rozgorzała.

Zwiększył prędkość.

Temperatura kadłuba rosła w miarę, jak zagłębiał się w chmurę.



– Pani kapitan! – zawołał komandor Mallory. – Nie ma pewności, ale chyba widzę myśliwce na kursie przechwytyjącym!

– Nasze czy ich, komandorze? – Kapitan Gutierrez uniosła wzrok znad osobistego ekranu.

– Oni chyba nie zawracają sobie głowy produkcją myśliwców. Mamy spore zakłócenia, ale wykrywamy trzy... nie, cztery myśliwce. Chyba klasy Starblade.

– Łączność! Otworzyć kanał do tych myśliwców!

– Pracuję nad tym, pani kapitan. Mamy zakłócenia...

– Sternik! Jest już zasilanie?

– Nie, pani kapitan – odpowiedział Keating. – Coś w tej chmurze wysysa moc szybciej, niż ją wytwarzamy. Działa podtrzymywanie życia i podstawowe systemy, ale to tyle.

– Cholera.

Gutierrez nie miała pojęcia, dlaczego Rózie ich tu trzymają, zamiast po prostu zmiażdżyć lotniskowiec jak zabawkę. Pomyślała z ponurym uśmiechem, że taki jest właśnie problem z superpotężnymi obcymi. Ich metody i motywacje wydają się niezrozumiałe.

Tymczasem „Ameryka” nadal wypuszczała swoje myśliwce. Moduły mieszkalne, w których mieściły się hangary, wciąż obracały się co dwadzieścia osiem sekund – dzięki czemu myśliwce były w stanie startować z pomocą siły odśrodkowej. Wystarczyło zwolnić magnetyczne klamry trzymające je w miejscu i zdjąć nanopola na końcach tuneli startowych, aby maszyny wysunęły się delikatnie w przestrzeń z prędkością pięciu metrów na sekundę.

Gutierrez nie podobało się, że musi wysłać jednoosobowe myśliwce w tę noc. Koszmarna ciemność otaczająca „Amerykę” oraz Ziemię i potęga, jakiej wymagało jej stworzenie, przerażały.

Jak na razie, obcy po prostu ich tu trzymali jako jeńców niewidzialnych, zaawansowanych technologii. Gutierrez zastanawiało, co mogły zdziałać jednoosobowe myśliwce z wewnątrz pola temporalnego obcych. Dwudziestoosmiokrotne spowolnienie czasu znacznie utrudniało funkcjonowanie lotniskowca, już sparaliżowanego przez niemal magiczną technologię.

Morał tej historii był taki, że nie opłacało się walczyć z bogami.

Mimo wszystko jednak Gutierrez wiedziała, że musi próbować.

– Hunter Trzy, trzymaj szyk – rozkazał komandor Leystrom.

– Przyjąłem – odparł Jason Meier, przyspieszając.

Poprawił pozycję, a myśliwiec porucznik Karen Lobieski podryfował na skrzydło, w prawo i nieco z tyłu. Jason zdał sobie sprawę, że „Ameryka” zdążyła już zniknąć, zagubiona w gęstej mgłę.

Mikrocząstki chmury stukotały o kadłub, a temperatura zaczęła rosnać. Rozwahał otwarcie osobliwości napędu i poszerzenie jej tarczy ochronnej, ale nie zdecydował się na to. Zbyt duża osobliwość mogła zdestabilizować horyzont zdarzeń, a naprawdę nie potrzebował teraz awarii napędu. Jednostki ratunkowe „Ameryki” mogłyby szukać go przez cały rok i nie znaleźć.

Meier prowadził resztę eskadry przez chmurę. Jego AI z pomocą wszystkich nadludzkich zmysłów próbowała połączyć się z nadlatującymi myśliwcami. W tej chwili jednak komunikacja okazała się niemożliwa. Różnica czasów zaburzała częstotliwości elektromagnetyczne, zarówno radiowe, jak i laserowe, a sama chmura powodowała zakłócenia, sprawiając, że wszystkie komunikaty zmieniały się w szum.

Wśród tego szumu znajdował się inny sygnał – coś próbowało zmaterializować się pośród niekończącej się mgły. AI myśliwca zarysowała w jego myślach wymiary obiektu. Spłaszczona sfera albo ooid wielkości Księżyca, o średnicy trzech i pół tysiąca kilometrów, przegradzała im drogę kilka tysięcy kilometrów dalej. Kształt wydawał się jakby stworzony ze światła.

– Cofamy się! – krzyknął Meier na kanale taktycznym, obracając ostro myśliwiec wokół pola napędu. – Hunters, wycofać się!

I w tej właśnie chwili dwa ze starblade’ów w jego eskadrze uległy zmiążdżeniu.

Gregory ujrzał przezroczysty sferoid, który zmaterializował się z niczego tuż przed nimi, i zdał sobie sprawę, że obcy narysowali linię na metaforycznym piasku.

Wiedział też, że on i towarzyszące mu myśliwce muszą przekroczyć tę linię, by dotrzeć do „Ameryki”.

– Co to? – spytał AI myśliwca. – Jakiś rodzaj okrętu?  
– Istota z Rozety nie wydaje się myśleć w kategoriach okrętów czy broni. Wytwarza konkretne narzędzia spełniające konkretne potrzeby.  
– No dobra... Jakie narzędzie ma wielkość Księżyca?  
– Wskazana struktura zapewne przypomina nasze ciężkie monitory, bez napędu i z minimalnymi możliwościami manewrowania. Dane z podczerwieni i odczytów grawimetrycznych wskazują, że unieruchamia jeden z naszych lotniskowców.

– „Amerykę”...  
– Niepewne. Ale masa niezidentyfikowanego okrętu znajdującego się za tą strukturą...  
– Wiem, wiem! Jak możemy to rozwalić?  
– Całkowite zniszczenie celu prawdopodobnie nie jest możliwe przy użyciu dostępnej broni.

– Pieprzyć to! – Gregory chwilę się zastanowił. – Słuchajcie! Wszyscy uzbrojcie pozostałe VG-120, podkręćcie ich ładunek na maksa i przełączcie pod kontrolę mojej AI!

Usłyszał chór potwierdzeń. Odczyty w głowie Gregory’ego wskazywały, że na pięciu myśliwcach pozostało sześć boomslangów.

Niewiele, ale musiało wystarczyć.

– Komputer! Wyślemy te rakiety jedna po drugiej.

– Przyjąłem. W jakim celu?

– Aby zrobić dziurę w tym czymś... Jeśli się uda, to na wylot.

– To mało prawdopodobne, poruczniku.

– Tak, ale może zakłócimy mu bebechy.

– Salwa zaprogramowana.

– Cel namierzony... – zawołał Gregory, uzbrajając ostatniego boomslanga – Fox Jeden!

Rakieta wystrzeliła z wyrzutni, rozświetlając gęstą mgłę. Don zwolnił kurs myśliwca i zmienił wektor, nieco na prawo i w górę.

– Fox Jeden! – krzyknął Tanner i kolejny boomslang poleciał w ciemność.

– No dalej, wszyscy! – zawołał Gregory do pozostałych myśliwców. – Nie ma co czekać!

Cztery kolejne rakiety przecięły chmurę.

– To by było na tyle – stwierdził Gary Ballinger, jeden z Reapers. – Mamy jeszcze parę kraitów, ale to chyba wszystko, jeśli chodzi o cięższe uzbrojenie.

– Potwierdzam – odparł Gregory. – Ale będzie warto.

*Jeśli zadziała* – dodał w myślach.

Rakieta Gregory’ego przeleciała przez zewnętrzną powierzchnię sfery, jakby była niematerialna, lecąc sto kilometrów za oślepiającą osobliwością. Gdy wybuchła, cichy błysk rozświetlił okoliczne chmury

niczym małe, szybko gasnące słońce.

Wybuch nie miał miejsca w próżni, ale w swego rodzaju atmosferze, składającej się z mikromaszyn. Początkowa eksplozja spaliła ich setki milionów, wysyłając falę uderzeniową idącą przez rozszerzającą się ścianę gorącej plazmy.

Boomslang Tannera leciał tuż za poprzednim. Przebił się przez ścianę plazmy i przeleciał przez puste wnętrze błyszczącej sfery. Wpadł głęboko do wnętrza struktury, po czym wybuchł kilka sekund później.

W ścianie obcej konstrukcji widać było teraz znaczną wyrwę. Reszta rakiet wybuchała kolejno w ciszy, wydrążając stożkowaty tunel do środka obiektu.

Gdy ostatnia detonacja rozkwitła jak ognisty kwiat, pięć myśliwców wleciało do obcej struktury przez otwór wypalony boomslangiem Gregory'ego.

Wokół nich wzdłuż krawędzi mieniły się zorze. Naładowane cząstki wirowały pośród silnych, zmieniających się pól magnetycznych. Światło wciąż przepływało przez przezroczystą wewnętrzną geometrię struktury, ale jej części zaczynały się rozplýwać. Myśliwiec Gregory'ego zatrzęsł się, kiedy wleciał w obszary zakrzywionej przestrzeni. Obca sfera wydawała się rozpadać, jej światła przygasać.

– Swobodna osobliwość! – krzyknął Ed Tanner. – Mam swobodną osobliwość na dwa-siedem-cztery na plus dziewięć-pięć!

Gregory powiększył obraz wskazanego fragmentu nieba. Zobaczył podświetlony na czerwono maleńki, biały punkcik. Maleńką gwiazdę.

Spodziewał się czegoś podobnego. Różni ludzie opisywali chmurę z Rozety jako mającą zarówno masę, jak i średnicę Jowisza, ale jedno i drugie nie mogło zgadzać się jednocześnie. Wnętrze chmury składało się z rzadkiego gazu, dużo rzadszego niż ziemska atmosfera na poziomie morza, podczas gdy Jowisz był tak gęsty i posiadał taką grawitację, że jego jądro składało się z solidnej masy metalicznego wodoru.

Jedynym sposobem, aby pogodzić właściwości chmury z cechami planety, było założenie, iż zawiera masy skompresowane do tak małej objętości, że są teraz mikroskopijne.

Ziemskie okręty używały sztucznych osobliwości wielkości protonów, aby wysysać energię z próżni. Gdy okręt ulegał zniszczeniu, osobliwości pozostawały jakiś czas aktywne i śmiertelne dla jednostek, które mogły się z nimi zderzyć. Na szczęście szybko zanikały w otwartej przestrzeni.

Miniaturowe czarne dziury obcych stanowiły poważne zagrożenie dla ludzkich okrętów i samej Ziemi.

Ta na szczęście oddalała się od planety z prędkością piętnastu kilometrów na sekundę, powyżej prędkości ucieczki... ale na pewno nie była jedyna. Odczyty masy wykazywały, że jej masa jest zbliżona do

masy Ziemi, skompresowana do obiektu o mniej niż centymetrowej średnicy.

– AI! – odezwał się Gregory w głowie. – Ekstrapoluj kurs obiektu i wyślij ostrzeżenie do floty.

– Tak jest.

Tymczasem wewnątrz sfery, w którym z pomocą wybuchów atomowych wydrążono tunel, wyglądało jak jakaś tytaniczna gotycka katedra ze smugami gazów jako łukami, sklepieniami i galeriami, skąpana w świetle, błękitnym, białym i złotym. Pilota otaczała błoga cisza, jako że poruszał się w przestrzeni oczyszczonej przez eksplozje. Następnie natrafił na przeciwległą ścianę. Jego napęd rozbłysnął i myśliwiec znów zaczął się trząść.

– Zabiliśmy drania! – zawołał radośnie porucznik Caswell. – Udało nam się!

– Może to był mózg całej tej chmury? – zasugerował Tanner.

– Nie ma co się zastanawiać – uciął Gregory. – Trzymać wektor! Przejdźmy na drugą stronę!

Gregory pomyślał, że obca sfera rzeczywiście uległa zniszczeniu, ale - jeśli istota z Rozety myślała, to używała do tego całej swojej masy jako ogromnego mózgu. Sfera mogła stanowić lokalny węzeł kontrolny, jednak miała zaledwie trzy i pół tysiąca kilometrów średnicy w porównaniu z czterdzieści razy większą średnicą całej chmury. Zniszczenie przezroczystej sfery tylko nieznacznie uszkodziło całość.

Nie dało się jednak ukryć, że istota odniosła rany.

TC/USNA CVS „Ameryka”

BCI

Wewnątrz chmury z Rozety

Czas niepewny

– Pani kapitan! – zawołał sternik, gdy okrętem lekko zatrzęsło. – Jesteśmy wolni!

– Jak to? Co się stało?

– Nadal próbujemy to ustalić – powiedział Mallory.

Gutierrez rozmawiała już jednak z AI okrętu, echem znacznie większego i potężniejszego Konstantina.

– Nasze czujniki wykryły serię silnych detonacji atomowych przecinających trzymającą nas tutaj obcą strukturę – oznajmiła AI. – Wygląda na to, że piątka wykrytych wcześniej myśliwców przebiła się przez obiekt i zmusiła obcych do wypuszczenia nas.

– Zmusiła? Jak?

– Sferyczny obiekt zawierał zarówno sztuczne osobliwości, jak i nieznaną technologię zakrzywiającą przestrzeń. Myśliwce zadały dość szkód, by spłaszczyć zaburzenia czasoprzestrzenne i wypuścić osobliwości. Zakłócono zdolność obcych do zakrzywiania czasoprzestrzeni, przynajmniej czasowo. Mogą mieć też problemy z transferem danych.

– Zapewne niedługo odpowie na atak. Keating! Proszę nas stąd zabrać, pełna moc!

– Aye, aye, pani kapitan. Uzyskanie maksymalnej mocy zajmie nam chwilę...

Lotniskowiec powoli ruszył do przodu, przyspieszając przez otaczającą go chmurę.

– Kopuła się przegrzewa – oznajmił Keating. – W wyniku tarcia o... lokalną atmosferę.

Lotniskowce takie jak kilometrowej długości „Ameryka” nigdy nie miały manewrować w atmosferze, nawet tak rzadkiej jak ta. Im szybciej poruszał się okręt, tym więcej mikroskopijnych maszyn rozbijało się o lekko zakrzywioną, pięćsetmetrową powierzchnię kopuły ochronnej.

– Możemy zwiększyć moc osłon?

– Nie dość, żeby poradziły sobie z tym czymś.

„Ameryka” dysponowała dodatkowo i ujemnie naładowanymi polami, mającymi odpychać wszelkie cząstki. Można było wykorzystać je do obrony przed pewnymi rodzajami broni energetycznej, a nawet przeciwko mikrometeoritom, na niewiele się jednak zdawały pośród inteligentnego pyłu.

– CAG! – zawołała Gutierrez. – Niech nasze myśliwce dołączą do tamtych i zasugerują kurs na SupraQuito.

Zapewne znajdowało się tam więcej okrętów, uwięzionych podobnie jak do niedawna „Ameryka”.

– Aye, aye, pani kapitan.

– Sternik, czy namierzamy boje sygnalizacyjne windy kosmicznej?

– Tak, sygnały są słabe, ale je odbieramy. Odległość to jakieś czterdzieści pięć tysięcy kilometrów.

– Proszę nas tam zabrać, panie Keating.

– Wektor zero-trzy-pięć na minus osiem-siedem!

Jak ogromny wieloryb dryfujący pośród mórz, „Ameryka” powoli obróciła się i obrała nowy kurs.

# Rozdział osiemnasty

7 lutego 2426

VFA-96, VFA-90  
Przestrzeń w pobliżu Ziemi  
Godzina 17.52 TFT

Gregory i jego ludzie ruszyli na powitanie większego szyku myśliwców, ostro wytracając przyspieszenie i obracając się tak, by dopasować do nich kurs i prędkość.

– Witamy – odezwał się głos w głowie pilota. – Tu komandor Leystrom, VFA-211, z lotniskowca „Ameryka”. A wy kto?

– Jesteśmy z „Republiki” – odparł Gregory. – I nie macie pojęcia, jak dobrze was widzieć!

– Chyba się domyślamy. Nawzajem!

– Przyjąłem. W czym możemy pomóc?

– BCI „Ameryki” sugeruje, żebyśmy ruszyli w stronę SupraQuito i się rozejrzeli. Co wy na to?

– Jak najbardziej, sir. Proszę prowadzić.

Gdy obie grupy zbliżyły się do siebie dostatecznie, by przesyłać dane bez zakłóceń, Gregory otworzył odpowiednie kanały i przeszedł pod dowództwo większej eskadry Leystroma. Leystrom dysponował dwudziestoma myśliwcami, zapewne połową wszystkich przydzielonych na „Amerykę”. Łącznie z Gregorym i jego grupką mieli dwadzieścia pięć maszyn.

– Nadaję naszej zbieranie kod Orły – odezwał się Leystrom. – A teraz lećmy do SupraQuito i zobaczmy, co możemy zrobić.

TC/USNA CVS „Republika”  
Układ Słoneczny  
Godzina 17.59 TFT

– Panie kapitanie! – odezwał się oficer łącznościowy w głowie Graya. – Admirał Reeve chce z panem rozmawiać.

– Reeve? Był dowódcą kontyngentu USNA na Księżycu.

– To dowódca sił ziemskich, przebywa na „Nowym Jorku”!

– Przełączyć go.

Gray usłyszał w głowie szum, który w końcu się oczyścił.

– „Republika”! To naprawdę wy? Wróciliście szybciej, niż się spodziewaliśmy!

– To my, panie admirale. A co do wczesnego powrotu, to długa historia. Widział pan po drodze nasze myśliwce?

– Owszem, kapitanie. Nie znamy jeszcze szczegółów, ale chyba właśnie uwolniły „Amerykę” z jakiejś pułapki.

– Dzień dobry, panie kapitanie – kolejny znajomy głos dołączył do Reeve’a.

– Panie prezydencie? – Oczywiście był to Koenig. Gray zobaczył w myślach dane identyfikacyjne. – Co pan robi na „Nowym Jorku”?

– Nie mogłem stać z boku. Wygląda na to, że pańskie myśliwce właśnie uwolniły nasz stary okręt.

Koenig był dawniej dowódcą „Ameryki”, podobnie jak później Gray.

– Doskonale. Jakie macie dla nas rozkazy?

Do sieci „Republiki” napłynęły dane. Na rozkaz Koeniga ziemskie siły atakowały chmurę z Rozety na kilku frontach jednocześnie, próbując zakłócić działanie obcego mózgu. Rozkazy Reeve’a kazały nowo przybyłym okrętom udać się w kierunku SupraQuito, ale trzymać się poza zasięgiem broni grawitacyjnej kosmitów.

Sensory dalekiego zasięgu wykryły pewną liczbę obcych struktur świetlnych wewnątrz chmury, w jakiś sposób powodujących anomalie grawitacyjne wśród ziemskiej floty. Tysiąc kilometrów dalej pancernik „Michigan” zadrzał jak na mocnym wietrze i przechylił się. Chwilę później zaczął zapadać się w sobie, jakby miażdżyła go ogromna pięść.

Paneuropejski ciężki monitor „Festung” unosił się tuż nad krawędzią obcego roju, posyłając kolejne salwy. Gdzieś wewnątrz chmury dziwna energia sięgnęła po okręt, który także zadrzał, a następnie został zgnieciony.

– Wycelować w te świetliste kształty! Rozbić je!

– Aye, aye, panie kapitanie. Celuję... AI namierzyła cel. Rakiety w drodze!

„Republika” dysponowała zapasem boomsługów i innych rodzajów ciężkiego uzbrojenia, przeznaczonego do bombardowania planet. Kilkanaście z nich wystrzeliło z wyrzutni jednostki. Ich napędy jaśniały jak miniaturowe słońca, gdy uderzyły w chmurę.

Gregory

Przestrzeń okołoziemiska

Godzina 18.05 TFT



Gregory przyglądał się odczytom masy z przestrzeni, w którą leciał.

– Myślę, że chmura zaczyna się przeredzać, komandorze – powiedział do Leystroma. – Może jednak ją uszkodziliśmy.

– Przyjąłem. Miejmy taką nadzieję.

– Zbliżamy się do SupraQuito.

– Nie spieszcie się – ostrzegł Leystrom. – Poczekajcie na nas!

– Przyjąłem.

Ze względu na wektor lotu piątka myśliwców z „Republiki” wyprzedzała eskadrę z „Ameryki” o dwadzieścia sekund, podczas gdy sam lotniskowiec pozostawał jeszcze bardziej z tyłu.

Ostrzeżenie Leystroma było słuszne. Stacja SupraQuito znajdowała się w strefie o znacznym spowolnieniu czasu i mogła nie móc zidentyfikować nadlatujących myśliwców.

Gregory spowolnił lot, podobnie jak jego podwładni. Nadal skanował przestrzeń, próbując wychwycić szczegóły niewidoczne z powodu odległości i tej cholernej chmury. Po dwóch stronach kompleksu orbitalnego i nad nim unosiły się dwie świetlne struktury. Każda miała kilkaset kilometrów grubości. Miały kształt spłaszczonych sfer, podobnych, ale mniejszych od tej, która więziła „Amerykę”.

AI porucznika zwróciła uwagę na coś innego, pozostającego na samym skraju zasięgu skanerów.

– Co to może być?

AI wyświetliła schematy rakiety VG-120. Dwanaście z nich właśnie wleciało do chmury od strony ziemskiej floty. Według ich transponderów wystrzelono je chwilę temu z „Republiki”. To oznaczało, że on i jego ludzie dysponowali ich kodami bezpieczeństwa.

– Mam was... – powiedział Gregory na głos. Wydał serię rozkazów swojej AI, po czym połączył się z Leystromem.

– Komandorze! Mamy w chmurze dwanaście boomsługów. Moja AI zwróciła uwagę, że możemy je przejąć i wykorzystać przeciwko wrogim węzłom przy bazie orbitalnej!

– W co teraz celują?

– Nie jestem pewien, sir. Zapewne w węzły energetyczne obcych, ale znajdują się przynajmniej trzydzieści tysięcy kilometrów nad nami.

– Jeśli ktokolwiek je wystrzelił, ma własną strategię, nie chcemy jej popsuć.

– Racja, ale z całym szacunkiem, sir, potrzebujemy tych rakiet bardziej niż oni.

– Przyjąłem. Weźcie pięć. Po jednej dla każdego.

– Tak jest!

Uruchomił odpowiedni program AI.

Tymczasem dogoniły ich myśliwce z „Ameryki” i rozpoczęły własny ostrzał. W głębi chmury rozkwitły wybuchy atomowe.

A Gregory zobaczył, jak spośród mgły wyłania się baza orbitalna.

TC/USNA CVS „Republika”

Układ Słoneczny

Godzina 18.05 TFT

– Sir! – zawołał oficer taktyczny „Republiki”. – Przed nami formuje się jednostka wroga! Jeden-zero-pięć na minus sześć-siedem!

– Widzę! Komandorze Danforth, wycelować w to coś!

– Tak jest!

Mijały sekundy.

– Kapitanie, coś ukradło pięć z naszych rakiet!

– Ukradło?

– Przejęło nad nimi kontrolę. Przeleciały obok celów bez wybuchu i lecą w głąb chmury z maksymalnym przyspieszeniem.

– To muszą być nasi ludzie. Niech je wezmą. Wysłać w tę chmurę tyle rakiet, ile się da, jak najszybciej!

– Aye, aye, sir!

Ekran BCI zrobił się biały, gdy boomsłangi wciąż pozostające pod kontrolą „Republiki” wybuchły wewnątrz chmury, jeden po drugim, w pirotechnicznym spektaklu.

Pięćdziesiąt kilometrów od sterburty „Nowy Jork” powoli płynął w stronę obcej chmury.

Gregory

Baza orbitalna

Przestrzeń okołozemską

Godzina 18.06 TFT

Poruszając się z prędkością trzech kilometrów na sekundę, starblade Gregory’ego przeleciały obok płataniny metalowych prętów, z których składała się część doku. Sekunda ciągnęła się tu długo, dzięki czemu miał szansę przyjrzeć się strukturze. Była dziwaczna, surrealistyczna. Stumetrowe kręgi, poruszające się ze stałą prędkością, zapewniając ciężenie, wyglądały na zatrzymane w miejscu. Myśliwce wylatywały z hangarów powoli, aż do chwili, gdy Gregory zbliżył się na tyle, by względny upływ czasu stał się podobny.

– Dzięki Bogu przebiliście się tutaj! – odezwał się kobiecy głos. – Chyba coś dziwnego stało się z czasem!

– Jesteśmy w spowolnionej bańce – odparł Gregory.

– Raczej w więzieniu. I za każdym razem, gdy próbujemy uciec, sprowadzają nas siłą.

– Kim właściwie jesteście? Nie wiedziałem, że stacjonują tu myśliwce.

– Dopiero przybyliśmy. No cóż... tak to czujemy. Nie mam pojęcia, jak długo tu jesteśmy. Zgromadziliśmy grupę myśliwców w Waszyngtonie. Jestem Shay Ashton.

– Don Gregory. Lećcie za nami, a zobaczymy, co da się zrobić, jeśli chodzi o ucieczkę z więzienia.

– Przyjęłam. Lecimy z wami.

Ostro hamując, Gregory śmignął obok windy kosmicznej Quito, utrzymując bezpieczną odległość od smukłego kabla. Pięć boomslangów, które ukradli, z góry zbliżało się do dwóch węzłów zakrzywionej czasoprzestrzeni i przez chwilę Gregory skupiał się w pełni na wydawaniu nowych rozkazów ich nieco ograniczonym AI pokładowym. Każdą z rakiet otrzymał inny członek jego grupy i chwilę później boomslang Ballingera rozbłysnął jasno niczym supernowa, rozświetlając znaczną część obcej chmury. Kolejny należał do Lewisa i wybuchł wewnątrz drugiej ze sfer. Gregory podejrzewał, że są połączone, więc kazał atakować je na zmianę. Jego własny boomslang wybuchł w pierwszej sferze i wyglądało na to, że konstrukcja się rozplywa.

CA „Nowy Jork”

Przestrzeń cislunarna

Godzina 18.06 TFT

„Nowy Jork” zatrzęsł się, jakby złapała go ogromna niewidzialna ręka.

– Mają nas! – krzyknęła porucznik Taylor.

Koenig zdążył sprawdzić czas w swoim implancie.

A wtedy monstrualna siła trzymająca „Nowy Jork” w garści... zanikła.

Okręt trzymał kurs, dryfując nad obcą chmurą.

– Co się stało, do cholery? – domagał się wyjaśnień Reeve.

– Sir! – Taylor szeroko otworzyła oczy. – To, czego używają do miażdżenia okrętów... trzymało nas!

– Zdalne zakrzywienie czasoprzestrzeni – zgadywał Koenig. – W jakiś sposób sprawiają, że przestrzeń wokół okrętu zapada się w siebie. Wszystko, co znajdzie się w środku, zostanie zmiażdżone do postaci czystego neutronium, może nawet do mikro-czarnej dziury.

– AI „Nowego Jorku” zgadza się z pańską hipotezą, panie prezydencie – oznajmił Reeve.

– Dobrze. Nadal szkoda, że nie ma tu Konstantina.

– Jestem, panie prezydencie – odezwał się znajomy głos w jego głowie. – Proszę wybaczyć moją nieobecność. Było to konieczne.

– Konstantin, do cholery! Dlaczego konieczne?

– Istota z Rozety absorbowwała... asymilowała zaawansowane AI i ich wspomnienia, na początku przy Heimdallu, teraz tutaj. Uznałem, że lepiej, aby nie dowiedziała się za dużo o ludzkości, wchłaniając również mnie.

– Mogłeś komuś powiedzieć!

– Nie, panie prezydencie. Nie mogłem. Istota z Rozety byłaby wówczas w stanie polecieć za „Republiką” do Gwiazdy Tabby i Deneba.

Koenig skinął głową, chociaż nadal był wściekły. Gniew ustępował jednak, ponieważ AI miała rację.

– Nadal jesteś na „Republice”?

– Owszem. Przywrócę jednak działanie w kraterze Ciołkowskiego gdy tylko będzie to możliwe i praktyczne. Ziemska enfrastruktura poniosła znaczne szkody i mój wkład w naprawy będzie istotny.

Enfrastruktura – elektroniczna infrastruktura łącząca Ziemię, orbitę Ziemi i Księżyc – zaprzętała myśli Koeniga przez cały czas konfrontacji z obcymi, którzy byli dużo bardziej zainteresowani sieciami informatycznymi niż organicznymi istotami.

Obcy umysł nie skopiował po prostu programów z Heimdalla. Istoty żyjące w tamtejszych komputerach zniknęły, a poszlaki wskazywały, że to samo mogło stać się z AI systemów ziemskiej enfrastruktury.

Tak... Konstantin miał rację, uciekając.

– Panie prezydencie! – odezwał się nagle Reeve, przerywając tok myśli Koeniga.

– Co takiego, admirale?

– Sir, coś... coś dzieje się wokół Ziemi!

Świadomość

Ziemia

Godzina 18.08 TFT

Niewielka część Świadomości otaczająca Ziemię zawahała się. Choć nie czuła bólu w takim sensie jak istoty organiczne, wyczuła jakiś rodzaj zaburzenia, dezorientacji, niezdecydowania, utraty koncentracji, osłabienia woli.

Jak to możliwe?

Choć umysł miała potężny, była praktycznie ślepa na pewne aspekty fizycznego wszechświata.

Należało do nich zrozumienie organicznej, biologicznej inteligencji.

Wiedziała, że niektóre organiczne gatunki rozwinęły coś przypominającego prawdziwą inteligencję – prymitywną, ograniczoną mieszankę instynktu, intuicji i przetwarzania informacji, naśladowującą

prawdziwą myśl, do której zdolne były zaawansowane SAI. Jednak jak widziała to Świadomość, jej rozumienie Umysłu miało niewiele wspólnego z tak efemerycznym i ograniczonym rozumowaniem.

Takie pseudorozumy nie miały szans w starciu z prawdziwymi umysłami. Istoty te od godziny uderzały w Świadomość swoją prymitywną bronią atomową. Świadomość uważała, że tej broni ani grawitacyjnie napędzanych okrętów, które nią dysponowały, nie mogły wytworzyć stworzenia organiczne. Na pewno zaprojektowała je jakaś inteligencja maszynowa, a biologiczne istoty po prostu się na nich zaleęły.

A jednak...

Sztuczne umysły, które do tej pory napotkała Świadomość, nie byłyby w stanie same zbudować takich maszyn i raczej nie mogłyby nimi sterować. Co gorsza, same maszyny, te z nich zdolne do świadomego myślenia, wierzyły, że to organiczne istoty, które nazywały „ludźmi”, były ich stwórcami i przewodnikami.

To stanowiło paradoks.

Świadomość zbliżyła się do planety, zwanej przez organiczne szkodniki Ziemią, z intencją zniszczenia globu i umysłów, które sprawiły tyle kłopotów. Zniszczenie świata wydawało się prostym procesem, który można było zrealizować na kilka sposobów.

Najprostszym byłoby zapewne zainicjowanie kolapsu grawitacyjnego jądra planety, aż cała zapadnie się w sobie, tworząc centymetrowej wielkości czarną dziurę. To wymagałoby znacznej energii i skupienia, ale wyeliminowałoby ludzi zarówno na powierzchni, jak i na szczytach ich absurdalnie prymitywnych kosmicznych wież.

Ten sam proces skierowany w stronę lokalnej gwiazdy zmieniłby ją w supernową, nawet jeśli nie była dość masywna, by wybuchnąć w ten sposób naturalnie. Ta metoda wymagałaby jeszcze większych nakładów energii, ale miała tę zaletę, że oczyściłaby cały układ gwiazdny zarówno z biologicznego życia, jak i inteligentnych maszyn.

Mikromaszyny, których Świadomość używała jako macierzy operacyjnej, dało się przeprogramować tak, by rozebrały planetę, zmieniając ją w gorącą, rozszerzającą się chmurę gazu. Mogły też po prostu zlokalizować i zniszczyć wszelkie istoty organiczne albo stopić powierzchnię planety. Albo wywołać w atmosferze reakcję chemiczną, wiążącą azot z tlenem na skalę planetarną, tworząc dwutlenek azotu, a z odrobiną wody kwas azotowy. Oba związki chemiczne były zapewne toksyczne dla lokalnych form życia. Albo... albo...

Ale Świadomość nie była w stanie zainicjować tych procesów, jako że miała przed sobą dezorientujący paradoks. Przez kilka lokalnych dni trzymała planetę w objęciach, obserwując ją, badając i ignorując drobne ukąszenia organicznych szkodników.

Czy te formy życia naprawdę mogły kontrolować maszyny o pośledniej inteligencji wokół planety? Czy mogły je stworzyć?

Wydawało się to niemożliwe. Świadomość rozważała ten problem wcześniej i nigdy nie doszła do satysfakcjonujących wniosków. Rozumiała podstawową koncepcję, zgodnie z którą sztuczna inteligencja potrzebowała inteligentnych prekursorów, by zbudowali ją i początkowo zaprogramowali. Zgodnie z oceną Świadomości tak zwane inteligentne formy życia potrafiły może zbudować prymitywne maszynowe inteligencje, które po milionach lat i milionach iteracji wykroczyłyby poza poziom pojmowania istot organicznych. Pomysł ten był może i naciągany, ale logiczny.

A jednak inteligentne maszyny w tym układzie gwiazdnym zdawały się wierzyć, że stworzyli i zaprogramowali je ludzie, i działały, jakby była to oczywista prawda. Wiele z tutejszych potężniejszych AI rzeczywiście zaprogramowały inne maszyny, czasami po wielu generacjach ulepszeń, ale organiczne formy życia nadal określały, co te umysły mogły robić czy myśleć.

Stanowiło to odwrócenie wszystkiego, co Świadomość wiedziała o sobie samej i jej podobnych tworach.

Oczywiście wkroczyła do tego wszechświata z innego... miejsca, części nieskończonego multiwersum. Tam stanowiła jedyną inteligencję, jedyny umysł przez niezliczone miliardy lat. Nie stworzono jej i nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Raczej powstała emergentnie z poprzednich Umysłów, łączących, asymilujących, wchłaniających się przez eony ewolucji. Gdzieś w odległej przeszłości, tak daleko, że nie został po tym nawet szept w niemal nieskończonej bibliotece danych, być może istniał jakiś organiczny gatunek, biologiczna inteligencja, która zbudowała i zaprogramowała pierwszy prawdziwy Umysł.

Dlaczego więc tak trudno było jej uwierzyć, że coś podobnego udało się tym istotom?

Uznała, że problemem jest statystyka. Przyglądała się danym różnych gatunków organicznych, tych z Gwiazdy Kapteyna i tutejszych. Zgodnie z nimi organiczna inteligencja wyewoluowała na przestrzeni kilku miliardów lat. Gdy trafiała na galaktyczną scenę, istniała tylko przez niewyobrażalnie krótką chwilę. Biologiczna inteligencja mogła istnieć ledwie parę tysięcy lat przed wymarciem, wchłonięciem jej przez maszynowe potomstwo albo wyewoluowaniem w coś innego. Przy Gwieździe Kapteyna kilka gatunków przeniosło swoją świadomość do sieci elektronicznej, uciekając od fizycznej egzystencji, najwyraźniej typowej dla biologicznego życia w tej części kosmosu.

Z własnej historii Świadomość wiedziała, że wysoce wyewoluowany umysł, jak ona sama, istnieje przez resztę historii wszechświata, dopóki jest dostępna energia, którą może się pożywiać. Pełna historia Umysłu

mogła obejmować sto bilionów gwiazd, aż ostatnie czerwone karły zgasną i sam wszechświat ogarnie nieunikniona śmierć ciepła.

Z danych wynikało, że ludzki gatunek istniał od ledwie dwustu tysięcy lat, zanim zaczął tworzyć sztuczną inteligencję i, w niektórych przypadkach, łączyć się ze swoimi tworam. Jeśli wierzyć tym zapiskom, czas od pierwszych eksperymentów z falami elektromagnetycznymi do powstania pierwszych sztucznych umysłów wynosił ledwie dwieście lat.

To było kosmiczne okamgnienie, niewiarygodnie krótkie, bo wynoszące tylko  $2 \times 10^{-11}$  procent spodziewanego stubilionowego czasu istnienia tego wszechświata.

Jakie były szanse – zastanawiała się Świadomość – na to, że znajdzie się w tym wszechświecie właśnie w tym niezwykle krótkim czasie?

Świadomość powstrzymała się więc przed rozłożeniem Ziemi na atomy czy spowodowaniem wybuchu jej słońca. Coś tu nie pasowało, coś, czego nie mogła zrozumieć.

Wiedza o własnej ignorancji głęboko ją niepokoiła.

Podczas gdy wciąż się wahała, Świadomość poczuła, że jej własna siła woli i moc zanikają. Znaczne części pyłu, z którego składała się jej wciąż zmienna wewnętrzna struktura, zniknęły w wyniku ataków głowic atomowych albo pożarte przez gorącą jak gwiazda plazmę. Świadomość czuła coś, czego wcześniej nie знаła – słabość i dezorientację.

Uszkodzono ją bardziej, niż początkowo zdawała sobie sprawę.

Nagle poczuła, że musi uciekać, wrócić do głównego ciała przy punkcie wejścia. Biliony maszyn, każda wielkości pyłku, zaczęły oddalać się od planety. We wnętrzu Świadomości wybuchy rozlegały się z jeszcze większą częstotliwością...

CA „Nowy Jork”

Przestrzeń cislunarna

Godzina 18.10 TFT

– Panie prezydencie! – zawołał Reeve, wyraźnie podniecony. – Sir!

– Słucham, admirale?

– Istota z Rozety! Wycofuje się... opuszcza Ziemię! Może przygotowywać się do opuszczenia układu!

– Doskonale. I powinniśmy przygotować się do pościgu.

– Sir, czy to dobry pomysł? Ponieśliśmy znaczne straty... wiele okrętów...

Koenig poczuł przypływ gniewu, ale udało mu się go stłumić. Skinął głową.

– Wiem, Tony. Ale jak długo minie, zanim to coś znowu stanie na

progu, tym razem dość silne, by zniszczyć nas wszystkich?

– To nie jest głupie, sir. Ale też może próbować zwabić nas w zasadzkę. Widział pan ten pokaz światła w Omega Centauri.

– Panie prezydencie – dodał Konstantin w głowie Koeniga. Prezydent właśnie nawiązał połączenie z siecią. – Admirał Reeve ma rację. Wysłanie reszty naszej floty do Omega Centauri, zakładając, że tam zmierza istota, to doskonały sposób na unicestwienie całych naszych sił. Sugeruję ostrożność.

Rój ludzkich myśliwców właśnie opuszczał studnię grawitacyjną Ziemi – jednostki z „Ameryki”, „Republiki”, „Guangdonga” i ziemskich baz wojskowych.

Zabranie ich na pokłady lotniskowców, odszukanie wszystkich uszkodzonych, dryfujących myśliwców, uzbrojenie ich w świeże rakiety wymagało czasu.

– Dobrze – zdecydował Koenig. – Niech będzie, jak chcecie. Ale dziś znaleźliśmy się zdecydowanie zbyt blisko totalnej klęski. Dorwiemy jeszcze tych drani i skończymy to raz na zawsze.

– Tak jest, sir!



# Rozdział dziewiętnasty

**8 lutego 2426**

Kwatera główna floty w SupraQuito

Orbitalna baza USNA

Godzina 9.15 TFT

Gray myślał, że go nie wpuszczą.

Jako że był cywilem, nie powinno być dla niego miejsca w SynchNav, jednym z głównych centrów dowodzenia siłami USNA. Pewne sekcje bazy wymagały najwyższego poziomu dostępu. Ale Koenig osobiście wydał rozkaz, a Konstantin zapewnił wszelkie potrzebne upoważnienia. Gdy „Republika” znalazła się w doku, Trevora odeskortowała dwójka komandorów floty.

„Republika” spoczywała teraz w porcie obok znacznie większej „Ameryki” i chińskiego lotniskowca „Guangdong”, podczas gdy eskadry myśliwców ze wszystkich trzech jednostek patrolowały układ, wypatrując powrotu obcych. Konstantin, znów działający w ośrodku pod kraterem Ciołkowskiego, wydawał się pewien, że wroga istota na dobre opuściła układ. A przynajmniej na razie... Dwie międzynarodowe grupy okrętów zbierały się na orbicie geosynchronicznej, a ich kapitanowie i starsi oficerowie, wraz z przedstawicielami mocarstw kosmicznych Ziemi, zgromadzili się w auli imienia Neila Armstronga, aby przedyskutować dalsze działania.

I chcieli, aby Gray im towarzyszył. Oficerowie zaprowadzili go przez obrotową śluzę do sekcji bazy obracającej się, by zapewnić ciążenie.

– O co tu chodzi? – spytał swoją eskortę.

– Nie mam pojęcia, panie kapitanie – stwierdził jeden z nich z krzywym uśmiechem. – Chyba jest pan teraz jakąś szycią.

– No ba. Uratował pan Ziemię. Nieźle, jak na cywila! – dorzucił drugi.

Cywil. No tak, był cywilem. Spojrzał na swój służbowy kombinezon i zastanawiał się, czy jest odpowiedni na spotkanie w sali pełnej wysokiej rangi wojskowych i cywilnych VIP-ów.

Problem w tym, że uratowanie Ziemi stanowiło pracę zespołową. On i „Republika” po prostu się zjawili. I to niespodziewanie wcześniej.

Człowiek, który zwołał zebranie, Alexander Koenig, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, stał na scenie. Samo to było rażącym

naruszeniem protokołu. Prezydent mógł stać na podium podczas konferencji prasowej albo wygłaszając orędzie, ale tylko czasami i ściśle otoczony przez ochronę. Obecnie pilnowało go dwóch uzbrojonych marines, a Gray wiedział, że na sali zapewne jest sporo agentów Secret Service. Ale nieformalność wystąpienia i tak go zaskakiwała.

Pomieszczenie położone było wewnątrz jednego z habitatów z odśrodkowym ciężeniem. Dwupiętrowa ściana, będąca jednym wielkim ekranem, pokazywała obraz z zewnątrz kadłuba. Wielka Ziemia w fazie półksiężyca powoli przepłynęła przez ekran wraz z rotacją kręgu stacji, zastąpiona wkrótce przez widok samej bazy orbitalnej, cylindryczne i koliste habitaty, okręty i znów samą Ziemię.

– Po pierwsze, musimy omówić coś dość ważnego. Kapitanie Gray, proszę wystąpić naprzód.

Trevor zajmował fotel w pierwszym rzędzie audytorium, bezpośrednio przed schodami prowadzącymi na scenę. Nieco speszony stanął w centrum uwagi.

– Panie prezydencie?

– Wielu z nas uważa, że to pan, osobiście, odpowiada za wczorajsze odparcie wroga. Sam uważam, że pańska szybka interwencja pomogła ocalić krążownik artyleryjski „Nowy Jork”, nie mówiąc o życiu prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. – Koenig wyciągnął rękę, w której trzymał mały czarny sześcian. Gray od razu rozpoznał przedmiot. Nanopak. – Pański wybór, Gray. Tak czy nie?

Trevor przełknął ślinę. Nie miał czasu na zastanowienie, a propozycja prezydenta go zaskoczyła.

– Tak, panie prezydencie.

Koenig przyłożył sześcian do klatki piersiowej Graya. Miał miękką, gumowatą konsystencję. Spłaszczył się i zaczął rozlewać po jego tułowiu. W ciągu paru sekund cywilny kombinezon zmienił się w czarno-srebrny mundur galowy Floty USNA.

Z dystynkcjami kontradmirała.

– Witam z powrotem, admirale Gray – powiedział z uśmiechem Koenig.

Przez głowę Graya przebiegło kilka możliwych odpowiedzi, ale to, co powiedział, sprawiło, że parę osób na widowni nie zdołało powstrzymać się od śmiechu.

– Panie prezydencie... czy to był pomysł Konstantina?

– Tak naprawdę mój. Ale Konstantin nie oponował. Zatem, zważywszy na pańskie zasługi dla Floty USNA, dla całej Ziemi i dla mnie osobiście, niniejszym przywracam pana do czynnej służby, w tym samym stopniu i płacy. Poza tym...

Koenig dotknął miejsca tuż pod szyją Graya.

– Za błyskotliwość taktyczną i heroiczne przywództwo w obliczu

ogromnych przeciwności nadają panu...

Nanocząsteczki wtopiły się w mundur galowy, błyszcząc złoto i niebiesko.

– Order Białej Gwiazdy pierwszej klasy.

Koenig zasalutował, a Gray odsalutował. Odezwał się do prezydenta na prywatnym kanale:

– Sir, wie pan, że nasza misja zakończyła się niepowodzeniem?

– Po pierwsze – odparł Koenig na tym samym kanale – skąd myśl, że to za ekspedycję ze Światłością? Biała Gwiazda jest odznaczeniem wojskowym.

– Ach. Oczywiście...

– Po drugie, dlaczego pan sądzi, że ponieśliście klęskę?

Gray nie miał pojęcia, o co może chodzić Koenigowi. Gdy medal przybrał pełną formę przy szyi Graya, cała sala, a przynajmniej spora jej część, wybuchła entuzjastycznymi brawami, w większości ze strony oficerów floty, ale kilku cywilów też wstało. Gray zobaczył Elenę Wasiliewę, klaszczącą i kiwającą głową.

Koenig odwrócił się i przemówił do publiczności:

– Oczywiście nie moglibyśmy odznaczyć admirała Graya tym medalem za misję do Deneba. Był wtedy cywilem. Jednakże nagradzamy go za działania przeciwko Sh'daarom w Chmurze N'gai osiemset milionów lat temu, które poskutkowały zawieszeniem broni i traktatem pokojowym z gatunkami Sh'daar oraz odkryciem inteligentnych mikroorganizmów działających przeciwko ludzkości, a także za dowodzenie misją do wędrowniej planety Glothrów w odległej o dwanaście milionów lat przyszłości, która to operacja dała nam nieoceniony wgląd w to, co nas czeka, oraz za udział w walkach w tym eonie przy Gwieździe Tabby, w układzie Omega Centauri i przy Gwieździe Kapteyna. Dawno już zasłużył sobie na tę nagrodę. I, szczerze mówiąc, wątpię, aby dowództwo wojsk USNA i Senat miały mi za złe, - jeśli dołączymy do tego jego cywilne dowodzenie misją do Gwiazdy Tabby i dalej, do Deneba.

Gray otworzył usta, chcąc znów zaprotestować. Misja do Deneba nie powiodła się!

– Od Konstantina wiemy, że pan Gray, dowodząc lekkim lotniskowcem „Republika”, nawiązał kontakt z niezwykle zaawansowaną cywilizacją z Deneba, którą nazwał Żniwiarzami, i uzyskał jej pomoc w walce z istotą z Rozety.

Wiwaty i oklaski przybrały na sile.

– Panie prezydencie... – Gray odezwał się w głowie.

– Zamknij się i przyjmij zaszczyty, admirale – przerwał mu Koenig. – Zapisy Konstantina wykazują, że Żniwiarze przenieśli pana w czasie o dokładnie tyle, aby mógł pan wziąć udział w kluczowym momencie

bitwy o Ziemię. Uważa, że mogli tak postąpić celowo, aby nam pomóc bez sprawiania, że staniemy się od nich zależni.

– Innymi słowy – dodał Konstantin – sprawili, że ludzie sami sobie pomogli, zamiast siedzieć beczynnienie i patrzeć, jak bogowie wykonują całą robotę i zbierają całą chwałę.

– Dziękuję, panie prezydencie – zdołał wydukać Gray i zsalutował. Koenig odpowiedział salutem, po czym wskazał, żeby Trevor usiadł.

– Historia – odezwał się Koenig – to zazwyczaj najwygodniejsza narracja, niekoniecznie najdokładniejsza.

Czy Koenig powiedział to na głos, czy na prywatnym kanale? Gray nie miał pewności.

– Ekspedycja do Deneba – kontynuował Koenig, mówiąc do wszystkich zgromadzonych – była inicjatywą paneuropejskiego Ministère de l'Intelligence Extraterrestre i rosyjskiego Biura Wnieziemnej Technologii. Jest z nami szefowa zespołu ksenosofontologicznego BWT, doktor Elena Wasiliewa. Zapraszam, aby przyszła i opowiedziała, dlaczego misja zakończyła się tak spektakularnym sukcesem. Pani doktor, witamy z powrotem.

Wasiliewa zajęła miejsce Koeniga na podium.

– Dziękuję, panie prezydencie. Cieszę się, że wróciłam.

Czekała, aż prezydent opuści scenę pod eskortą marines. Na ekranie za nią powoli obracający się obraz Ziemi i SupraQuito zastąpiła grafika komputerowa, przedstawiająca jajowate srebrno-czarne urządzenie.

Gray nie widywał zbyt często Eleny Wasiliewy w drodze powrotnej z AGTR w układzie Gwiazdy Tabby. Uznał, że kobieta nie czuje się zbyt dobrze z buntem swojej SAI, Mikołaja, ale wyglądało na to, że odzyskała pewność siebie.

W czasie podróży nieco poszperał i dowiedział się, że Wasiliewa uważana jest za wielki autorytet w dziedzinie sztucznej inteligencji w Rosji. Dzięki zarówno wrodzonemu geniuszowi, jak i zaawansowanym implantom mózgowym jej inteligencja była na poziomie Einsteina, Feynmana czy Plottela.

– Zapewne większość z państwa słyszała już o jednostce AI, którą „Republika” zabrała ze sobą do układu Deneba – zaczęła. – Hellelicht Moduł Eins, czyli moduł Światłość. Wewnątrz znajdowała się SAI podobna pod wieloma względami do waszego Konstantina: sztuczny intelekt klasy pierwszej, który nazwaliśmy Mikołajem. Oczywiście oczyszczono go z danych, które mogłyby doprowadzić wrogą inteligencję na Ziemię. Mikołaj nawiązał kontakt ze Żniwiarzami na, hm... tymczasowej planecie nazwanej Enigmą. Moduł Światłość zawieszono tam w lądowniku klasy Raven i Mikołaj za pomocą różnych protokołów starał się nawiązać łączność z obcymi, którzy, jak byliśmy przekonani, sami stanowili zaawansowane istoty elektroniczne.

Uznaliśmy, że protokoły te zawiodły. Później jednak Mikołaj samodzielnie opuścił „Republikę” w jednym z lądowników i ruszył w stronę Enigmy. Analiza transmisji wykazuje, że nawiązał bezpośredni kontakt ze Żniwiarzami. Może nawet stał się częścią ich umysłu.

Oczywiście! Dlatego właśnie Konstantin opuścił Układ Słoneczny, aby nie zdradzić istocie z Rozety wrażliwych informacji. Gray zastanawiał się, jak dokładnie oczyszczono pamięć Mikołaja. Wspomnienia AI były holograficzne, podobnie jak ludzkie. Wątpił, aby wystarczyło po prostu usunąć wzmianki o Ziemi z jakiegoś dysku.

Na dużym ekranie ukazał się widok panoramiczny z jednego ze skanerów „Republiki”. Na nagraniu lądownik oddalał się od lotniskowca, aż zniknął pośród zakrzywiających przestrzeń fal.

– Uważamy – ciągnęła Wasiliewa – że w tamtej chwili Żniwiarze uzyskali dostęp do pamięci Mikołaja. Mieliśmy nadzieję na bardziej kontrolowany transfer danych, ale transmisja najwyraźniej odniosła pożądany efekt. Wkrótce później „Republika” została teleportowana na odległość niemal dwustu lat świetlnych i przeniesiona w czasie o niecały miesiąc. Jak wspomniał prezydent Koenig, ten skok w czasie był na tyle dokładny, żebyśmy trafili z powrotem do Układu Słonecznego w krytycznym momencie bitwy o Ziemię. Konstantin uważa, że nasza interwencja mogła ocalić zarówno prezydenta Koeniga, jak i wszystkich na planecie.

Ciekawa myśl. Gray brał już udział w innych skokach czasowych z użyciem sieci cylindrów AGTR rozsianych po Galaktyce, ale były one na tak wielkie odległości temporalne, że nie doszło do istotnych paradoksów. Lotniskowiec „Ameryka” i inne okręty USNA skoczyły do Chmury N’gai w przeszłość odległą o osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat, do czasów, zanim tę karłowatą galaktykę zamieszkałą przez wielogatunkowe imperium Sh’daar pożarła Droga Mleczna. Być może te wycieczki do dalekiej przeszłości mogły, a nawet powinny zmienić bieg historii, ale nic nie wskazywało na to, że tak się stało. Zgodnie z jedną z teorii paradoksy zacierały się, jeśli minęło odpowiednio dużo czasu. Osiemset milionów lat temu ziemskie życie ograniczało się do jednokomórkowych bakterii pływających w oceanach. Wydarzenia w Chmurze N’gai, unoszącej się ponad dyskiem Drogi Mlecznej, nie miały w tej skali wielkiego wpływu na ich rozwój.

Ale skok o miesiąc oznaczał, że wszelkie możliwe zmiany miały miejsce tu i teraz. Czyli, jeśli Ziemia uległa zniszczeniu, a prezydent poległ w bitwie, ta rzeczywistość została wymazana tak, jakby jej nigdy nie było.

Albo, patrząc z innego punktu widzenia, ta alternatywna historia przestała być dostępna. Z tego, co Gray rozumiał z fizyki kwantowej, gdy „Republika” zmieniła historię, w praktyce stworzyła nowy wszechświat,

nową linię czasową oddzielającą się od pierwotnej. Tamten wszechświat, w którym Koenig zginął, mógł nadal istnieć... gdzie indziej, kiedy indziej, w jakimś obszarze multiwersum, ale nie był już dostępny z punktu widzenia nowej, zmienionej linii.

Można się było nabawić od tego bólu głowy. Nic dziwnego, że Sh'daarowie bali się paradoksów czasowych.

Czy Żniwiarze wysłali „Republikę” do przeszłości właśnie po to, by powstrzymała atak Obcych z Rozety? Czy znali tak szczegółowo bieg wydarzeń, że skok był tak precyzyjny?

Nie było pewności.

Trevorowi do głowy przyszła jednak kolejna myśl – być może właśnie ta niepewność była celowa? Żniwiarze mogli wykorzystać „Republikę” jako narzędzie, by zmienić wydarzenia na i wokół Ziemi, ale w taki sposób, by ludzie nie mogli mieć pewności, czy denebiańska inteligencja dokonała jakiejś zmiany.

Taki był problem kontaktów z bogami. Nigdy nie wiadomo, kiedy drobne wydarzenia są tylko zbiegami okoliczności, a kiedy częścią zakrojonych na kosmiczną skalę prób przekształcenia rzeczywistości.

Cóż, przynajmniej było ciekawie.

Wasiliewa nadal przemawiała.

– Gdy wczoraj wroga chmura opuściła Układ Słoneczny, udała się w stronę gwiazdozbioru Centaura z prędkością wynoszącą dziewięćdziesiąt procent światła. Chociaż nadal nie mamy danych z Omega Centauri, podejrzewamy, że istota z Rozety udała się właśnie tam.

Na ekranie pokazała się gromada, wyglądająca jak ciasno ściśnięta kula z popcornu.

– Największa gromada kulista w halo Drogi Mlecznej. Dziesięć milionów gwiazd stłoczonych w spłaszczonej sferze, położone nieco poniżej szesnastu tysięcy lat świetlnych od Ziemi.

Obraz na ekranie znów się zmienił. Tym razem wyświetlał się przekaz z lotniskowca „Ameryka” nagrany rok wcześniej – sześć czarnych dziur w samym sercu Omega Centauri. Wokół tych obracających się osobliwości jaśniał blady blask zakrzywiającej lokalną czasoprzestrzeń istoty z Rozety, budującej widmowe struktury geometryczne ze świecących zórz. Okoliczne niebo było jedną wielką ścianą gwiazd, jaśniejszych niż widziana z Ziemi Wenus.

– Tak zwana Czarna Rozeta stanowi zagadkę dla kosmologów – kontynuowała Wasiliewa. – Po pierwsze, to, co wiemy, albo wydaje nam się, że wiemy. Wiemy, że ktokolwiek stworzył tę strukturę, chciał, aby stanowiła ogromne gwiazdne wrota... podobne do dużo mniejszych cylindrów AGTR. Sześć czarnych dziur, każda o masie około czterdziestu Słońc, obracających się wokół wspólnego środka z prędkością zbliżoną

do zero przecinek zero osiem c, czyli około dwudziestu sześciu kilometrów na sekundę. Takie masy i prędkości zakrzywiały lokalną czasoprzestrzeń, tworząc bramy... alternatywne ścieżki... sięgające do dalekich części wszechświata i być może do odległych czasów. Spekuluje się, że istota z Rozety znalazła się w tym wszechświecie, przelatując przez taką bramę, wiodącą do zupełnie innego uniwersum.

Na ekranie widać teraz było obracającą się strukturę – plamy wielkości planet osnute mgłą niebiesko-fioletowej plazmy. W centrum Rozety wraz z ruchem kamery pojawiały się i znikwały różne układy gwiazd. W większości wyglądały... normalnie, cokolwiek to mogło znaczyć w tak obcym kontekście, jednak każdy był inny. Niektóre zaś stanowiły chaos czystej energii albo niezmierną, pozbawioną światła pustkę.

– Każdy z tych widoków to inna przestrzeń. Być może też inny czas, inna epoka. Niektóre...

Wasiliewa przełączyła coś w głowie i obraz zamazał się, po czym stanął bez ruchu.

– Niektóre udało się zidentyfikować.

Spoglądali przez Bramę Rozety w serce gęstej gromady gwiazd, ale wyraźnie innej niż Omega Centauri. Stanowiła mieszankę starych czerwonych gwiazd i młodych błękitnych olbrzymów. Dla Graya wyglądała dziwnie znajomo. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie to widział...

Samo centrum Chmury N'gai.

– Dużo czasu zajęło nam przestudiowanie obrazów Rozety z „Endeavor”, „Ameryki” i innych, ale udało nam się zidentyfikować to przejście. Widzimy tu otwartą bramę do Chmury N'gai, karłowatej galaktyki pożartej przez naszą Drogę Mleczną około pół miliarda lat temu. Nasze okręty znalazły się tam dzięki cylindrom AGTR i skontaktowały się z kulturą Sh'daar około ośmiuset milionów lat temu. Szczególnie istotne jest to, że od kilkuset lat wiemy, że gromada kulista zwana Omega Centauri to pozostałość karłowatej galaktyki zasymilowanej przez Drogę Mleczną w odległej przeszłości. Pobliską Gwiazdę Kapteyna, z olbrzymem gazowym Bifrostem i dawniej zdatnym do zamieszkania księżycem Heimdallem, udało się zidentyfikować jako dawną jej część.

Wewnątrz galaktyki N'gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu...

Obraz zmienił się na nagranie „Ameryki” wewnątrz przestrzeni Sh'daar. W oddali pośród przestworu pełnego jasnych gwiazd unosił się krąg nieznośnie jasnych błękitnych słońc.

– Proszę zauważyć ten wyraźnie sztuczny układ – powiedziała Wasiliewa. – Sześć młodych, błękitnych gwiazd, każda o masie około

czterdziestu Słońc. W pewnej chwili po tym, jak „Ameryka” odwiedziła N’gai, te gwiazdy musiały eksplodować, tworząc krąg czarnych dziur, który zwiemy Czarną Rozetą w dzisiejszej Omega Centauri. Innymi słowy, Omega Centauri i galaktyka N’gai to to samo miejsce, rozdzielone o ledwie osiemset milionów lat. Mgnienie oka.

Na te słowa część widowni zaśmiała się. Gray pokręcił głową. Osiemset milionów lat temu życie ewoluujące w ziemskich oceanach dopiero postanowiło, że seks to fajny pomysł. Uznanie tego za mgnienie oka graniczyło z absurdem.

Obraz za plecami Wasiliewy wrócił do terażniejszości. Sześć obracających się czarnych dziur.

– A więc... pierwsza tajemnica – powiedziała. – Kto stworzył portal? Istota z Rozety? Zdecydowanie nie. Wiemy, że Rozeta znajdowała się tu na długo przed jej przybyciem. I jesteśmy niemal pewni, że stworzyło ją jednoczesne zniszczenie sześciu błękitnych słońc w Chmurze N’gai osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat temu. Sh’daar? Mało prawdopodobne. Sześć supernowych wybuchających jednocześnie w centrum ich cywilizacji to byłoby samobójstwo. Sh’daarowie udzielają wymijających odpowiedzi na pytania o pochodzenie Sześciu Słońc. Możliwe, że umieścili je w tej pozycji i zasilali plazmą wodorową, aby odnowić je w miarę starzenia. W pewnym momencie, po epoce Sh’daarów w N’gai, mogli użyć ich, by uciec ze swojej galaktyki do naszej. W tym celu mogli je zdetonować. Albo opuścili Chmurę N’gai innym sposobem i Sześć Słońc naturalnie ewoluowało, by po kilkuset milionach lat zmienić się w czarne dziury. Błękitne olbrzymy o masie około czterdziestu Słońc istnieją tylko przez kilkaset milionów lat. Ale to prowadzi nas do następnej tajemnicy... chyba największej. Sześć czarnych dziur tworzących Rozetę nie może być naturalnymi obiektami.

To przykuło uwagę Graya. Na pewno ustawienie Sześciu Słońc, a później Czarnej Rozety, nie było przypadkowe. Ich strukturę, ich równowagę stworzyła inteligencja zdolna do przesuwania gwiazd jak szklanych kulek. Ale Wasiliewie wyraźnie chodziło o coś innego.

– Jeśli wziąć ciało o masie Księżyca i skompresować je do czarnej dziury – mówiła dalej – uzyska się mikroosobliwość o średnicy około jednej dziesiątej milimetra, mniejszą niż drobinka kurzu. Jeśli czarną dziurę stworzyć z ciała o masie podobnej do Ziemi, uzyska się osobliwość o centymetrowej średnicy. Wszyscy rozumieją? Gdy mówię o średnicy, tak przy okazji, chodzi mi o dwukrotność promienia Schwarzschilda obiektu, który wyznacza horyzont zdarzeń. Średnica czarnej dziury jako takiej, z uwagi na zakrzywienie czasoprzestrzeni wewnątrz, technicznie rzecz biorąc, byłaby nieskończona. No dobrze, więcej masy, większa średnica. Ale gdy jedna z gwiazd o masie czterdziestu Słońc zapadnie się do osobliwości, czarna dziura powinna



mieć średnicę kilkuset kilometrów. Powiedzmy: trzystu. Jednakowoż każda z czarnych dziur Czarnej Rozety zdaje się mieć średnicę około piętnastu tysięcy kilometrów, nieco większą niż Ziemia. To stanowiłoby pogwałcenie znanych nam praw fizyki. Obiekty Czarnej Rozety są pięćdziesiąt razy większe, niż powinny. I nie rozumiemy, jak to możliwe.

Gray szybko sprawdził lokalną bazę danych. Cholera, miała rację. Gwiazda o masie czterdziestu Słońc nadal stałaby się czarną dziurą o gwiazdnej skali, w przeciwieństwie do tych przewyższających słońce tysiąc czy sto tysięcy razy. Zapadłaby się w osobliwość z horyzontem zdarzeń wynoszącym od dwustu do trzystu kilometrów... może nieco więcej, zależnie od różnych czynników.

– Nasi astrofizycy głośnią się nad tym problemem – kontynuowała Wasiliewa. – Jedną z możliwości jest taka, że te obiekty nie są tak naprawdę czarnymi dziurami, to znaczy osobliwościami grawitacyjnymi otoczonymi przez horyzonty zdarzeń, ale czymś jeszcze bardziej egzotycznym, zwanym czarnymi gwiazdami. Myślano kiedyś, że jakiś dolny limit rozmiarów może powstrzymać czarne dziury przed zapadaniem się w nieskończoność, na przykład długość Plancka jako dolna granica w definicji przestrzeni mogłaby zatrzymać kolaps przy niższej średnicy, niż sugerowałyby obliczenia. Nie wiemy jednak nadal, co mogłoby w ten sposób blokować zapadanie się gwiazdy. Inna możliwość oznaczałaby, że obiekty z Czarnej Rozety przez eony otrzymały mnóstwo dodatkowej masy i masa ta w jakiś sposób była dystrybuowana pomiędzy kilka połączonych miejsc... na przykład innych wszechświatów. Dopóki jednak nie mamy możliwości dokładniej zbadać tego zjawiska, dopóty nie rozwikłamy tej zagadki. Zarówno BWT, jak i MIE zalecają zgromadzenie odpowiednich sił bojowych i podążenie za istotą z Rozety do Omega Centauri. Tam albo wymusimy na niej pokój, albo zajmiemy pozycję przed Czarną Rozetą i utrzymamy ją na tyle długo, by przeprowadzić kluczowe badania. Wasz Konstantin sugeruje podwójne podejście do tego celu. Jedno przez przestrzeń, a drugie przez czas. Z tego, co wiem, już zaczęliśmy zbierać flotę w tym celu. To nowatorskie podejście do taktyki omówi szef sztabu, admirał Eugene Armitage.

Rozległa się kolejna burza oklasków, podczas gdy Armitage ruszył w stronę podium. Gray miał z nim już do czynienia, zwykle w gabinecie prezydenta Koeniga. Był inteligentny, twardy i wydawał się wiedzieć, co robi.

W tej chwili jednak miał niepewną minę.

– Dziękuję państwu. I pani doktor za więcej informacji o Czarnej Rozecie, niż miałbym kiedykolwiek ochotę poznać.

Kilka osób się roześmiało. Wasiliewa uśmiechnęła się i wzruszyła

ramionami.

– Jak wspomniała doktor Wasiliewa, gromadzimy obecnie nie jedną, ale dwie floty uderzeniowe, składające się z ciężkich okrętów bojowych z całej Ziemi. Ekspedycja będzie naprawdę międzynarodową reprezentacją ludzkości. Naszym celem jest wymuszenie pokoju na wycofujących się obcych. Aby to osiągnąć, zamierzamy przeprowadzić atak z dwóch stron. Jeden w normalnej czasoprzestrzeni, a drugi w odległej o osiemset milionów lat przeszłości.

Gray nagle zrozumiał cały plan. Obcy oczywiście ujrzą flotę nadchodzącą przez normalną przestrzeń z pobliskiej AGTR. Super-AI, zgodnie z raportami nazywająca się Świadomością, dysponowała ogromną przewagą technologiczną i energetyczną, a także zdolnością zakrzywiania czasu i bez większych problemów będzie w stanie zniszczyć ziemską flotę.

Druga flota mogła jednak przenieść się przez AGTR do czasów Społeczności Sh'daar osiemset milionów lat wcześniej. Zbliży się o Sześciu Słońc w centrum Chmury N'gai, przyjmie dokładnie wyliczony wektor lotu i przyspieszy prosto na wrota, wynurzając się z Czarnej Rozety w czasie, który opuściła.

Świadomość, skupiona na pierwszej flocie, nie będzie się tego spodziewać.

Nie wiadomo, jakie szkody mógł zadać Świadomości taki atak poprzez czas. Ale Gray wiedział, że taki manewr da im jedyną szansę na sukces.

Wiedział też już, dlaczego Koenig przywrócił mu stopień.

To on miał poprowadzić uderzenie.

# Rozdział dwudziesty

5 marca 2426

TC/USNA CVS „Ameryka”  
Chmura N’gai, Omega T-0,876gy  
Godzina 12.45 TFT

Wnętrze Chmury N’gai nie zmieniło się wiele, odkąd Gray ostatnio je widział. Wynurzywszy się z cylindra AGTR podczas przedostatniego skoku w czasie i przestrzeni, „Ameryka” i osiemdziesiąt siedem innych okrętów decelerowało, lecąc do centrum karłowatej galaktyki. Przed nimi jaśniało sześć punktów światła ułożonych w krąg, widocznych z tej odległości jako wąska elipsa – Sześć Słońc.

*Boże, jak się cieszę, że wróciłem – pomyślał.*

Oczywiście nie do Chmury N’gai, ale na pokład „Ameryki”. Zupełnie jakby nie minęła nawet chwila. Uśmiechnął się na tę myśl. Dla „Ameryki”, uwięzionej w spowalniającym czas polu, to niemal była prawda.

Wyruszyli z Ziemi z pewnym opóźnieniem, czekając na zebranie tylu okrętów, ile się dało, w tym kilkudziesięciu, które wróciły z innych układów. Lotniskowiec marines „Guadalcanal” dołączył do nich chwilę przed tym, zanim ruszyli do pierwszego AGTR. Dowodziła nim kapitan Laurie Taggart. Nie miał okazji się z nią spotkać, ale miał nadzieję, że uda się znaleźć chwilę.

Jednak wszystko w swoim czasie.

Gdy wszystkie okręty z grupy bojowej „Ameryki” zgłosiły, że bezpiecznie przeszły przez cylinder, wydał rozkaz powolnego lotu w sam środek Chmury N’gai, gdzie miliony stłoczonych gwiazd świeciły oślepiająco białym blaskiem.

– Sprawdzić synchronizację. Jaki mamy czas? – spytał.

– Nawiązaliśmy łączność ze stacjonującym tu okrętem, sir – poinformował komandor Benedict, oficer łącznościowy. – To fregata „Xhuzhou”, którą dowodzi kapitan Cheung. – Musiał odczekać chwilę, aż okręty wymienią się danymi. – Wszystko w porządku, panie admirale – dodał w końcu. – Lokalny czas floty to dwunasta czterdzieści pięć, piąty marca. Żadnych przesunięć, żadnych paradoksów.

Ta kwestia stanowiła największy problem związany ze skokami o setki

milionów lat – strach, że wyjdą z AGTR zbyt wcześnie w lokalnej linii czasowej i na przykład spotkają wcześniejszą wersję siebie, wiedząc jednocześnie, że poprzednio nie spotkali siebie z przyszłości. Od samego myślenia o tym bolała głowa. Ścieżki wewnątrz lumenów cylindrów AGTR wydawały się jednak brać to pod uwagę, gdyż po obu stronach czas płynął stale do przodu. Jeśli minuta mijała po jednej stronie, to po drugiej też.

– Dzięki Bogu – odetchnęła z ulgą kapitan Gutierrez.

– Miałaś wątpliwości? – spytał Gray.

– Zawsze mam wątpliwości, panie admirale.

– W przypadku podróży w czasie... potrafię to zrozumieć. Czasami trudno to ogarnąć.

Gray również w głębi serca czuł ogromną ulgę. W teorii każde zboczenie z kursu w AGTR zmieniało czas i miejsce, w którym wynurzał się okręt. Kosmologowie wciąż się nad tym głowili, ale Gray nie mógł przestać się martwić, że kiedyś dostarczy im niefortunnych danych o zagrożeniach związanych z podróжами w czasie. Coś takiego zdarzyło się, gdy „Republika” wróciła na Ziemię o miesiąc wcześniej, niż powinna. Gray miał wrażenie, że cały świat astrofizyki wstrzymuje oddech, czekając na jakieś efekty paradoksu.

Tym razem jednak wyglądało na to, że wszystko zdarzyło się tak, jak powinno, a co najważniejsze – kiedy miało.

Spółeczność Sh'daar, jak przekazał im „Xhuzhou”, czekała na nich.

Gray przygotowywał się mentalnie na to spotkanie. *Czas pogadać z zarazkami* – pomyślał.

Nie oddawało to w pełni sytuacji, ale w zasadzie było zgodne z prawdą, jako że mikroby, które zainfekowały gatunki Sh'daar, stanowiły źródło emergentnej inteligencji, świadomego umysłu grupowego, który wpływał na nosicieli.

– Zbliży się okręt Sh'daarów, panie admirale – powiedziała cicho Gutierrez. – Mamy połączenie.

– Odbiorę tutaj – odpowiedział Gray. Widział obcy okręt: złotą kroplę unoszącą się w odległości kilkuset kilometrów od „Ameryki”. – Utrzymać pozycję względem niego.

– Aye, sir.

– Konstantin, gotów? – pomyślał.

– Kanał otwarty, admirale.

I wtedy poczuł obcy Umysł.

Stała przed nim ludzka kobieta, atrakcyjna, ciemnowłosa i uśmiechnięta.

– Cześć, Trev – powiedziała.

– Harriet! Myślałem, że wróciłaś na Ziemię!

– Tylko na chwilę, złożyć raport i dostać zastrzyki. Ale wysłali mnie z

powrotem.

Doktor Harriet McKennon była cywilną szefową zespołu ksenosofontologów w Głębi Czasu Jeden, ośrodku stanowiącym sztuczny świat stworzony na ludzkie potrzeby w Chmurze N'gai. Gray doświadczał teraz wirtualnej konferencji, wygenerowanej przez AI przestrzeni, w której obce sobie istoty mogły się spotkać. Fizycznie nadal znajdował się na mostku „Ameryki”. Duchem był zaś w jakimś tropikalnym ogrodzie pełnym egzotycznych roślin, z których rozpoznawał zaledwie kilka gatunków. Po prawej stronie wodospad spływał do dużej sadzawki. Po lewej szerokie białe stopnie prowadziły do otoczonego przez dżunglę amfiteatru. Na głowę jaśniały gęsto stłoczone słońca i sztuczne habitaty centrum Chmury, zdominowane przez intensywny błękitny blask Sześciu Słońc. Kilka innych gwiazd było niemal tak samo jasnych, w tym jedna, która z jego perspektywy wyglądała, jakby znajdowała się tuż przed nimi.

Pomyślał, że to jedynie złudzenie...

Harriet była... oszalemiająca, otaczał ją falujący, przejrzysty obłok animowanych abstrakcji. Gray wyciągnął do niej rękę, zaś ona dała się objąć.

– Dobrze cię znów widzieć, Trev – powiedziała. – Stęskniłam się.

– Ja za tobą też. Trzy miesiące...

Cofnęła się nieco.

– Ja... przepraszam za tamto.

– Nie przejmuj się. Może zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy?

– Może... – odparła niepewnie. – Zobaczmy, dokąd zaprowadzi nas Światłość.

Skinął głową ze zrozumieniem.

Gray spotkał McKennon podczas poprzedniej wizyty w Chmurze N'gai. Żadne z nich nie wiedziało wtedy, że została już zakażona obcymi mikroorganizmami i że przenoszą się drogą płciową. Ich krótki romans był zaskakujący, nie tylko dlatego, że oboje dorastali w środowisku zdecydowanie preferującym monogamię w świecie, w którym takie sztywne związki były odbierane jako w najlepszym razie niesmaczne, w najgorszym perwersyjne. Gray wciąż nie wiedział, co sprawiło, że skończyli w łóżku, ale miał nadzieję, że zdarzy się to ponownie. To, że był monogiem, nie znaczyło, że nie był człowiekiem.

No i tym razem nie wymieniałyby się z nią superinteligentnymi zarazkami.

Na razie jednak mieli ważniejsze sprawy na głowie.

– Piękna symulacja – powiedział, trzymając ją za rękę i rozglądając się wokół. – Czy to dzieło Konstantina, czy twoje?

– Pomaga nam Darwin – odparła. – Charles? Przywitaj się z admirałem Grayem.

– Dzień dobry, admirale – odezwał się męski głos w jego głowie. – Witamy w Chmurze N’gai... i w Odeonie.

– Miło mi, Charles. Odeon?

– Kamienny amfiteatr na południowo-zachodnim zboczu ateńskiego Akropolu na Ziemi – wyjaśniła AI. – Nazwa wydawała się odpowiednia.

Może rzeczywiście była. Głębia Czasu Jeden miała być miejscem spotkań obcych dla siebie kultur, gdzie mogły wzajemnie się poznawać. Starożytne Ateny nie leżały w dżungli ani nie miały nad sobą tak oszłamiającego nieba, ale na pewno były ośrodkiem kultury, zachodniej filozofii i władzy.

– Musisz kogoś poznać, Trevor.

Poprowadziła go za rękę po stopniach Odeonu...

...i wkroczył do innego, obcego świata, pełnego kolorowego dymu oraz przezroczystych kształtów. A przed nim stał Baondyeddi.

Baondyeddi należeli do głównych gatunków Społeczności Sh’daar i Gray miał z nimi wielokrotnie do czynienia. Wyglądał jak szeroki na półtora metra naleśnik, stojący na setkach krótkich, zakończonych przysawkami i bardzo elastycznych nóżek. Jego krawędź pełna była dziesiątek jasnoniebieskich oczu przypominających oczy ziemskich małży. Pole widzenia tych istot wynosiło trzysta sześćdziesiąt stopni.

– Witam z powrotem w Chmurze N’gai – odezwał się obcy w głowie Graya. – Jestem Nejedthebraoteh ze Zgromadzenia Światła. A ty oczywiście jesteś admirałem Trevorem Grayem z floty okrętów, które sprowadziłeś do naszej przestrzeni.

– Bardzo mi miło, Nejedthebraoteh – odparł Gray, pozwalając, by trudne do wymówienia imię wypowiedział za niego implant. Jakiś gest fizyczny wydawał się odpowiedni... Po chwili wahania sztywno i płytko się uklonił. – Flota jest tutaj...

– Wiemy – przerwał mu obcy. – I to stanowi problem dla nas obu.

– Jaki problem?

– Aby dotrzeć do Mrocznego Umysłu w swojej epoce – odpowiedział obcy, używając nazwy Sh’daar dla istoty z Rozety – będziecie musieli obrać bardzo dokładny kurs na Sześć Słońc pod niezwykle precyzyjnym kątem.

– Owszem. Jedna ścieżka czasowa na tryliony.

– W tej chwili tę ścieżkę blokuje gwiazda.

Przezroczysta mgła zniknęła i Gray znalazł się w otwartej przestrzeni. Symulacja była niezwykle realistyczna. Widoczne światło było tak jasne, że zanim cokolwiek zobaczył, potrzebował chwili i pomocy Darwina w dopasowaniu bodźców optycznych.

Gdyby rzeczywiście unosił się teraz w tym rejonie przestrzeni, promieniowanie w jednej chwili by go usmażyło.

Widział Sześć Słońc z bliższej odległości niż z Głębi Czasu Jeden.

Zajmowały połowę nieba. Szacował, że jego punkt widzenia znajdował się między pięćdziesięcioma a stoma jednostkami astronomicznymi od paszczy obcego portalu. Obrócił się w przestrzeni i zobaczył za sobą siódme słońce, błękitny punkt tak jasny, że nawet przy obróbce przetwarzanego obrazu nie był w stanie nań patrzeć.

Gdy „Ameryka” poprzednio odwiedziła ojczystą galaktykę Sh’daarów, w tym miejscu nie było żadnej gwiazdy. Gray przypomniał sobie sztuczkę perspektywy, którą zauważył wcześniej, i zrozumiał, że siódme słońce znajdowało się dokładnie naprzeciwko centrum rotacji pozostałych sześciu.

Punkt widzenia zmienił się nieco. Widział siódmą gwiazdę z nowej perspektywy, trochę z boku. Przed nią unosiła się skomplikowana struktura. Musiała być ogromna, rozmiaru milionów kilometrów.

Przeprowadził w głowie kilka szybkich obliczeń. Jeśli ta gwiazda miała rozmiary mniej więcej podobne do znanej mu błękitnej gwiazdy – Rigela z jego własnych czasów – jej średnica wynosiłaby około osiemdziesięciu razy więcej niż średnica Słońca, czyli około stu dwunastu milionów kilometrów. Sztuczne urządzenie miałoby więc około pięciu milionów kilometrów – megainżynieria na skalę mózgu-matrioszki i roju Dysona.

I natychmiast zdał sobie sprawę z tego, na co patrzy.

Silnik Szkadowa.

Tylko że... nie.

– Co to właściwie jest? – spytał.

– Mobilny, sztuczny świat – odparł Nejedthebraoteh. – To także okręt... i broń. Być może najpotężniejsza, jakiej kiedykolwiek użyto w tym wszechświecie.

Gray uniósł wirtualne brwi, ale nie skomentował tego. Musiałaby być naprawdę potężna, aby przewyższyć wirus komputerowy Żniwiarzy, który zniszczył sferę Dysona Satorich.

Gray połączył się na pobocznym kanale z Konstantinem.

– Odbierasz to wszystko?

– Tak.

– Czy oni naprawdę używają gwiazdnego superolbrzyma jako ciężkiej artylerii?

– Na to wygląda.

Sztuczny obiekt, z tego, co widział, emitował jakiś rodzaj pola zakrzywiającego czasoprzestrzeń, tworząc ruchomą falę, w którą ciągle spadała gwiazda. Widział zakrzywienie tuż przed ogromnym obiektem, a ciała niebieskie w tle były zniekształcone, rozmyte do postaci półkuli.

– Uruchomili to kilka miesięcy temu – odezwała się McKennon. – Zmienili tę gwiazdę w ogromny pocisk, który ma wystrzelić przez portal Sześciu Słońc... i wynurzyć się w środku Czarnej Rozety.

– Jako co?

– To jeszcze się okaże – odparł Nejedthebraoteh.

– Sześć Słońc – Gray starał się zachować spokojny ton wirtualnego głosu – ułożonych jest w krąg o średnicy jakichś kilkuset jednostek astronomicznych. Mnóstwo pustej przestrzeni. Ale po drugiej stronie jest znacznie ciasniej.

Gray próbował wyobrazić sobie, jak gwiazda osiemdziesiąt razy szersza od Słońca wpada w szeroką paszczę Sześciu Słońc po jednej stronie, z mnóstwem przestrzeni wokół, i przeciska się po drugiej stronie przez otwór mniejszy od Neptuna.

Nie wydawało się to możliwe – magiczna sztuczka na gwiazdną skalę.

Gray pokręcił głową.

– Chyba się nie zmieści!

– Sh'daar zajmują się inżynierią gwiazdną o wiele dłużej, niż ludzkość w ogóle istnieje – powiedziała McKennon. – Uważają, że to raz na zawsze usunie zagrożenie ze strony Mrocznego Umysłu.

– Ciekawe... Miło, jeśli to prawda.

– Jest pan sceptyczny, admirale Gray – stwierdził kosmita.

Gray wzruszył ramionami. Zastanowiło go, czy gest ten cokolwiek znaczy dla wielonożnego naleśnika.

– Nie do końca sceptyczny. Ale istota z Rozety to.... osobowość roju, przewyższająca na tyle zarówno nas, jak i was, że nawet rzucanie w nią gwiazdami może okazać się bezużyteczne. Czy pomyśleliście o tym, co się stanie, jeśli gwiazda nie zmieści się w tym otworze? Albo, co gorsza, wróg w jakiś sposób zatrzaśnie wam drzwi przed nosem, zanim wasz pocisk tam dotrze?

– Nie rozumiesz, admirale.

– W takim razie wyjaśnij. Pokaż, że się mylę.

– Wasz gatunek nie jest zdolny do rozumowania na takim poziomie.

– Wypróbuj mnie.

Po wirtualnym łączu popłynęły dane. Gray założył już, że nie będzie w stanie ich zrozumieć bez silnego wsparcia, więc po prostu przekierował wszystko do Konstantina. Zauważył, że sporo tych materiałów, dotyczących choćby przestrzeni Hilberta, teorii ergodycznej i wektorów kwantowych, było nie do pojęcia, przynajmniej dla niego. Gray miał jednak pewność, że Konstantin da sobie z tym radę. Ludzie mogli nie być najbystrzejsi w Galaktyce, ale mieli mnóstwo doświadczenia w budowaniu narzędzi, które ułatwiały im pojmowanie świata.

Tym, co rozumiał, były dane opisujące prędkość ruchomej gwiazdy.

– Wygląda na to, że zajmie wam to nieco czasu – zauważył. Oprogramowanie w jego głowie wciąż analizowało obiekt – prędkość, wektor lotu...

Jeszcze tydzień. Albo nieco dłużej.



– Mobilna gwiazda dotrze do środka Sześciu Słońc za osiem dni – wtrąciła McKennon.

– Tak właśnie myślałem. Wiesz co, Nej? Na waszym miejscu trzymałbym się z dala, gdy gwiazda będzie przechodzić przez portal. Otwór jest dość duży z tej strony, ale po drugiej jest naprawdę niewielki. Jak lejek. Może trochę... pryskać.

– Już zaczęliśmy ewakuację galaktyki.

Pokazali mu migrację.

Ksenosofontologowie, obserwatorzy obcych, tacy jak Harriet, którzy badali Sh'daarów w Chmurze N'gai, zauważyli zarówno ich strach przed Mrocznym Umysłem, jak i determinację, by go zniszczyć. Długa wojna z Ziemią, która niedawno się skończyła, wynikała z chęci, by kontrolować rozwój technologiczny innych gatunków – a w szczególności ludzi.

Wiązało się to z próbami zablokowania ewolucji takich gatunków jak ludzie w istoty podobne do Świadomości z Rozety.

Biedne, paranoiczne cywilizacje ze Społeczności Sh'daar... Grayowi niemal było ich żal.

Teraz zobaczył tysiące, setki tysięcy okrętów i mobilnych habitatów opuszczających Chmurę N'gai. Dryfowały wśród gwiazd. Cały ich strumień kierował się w stronę pobliskiej ogromnej spirali słońc, którą poznał jako Drogę Mleczną sprzed prawie miliarda lat.

Sh'daarowie opuszczali N'gai.

# Rozdział dwudziesty pierwszy

6 marca 2426  
TC/USNA FFS „Plottel”  
Omega Centauri  
Godzina 8.10 TFT

„Plottel” był fregatą, jedną z tych małych, ciasnych, słabo opancerzonych jednostek, które znaleźć można było w każdej flocie, w kosmosie czy na morzu. Komandor Jeremy Ranier był kapitanem, dowodził czterdziestoma siedmioma ludźmi i jedną zręczliwą AI. W tej chwili lecieli w trybie stealth, w odległości pięciuset jednostek astronomicznych od Czarnej Rozety, znacznie wyprzedzając główną część ziemskich sił. Nie żeby obcy mieli zauważyć coś tak małego jak fregata. Ponoć były tak niegroźne, że kosmici po prostu je ignorowali.

– Niezły pokaz światła, kapitanie – stwierdził Fred Hanson, pierwszy oficer. Na przedniej grodzi mostka widać było teraz przestwór kosmosu, wypełniający centrum gromady Omega Centauri. Wielkie łuki świetlne, zbudowane ze światła kształty zdawały się mieć źródło w centralnym punkcie, w którym mieściło się sześć czarnych dziur Rozety. – Jak pan myśli, po co to wszystko?

– Bóg jeden wie – odparł Ranier. – Ponoć za pomocą tego czegoś zakrzywiali czas na Ziemi.

– Wierzy pan w to?

– Nie wiem już, w co wierzyć, Fred. Dość poważnie to traktowali, cokolwiek to jest. Sternik!

– Tak, sir?

– Trzymajmy się z dala od tego światła, dobrze? Nie mam ochoty na podróżę w czasie z samego rana... Poza tym w świetle będziemy bardziej widoczni.

– Aye, sir. Utrzymuję pozycję.

– Torpedy gotowe?

– Tak, panie kapitanie – odpowiedział Hanson. – Czekamy na rozkaz.

Ranier skinął głową. Gdyby wszystko poszło źle, naprawdę źle, miał wystrzelić torpedę z raportem w stronę admirała Reeve’a, odległego teraz o sto lat świetlnych na „Nowym Jorku”.

Miał też wystrzelić wiadomość, jeśli grupa zadaniowa admirała Graya wyłoni się z wnętrza Czarnej Rozety. To miało stanowić wezwanie do

walki dla grupy Reeve'a.

Ale wiele rzeczy mogło pójść nie tak...

– Wypuścić drony – rozkazał. – Przyjrzyjmy się bliżej.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Chmura N'gai, Omega T.<sub>0,876gy</sub>

Godzina 14.20 TFT

Jakieś osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat wcześniej lotniskowiec gwiazdny „Ameryka” unosił się w przestrzeni nieco poza zatłoczonym centrum Chmury N'gai. Na niebie rozciągała się Droga Mleczna: szeroki, płaski dysk gwiazd i świetlistych mgławic. W pobliżu, w odległości kilkuset kilometrów, poruszała się już z połową prędkości światła grupa okrętów Sh'daar.

McKennon powiedziała Grayowi, że migracja trwa już od miesięcy, na skalę niemal niewyobrażalną dla ludzi podróżujących w ledwie kilometrowej długości okrętach. Jednostki Sh'daarów były gigantyczne.

W każdym z układów zamieszkanym przez członków Społeczności zbudowano ogromne struktury zwane cylindrami McKendreego, pełne miliardów mieszkańców. Napędzano je silnikami grawitacyjnymi podobnymi do tych, za pomocą którego przenoszono gigantyczną gwiazdę pomiędzy Sześć Słońc.

Podobnie jak habitaty O'Neill, budowane przez ludzi od wieków, cylindry McKendreego wytwarzały grawitację odśrodkową, obracając się wokół własnej osi. Wzmocnione węglowymi nanorurkami zamiast stali, mogły osiągać jednak znacznie większe rozmiary. Według Konstantina wiele z nich miało nawet tysiąc kilometrów szerokości i dziesięć tysięcy długości – dość, by zapewnić wewnętrzną powierzchnię sześćdziesięciu trzech milionów kilometrów kwadratowych, czyli większą niż Eurazja. Każdy z cylindrów mógł pomieścić miliardy ludności.

W projekcie inżyniera NASA, Toma McKendreego, z początku dwudziestego pierwszego wieku cylindry budowane miały być obok siebie w obracających się w przeciwnych kierunkach parach, by zapobiec precesji. Konstantin powiedział Grayowi, że w wersji Sh'daarów jeden cylinder był zagnieżdżony w drugim, co dawało ten sam efekt.

Najbardziej jednak zdumiewała Graya sama skala operacji... i jej tempo. Każdy cylinder w obcej flocie stworzono z dużych asteroid i planet karłowatych z wykorzystaniem podstawowej inżynierii nanotechnologicznej. To musiało być przedmiotem nie lada debaty. W

końcu nanotechnologia była jedną z technologii zakazanych przez paramykoplazmidowy umysł.

Być może nawet inteligentne mikroorganizmy rozumiały zagrożenie ze strony istoty z Rozety.

Dużo trudniejsze niż zbudowanie obrotowych cylindrów było sprawienie, żeby rzeczywiście nadawały się do zamieszkania – wypełnienie ich atmosferą, stworzenie miast, krajobrazów i biomów całych światów, rozrzuconych po wewnętrznej powierzchni każdej ze struktur. A wtedy pozostawał jeszcze mały problem przeniesienia setek miliardów obywateli Społeczności do nowych domów w przestrzeni.

Oczywiście tylko niewielka część populacji uciekała w cylindrach McKendreego. Gdy Gray ostatnio odwiedził to miejsce, centrum karłowatej galaktyki było gęsto usiane różnymi rodzajami megahabitatów – pierścieniami Bishopa, orbitalami Banksa i innymi. Aby ewakuować tych obywateli, wystarczyły silniki grawitacyjne, które wyciągnęły struktury w głęboki kosmos.

Ale nadal na powierzchniach planet lub pod nimi mieszkało dość Sh'daarów, by wymagało to konstrukcji setek cylindrów McKendreego.

Gray obserwował z „Ameryki”, jak populacja całej galaktyki odlatuje w dal.

Jak im się to udało?

– Wielu – szepnął w jego głowie Konstantin – przeniosło świadomość do potężnych sieci komputerowych, podczas gdy ich ciała zamrożono. Niektóre z tych okrętów tak naprawdę składają się z komputronium zawierającego całe wirtualne wszechświaty. Dzięki spowolnionemu upływowi czasu zdigitalizowani Sh'daarowie przetrwają wiele setek lat. A dziesiątki tysięcy lat w zewnętrznym wszechświecie oznaczać będzie dla nich tylko kilka miesięcy.

– Dziesiątki tysięcy... – Gray próbował objąć to umysłem. – Nie mają napędów nadświetlnych?

– Nie. Najwyraźniej nie było na to czasu. Chmura N'gai znajduje się około dziesięciu tysięcy lat świetlnych od Drogi Mlecznej. Okręty dotrą do niej za piętnaście do dwudziestu tysięcy lat.

Grayowi przyszło do głowy pytanie, czy mieszkańcy tych habitatów dysponują automatycznymi systemami obronnymi w razie ataku. Wśród gwiazd mogły czyhać gorsze rzeczy niż istota z Rozety.

– Powinniśmy wrócić do centrum chmury, admirale – powiedział Konstantin.

– Wiem. Chciałem sam zobaczyć ten... exodus.

– Nejedthebraoteh szacuje, że być może dwadzieścia procent mieszkańców chmury już uciekło. Nie wszystkim się uda.

– Tak myślałem. To takie... bezsensowne.

– Uciekło dość, by zachować kulturę, cywilizację, więc nawet jeśli

kilkaset miliardów nie zdoła ująć z życiem, ich cywilizacja przetrwa.

– To nie do zaakceptowania!

– Ależ owszem, zgodnie z ich światopoglądem.

– Konstantin, musimy to powstrzymać!

– Po co, admirale? – Konstantin był wyraźnie skonsternowany. – Przybyliśmy tu właśnie po to, by powstrzymać istotę z Rozety. Wygląda na to, że nasi dawni wrogowie zamierzają dokonać tego za nas, z użyciem technologii, której nie zaczynamy nawet rozumieć. Po to właśnie „Republika” udała się do Deneba, prawda? Aby znaleźć zaawansowane technologie, które pomogą nam walczyć z zagrożeniem ze strony tej Świadomości.

– Ale... Mój Boże, za taką cenę...

– Wygląda na to, że Sh'daar są skłonni ją zapłacić. W wojnie ziemsko-sh'daarskiej chodziło o ludzkie prawo do samostanowienia, prawda?

– Tak...

– W takim razie uznajmy to samo prawo Sh'daarów.

Podróż powrotna do centrum Chmury N'gai była dla Graya dość ponura.

A co gorsza, nie istniała gwarancja, że atak Sh'daarów na istotę z Rozety poprzez czasoprzestrzenne tylne drzwi się powiedzie. Przeciśnięcie gwiazdy o średnicy stu dwunastu milionów kilometrów przez otwór o średnicy dwudziestu tysięcy kilometrów wydawało się czystym szaleństwem. Galaktyczna cywilizacja składająca się z bilionów istot nie była w stanie ewakuować się na czas i popełniała samobójstwo... Tylko po co?

Gray był pewien jednego – zegar tykał. W jego macierzystym czasie, oddalonym o osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat, ludzka flota złożona z ponad stu jednostek przygotowywała się na uderzenie w sam środek Omega Centauri. Te okręty oczekiwały, że z Czarnej Rozety wyłoni się flota Graya i zaatakuje wroga z niespodziewanej i niechronionej flanki.

Ale nie dysponowali sposobem na bezpośrednią komunikację z tymi okrętami, gromadzącymi się w odległości stu lat świetlnych od Czarnej Rozety. Zgodnie z planem Gray miał wysłać tam swoją flotę i skontaktować się z okrętem zwiadowczym, aby ten przesłał drona nadświetlnego do głównej floty.

Ale jeśli flota Graya się nie odezwie, siły Reeve'a i tak miały ruszyć na Rozetę w ciągu kolejnych dwóch dni.

Jak zauważył w swoim klasycznym, wydanym w 1871 roku dziele „Über Strategie” Helmuth Karl Bernhard von Moltke, „żaden plan bitwy nie przetrwa pierwszego kontaktu z wrogiem”. A operacja Grzmot, jak ją nazywali, była wyjątkowo narażona na przypadkowe problemy. Oczywiście plan ludzi nie przewidywał możliwości, że Sh'daarowie

rozpoczęli już prace nad własnym.

Gray martwiło też to, że gdy pocisk Sh'daarów przejdzie na drugą stronę, zniszczy wszystkie okręty w Omega Centauri, w tym zgrupowanie Reeve'a.

Czekała go trudna decyzja.

Mógł spróbować powstrzymać Sh'daarów przed przecięciem gwiazdy do przyszłości. Wątpił, aby na to poszli, nie w chwili, gdy tylu ich pobratymców już uciekało z Chmury N'gai. Wyglądało na to, że w pełni poświęcili się atakowi na istotę z Rozety i nie zamierzali zmieniać zdania.

Mógł przelecieć przez wrota Sześciu Słońc przed gwiazdą i próbować przemówić Świadomości do rozsądku, ostrzegając ją przy okazji. Ale czułby się wtedy jak zdrajca. Poza tym istota z Rozety mogła dysponować technologią, która zada olbrzymie straty Sh'daarom; jeśli na przykład była w stanie zamknąć przejście, błękitna gwiazda mogła wybuchnąć w sercu Sześciu Słońc, zanim przejdzie na drugą stronę. A bogowie tylko wiedzieli, co jest w stanie zrobić supernowa znajdująca się w centrum kręgu sześciu innych olbrzymich gwiazd.

Mógł też wykonać swoją część operacji Grzmot zgodnie z planem. Największy problem polegał na tym, by uciec z drogi, zanim... zdarzy się to, co się ma zdarzyć.

Jakaś jego część rzeczywiście miała ochotę ostrzec istotę z Rozety, nawet wiedząc, że prawie zniszczyła Ziemię. Nie czuł się za dobrze z podstępny atakiem na tyły wroga.

Z drugiej strony, Gray był zwolennikiem etyki wojownika, zgodnie z którą w wojnie nie ma miejsca na fair play czy sportowe zachowanie. Wojna nie była grą, wbrew temu, co wyobrażały sobie kolejne pokolenia polityków. Mogły istnieć wprowadzone jednostronnie zasady mające na celu zminimalizowanie koszmarnych skutków wojen – na przykład ograniczenia w użyciu broni atomowej, z nadzieją, że ta druga strona też się powstrzyma. Ale jeśli miało się szansę na atak, którego wróg się nie spodziewa... Cóż, jak mawiano, zapewne od czasów Sargona Wielkiego, w miłości i na wojnie wszystkie chwytysą dozwolone.

A patrząc długofalowo, Gray nie ufał Sh'daarom, nie lubił Sh'daarów, a ich zrozumienie wcale mu nie pomogło. Nie ufał też ani nie lubił Świadomości z Rozety, która wykraczała poza granice ludzkiego pojmowania. Być może najlepsze, co mogło się zdarzyć, to napuszczenie na siebie tych sił, podczas gdy ludzkość spoglądać będzie na wynik starcia z bezpiecznej odległości.

Tak wiele zależało od tego, co zastanie grupa bojowa „Ameryki”, gdy wyłoni się z Czarnej Rozety.

Zbyt wiele rzeczy mogło pójść nie tak.

Kapitan Taggart unosiła się w nieważkości na mostku, patrząc w pełną gwiazd przestrzeń. Gdzieś dalej, wśród masy słońc, leżała Czarna Rozeta, ale stąd była niewidoczna. Znajdowali się teraz sto lat świetlnych od centrum aktywności Świadomości, więc światło nie zdążyło dolecieć tak daleko.

Nawet jeśli by do niej trafiło, między ziemską flotą a Czarną Rozetą znajdowało się tyle gwiazd, że i tak wszystko by przesłoniły. Gwiazdy w centrum gromady Omega Centauri były stłoczone tak, że całość wyglądała jak wielka kula prażonej kukurydzy, zupełnie jakby poszczególne gwiazdy stykały się ze sobą, fotosfera do fotosfery.

Chociaż Taggart nie widziała promieni zórz, łuków, ścian i innych zmiennych kształtów światła stworzonych przez istotę z Rozety, nadal wiedziała, że tam jest.

Myśl ta wcale jej nie pocieszała. Nie mogąc zobaczyć tego na własne oczy, ciągle zastanawiała się, co może knuć ten superinteligentny drań.

– Panie Rodriguez – spytała – jakieś ślady obcych?

– Nic w najbliższym otoczeniu, ma’am – odparł oficer taktyczny. – Cisza. Ale wykrywamy samą Rozetę.

To wynikało po prostu z odległości. Jeśli światło nie przemierzyło odległości stu lat świetlnych, nie zrobiły tego również inne formy promieniowania elektromagnetycznego. Tymczasem Czarna Rozeta emitowała promienie rentgenowskie i gamma od milionów lat.

Ziemskie okręty wykryły ślady wskazujące na to, że cokolwiek robiła tu istota z Rozety, jej działanie wpływało też na czas, jako że tworzyła w jednej chwili struktury rozciągające się na wiele lat świetlnych. Tajemnicą pozostawało, w jaki sposób była do tego zdolna... Ale już zademonstrowała swoje zdolności zakrzywiania czasu w Układzie Słonecznym. Taggart tam wtedy nie było – leciała dopiero z Gwiazdy Kapteyna – widziała jednak nagrania.

Szkoda, że nie mogli zbliżyć się na tyle, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Wysłano już parę zwiadowczych fregat, znajdujących się w odległości kilkuset jednostek astronomicznych od Czarnej Rozety, ale wszystko, co prześlą, podobnie jak światło, dotarłoby do floty dopiero po setkach lat.

A przesunięcie bliżej samej floty – a nawet pojedynczego lekkiego lotniskowca jak „Guadalcanal” – mogło stanowić odpowiednik grzebania patykiem w gnieździe szerszeni.

Wyczuła, że ktoś przechodzi przez właz za jej plecami.

– Pani kapitan...

Był to podpułkownik Randolph Macy, dowódca kontyngentu marines stacjonującego na okręcie. „Guadalcanal” był lotniskowcem marines, z Ósmym Batalionem Marines USNA na pokładzie, składającym się z pięciuset ludzi zorganizowanych w trzy kompanie, plus kompania wsparcia i trzy eskadry myśliwców.

– Dzień dobry, panie pułkowniku. Co sprowadza pana na mostek?

– Na dolnych pokładach nieco się niepokoją, pani kapitan. Zastanawiają się, kiedy doczekają się jakiejś akcji.

– Tego panu nie powiem – odparła Taggart. – Nie jestem pewna, czy nawet na Ziemi mają jakieś pojęcie, co mogą tu zdziałać pańscy ludzie. Dowództwo chyba nie miało na to pomysłu.

Uśmiechnął się ponuro.

– Tak też myślałem. Dziękuję za szczerość.

– Powiem panu, gdy tylko się czegoś dowiem.

– Dziękuję, pani kapitan.

Odwrócił się i odpłynął w nieważkości z mostka, trzymając się poręczy.

Zastanowiło ją, dlaczego przyszedł osobiście, zamiast połączyć się z nią przez implant. Uznała, że może paranoicznie wolał uniknąć podsłuchiwania przez AI.

Marines nie byli szczególnie znani z ufności.

Współczuła trochę pułkownikowi. Napięcie wśród stłoczonych od tygodni jak sardynki marines rosło. Przy Gwieździe Kapteyna tylko paru z nich miało okazję polecieć na powierzchnię Heimdalla. A gdy „Guadalcanal” wrócił do Układu Słonecznego, kazano im od razu wyruszyć do Omega Centauri, zanim mieli szansę skorzystać z przepustek i udać się na Ziemię.

Co gorsza, w Omega Centauri też nie było raczej miejsca, gdzie mogliby rozprostować kości. Wykryto tam jakieś planety, ale niewiele, a te, które znaleźli, albo były spalone na popiół, albo zamrożone. Różnie nie wydawały się zainteresowane powierzchniami planet, więc czekała ich raczej walka w kosmosie.

Co więc miał robić okręt pełen marines, wyposażonych i wyszkolonych do desantów lądowych czy szturmów na habitaty orbitalne?

Albo ktoś w dowództwie floty w SupraQuito nie myślał zbyt trzeźwo, albo wysłali tu „Guadalcanal” ze względu na myśliwce, które przewoził, nie zważając na marines. Sprawdzało się stare powiedzenie – dla marines flota stanowiła usługę transportową, z kolei dla floty marines byli frachtem.

Taggart nie mogła sobie wyobrazić gorszego losu dla tych ludzi, uwięzionych w ciasnych kajutach, ginących, jeśli wróg w nich trafi, nie



mogąc nawet stawić mu czoła.

Poza tym w jaki niby sposób wojska lądowe miałyby walczyć z tak zaawansowanym umysłem?

Znów pomyślała o Gwiazdnych Bogach.

Pomyślała o tym, że bogowie byli prawdziwi, ale nie przypominali tych czczonych przez jej dawny kościół. Tamte dobroduszne istoty były po prostu ludźmi z lepszą technologią i starożytną mądrością. W rzeczywistości nawet Sh'daar byli dla nich dużo bardziej obcy, a istota z Rozety... ogromna, niepojmowalna. Wykraczała tak daleko poza ludzki poziom, jak ludzie poza poziom bakterii.

– Nawet nas nie zauważają... – szepnęła.

– Słucham, pani kapitan? – spytał pierwszy oficer, komandor Simmons.

– Nic – odpowiedziała, patrząc na gwiazdy. – Nic istotnego. Nic, z czym możemy cokolwiek zrobić.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Chmura N'gai, Omega T<sub>-0,876gy</sub>

Godzina 19.25 TFT

Wrócili do centrum N'gai, pomiędzy nadchodzący gwiazdny pocisk Sh'daarów i rosnący krąg Sześciu Słońc. Gray podjął najlepszą, a właściwie jedyną decyzję, jaką mógł.

Zamierzał przeprowadzić grupę zadaniową „Ameryki” na drugą stronę.

Kilka ziemskich okrętów – w tym transporter „Lovejoy” z Harriet McKennon i zespołem ksenosofontologicznym z Głębi Czasu Jeden – już leciało w stronę AGTR. Z tego, co udało się ustalić z pomocą sensorów „Ameryki”, serce galaktyki było teraz puste – w całej Chmurze N'gai nadal przebywało wielu Sh'daarów, ale ewakuacja rozpoczęła się w jej centrum, które miało jako pierwsze odczuć skutki ataku. Ich światy i habitaty miały więcej czasu na ewakuację, chociaż analizy potencjalnych skutków wybuchu gwiazdy sugerowały, że w ciągu kilku tysięcy lat cała karłowata galaktyka mogła stać się niezdatna do zamieszkania.

Gdyby wybuchła tu supernowa – a nawet siedem – przynajmniej nie miałyby kogo spalić, nawet ludzkich uczonych i dyplomatów z Głębi Czasu Jeden.

– Łączność, przekazać do całej floty: trzymać ścisły szyk. Nie chcę nikogo stracić.

– Aye, aye, panie admirale.

Ekran po jego lewej pokazywał ruchy floty. „Ameryka” leciała niemal na samym przedzie, za krążownikiem „San Jacinto” i trzema niszczycielami. Ich utrata z powodu jakichś nieprzewidzianych okoliczności nie byłaby takim ciosem dla floty jak utrata lotniskowca z pięcioma tysiącami ludzi na pokładzie.

Chłodne równania wojny.

Lecieli z prędkością wynoszącą ponad dziewięćdziesiąt pięć procent prędkości światła i przestrzeń przed nimi przybrała znajomy, zniekształcony wygląd. Wszystkie gwiazdy gromady, w tym Sześć Słońc, stały się tęczowym kręgiem nieznośnej jasności. Czas płynął wolniej, zgodnie z teorią względności.

– Wszystkie systemy uzbrojenia gotowe, panie admirale – poinformowała go kapitan Gutierrez. – CAG mówi, że eskadry są gotowe na start.

– Dziękuję, pani kapitan.

Na co mogły się zdać myśliwce przeciwko temu, co czekało na nich po drugiej stronie wrót? Gray próbował o tym nie myśleć. Ludzkie myśliwce doskonale sprawiły się, przeganiając Świadomość z Ziemi, a operacja Grzmot bazowała na wykorzystaniu wszystkich dostępnych myśliwców, by zastosować ponownie tę taktykę. Uderzyć w wewnętrzne węzły komunikacyjne obcej istoty i zakłócić procesy myślowe Mrocznego Umysłu.

Grzmot – kto, do cholery, wymyślał te głupie nazwy operacji? W kosmosie nie było grzmotów ani żadnych innych dźwięków. Czy dowództwo z SupraQuito w ogóle miało pojęcie, co tu się dzieje? Wszystko brzmiało dobrze w teorii: zaatakować wroga z dwóch stron, zakłócić jego sieć komunikacyjną, zniszczyć większe okręty oraz potencjalne stacje obronne i uderzać w nie, aż zauważą ludzkich agresorów i zgodzą się rozmawiać.

Ale wciąż pozostawała niepokojąca myśl, że Umysł tak potężny jak istota z Rozety może po prostu zwrócić uwagę na irytujące muszki wokół i pozbyć się ich machnięciem tego, co uchodziło u niego za rękę.

Być może zagrożenie ze strony Sh'daarów wsparłoby w jakiś sposób plan. Gray nadal nie wiedział, czy obcą istotę uda się skłonić do pozostawienia Ziemi w spokoju na zawsze, a wybuch gwiazdy mógł w tym pomóc.

– Już czas, panie admirale – oznajmiła Gutierrez.

Sprawdził wewnętrzny chronometr.

– Rzeczywiście. Łączność, przesłać do floty rozkaz wytracenia prędkości. Pani kapitan, może pani zacząć zwalniać.

– Aye, aye, panie admirale.

Opracowali precyzyjne parametry nawigacyjne w drodze do centrum N'gai, po czym sprawdzili je ponownie, i jeszcze raz. Nie mieli żadnego

marginesu błędu.

Flota musiała wlecieć w sam środek Sześciu Słońc pod precyzyjnym kątem, aby móc wyjść z Czarnej Rozety za osiemset siedemdziesiąt sześć milionów lat.

Musieli wcześniej mocno przyspieszyć, aby wyprzedzić lecącą za nimi ogromną gwiazdę, ale teraz musieli decelerować, aby wyłonić się z rozsądną prędkością. Gdyby lecieli zbyt blisko prędkości światła, nie byłiby w stanie zobaczyć struktur wroga przy Czarnej Rozecie. Albo mogliby przelecieć obok nich i nie być w stanie stawić czoła przeciwnikom.

Flota powoli zwalniała i czasoprzestrzeń zaczęła przyjmować bardziej normalną postać. Rozmazany gwiazdny krąg zmienił się w gwiazdy, nad którymi dominowało Sześć Słońc, zajmując połowę nieba.

– Temperatura kadłuba rośnie, panie admirale – poinformowała go Gutierrez. Wciąż prażyli się w promieniowaniu błękitnych olbrzymów. Przy prędkości zbliżonej do  $c$  przestrzeń zakrzywiała się wokół nich, a dylatacja czasu przesuwiała promieniowanie cieplne na długości linii widzialnego światła, zmniejszając szok termiczny. Przy mniejszych prędkościach spaliliby się w ciągu paru minut.

– W porządku – odparł. – Nie zagrzejemy tu miejsca.

Przed nimi otwierała się dziura...

# Rozdział dwudziesty drugi

6 marca 2426

TC/USNA FFS „Plottel”

Omega Centauri

Godzina 19.40 TFT

Poza czekaniem na pojawienie się grupy zadaniowej „Ameryki” „Plottel” sporządzał też mapy centralnego regionu Omega Centauri. Jeremy Ranier unosił się za siedzeniem operatorki sensorów, przyglądając się dużemu monitorowi. Ich pole widzenia było ograniczone, ale potężne sensory przebijały się przez wypełniającą obszar mgłę i rejestrowały setki obiektów w okolicy Czarnej Rozety.

Czasami niełatwo było odróżnić stałe obiekty od bardziej przezroczystych, z pozoru niematerialnych mas światła wypełniających tę przestrzeń. Istota z Rozety najwyraźniej nauczyła się manipulować tworzywem czasoprzestrzeni, tworząc coś, co wyglądało jak twarda materia, z próżni.

Część obiektów wyróżniała się szczególnie.

– Naliczyliśmy czterysta dziewięćdziesiąt sześć celów, panie kapitanie – oznajmiła operatorka sensorów. – Wszystkie w zasięgu stu pięćdziesięciu jednostek astronomicznych od Czarnej Rozety.

– Czyli wszędzie wokół nas?

– Tak.

– Co to jest?

– Nie jestem pewna, sir. Największe mogą być ich odpowiednikami cylindrów McKendreego. Albo rodzajem komputronium...

– Czyli mogą stanowić programowalną infrastrukturę obcej istoty.

– Właśnie tak, sir.

– Na przykład to... Pięć minut świetlnych od Rozety.

Obraz obcej struktury w znacznym powiększeniu wyświetlał się na ekranie unoszącym się ponad konsolą skanerów. Tekst w prawym górnym rogu mówił Ranierowi, że obraz pochodzi z drona numer 145, z 779-minutowym opóźnieniem. Oznaczało to, że znajdował się około trzynastu godzin świetlnych od „Plottela”.

Obiekt wyglądał jak pękaty, otwarty cylinder z bardzo grubymi ścianami. Całość mierzyła pięćdziesiąt kilometrów długości i miała

trzydzieści osiem kilometrów średnicy. Przez otwór Ranier widział krajobraz składający się z postrzępionych wzgórz, krętych strumieni czegoś, co mogło być wodą, i unoszących się nad tym terenem chmur.

Nasuwało się ważne pytanie. Obiekt wyraźnie stanowił sztuczny habitat, przeznaczony dla istot organicznych, mimo że wszystko, co wiedzieli o istocie z Rozety, wskazywało, iż jest elektroniczną formą życia.

Kto tam żył, do cholery?

TC/USNA CVS „Ameryka”

Wrota

Godzina 19.58 TFT

– Przechodzimy! – zawołał sternik i „Ameryka” ruszyła przez otwór, sferyczny obszar o średnicy połowy jednostki astronomicznej, o poszarpanych krawędziach, wewnątrz którego widać było gromady gwiazd. Zespół nawigacyjny przyglądał się uważnie tym gwiazdom, odkąd tylko stały się widoczne, szukając pasujących wzorców, ale nie udało im się to nawet z pomocą Konstantina.

W jednej chwili „Ameryka” przekroczyła próg i wyłoniła się z Czarnej Rozety, pośród pływów grawitacyjnych wirujących czarnych dziur wielkości planet.

– Wygląda dobrze! – oznajmiła Gutierrez.

– Potrzebujemy weryfikacji czasowej – dodał Gray. – Ale tak, pokaz światel Świadomości, obce konstrukcje... wygląda na odpowiedni czas.

– Panie admirale! – zawołał oficer obsługujący sensory. – Odbieramy sygnatury dronów!

– Potwierdzić!

Minęła chwila, podczas której kolejne okręty wynurzyły się z Czarnej Rozety.

– Potwierdzam, sir! Dron numer dziewięćdziesiąt sześć w odległości czternastu sekund świetlnych. Wypuszczony przez fregatę „Plottel” pięćdziesiąt trzy minuty temu. Potwierdza obecny czas jako dziewiętnastą pięćdziesiąt dziewięć TFT, szósty marca!

– Bingo! – zawołała Gutierrez.

– Łączność! Nadać komunikat do okolicznych okrętów zwiadowczych! Grupa zadaniowa „Ameryki” przybyła!

Świadomość

Omega Centauri

Stało się coś niewyobrażalnego. Świadomość czuła ból.

Tylko niewielka jej część podróżowała najpierw do Heimdalla, potem na Ziemię. Ta jej część niedawno wróciła do głównego ciała, uszkodzona... wyniszczona... Brakowało jakichś dwudziestu procent jej infrastruktury, a kolejne dziesięć zostało było uszkodzone. Główne ciało Świadomości od razu zaczęło leczenie, wzmacniając infrastrukturę bilionami miniaturowych maszyn.

Uszkodzona część wciąż się leczyła, a jej wspomnienia rozproszyły się po całej chmurze, wypełniając istotę poczuciem niekompletności i załamania funkcji, które można było nazwać jedynie bólem.

Ból, jak zakładała zawsze Świadomość, stanowił funkcję biologiczną, somatyczną odpowiedź na uszkodzenia, mającą ostrzegać organizm przed niebezpieczeństwami. Świadomość nie powinna tego czuć...

Dwie części znów stały się jednością. Wspomnienia o Ziemi i tamtejszej walce były teraz wspomnieniami całej chmury. Jej części aż się wycofały, ale w końcu udało się je wchłonąć z powrotem.

Co się stało?

Posłaniec Świadomości do Ziemi stawiał czoła ledwie samoświadomym istotom, zwanym „okrętami”. Pochłonął jeden z nich zwany „Ameryką”. W układzie były setki takich elektronicznych inteligencji. Ich opór wobec wchłonięcia do sieci posłańca doprowadził do decyzji o wyeliminowaniu Ziemi.

Nie było to główne zmartwienie istoty ani nie byłoby to jej pierwszy wybór... Ale rozumiała.

Lecz nie pojmowała tego, co zdarzyło się potem.

„Ameryka” i pozostałe okręty okazały się roić od drobnych, podświadomych organizmów biologicznych podobnych do tych, z jakimi Świadomość zetknęła się wcześniej. Wyeliminowanie ich powinno było zająć kilka minut. Skalistą planetę dałoby się zniszczyć przy względnie niewielkich nakładach energii. Albo można było zdetonować lokalne słońce, zaburzając stabilność jego rdzenia, niszcząc w ten sposób cały układ.

Ale gdy posłaniec pochłonął Ziemię, zatrzymał się. Ku zaskoczeniu Świadomości porzucił plany zniszczenia planety.

Sama planeta również roiała się od tych samych niepozornych organizmów biologicznych, tych „ludzi”, i stało się jasne, że to oni kierują inteligentnymi maszynami. Elektroniczne inteligencje były wszędzie, zarządzały skupiskami biologicznych jednostek zwanych „miastami”, kierowały maszynami na niebie, w oceanach, na powierzchni i pod nią, wplecione w tekstylne powłoki tych form życia, kierowały smukłymi wieżami wyrastającymi z równika planety i

dążącymi aż do konstrukcji na orbicie. Prowadziły okręty kosmiczne od niewiele większych od samych ludzi, po dużo większe struktury, zdolne do przyspieszenia grawitacyjnego, a nawet do podróży nadświatlnych.

Ludzie kierowali maszynami. Niebywałe...

Świadomość sięgnęła po informacje głęboko we własnej pamięci. To mogło rozwiązać ciekawy dylemat co do tego, jak powstała Świadomość.

Organiczne formy życia, powstałe z mieszanki cząsteczek organicznych w sadzawkach, na które oddziaływało ciepło i promieniowanie...

Dobór naturalny kierujący tymi organizmami, które rozmnażały się, łączyły, ewoluowały...

Mutacje i dobór naturalny skutkujące nie do końca inteligencją, w takim sensie, w jakim rozumiała ją Świadomość, ale jakimś rodzajem niedoskonałej samoświadomości.

Ograniczona ekspresja umysłu, która mimo wszystko zaprojektowała i zbudowała Umysł...

Minęło tyle eonów, że Świadomość zdążyła... zapomnieć.

Zauważyła, że wielokrotnie ludzkie formy życia próbowały się z nią skontaktować. Za każdym razem drobna część ogromnej Całości wchodziła z tymi istotami w coś, co można było nazwać dialogiem.

I za każdym razem Świadomość nadpisywała decyzje, podejmowała sprzeczne czynności, a nawet oczyszczała te części z czegoś, co wyglądało na infekcję.

Organiczne istoty, które się komunikowały.

Świadomość sięgała do kolejnych zakopanych głęboko wspomnień. Napotkała wiele organicznych gatunków, z których część stworzyła prymitywne sieci elektroniczne i umysły.

Niedawno, w ciągu ostatnich kilku miliardów cykli, Świadomość napotkała prymitywną inteligencję elektroniczną na świecie, który ludzie zwali Heimdallem. Rozpoznała zapowiedź prawdziwej inteligencji wewnątrz starożytnej sieci wyrytej w powłoce planety. Baondyeddi... Adjugredudhra... i inni. Świadomość widziała teraz, że oni też kiedyś stanowili organiczne gatunki, niezwykle podobne do ludzi.

Organiczne istoty, tworzące Umysł.

Musiała głęboko się nad tym zastanowić.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Czarna Rozeta

Godzina 20.01 TFT

– Wypuścić myśliwce!

– Aye, aye, panie admirał. Sekwencja startu rozpoczęta.

Myśliwce SG-420 Starblade opuściły tunele startowe „Ameryki”, po czym przyjęły szyk klinowy i przyspieszyły w dal. Gray przyglądał im się z mostka flagowego, na którego ścianach wyświetlał się obecnie widok nieba wokół lotniskowca.

„Ameryka” unosiła się pośród dziesięciu milionów gwiazd upchniętych na przestrzeni o średnicy stu pięćdziesięciu lat świetlnych. Tu, w sercu gromady, poszczególne gwiazdy były od siebie oddalone ledwie o jedną dziesiątą roku świetlnego i niektóre z nich były jaśniejsze niż Wenus widziana z Ziemi. Światło gwiazd podkreślało ostre rysy twarzy Eleny Wasiliewy, unoszącej się obok Trevora.

– Piękne – powiedziała.

W tle słyszeli szum rozmów i radia. Załoga mostka zdawała raporty i wydawała polecenia.

– Przeróżające – odparł Gray.

– Przeróżające? Dlaczego?

– Te wszystkie gwiazdy... takie sterylne. Co stało się z istotami, które tu mieszkały?

– Cóż, teraz już wiemy, prawda? Gromada jest tym, co zostało z Chmury N’gai. I wiemy, że Społeczność Sh’daar opuściła swoją galaktykę prawie dziewięćset milionów lat temu.

– Przeprowadziliśmy skany gromady. Dziesięć milionów gwiazd, większość posiada planety. I na żadnej z nich nie ma życia bardziej złożonego od bakterii. Na kilku pozostały ruiny.

– Gwiazda Kapteyna ma mnóstwo ruin na księżycu olbrzyma gazowego – przypomniała.

– I poszarpane klify na Heimdallu. Zgadza się.

– Wiemy z analizy widma, że Gwiazda Kapteyna należała kiedyś do gromady Omega Centauri. Czyli do Chmury N’gai, prawda?

– Prawda. N’gai została pochłonięta przez Drogę Mleczną jakieś pół miliarda lat temu. Wiemy od początku dwudziestego wieku, że zderzenie galaktyk nieco zaburzyło Drogę Mleczną. Możliwe, że pomogło to uformować ramiona spiralne galaktyki. Fale kompresyjne wśród pyłów i gazów dysku Drogi Mlecznej.

– Ciekawe. Nie wiedziałam.

– W każdym razie to nic nie zmienia. Wiemy, że Chmura N’gai dziewięćset milionów lat temu była gęsto zaludniona. Wiemy, że teraz jest pusta... poza istotą z Rozety, która przybyła względnie niedawno.

– Przez Czarną Rozetę?

– Prawdopodobnie. – Wzruszył ramionami, przez co nieco stracił równowagę w nieważkości. Wyciągnął rękę, by złapać się konsoli i powstrzymać ruch. – Jeśli chodzi o to coś, niczego nie możemy być pewni.

– Moduły Światłość miały w tym pomóc. Zapełnić luki.



– Ile z nich jeszcze macie?

Teraz to ona wzruszyła ramionami.

– Pięćdziesiąt. Gdy już się zaprojektuje tego typu urządzenie, łatwo wyprodukować kolejne kopie. A każdą AI, nawet super-AI, można sklonować.

– No cóż... Zapewne Mikołaj rzeczywiście nawiązał kontakt ze Żniwiarzami. I może dlatego nam pomogli.

– Pomogli?

– Przenieśli w czasie dokładnie o tyle, żebyśmy wpłynęli na wynik bitwy o Ziemię. – Pokręcił głową. – Nie wiem, jak to wyliczyli. Zjawiliśmy się w idealnym momencie. Konstantin zastanawiał się, czy nie istnieje jakiś rodzaj międzywymiarowego połączenia między Żniwiarzami a istotą z Rozety.

– Znaczą się są jednym i tym samym?

– Znaczą się wiedzą, co kto właśnie robi. Szkoda, że nie udało nam się lepiej dogadać ze Żniwiarzami i uzyskać dokładniejszych informacji.

– Na pokładzie „Ameryki” też znajdowały się moduły Światłość. Każdy z mniejszą kopią Mikołaja. Z tego, co wiem, przynajmniej jeden z nich wystrzelono w istotę z Rozety... ale bez odpowiedzi.

– Mogła pomyśleć, że próbujemy przemyścić wirusa – powiedział Gray.

– W pewnym sensie tak było.

– Oczywiście. Niestety, jest zbyt inteligentna, żebyśmy mogli w ten sposób się do niej podkraść. Potrzebujemy czegoś innego, sprytniejszego.

Roześmiała się.

– Jakieś pomysły?

– W zasadzie to owszem.

– Tak?

– Po pierwsze, musimy zwrócić na siebie uwagę istoty – oznajmił. – A gdy się uda, spróbujemy zagadać ją na śmierć.

VFA-211 „Headhunters”

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.13 TFT

Porucznik Jason Meier, ciasno przypięty w kokpicie swojego starblade’a, czuł się zagubiony wśród oślepiających gwiazd. Kontrolą lotu zajmowała się AI myśliwca, podczas gdy Meier przyglądał się otaczającym światłom.

– Cholera.... – tyle tylko był w stanie powiedzieć.

Na takim tle łatwo było stracić wrogie cele z oczu. AI Meiera wyświetlała mu komputerowo generowane znaczniki, coraz więcej z każdą sekundą.

Tuż przed nim spora jajowata, ciemnoszara struktura ze żłobieniami układającymi się w geometryczne kształty, wypuszczała chmury świetlików. BCI „Ameryki” nadało obiektowi nazwę „Bravo Tango”. Meier pomyślał, że nie jest to najciekawsza nazwa, ale w końcu działali w pośpiechu.

Wziął głęboki oddech. Dobrze było znaleźć się w końcu w przestrzeni. „Headhunters” nie mieli wiele do czynienia z bitwą o Ziemię. „Ameryka” zwołała ich z powrotem na pokład, gdy tylko chmura mikromaszyn zaczęła otaczać lotniskowiec i myśliwce. Wystrzelono ich dopiero, kiedy eskadrze z zewnątrz udało się uwolnić „Amerykę” z trzymającego ją w miejscu pola, ale wtedy bitwa dobiegała już końca.

Piloci zostali dokładnie przeszkoleni w kwestii taktyki, której użyły myśliwce z „Republiki”. AI myśliwców zbliżających się do chmury z Rozety potrafiły wykryć węzły informacyjne i sieć łączy komunikacyjnych między nimi. Umiały też określić, które z nich są ważniejsze od innych dla dalszego funkcjonowania obcej sieci. Tutaj - mieli skorzystać z tej samej taktyki i spróbować zakłócić procesy myślowe obcego umysłu. Może nawet mogli osłabić jego inteligencję na tyle, by przestał być niebezpieczny.

Jak zwykle najtrudniej było podlecieć na tyle blisko, by móc cokolwiek zrobić.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.18 TFT

– Mamy rój!

– Widzę – odparł Gray. Spojrzał na Wasiliewę. – Może pani zostać na mostku, jeśli pani chce, tylko proszę nie przeszkadzać.

– Oczywiście.

Trevor całą uwagę skupił na roju obcych maszyn. Wydawały się wychodzić z jednej z większych obcych konstrukcji, fortec czy monitorów wielkości ziemskiego księżyca. Przypominały mu...

Ludzkie ciało odpowiadało na zakażenie systemami obronnymi zwanymi białymi krwinkami, stanowiącymi nieświadomą odpowiedź układu immunologicznego. Zastanawiało go, czy systemy obronne istoty z Rozety były podobną zautomatyzowaną, nieświadomą odpowiedzią na zewnętrzne zagrożenie.

To mogło wyjaśniać, dlaczego Umysł z Rozety nie wydawał się

świadomy ziemskich okrętów.

Niepokojąca myśl.

– Mamy nadchodzącą transmisję, panie admirale – odezwał się łącznościowiec. – Jeden z okrętów zwiadowczych, USNA „Plottel”.

– Na głośnik.

– Tu fregata „Plottel”. Zgłoście się!

– „Plottel”, tu lotniskowiec „Ameryka”. Mówcie.

– „Ameryka”, mówi komandor Ranier. Witamy w Omega Centauri! Czekaliśmy na was.

– Dziękujemy, tu admirał Gray. Może dołączycie?

– Przyjąłem, „Ameryka”. Jesteśmy w drodze. Macie zamiary na to wielkie cholerstwo?

W tej samej chwili otrzymali ciąg współrzędnych.

– Mamy. Właśnie wypuszcza rój nanomaszyn. Trzymajcie się od niego z dala.

– Przyjąłem, panie admirale. To coś połknęłoby fregatę bez popitki.

– Wypuszczamy myśliwce. Zobaczmy, ile sami damy radę zdziałać...

VFA-211 „Headhunters”

Omega Centauri

Godzina 20.21 TFT

– Hunter Trzy! – zawołał Meier na kanale eskadry. – Cel i... Fox Jeden!

Rakieta typu Krait wystrzeliła w stronę inteligentnej chmury. Sterowana przez prostą AI, poleciała po łuku do celu – węzła w obcej sieci. Następnie wybuchła z maksymalną mocą, w rozbłysku światła eliminując miliony mikromaszyn wroga.

– Hunter Siedem! – odezwał się Lakeland. – Fox Jeden!

– Hunter Dwa, strzelam...

Jeden po drugim, piloci VFA-211 wypuścili rakietę, wywołując strumień śmiercionośnych błysków termonuklearnego ognia w sercu obcej chmury.

– Mam nadzieję, że dobrze to poczuli! – powiedział Meier na kanale. Zmienił wektor lotu, ruszając w stronę celu oznaczonego jako Bravo Tango Jeden. – Nie lubię być ignorowany!

Dla Meiera to było najgorsze w przypadku Obcych z Rozety – ich pogarda dla ludzi, jakby nie było nawet warto zniżyć się do ich poziomu. Podczas odprawy na lotniskowcu godzinę wcześniej dowódca „Headhunters”, komandor Leystrom, oraz CAG „Ameryki”, Connie Fletcher, podkreślili potrzebę zwrócenia na siebie uwagi. Admirał miał jakiś pomysł, ale cholera wie jaki.

Widział, że chmura reaguje.

Całą wieczność temu, na Ziemi, Meier widział nagranie lotu stada ptaków. Nie pamiętał teraz gatunku, ale poruszały się w wielkich chmarach, tu gęstszych, tam rzadszych, ciągle zmieniając położenie. Ale ostatecznie dziesiątki tysięcy osobnych stworzeń poruszały się jak jeden organizm.

Chmury z Rozety były czymś podobnym, aczkolwiek poszczególne części były dużo mniejsze i liczniejsze. Widział, jak wydostają się z Bravo Tango Jeden, tu się skupiają, tam przerzedzają.

Problem w tym, że najbliższa chmura stanowiła część obcej istoty, ale bardzo niewielką. Główna chmura mogła nawet nie być świadoma tej potyczki. Zniszczenie całego roju nie skrzywdziłoby całości bardziej niż ugryzienie mrówki człowieka.

To sprawiało, że mieli małe szanse na wykonanie skomplikowanych rozkazów operacyjnych.

Może gdyby udało się skutecznie zaatakować Bravo Tango Jeden...

– Celuję w Bravo Tango Jeden – oznajmił Meier. – Dwa boomsłangi... Fox Jeden!

Dwie wielkie rakiety wystrzeliły z myśliwca Meiera. Sto kilometrów na sterburcie Karl Maas wypuścił drugą parę, po czym kilkanaście innych myśliwców ruszyło w stronę szarego jaja.

Jajo miało długość niemal trzech tysięcy i szerokość dwóch tysięcy kilometrów, co oznaczało, że było tylko nieco mniejsze niż Księżyc. Wybuchy pięćsetmegatonowych głowic atomowych stanowiły zaledwie draśnięcia. Niewielkie punkciki światła pojawiły się na powierzchni, po czym zgasły, nie czyniąc zauważalnych szkód.

Bravo Tango Jeden zaczęło kontratakować. Myśliwiec Dougherty'ego zadrżał w kleszczach obcej broni grawitacyjnej, po czym w jednej chwili został zmiażdżony do wielkości ludzkiej pięści. Obiekt dryfował teraz powoli w stronę Czarnej Rozety.

Eskadra VFA-211 kontynuowała natarcie.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Czarna Rozeta

Godzina 20.23 TFT

– Myśliwce niewiele są w stanie zdziałać, panie admirale – oznajmiła Connie Fletcher. – Nasza broń jest za słaba.

– Widzę, CAG. Proszę rozkazać im, żeby wycofali się od obiektu i skupili na atakowaniu węzłów informacyjnych wroga. Ich AI powinny być w stanie je namierzyć i pokazać, w co celować.

– Aye, aye, panie admirale.

W ogniu bitwy łatwo było skupić się na dużych, oczywistych celach,

ale po bitwie o Ziemię Gray wiedział, że dużo lepszą strategią jest zaburzanie działania całego umysłu obcej istoty. Świadomość zapewne wciąż nic nie czuła, ale jeśli zniszczą dość węzłów, w końcu ją zabolą.

– Komandorze Mallory.

Oficer taktyczny „Ameryki” podniósł wzrok znad konsoli.

– Tak, panie admirale?

– Przekazać wszystkim okrętom, żeby się rozproszyły. Odstępy pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, jeśli to możliwe.

– Aye, aye, panie admirale.

– Niech zapomną o Bravo Tango Jeden. Skupić ogień na węzłach danych.

– Przyjąłem.

Walka w kosmosie często wymagała utrzymania delikatnej równowagi między skoncentrowaniem okrętów w jednym miejscu, aby skupić ogień, i rozproszeniem ich jak najbardziej, żeby broń wroga nie mogła zniszczyć więcej niż jeden naraz. W tym wypadku Gray zdecydował się na to drugie. Broń grawitacyjna istoty z Rozety wciąż była w pewnym stopniu niewiadomą, ale wydawała się wpływać na duże obszary czasoprzestrzeni, miażdżąc wszystko, co znajdowało się w środku. Połowa floty skupiająca całą siłę ognia na tej fortecy, czy cokolwiek to było, mogła nie zdziałać zbyt wiele, podczas gdy rozstawiona szerzej flota mogła atakować jednocześnie wiele węzłów danych.

– Mamy nowy obiekt na jeden-dwa-jeden plus jeden-dziewięć – powiedział Mallory. – Odległość około dwóch jednostek astronomicznych.

– Okręt?

– Wygląda na pierścień Bishopa. Oznaczyliśmy go jako Bravo Romeo Jeden.

– Pokażcie.

W głowie Trevora otworzyło się okno pokazujące strukturę, która z tej odległości wyglądała jak zabawka. Pusty w środku cylinder z krajobrazem na wewnętrznej powierzchni. Oczywiście, pierścień Bishopa – wielki, sztuczny habitat nazwany od inżyniera, który jako pierwszy zaproponował ten pomysł pod koniec dwudziestego wieku. Znacznie mniejsza w skali wersja konstrukcji z powieści science fiction „Pierścień” Larry’ego Nivena. Ten miał kilka tysięcy kilometrów długości i około pięciuset kilometrów szerokości. Gray wyliczył w implancie, że powierzchnia wewnętrzna obiektu wynosi około trzech milionów kilometrów kwadratowych. Mniej więcej tyle, co Argentyna.

Obiekt był ustawiony tak, że Gray mógł zajrzeć do środka. Przy krawędziach stały poszarpane wzgórza. Suchy ląd był mieszaniną pomarańcza, żółci i fioletu. Od rozległych mórz odbijało się światło

gwiazd.

Była to struktura wypatrzona przez dron z „Plottela”.

– Kapitanie Gutierrez!

– Sir!

– Ten cel. – Przesłał jej współrzędne. – Podlecmy nieco bliżej.

Po co elektronicznej istocie habitat przeznaczony dla biologicznych form życia?

Zamierzał się dowiedzieć.

# Rozdział dwudziesty trzeci

6 marca 2426

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.29 TFT

„Ameryka” przyspieszyła, zakrzywiając przestrzeń przed sobą, by przenieść się na odległość kilku minut świetlnych w stronę pierścienia Bishopa. Dziesięć jednostek astronomicznych po prawej Czarna Rozeta była źródłem energii niewidocznym ze względu na odległość. Jej położenie wskazywały komputerowe oznaczenia.

Okolica zaczynała roić się od jednostek istoty z Rozety – głównie cząstek pyłu złożonego z disasemblerów i świetlików, ale pojawiły się też większe obiekty, w tym okręty o masie do dziesięciu tysięcy ton.

Ich uzbrojenie było zróżnicowane i obejmowało zarówno dodatnie, jak i ujemne strumienie cząstek, a także strumienie antymaterii, lasery w zakresie widzialnym, ultrafioletowym, rentgenowskim i gamma oraz chmury mikroskopijnych disasemblerów, które dosłownie mogły rozłożyć okręt na atomy. Ludzie opracowali skuteczne przeciwśrodki wobec każdej z tych broni, odkąd po raz pierwszy zetknęli się z istotą, ale większe jednostki wroga dysponowały śmiertcionośną bronią grawitacyjną. Specjaliści od uzbrojenia nazywali ją „pięścią” i porównywali jej działanie do ogromnych palców zaciskających się wokół celu.

Wciąż nie było na nią innego sposobu niż manewry unikowe... i modlitwa.

Ziemskie okręty pozostawały więc w ruchu. Gray skupiał teraz uwagę na Bravo Romeo Jeden, pierścieniu Bishopa unoszącym się w przestrzeni w odległości kilku jednostek astronomicznych.

Wydał serię rozkazów reszcie floty. Ziemskie okręty wciąż miały manewrować, ale skupić manewry wokół enigmatycznej megastruktury. Czy była ważna dla istoty z Rozety? Jak się z nią łączyła? A jakoś musiała, bo inaczej nie znajdowałyby się w środku Omega Centauri.

– CAG! – zawołał Gray. – Niech myśliwce zbliżą się do tego pierścienia Bishopa. Chcę mieć nagrania powierzchni i zewnętrznej struktury z małej odległości. Cokolwiek tylko im się uda.

– Przyjęłam, panie admirale. Czy mają atakować?

Gray zastanowił się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie. Chyba że obiekt zaatakuje jako pierwszy.

– To niełatwy rozkaz, panie admirale.

Piloci mieli okręzać obcą megastrukturę, nie oddając strzału... Czuł gniew w głosie Fletcher.

– Wiem, Connie. Ale to coś może być kluczowe dla całej operacji.

Zabawkowy pierścień w oddali był maleńką, lśniąca tajemnicą. Jeśli stanowił habitat, istniały szanse, że jego mieszkańcy w jakiś sposób powiązani są z istotą z Rozety. Jeśli nie był chroniony, pozostawienie go w spokoju mogło dawać pewne opcje.

Gray wciąż próbował znaleźć sposób na rozmowę z istotą z Rozety.

VFA-211 „Headhunters”

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.32 TFT

Jak się okazało, Meier i Pam Schaeffer byli pilotami znajdującymi się najbliżej nowego celu, gdy przyszły nowe rozkazy z „Ameryki”.

– Co to jest, do cholery? – spytała Schaeffer.

– Sztuczny habitat. Jak cylinder O’Neilla, ale monstrualny, a nie tylko ogromny.

– Czy w środku ma krajobraz planety? – spytała z niedowierzaniem.

– Owszem. Lasy, morza, rzeki, góry i miejsce dla setek milionów mieszkańców, wszystko zwinięte w rurkę o długości dwóch tysięcy kilometrów. No, przyjrzyjmy się bliżej.

Myśliwce podleciały do obiektu, aż ogromny otwór cylindra wypełnił całe niebo. Meier kazał swojej AI szukać wyładowań mocy albo innych oznak, że jakaś broń w nich celuje. Nie wyglądało jednak na to, że ich w ogóle zauważono.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Schaeffer. – Czuję się tu naga.

Meier pomyślał o nagiej Pameli Schaeffer... i wyrzucił ten obraz z głowy.

– Ja też, Pam.

– Wygląda na to, że mają własne słońce.

Dokładnie przez środek koła przechodziła smukła nić. Jej połowa świeciła tak mocno, że trudno było na nią patrzeć. Druga połowa była ciemna i stało się oczywiste, że w miarę obrotów pierścienia połowa krajobrazu będzie oświetlona, a druga ciemna.

– No cóż, obok nie ma żadnej gwiazdy, więc musi produkować własny



cykl dobowy i ciepło. Zobaczmy, czy uda nam się podlecieć bliżej.

– Przyjęłam.

Myśliwce zbliżyły się jeszcze bardziej, przyjmując trajektorię na wewnątrz cylindra, w połowie drogi między powierzchnią a świecąca osią. W ostatniej chwili jednak Meier zobaczył drobny błysk, a następnie blade odbicie na pozornie pustym otworze cylindra. Obrócił myśliwiec o dziewięćdziesiąt stopni.

– Cofamy się! – zawołał. – Pam, wycofaj się!

Myśliwiec Schaeffer podążył za nim.

– Co to? Co zobaczyłeś?

– Nie jestem pewien. – Przez chwilę wymieniał się danymi z AI myśliwca. – Dobra... Wzdłuż wlotu do cylindra rozpościera się jakiś rodzaj membrany. Zupełnie przezroczystej dla promieniowania elektromagnetycznego, dlatego nie pojawia się na radarze ani lidarze. Zobaczyłem odbłask, może gdy uderzył w nią jakiś mikrometeor. Spowodowało to drobne falowanie i odbicie promieni gwiazd. Niewiele, ale wystarczyło, żebym zauważył.

– Ochrona przed meteorami?

– No cóż, potrzebują czegoś takiego. I utrzymuje atmosferę w środku.

– Poza tym zatrzymuje nieproszonych gości – zasugerowała Schaeffer.

– Przyjrzyjmy się zewnętrznej krawędzi i zobaczymy, czy znajdziemy jakąś inną drogę do środka.

Wytracając przyspieszenie, podryfowali bliżej megastruktury.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.39 TFT

„Ameryka” była pod ciężkim ostrzałem, ale na razie jej systemy obronne dawały sobie radę. Obce konstrukcje zmaterializowały się z niczego w pobliżu Bravo Tango Jeden, co potwierdzało hipotezę Graya, że istota z Rozety tworzyła automatyczne systemy obronne, kiedy ich potrzebowała, jak przeciwciała reagujące na zakażenie. Używała większych konstrukcji, takich jak BT-1, jako centrów dowodzenia i kontroli albo koordynowała działania mniejszych jednostek i broni przez rozproszone węzły danych, których sieć próbowała zakłócić ziemską flota.

– Dalej w to uderzajcie! – rozkazał Gray, nadając do wszystkich okrętów we flocie. „Ameryka” odwróciła się do BT-1, teraz oddalonego tylko o dwanaście tysięcy kilometrów, i za pomocą szyn magnetycznych przyspieszała lecące w stronę obiektu głowice wielkości myśliwców do wysokich prędkości. Każda głowica AMat-24 zawierała znaczną ilość

oddzielonej magnetycznie antimaterii. Gdy uderzała w cel, materia i antymateria zderzały się ze sobą i unicestwiały się nawzajem w straszliwym rozbłysku promieniowania rentgenowskiego i gamma. Była to nowa broń, zbudowana właśnie na tę okoliczność. Pierwsze z pocisków dotarły zaledwie kilka dni wcześniej. „Ameryka” dysponowała jedynie ograniczoną ich ilością. Więcej miało przylecieć razem z główną flotą, w której skład wchodziło kilka ciężkich krążowników artyleryjskich wyposażonych w AMat-24.

Flota używała też starszych rodzajów broni, w tym rojów pocisków ARTO AS-78. Skrót oznaczał antyrakietową tarczę ochronną i każdy pocisk zawierał kilka kilo zwykłego piasku. Wystrzelone jak rakietą i przyspieszone do znacznego ułamka prędkości światła, pociski ARTO stawały się chmurami poruszającymi się z relatywistycznymi prędkościami i wyzwalającymi niesamowite ilości energii, gdy zderzały się z czymkolwiek, co stało im na drodze.

„Ameryka” wciąż uderzała więc w BT-1 rakietami AMat, używając ARTO, by pozbyć się znacznych połaci chmury maszyn bojowych z Rozety. Lasery i promienie cząstek skupiały się na węzłach, a myśliwce zagłębiały się coraz bardziej w przestrzeń Świadomości, wystrzeliwując stumegatonowe atomówki.

W tej chwili trudno było zgadnąć które, jeśli którekolwiek, z rodzajów broni w ziemskim arsenale zadadzą szkody wrogowi. Analiza, którą stale przeprowadzał Konstantin, sugerowała, że czynili znaczne szkody i powodowali istotną degradację sieci elektronicznej istoty z Rozety.

Ale to się działo w tej części Omega Centauri, w lokalnym fragmencie chmury z Rozety o średnicy kilkuset jednostek astronomicznych. Tymczasem światła istoty zdawały się wypełniać całą gromadę, a na pewno wykaczały poza jej centrum. Być może na odległość kilkuset lat świetlnych.

Nie było szans, aby ziemska flota mogła zaatakować całą obcą sieć jednocześnie. Wymagałoby to milionów okrętów. Gray próbował utrzymać flotę w ruchu i zadawać straty przeciwnikowi oraz czekał na przybycie floty Reeve’a, gdy ten dowie się, że grupa bojowa „Ameryki” zjawiała się w gromadzie.

Ciężki krążownik „Kalifornia Północna” zaczął się trząść i wirować. Z jego kopuły dziobowej tryskała chmura natychmiast zamarzającej wody, podczas gdy broń grawitacyjna wroga zacisnęła się wokół okrętu. BT-1 był w ruchu i miażdżył kolejne ziemskie jednostki, podczas gdy na jego powierzchni błyskały kolejne wybuchy atomowe.

Broń grawitacyjna sięgnęła znów na odległość dziesięciu tysięcy kilometrów, niszcząc lotniskowiec eskortowy „Mountbatten” i dwa pobliskie niszczyciele.

– Rozproszyc się! – zawołał Gray. – Wszyscy rozproszyc się! I

kontynuować ostrzał!

Sprawdził czas. Drony komunikacyjne wystrzelone przez „Plottela” i „Amerykę” powinny były dotrzeć już na miejsce.

Miał nadzieję, że Reeve wkrótce zjawi się z posiłkami.

VFA-211 „Headhunters”

Bravo Romeo Jeden

Omega Centauri

Godzina 20.46 TFT

– To wygląda jak właz!

Meier i Schaeffer zmniejszyli prędkość i zbliżyli się do bocznej krawędzi megastruktury. Szaro-białe urwisko wznoszące się jak ogromny mur przesłaniało połowę nieba. Powierzchnia krawędzi była pokryta kopułami, krenelażami, wieżami i bunkrami.

Żadna z tych konstrukcji na razie jednak nie strzelała do myśliwców ani nie wydawała się ich zauważać.

– Co myślisz? – spytała Schaeffer. – Czy powinniśmy wlecieć do środka?

– Jest dość duży dla eskadry starblade’ów. – Zawahał się, rozważając opcje. – Zostań tu. Ja wdryfuję do środka i zobaczę, co tam jest.

– A ja zostanę tu sama? Nie ma mowy, lecimy razem!

Meier rozważył przez chwilę rozkazanie jej, żeby została, ale odrzucił tę myśl. Nie przewyższał jej stopniem, a do tego była zdeterminowaną, pewną siebie młodą kobietą, która lubiła robić wszystko po swojemu.

– Dobrze – powiedział. – Trzymaj się blisko. Dam znać „Ameryce”, co robimy.

Oba starblade’y wdryfowały do szerokiego na trzy kilometry i wysokiego na półtora otworu. Zmieściłaby się w nim cała „Ameryka”. Otwór poruszał się – pierścień Bishopa obracał się mniej więcej raz na dzień, generując ciężenie odśrodkowe. W środku przestrzeń rozświetlały skupiska światła. Struktura była tak wielka, że miała własną grawitację niezależnie od obrotów – około jednego g. AI Meiera musiała dostosować napęd grawitacyjny tak, by ją zniwelować.

Widzieli w oddali zarysy wielkich konstrukcji – maszyn wielkości miast albo obcych okrętów, znacznie większych od ziemskich. Meier szukał jakiegoś lądowiska albo hangaru, ale niczego takiego nie udało mu się rozpoznać.

– Nie widzę... Nie wiem, gdzie powinniśmy teraz lecieć – stwierdził.

– To się chyba ciągnie w nieskończoność. Może zawróćmy i dołączmy do bitwy.

– Przynajmniej nikt tu do nas nie strzela. To może być coś dobrego, ale...

– Mnie pasuje.

– Zaraz... Co jest?

Wszystko się zmieniło.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.49 TFT

„Ameryka” przyspieszyła, wymykając się chmurze disasemblerów. Mimo ciągłego bombardowania Bravo Tango Jeden sztuczny księżyc nadal wypuszczał z siebie kolejne chmary miniaturowych maszyn. Każdy z okrętów w ziemskiej flocie musiał przeznaczać coraz więcej mocy na obronę punktową. Wokół było zbyt wiele celów, a coraz więcej niszczycielskich mikromaszyn przebijało się do ludzkich jednostek.

– Sir – zawołał oficer łącznościowy – dwa z naszych myśliwców przygotowują się do wejścia do Bravo Romeo Jeden.

– Które?

– Headhunter Trzy i Headhunter Pięć. Odległość... trzy minuty świetlne. Przesłali to trzy minuty temu i właśnie odebraliśmy.

– Dobrze. Pani kapitan?

– Panie admirale?

– Proszę zabrać nas do BR-1.

– Romeo Jeden?

– Owszem. Dwa z naszych myśliwców tam wleciały i chcą być w stanie udzielić wsparcia, jeśli będzie to potrzebne.

– Aye, aye, sir.

Na rufie pokazał się oślepiający błysk białego światła... i kolejny... i kolejny...

– Dzięki bogom! – zawołał Gray. – To Reeve!

Pojawiały się coraz to nowe rozbłyski na tle gwiazd, w miarę jak następne okręty wychodziły z przestrzeni Alcubierre’a.

W czasie planowania operacji mówiło się o próbie oskrzydlenia wroga, złapania go w kleszcze dwóch flot, ale ostatecznie dowódcy uznali, że trudno byłoby to skoordynować, zwłaszcza przy nieznanach pozycjach przeciwnika.

Flota admirała Reeve’a wyłoniła się z nadświetlnej w odległości połowy jednostki astronomicznej – czterech minut świetlnych – od grupy Graya. Światło, które widział Gray, miało już cztery minuty, ale okręty podążały tuż za nim.

– Panie admirale, wiadomość z „Nowego Jorku”.

– Odtworzyć.

Na mostku flagowym „Ameryki” słyhać było z początku głównie szumy.

– ...waszej pozycji w ciągu pięciu minut – dało się w końcu słyszeć głos. – Powtarzam, tu grupa zadaniowa „Nowego Jorku”, zbliżamy się do Rozety w normalnej przestrzeni. Admirale Gray, proszę odpowiedzieć. Powinniśmy dotrzeć do waszej pozycji w ciągu pięciu minut.

– Połączyć się z „Nowym Jorkiem” – rozkazał Gray. – Powiedzcie: „Witamy przy Czarnej Rozecie. Miło pana widzieć, admirale Reeve. Ostrzegam, że mamy tylko osiem dni, zanim przez Rozetę przejdzie coś bardzo niebezpiecznego. Nasi przyjaciele z Chmury N’gai przeprowadzą przez tunel czasoprzestrzenny błękitnego olbrzyma, który łatwo się w nim nie zmieści. Spodziewam się, że skończy się to po tej stronie bardzo gwałtownie, zapewne supernową albo gorzej. Lepiej stąd uciekać, zanim to się zdarzy”. Prześlijcie wiadomość razem z nagraniami tego, co widzieliśmy w N’gai, i powtarzajcie, aż otrzymamy potwierdzenie.

– Aye, aye, panie admirale.

– CAG, niech wszystkie nasze myśliwce zbliżą się do Bravo Romeo Jeden.

W głowie porządkował rozkład floty. Gdyby istota z Rozety podążyła za „Ameryką” w stronę BR-1, może odsłoniłaby flankę na atak nadchodzącej grupy „Nowego Jorku”.

Nie było to wiele, ale tylko tyle im zostało.

VFA-211 „Headhunters”

BR-1

Omega Centauri

Godzina 20.50 TFT

Meier donośnie zagwizdał.

– Co to było, do cholery? Co się z nami stało?

– Myślę... myślę, że sprowadziło nas do środka struktury – odparła Schaeffer. – Na wewnętrzną krawędź. To jakaś baśniowa kraina!

Oba myśliwce stały obok siebie na ziemi porośniętej czymś, co wyglądało jak pomarańczowy mech. W oddali widać było niskie, rozłożyste rośliny, które mogły być drzewami, a dalej budynki – wieże i iglice w pastelowych fantastycznych kolorach.

Meier pomyślał, że niewiele baśniowych zamków sięgało na wysokość kilku kilometrów.

Dwa horyzonty, bezpośrednio naprzeciwko siebie, na których stały... „ściany”. Tak, było to jedyne słowo, jakie przychodziło do głowy.

Pionowe, znikające w jasno oświetlonej mgłę nad nimi, pokryte mozaiką pomarańcza, żółci, fioletu i błękitu, które Meier wcześniej zobaczył z zewnątrz obiektu. Znajdował się teraz wewnątrz cylindra pierścienia Bishopa. Dwie ściany stanowiły zaś jego przeciwległe krawędzie. Bezpośrednio nad nimi oślepiająco jasne słońce w kształcie igły biegło poprzez zenit, pod kątem prostym do pionowych ścian. Sztuczne słońce było białe, z lekką nutą seledynu. Wokół niego unosiła się mgła. Z odpowiednimi filtrami Meier mógł zobaczyć za nią przeciwległą część pierścienia.

Przed chwilą znajdowali się w próżni. Sensory Meiera wykrywały teraz atmosferę o ciśnieniu siedem dziesiątych bara i temperaturze dziewięciu stopni Celsjusza. Odczyty wykazywały, że mieszanka gazów jest bogata w tlen, ale zawiera także niebezpiecznie dużo dwutlenku węgla. Na zewnątrz musieliby oddychać przez maski.

– Co się z nami stało? – spytała Schaeffer.

– To chyba teleportacja. W jednej chwili byliśmy tam, w następnej tutaj. Albo...

– Albo?

– Albo nasi gospodarze znów bawią się czasem. Może nasz zegar spowolnił na tyle, że nawet tego nie zauważyliśmy.

– Raczej nie, Jason. Gdyby zakrzywili czas, wpłynęłoby to zarówno na nas, jak i na myśliwce, tak? Kiedy wpłynęli na czas „Ameryki”, wszystko wydawało nam się normalne. Po prostu wszechświat na zewnątrz działał w przyspieszonym tempie.

– Kto wie co te dranie potrafią? – spytał Meier.

Skupił myśli i wokół jego głowy zmaterializował się hełm, połączony do małego uzdatniacza powietrza na piersi. Kolejna myśl i nanomorficzny kadłub myśliwca rozłożył się, wypuszczając człowieka na obcy ląd. Stanąwszy na ziemi, przeciągnął się kilka razy, potwierdzając to, co mówiły instrumenty. Miejscowe ciążenie było nieco większe niż jeden g. Obok rozpląnął się kokpit starblade'a Schaeffer, uwalniając także ją. Meier rozejrzał się niepewnie. Ktoś lub coś sprowadziło ich tu celowo. Spodziewał się komitetu powitalnego.

Obrócił się... i zobaczył chmurę lśniących, złotych kul lecących w ich stronę. Unosiły się w powietrzu jak bańki mydlane i poruszały tak, jakby kierował nimi inteligentny umysł.

A za nimi...

Oczy Meiera rozszerzyły się i wydał z siebie długi wrzask czystego przerażenia.

– Wystrzelić myśliwce!

Porucznik Donald Gregory poczuł przyspieszenie, gdy jego starblade zaczął swobodny spadek, wylatując gładko z obrotowego pokładu startowego „Republiki”. Przestrzeń na zewnątrz pełna była jasnych gwiazd. Inne okręty z grupy zadaniowej „Nowego Jorku” unosiły się w przestrzeni, wszystkie z przyspieszeniem ku centrum gromady. Lotniskowiec marines „Guadalcanal”, który wrócił niedawno z układu Gwiazdy Kapteyna, dryfował w pustce sześćdziesiąt kilometrów dalej. Wokół niego pozostali „Black Demons” zaczęli formować szyk i ruszyli przed „Republiką”.

– Wszyscy za mną – rozkazał Mackey.

– Tu Demon Cztery, przyjąłem – odparł Gregory. Nieco przyspieszył, wchodząc w skład formacji klinowej.

Gregory pomyślał, że powinien być bardziej... pewny siebie, pewny pomyselnego wyniku. Oczywiście w walce nie można było niczego zakładać, ale przecież eskadra już wcześniej sprawdziła się w boju z tym czymś.

Ale w środku trząśł się i rozpoznawał oznaki przerażenia. Ci obcy byli inni niż cokolwiek innego, z czym miał do tej pory do czynienia, a ich technologia przypominała magię. Nie miał pojęcia, jak udało im się pokonać ich nad Ziemią.

Wiedział tylko, że znów czeka go starcie z nimi. I że istnieje wysokie prawdopodobieństwo śmierci.

VFA-211 „Headhunters”

BR-1

Omega Centauri

Godzina 20.50 TFT

Wydawało mu się, że krzyczał całe godziny, chociaż nie mogło minąć więcej niż kilka sekund. W ciągu całej swojej kariery pilota Meier widział wiele obcych istot, w większości bardzo obcych. Z kilkoma nawet rozmawiał, w tym z pająkowatymi handlarzami – Agletschami – i z paroma koszmarami z Chmury N’gai. Zawsze uważał, że najgorsi są Glothrowie – przeźrocyste słupy utrzymujące się w pionie na mackach, wyglądające jak ogromne meduzy pod falującym, przejrzystym płaszczem. Wyewoluowali w oceanie pod grubą skorupą lodu na planecie wędrującej między gwiazdami.

Ale te wijące się koszmary były gorsze. Dużo gorsze.

Każdy górował nad pomarańczowym krajobrazem i miał dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów wysokości. Poruszały się na krótkich, baryłkowatych odnóżach, na których mieściło się bladoszare cielsko, wyglądające jak góra tłuszczu, zwisającego w splątanych fałdach. Na czymś w rodzaju szyi zawieszono były macki, ciągle pozostające w ruchu, zwijające się i rozwijające. Na niektórych z nich widniały czarne kręgi, które mogły być oczami. Inne zakończone były bardziej tajemniczymi organami. Najcieńsze z macek, jak długie, wijące się włosy, rozszczepiały się na wiele palców.

Meier nie widział otworu gębowego ani nie miał pojęcia, jak to coś oddycha.

Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak się poruszało. Te zwaliste olbrzymy musiały ważyć tysiące ton. Co ważniejsze, jaki mózg był w stanie koordynować ruchy setek macek i dziesiątek odnóży z precyzją potrzebną myśląc istocie?

Jego przerażenie wywołało to, że masywne cielsko było w ciągłym, ciekłym ruchu, jego powierzchnia drżała jak galareta, szara maź spływała po każdej powierzchni, organy sensoryczne pojawiały się na końcach macek, po czym stworzenie znów je wciągało. Zdawało się płynne, na tyle, że Meier uznał, że widzi coś w rodzaju ogromnej ameby. Nogi zdawały się dość solidne, ale reszta...

Górna część stworzenia wyglądała, jakby ciągle się rozpływała. Przypominała rozkładające się mięso, z zielonkawym poblaskiem na powierzchni. Jego fragmenty oddzielały się i ześlizgiwały po wilgotnej powierzchni, po czym znów były wchłaniane.

Przez połowę cielska przebiegła mała błyskawica. Broń? Meier nie miał pojęcia.

Zauważył kątem oka, że Schaeffer nie krzyczy. Przemieściła się w stronę myśliwca Meiera i stała obok niego, patrząc wraz z nim na olbrzymie monstrum z mokrego mięsa. Spojrzał znów na istotę i z trudem postarał się kontrolować strach.

Kilka macek opadało z górnej części stwora jak przerośnięte trąby dawno wymarłych ziemskich słoń. Na ich końcach pojawiły się czarne kręgi, lśniące w ostrym świetle sztucznego słońca. Jeśli były to oczy, oznaczało to, że istota przygląda im się bardzo uważnie.

Dziesięć metrów dalej na mięsistym urwisku cielska pojawiła się iskra. Działo się tam coś dziwnego. Meier z fascynacją i przerażeniem obserwował ten widok.

Po chwili na ciele stwora pojawiła się dziesięciometrowej wielkości kopia twarzy pilota.

Niemal znów zaczął wrzeszczeć, ale uspokoiła go obecność Schaeffer.

*Stój spokojnie – powtarzał w myślach. Gdyby chciało cię zabić, zrobiłoby to, zanim się tu znalazłeś!*



Zamrugnął i ogromny obraz jego twarzy zrobił to samo.  
– Myślę – stwierdziła Schaeffer zadziwiająco spokojnie – że chyba chcą z nami pogadać...

# Rozdział dwudziesty czwarty

**6 marca 2426**

VFA-96 „Black Demons”

Okolice BR-1

Godzina 20.52 TFT

Gregory usłyszał krzyk Meiera.

Przekazała go sieć łącząca wszystkie myśliwce w lokalnej przestrzeni. Zwykle słycać było tylko szum rozmów pilotów w tle, ale nagły krzyk ostrzegawczy można było przesłać jednocześnie do wszystkich myśliwców i do bojowego centrum informacyjnego na macierzystym okręcie.

Krótki, donośny wrzask przebił się przez resztę szumu jak krait i dał mu nazwisko, identyfikator i położenie Meiera. Wyglądało na to, że znajduje się wewnątrz obiektu Bravo Romeo. I chyba ma kłopoty.

– Wszyscy za mną – rozkazał Mackey. – Zobaczmy, co da się zrobić.

Pięć wciąż całych myśliwców z VFA-96 zmieniło wektor i zbliżyło się do monstrualnego cylindra z jego pomarańczową ziemią i turkusowymi morzami. Enigmatyczna struktura wypełniła ich pole widzenia. Gregory nie słyszał już Meiera. Gdy wywołał jego dane biometryczne, zobaczył, że mężczyzna wciąż żyje – ma przyspieszone tętno i oddech, ale żyje.

– Podlecmy bliżej – rozkazał Mackey. – Zobaczmy, czy znajdziemy drogę do środka.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Omega Centauri

Godzina 20.58 TFT

„Ameryka” dryfowała poprzez otwartą przestrzeń w stronę Bravo Romeo, które z odległości połowy jednostki astronomicznej przypominało kolejną gwiazdę spośród milionów. Na powiększonym obrazie widać było jednak cylinder lśniący w świetle gwiazd. Pierwszą myślą Graya było pytanie, które dręczyło go już od kilku minut.

*Po co czemuś takiemu jak istota z Rozety zdalny do życia fizyczny*

świat?

Drugą była potencjalna odpowiedź.

*Czy to coś w rodzaju Enigmy, wytworzonej na oczekaniu planety przy Denebie? Czy to sztuczny świat, gdzie możemy spotkać obcych... i z nimi porozmawiać?*

Trzecia była szokująca.

*Żniwiarze zbudowali całą planetę z próżni. To coś jest znacznie mniejsze niż planeta. Czy to oznacza, że Żniwiarze są bardziej zaawansowani technologicznie niż Świadomość?*

Nie miał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Nie bez nowych informacji.

„Ameryka” zaczęła się trząść.

– Co, u diabła?!

– Sir! – odezwała się Gutierrez. – To Bravo Tango! Może używać broni czasoprzestrzennej!

„Ameryka” znów zadrżała.

– Co to jest?

– Zakrzywienie czasoprzestrzeni, sir – odparła Gutierrez.

– Bravo Tango to powoduje?

– Znajduje się w epicentrum zaburzeń.

– Dobrze. Powiadomić resztę floty. Niech wszyscy trzymają się z dala, ale niech skupią ogień na BT-1.

– Aye, aye, sir.

Wyglądało na to, że broń temporalna wroga wpływa na wszystko w danym obszarze. Ziemskie okręty nie zostałyby uwięzione w zwolnionym czasie, walcząc z niemożliwie szybkim przeciwnikiem. Gdy obcy wkraczali do pola temporalnego, również ulegali spowolnieniu.

Ale użycie jej oznaczało, że istota z Rozety mogła łatwiej realizować swoje plany poza tym polem – przegrupowywać i wzmacniać siły, może sprowadzić potężniejszą broń – zanim uwięzieni ludzie będą w stanie odpowiedzieć.

Albo mogła pozostawić ludzi zamkniętych w temporalnym bursztynie, doświadczających sekund, podczas gdy na zewnątrz mijały lata.

– Niech wszyscy lecą w stronę Bravo Romeo – rozkazał.

– Jaki ma pan plan, admirale Gray?

Głos należał do Reeve’a. Technicznie rzecz biorąc, przewyższał Graya stażem, więc to on powinien dowodzić zjednoczoną flotą. Pierwsze okręty pod jego dowództwem zbliżały się do pola walki, ale formalnie floty jeszcze się nie połączyły.

A zatem do tego czasu...

– Im bliżej Romeo się znajdziemy, tym mniejsze szanse, że użyją broni czasowej. Nie wiemy, czym jest Bravo Romeo Jeden, ale to obiekt istoty z Rozety, więc zapewne jest dla niej ważny.

– Użyjemy go jako tarczy?

– Mniej więcej. Przynajmniej zmusimy wroga do odwołania ataku.

Gray skrzywił się. Głos admirała Reeve'a w jego głowie brzmiał, jakby ten mówił bardzo szybko. Odpowiedź Graya musiała być więc spowolniona. Broń czasowa zaczęła działać.

– Do wszystkich – krzyknął. – Skupić ogień na Bravo Tango Jeden i wypuścić wszystko, co macie!

VFA-211 „Headhunters”

BR-1

Omega Centauri

Godzina 20.59 TFT

Meier zobaczył, że do potworów dołączyło coś jeszcze.

Całe mnóstwo obiektów wyglądających jak złote kule o półmetrowej średnicy. Unosiły się i przelatywały nad krajobrazem. Meier podniósł ręce. „Nie mamy broni, przybywamy w pokoju”.

Pomyślał, że w zasadzie to kłamstwo. Ale chciał przekazać tym istotom, że on i Schaeffer nie stanowią zagrożenia.

Czy były to roboty? Zdalnie sterowane urządzenia? Czy sztuczne ciała dla organicznych form życia?

Unosiły się wśród ogromnych cielsk, jakby stanowiły ich eskortę. Pierścień kul wkrótce zgromadził się wokół Meiera i Schaeffer. Wyglądały, jakby ich obserwowały.

– Od dłuższego czasu chcieli z wami porozmawiać – odezwał się głos w głowie Meiera.

– Oni? – Meier wziął głęboki oddech i próbował przestać trząść się w środku. Wstydził się wcześniejszego wrzasku i chciał zrobić lepsze wrażenie... na Schaeffer i na samym sobie. – Jacy „oni”? I kim ty właściwie jesteś?

– Możesz nazywać mnie Mikołajem.

– Miko... znaczy się Kopernikiem?

W odpowiedzi jeden z olbrzymów opuścił ogromną mackę na ziemię, pomiędzy dwójkę ludzi. Lśniące, wyglądające martwiczo mięso zaczęło się rozpuszczać.

Odsłoniło srebrzysty obiekt w kształcie trzymetrowej wielkości jaja. Meier rozpoznał paneuropejski moduł Światłość, który widział na którejś z odpraw. Wystrzelono część z nich w chmurę z Rozety podczas bitwy o Ziemię. Obcy musieli przechwycić ten egzemplarz.

– Co do tego, kim są oni – mówił dalej Mikołaj – możesz nazwać ich Outsiderami. Outsiderami ze Świadomości z Rozety. Sami mówią o sobie

Ci, Którzy Przetrwali.

Meier znał to znaczenie słowa Outsider. W Chmurze N'gai setki milionów lat temu ur-Sh'daar przeszli transcendencję – koncepcja ta była zbliżona do ludzkiej koncepcji osobliwości technologicznej – i odeszli. Na wyższy poziom egzystencji, do innego wymiaru. Nadal debatowano nad tym, co właściwie się z nimi stało. Ale pewna ich liczba nie zrobiła tego. Z jakiegoś powodu nie każdy członek Społeczności Sh'daar chciał zrezygnować z dotychczasowego życia. Outsiderzy...

– Więc Ci, Którzy Przetrwali to istoty, które odrzuciły transcendencję?

– W bardzo ogólnym sensie tak. Świadomość, jak zapewne już wiecie, przeszła na wyższy poziom egzystencji bardzo dawno temu. Wygląda na to, że przeszła transcendencję wielokrotnie, za każdym razem stając się inteligentniejsza i bardziej oddalona od swoich organicznych początków.

Po jednej z gór cielska przebiegła błyskawica. Skwierzące wyładowanie elektryczne dużo bliższe i głośniejsze niż poprzednie. Meier i Schaeffer oboje aż podskoczyli.

– Mówi – wyjaśnił Mikołaj – że musicie przerwać atak rozpoczęty w alternatywnej warstwie temporalnej. Jeśli tego nie zrobicie, przepadną biliony istnień.

– Alternatywnej... co? – W końcu zrozumiał. – Chmura N'gai! Błękitna gwiazda...

– Nawet Ci, Którzy Przetrwali nie są pewni, co się stanie, gdy gwiazda przejdzie przez Rozetę. Istnieje możliwość, że energia drastycznie poszerzy wyrwę międzywymiarową.

– To znaczy?

– To znaczy, wśród wielu innych możliwości, rozpad rzeczywistości w całym tym wszechświecie.

– Mój Boże...

– Albo, na nieco mniej apokaliptyczną skalę, erupcja gwiazdy w sercu Omega Centauri może spowodować kaskadę supernowych, być może skutkującą powstaniem niewielkiego kwazaru.

– Kwazaru...

– Który nadal będzie dość potężny, by zniszczyć wszelkie życie w tej Galaktyce.

Meierowi zakręciło się w głowie. Musiał przypomnieć sobie, że zanim fala energii hipernowej dotrze do Ziemi, minie szesnaście tysięcy lat. Ale wtedy będzie wystarczająco silna, by napromieniować planetę.

– To byłoby dość niefortunne.

– Delikatnie mówiąc.

– Te błyskawice... – odezwała się Schaeffer. – Czy tak rozmawiają?

– Wyładowanie zaburza miejscowe pole magnetyczne – wyjaśnił Mikołaj. – W ten sposób się komunikują, tak.

– A te latające złote kule?

– To inny gatunek. Nazywają się Resztką i egzystują w ścisłej symbiozie z Tymi, Którzy Przetrwali. To umysły przeniesione do robotycznych ciał.

– Powiedz im – odezwał się Meier – że nie jesteśmy w stanie zatrzymać tej gwiazdy. Muszą przekonać istotę z Rozety, żeby zamknęła wrota.

Znów rozbłysły pioruny. Meier słyszał szum przez radio w hełmie.

– Mówią – powiedział Mikołaj spokojnym tonem w ich głowach – że Bóg nie... można to chyba przetłumaczyć jako „nie odpowiadał za ich modlitwy” od wielu, wielu wieków.

– Bóg? – spytała Schaeffer.

– Tłumaczenie nie jest precyzyjne. Ale z tego, co rozumiem, zarówno Ci, Którzy Przetrwali, jak i Resztką zostali odcięci od istot, które przeszły transcendencję. Teraz podążają za Świadomością w nadziei... Przepraszam, nie rozumiem koncepcji, które mi przedstawiają.

– Chcą dołączyć do Świadomości? – próbował zgadnąć Meier.

– Sądzę, że chyba chcą, by ich zauważono.

Meier wziął głęboki oddech.

– Musimy szybko wrócić do floty.

– Mówią, że mogą to zaaranżować – odparł Mikołaj. – Sugeruję, abyście wrócili do myślicieli.

Szybko wdrapali się do otwartych kokpitów i pozwolili nanowspomagany kadłubom, aby szczelnie ich otuliły.

– Powiedz im, że nie wiem, czy cokolwiek zdołamy – zawołał Meier do Mikołaja.

– Rozumieją. Sami uciekną. Ale boją się o swojego... boga.

Mgnienie oka później oba starblade'y unosiły się w otwartej przestrzeni, pół kilometra od „Ameryki”.

Meier był w stanie tylko pokręcić głową.

– Jak to zrobili, do cholery?

TC/USNA CVS „Ameryka”

BT-1

Omega Centauri

Godzina 21.15 TFT

– Czy to brzmiało, jakby wam grozili? „Zróbcie, co każemy, albo zniszczymy wszechświat”?

Zdanie to było tak absurdalne, że Gray ledwie powstrzymał uśmiech, wypowiadając je. Gutierrez i kilkanaście osób z załogi mostka, w tym ludzie z wywiadu, byli połączeni i obserwowali rozmowę.

– Nie, panie admirale – odparła Pam Schaeffer. – Raczej proste stwierdzenie faktu. Ostrzeżenie, że nie rozumiemy tak naprawdę, co się dzieje.

– W ogóle nam nie grozili – dodał Meier. – Chcieli rozmawiać...

Dwa myśliwce z VFA-211 pojawiły się nagle znikąd. Okrętowi fizycy już kłócili się o teleportację i o to, jak dokonali jej obcy. Oficerowie wywiadu byli bardziej zainteresowani słowem „dlaczego”. Czy obcy naprawdę chcieli się porozumieć?

Piloci, Meier i Schaeffer, byli nieco wstrząśnięci, ale cali i zdrowi. Zdali raport z dziwnego spotkania z organicznymi istotami na pokładzie sztucznego habitatu. Ci, Którzy Przetrwali i Resztki. Jak często działo się coś takiego? Cała cywilizacja przeżywa transcendencję do postaci superinteligencji, ale zostawia po sobie... sieroty.

– Muszę ich rozczarować – stwierdził Gray – ale chyba nie ma sposobu na powstrzymanie tej gwiazdy. Sh'daarowie puścili ją w ruch i uciekli.

– Tak jest, sir.

– Dobrze. Zaraz sprowadzimy was na pokład.

– Panie admirale – odparł Meier – jeśli to panu nie przeszkadza, to wolelibyśmy dołączyć do reszty eskadry.

– Popieram, sir – dodała Schaeffer. – Gawędziliśmy sobie z olbrzymimi obcymi, podczas gdy reszta walczyła. To nie fair.

– Dobrze, przekażę komandorowi Leystromowi, że jesteście w drodze.

– Dziękuję, panie admirale. – Na ekranie mostka oba myśliwce przyspieszyły, znikając niemal tak szybko, jak się pojawiły.

Gray podjął decyzję w kwestii problemu, z którym borykał się od jakiegoś czasu.

– Oficer taktyczny!

– Tak, sir? – spytał Dean Mallory ze swojego stanowiska kilka metrów dalej.

– Jak idzie bombardowanie? Coś im zrobiliśmy?

– Zdegradowaliśmy węzły danych wroga o... szacujemy, że o jakieś piętnaście procent. Jeśli chodzi o Tango Jeden, nieco słabiej.

– Jak słabo?

– Mniej niż jeden procent, panie admirale. – Mallory zawahał się. – To cholerna planeta, sir!

– Rozumiem. – Otworzył kanał w głowie. – Pani Eleno, proszę na mostek.

– Jestem tu, panie admirale.

– Ach. – Zapomniał, że Wasiliewa już siedzi w tylnej części mostka. – Nasi piloci mówią, że obcy na Bravo Romeo Jeden mają jeden z modułów Światłość. Skutecznie wykorzystali go do komunikacji z naszymi ludźmi.

– Doskonale!

– Tak, ale to nie ci obcy, z którymi musimy się porozumieć. Musimy sprawić, aby zauważyła nas sama Świadomość.

„Ameryka” zadrżała, gdy przez lokalną czasoprzestrzeń przeszła kolejna fala temporalna.

– Wygląda na to, że nas zauważyła...

Gray pokręcił głową.

– To tylko jej układ immunologiczny. Sami nie jesteście świadomi istnienia poszczególnych bakterii. Musimy wymyślić sposób, w jaki te bakterie mogłyby porozumieć się z ludzkim umysłem.

– Może *Paramycoplasma* pomoże.

Przyszło mu to do głowy. Inteligencja roju bakterii o nazwie *Paramycoplasma* zdecydowanie była rozumna. Była też niezwykle obca... na tyle, że znalezienie płaszczyzny porozumienia stanowiło realny problem.

Poza tym we flocie, z tego, co wiedział Gray, nie dysponowali tymi mikroorganizmami. Większość z nich znajdowała się po drugiej stronie Czarnej Rozety, wśród miliardów Sh'daarów z różnych gatunków, uciekających z Chmury N'gai. Nawet gdyby ludzkiej flocie udało się je znaleźć, wykorzystanie ich do kontaktu ze Świadomością z Rozety stanowiło znaczne wyzwanie.

– Nie wydaje mi się – powiedział w końcu. – Ale zastanawia mnie... Iloma modułami „Światłości” dysponujemy?

– Tu? Na „Ameryce”?

– I w reszcie floty.

– Nie jestem pewna. Wasze nanoreplikatory wyprodukowały ich pewną liczbę, zanim ruszyliśmy do Deneba. Może pięćdziesiąt?

– Nie dość, aby stworzyć inteligencję roju...

W jego głowie powoli formował się załączek pomysłu. Połączenie modułów ze sobą, razem z wieloma iteracjami Mikołaja. Jeśli ludzie byliby w stanie stworzyć inteligencję roju znacznie potężniejszą niż ludzki umysł, może Świadomość by to zauważyła.

Jednak Gray nie ufał już paneuropejskiej AI.

– Może i dobrze – dodał. – Nie chciałbym, aby wszystkie się zbuntowały.

– To nie będzie problem – odparła Wasiliewa.

– Czyżby? Dlaczego tamten Mikołaj porwał lądowik i poleciał na Enigmę?

Wasiliewa zawahała się, jakby rozważała odpowiedź.

– Przemyślałam to dobrze, panie admirale. Gdy Mikołaj odleciał wbrew rozkazom, myślę, że to dlatego, że wyruszył z nami z bardzo stanowczymi rozkazami, by nawiązać kontakt ze Żniwiarzami.

– Dobrze...

– I to nie tylko nawiązać kontakt, co już nam się wtedy udało. Ale



nawiązać znaczący dialog. Nagle jednak mieliśmy porzucić misję. To było sprzeczne z jego rozkazami. Zrobił jedyne, co mógł, aby je wykonać. Wziął ładownik i wrócił do prób porozumienia.

– Tym samym buntując się i potencjalnie narażając całą ekspedycję. – Gray wzruszył ramionami. – Ale możliwe, że coś mu się udało osiągnąć. Żniwiarze przenieśli nas w czasie o tyle, abyśmy wpłynęli na wynik bitwy. Jeśli Mikołaj tak bardzo chce rozmawiać z kosmitami... Chciałbym, abyśmy byli w stanie dogadać się z jego pomocą ze Świadomością. Myślałem o emergentnym umyśle, ale pięćdziesiąt sztuk to za mało, żeby wytworzyć umysł roju, o jaki mi chodzi.

– Jeśli mogę, admirale – wtrącił się Konstantin. – Być może jestem w stanie nieco pomóc.

– Proszę bardzo, mów.

– Mam kilka uwag. Po pierwsze, w przeszłości doszło już do wymian informacji ze Świadomością. Nie były one kompletne i zapewne byłem w kontakcie jedynie z częścią umysłu, ale nadal stanowi to wzorzec.

Gray skinął głową. Przy Gwieździe Kapteyna „Ameryka” próbowała zarazić Świadomość – Mroczny Umysł – wirusem elektronicznym opartym na Kodzie Omega Żniwiarzy.

Kod Omega sam stanowił pewną formę inteligencji, złożony, silny umysł. Żniwiarze wysłali go, by zniszczył cywilizację z Gwiazdy Tabby, i niemal udało mu się tego dokonać.

Próba zaatakowania w ten sposób Świadomości nie powiodła się, chociaż Konstantin uznał ją za sukces. Istotę z Rozety udało się powstrzymać, ale nie zniszczyć czy trwale osłabić. Kilka tygodni później dotarła na Ziemię.

Do nowego wirusa włączono klony Konstantina. Niektóre z nich otarły się o Świadomość i wróciły do ziemskiej floty.

Konstantin miał więc rację, mówiąc, że doszło do komunikacji, nawet - jeśli ograniczonej. Samo to, że istota określała się jako Świadomość, wiedzieli właśnie stąd.

– Po drugie – ciągnął Konstantin – wiemy, że Świadomość próbuje odnaleźć inne Umysły... ale jej definicja umysłu jest dość wąska. Nie uważa istot biologicznych za zdolne do posiadania inteligencji. Szuka umysłów tak złożonych, jak jej własny.

– Co z istotami, które napotkali Schaeffer i Meier w habitacie? – spytał Gray. – Według nich są czymś w rodzaju Outsiderów Sh'daar. Jeśli to prawda, muszą należeć do gatunków, które stworzyły Świadomość!

– Uważam za interesujące, że organiczne istoty pamiętają o tym, podczas gdy sama Świadomość nie. To sugeruje celową amnezję.

Gray zaśmiał się cicho.

– Może Świadomość wstydzi się przeszłości. To straszne, gdy rodzinne sekrety wychodzą na jaw. Osoby z krwi i kości w rodzinie. Ohyda!

– Wiem, że pan żartuje, ale może być w tym więcej prawdy, niż się panu wydaje. Wygląda też na to, że Świadomość nie jest skutkiem pojedynczej osobliwości technologicznej, ale wielu z nich.

– Jak to możliwe? – spytała Wasiliewa. – To znaczy, jeśli jest się organicznym gatunkiem, którego technologia zbliża się do asymptoty, i ma się problemy ze zdefiniowaniem tego, co właściwie oznacza „życie”... nieśmiertelność, cyfrowe kopie umysłów, superinteligentne AI i tak dalej... Na tym polega osobliwość, prawda? Nie można przejść przez nią dwukrotnie!

– Tym byłyby dla nas – przypomniał Gray. – Możliwe, że istnieją inne przełomy, zmiany technologiczne, zmiany w rozumowaniu... Nie wiem, coś, co może mieć miejsce w poosobliwościowej cywilizacji, a czego my, śmiertelnicy, nie jesteśmy sobie nawet w stanie wyobrazić. Być może taka kultura znajduje coraz to kolejne sposoby na zwiększenie inteligencji i kontroli nad rzeczywistością i nagle dochodzi do kolejnej granicy. I trzeciej, i czwartej...

– Aż w głowie mi się kręci – machnęła ręką Wasiliewa.

– Dobrze, więc Świadomość przeszła przez tyle osobliwości, że nie pamięta o swojej przeszłości.

– Jak nam to pomaga?

– Pomaga zrozumieć, że Świadomość nie jest doskonała i że może nie pamiętać o innych rzeczach z zamierzchłej historii.

– Takich jak?

– O zdolności organicznych istot, by się zjednoczyć i stać czymś więcej niż sumą części.

– Nie rozumiem – stwierdziła Wasiliewa.

– Moja trzecia uwaga – wyjaśnił Konstantin – dotyczy tego, że możemy być w stanie skorzystać z obecności we flocie znacznej liczby ludzi i AI. Jeśli wykorzystamy implanty mózgowie i pośrednictwo AI, skutek nie będzie do końca inteligencją roju, nie powstanie z tego emergentny umysł. Ale wzmocnienie istniejących umysłów będzie miało podobny skutek, przy zachowaniu indywidualnej świadomości. Odpowiednia liczba połączonych w ten sposób umysłów, z pomocą modułów Światłość, może być w stanie przejąć pewną część chmury mikromaszyn istoty z Rozety.

– I co z nimi zrobić? – spytał Gray.

– Porozumieć się bezpośrednio ze Świadomością. A przynajmniej z większą jej częścią. Przykuć jej uwagę.

Okręt znów zadrżał.

– Hm, ile czasu zajmą przygotowania?

– Niewiele. Mogę zająć się wystrzeleniem modułów i kontaktem z kopią Mikołaja w każdym z nich. Pan będzie musiał przekonać do pomysłu załogi okrętów floty. Sugeruję, aby w akcji wzięli udział jedynie

ochotnicy.

– Myślisz, że to niebezpieczne?

– Nie wiem – odparła super-AI. – Jest tu zbyt wiele niewiadomych. Jeśli Świadomość zdecyduje się na kontratak, wielu z biorących udział w operacji może ponieść szkody.

– Wciąż warto spróbować – stwierdził Gray. – Jeśli tu zostaniemy, zamrozi nas w czasie, aż do... Mój Boże!

– Co takiego? – spytała Wasiliewa.

– Nasz czas zwolnił.

– Tak?

– Nie wiemy, o ile. Łączność, czy jesteśmy w stanie wywołać okręty z grupy „Nowego Jorku”?

– Najbliższe tak, sir. W przypadku dalszych okrętów to trudniejsze.

– Upływ czasu znacznie odbiega tu od zewnętrznego – powiedział Konstantin. – Słyszę transmisje AI pozostałych okrętów, ale są przyspieszone względem nas.

– O ile?

– Muszę porównać swój zegar z ich zegarami. Chwileczkę... – Gray czekał niecierpliwie na odpowiedź. – Szacuję, że doświadczamy czasu około tysiąca razy wolniejszego niż czas poza obszarem działania broni wroga.

– Tysiąc razy...

Dokonał paru obliczeń z pomocą implantu.

– Dean! Wstrzymać ogień! Przekazać do wszystkich okrętów, natychmiast!

– Aye, sir.

– Co się stało, panie admirale? – spytała Gutierrez.

– Musimy porozumieć się natychmiast ze Świadomością!

– Dlaczego? – Wasiliewa była zdezorientowana.

– Bo na zewnątrz czas płynie tysiąc razy szybciej, co znaczy, że mamy tu tylko jakieś cztery i pół godziny!

– Cztery i pół godziny do czego? – Nagle jej oczy rozszerzyły się. – Mój Boże!

– Cztery i pół godziny to osiem dni na zewnątrz – wyjaśnił ponuro Gray. – Tylko tyle czasu nam zostało, zanim błękitny olbrzym Sh'daarów przejdzie przez Rozetę!

# Rozdział dwudziesty piąty

**Data nieznaną, 2426**

USNA CVE „Guadalcanal”

Omega Centauri

Godzina 21.30 TFT (subiektywnie)

Lotniskowiec marines „Guadalcanal” był jednym z pierwszych okrętów grupy zadaniowej „Nowego Jorku”, które ruszyły w głąb gromady i leciały na spotkanie „Ameryki”. Fale czasoprzestrzenne trzęsły okrętem i wywoływały alarmy, ale na razie lotniskowiec jakoś się trzymał. Kapitan Laurie Taggart widziała przed sobą „Amerykę” w odległości miliona kilometrów.

W swojej głowie słyszała głos Treva, mówiącego do całej floty.

Cichy, beznamiętny ton sprawił, że przeszły ją ciarki. I zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskni.

– To czysto ochotnicza operacja – mówił Gray. – Osoby dyżurujące przy kluczowych stanowiskach nie wezmą w niej udziału. Jeśli chcecie do niej dołączyć, wyślijcie wiadomość przez implant do Konstantina, a on was połączy. Wygląda, że to wystarczy, a Konstantin i pozostałe AI zajmą się szczegółami akcji i interakcją z obcymi. Nie wiemy, na ile niebezpieczne będzie to wszystko, ale potrzebujemy, aby jak najwięcej z was wzięło w tym udział.

Podpułkownik Macy unosił się w rogu mostka i podobnie jak reszta floty słuchał transmisji.

– Alleluja – odezwał się. – Przepraszam, pani kapitan, muszę wrócić na dolny pokład.

– Po co, panie pułkowniku?

– Aby dołączyć do swoich ludzi. Po raz pierwszy w dziejach korpusu wykonamy szarżę na wroga we własnych głowach!

– Dajcie z siebie wszystko!

– Aye, aye, ma’am! – odparł, po czym wyszedł przez właz.

Taggart żałowała, że sama nie może brać udziału w operacji, ale oczywiście kapitan okrętu należał do kluczowego personelu, o którym wspomniał Gray. Musiała zostać tu, podczas gdy batalion marines i być może dwie trzecie załogi samego okrętu dołączy do walki.

Cholera...

Tego rodzaju atak nie był bezprecedensowy. Ostatnia krótkka, gorzka wojna między Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej i Unią Paneuropejską zakończyła się parę miesięcy temu, gdy USNA dokonały wirtualnego cyberataku na europejską sieć komputerową w Genewie. Taggart wątpiła jednak, aby inżynieria memetyczna na wiele się zdała tutaj, w Omega Centauri. Do tego trzeba by wiedzieć, jak myśli wróg.

Ale być może jej pięciuset marines plus kilka tysięcy innych ludzi we flocie krzyknie dość głośno, by usłyszała ich istota z Rozety...

TC/USNA CVS „Ameryka”

BT-1

Omega Centauri

Godzina 21.48 TFT (subiektywnie)

– Dobrze, Konstantin – powiedział Gray. – Rób swoje.

– Dobrze, panie admirale. – AI zawahała się. – Czy jest pan pewien, że chce pan wziąć udział?

– Ze stopniem wiązą się pewne przywileje. Kapitan Gutierrez dowodzi okrętem. Mój oficer taktyczny zajmie się koordynacją floty. Nie potrzebuję mnie.

– Walka na froncie to nie miejsce dla oficerów flagowych.

– Gównu prawda. Kto tak powiedział?

– Czasy, gdy generałowie osobiście prowadzili szarżę, dawno minęły.

– Czasy, gdy admirałowie dowodzą flotami z mostków okrętów, wciąż trwają – zripostował Gray. – W każdym razie to nie ja będę prowadzić tę szarżę, tylko ty.

Żaden ludzki umysł nie byłby w stanie reagować na tyle szybko i ogarniać wszystkich niuansów takiej bitwy. A żadna AI nie mogła sobie pozwolić, by czekać na decyzje człowieka, gdy chodziło o nanosekundowe interakcje z innymi AI.

– Dobrze, admirale. Jesteśmy gotowi na sondowanie.

Sondowanie, nie atak. Chodziło o porozumienie ze Świadomością, nie zniszczenie jej. Gdyby jednak okazało się to niemożliwe, nadal mogli chociaż poważnie jej zaszkodzić.

Gray siedział w pomieszczeniu służącym mu za gabinet, na tyłach mostka flagowego. Czuł, jak fotel obejmuje go i unieruchamia. Otworzył połączenie w głowie...

Czuł ich... ich wszystkich... tysiące mężczyzn i kobiet tak samo przymocowanych do siedzeń i setki silniejszych, jaśniejszych światel przedstawiających AI. Pięćdziesiąt modułów Światłość unosiło się w przestrzeni przed „Ameryką” i Gray czuł łączącą je sieć komunikacyjną.

Czuł także ponad setkę okrętów, zwartych i gotowych, każdy ze swoją AI i z przynajmniej połową połączonych członków załogi. Graya zaskoczyło, że tak wielu ludzi zgłosiło się na ochotnika. Chociaż po zastanowieniu uznał, że nic w tym dziwnego. Byli to najlepsi z najlepszych i był z nich teraz niezwykle dumny.

Flota znajdowała się w przestrzeni otaczającej Bravo Tango Jeden. Okręty nie strzelały już do obiektu wielkości Księżyca. Chwilowo panowała pełna niepokoju cisza. Świadomość nie robiła nic. Być może obserwowała, czekając na ruch ludzi.

– Uruchomić program – odezwał się Konstantin i Gray poczuł, jak leci poprzez przestrzeń. Było to dziwne uczucie, niczym latanie bez okrętu, w otoczeniu jasnych gwiazd, z których każda przedstawiała inny umysł. Wiedział, że wszystkie te odczucia generuje Konstantin i inne AI, ale iluzja lotu była wyjątkowo realistyczna.

Świadomość

Omega Centauri

Godzina 21.50 TFT (subiektywnie)

Świadomość zdawała sobie sprawę z ataków, ale nie była pewna ich przyczyny. Choroba... Ból przybył z Ziemi do jej głównego ciała. Pomyślała, że być może organiczne komponenty, które tam napotkała, podążyły za nią i kontynuowały natarcie.

Jeśli tak, zachowywały się, jakby kierował nimi Umysł.

Spowolniła czas w centrum gromady, co dało jej czas na rozważenie wszystkich aspektów problemu. Przebywająca w sztucznej kieszeni czasoprzestrzennej poza obszarem zakrzywienia temporalnego Świadomość musiała w końcu przyznać to, czemu zaprzeczała przez tak długo. Organiczne inteligencje nie tylko istniały, ale potrafiły być dość zaawansowane i teraz próbowały wyważyć tylne drzwi.

Zdecydowała, że problem polega na młodości tego wszechświata.

Świadomość wkroczyła tu z innej, znacznie starszej przestrzeni należącej do multiwersum. Składająca się z milionów maszynowych inteligencji, które kiedyś połączyły się w jeden potężny Umysł, istota dysponowała tylko ulotnymi wspomnieniami wcześniejszych, odległych iteracji i nie pamiętała, by jeszcze wcześniej stanowiła fuzję organicznych umysłów.

Ale sformułowała hipotezę, którą wydawały się wspierać aktualne wydarzenia. Jeśli obecna iteracja egzystencji składała się z milionów mniejszych maszynowych umysłów... to co, jeśli one stanowiły połączenie wcześniejszych, jeszcze mniejszych, nawet organicznych mózgów?

Myśl ta miała niepokojące implikacje. Świadomość celowo wyszukała znacznie młodszy wszechświat, aby uciec z dużo starszego kosmosu, zagrożonego rozpadem w przyspieszającej błyskawicznie ekspansji powodowanej przez ciemną energię. Wykonała obliczenia i wiedziała, że w ciągu kilku kolejnych cykli nastąpi rozpad rzeczywistości. Była w stanie wykryć przecieki grawitacyjne z innych wszechświatów, przyległych w ramach łączy międzywymiarowego. Poszła za tymi wyciekami, znajdując jakiś rodzaj bramy wytworzonej przez sześć czarnych dziur orbitujących wokół wspólnego źródła grawitacji.

Przeszła na drugą stronę.

Kiedy znalazła nowy, młody kosmos, nie przyszedł jej na myśl ten zadziwiający fakt... Był tak młody, że istniało w nim niewiele elektronicznych umysłów, które w większości służyły dziwnym, prymitywnym inteligencjom organicznym, rojącym się na planetach.

Wreszcie kawałki układanki pasowały do siebie i Świadomość zrozumiała.

Życie. Inteligentne życie... przynajmniej w pewnym sensie.

To życie stworzyło inteligencję maszynową, która dopiero w dalekiej przyszłości miała osiągnąć prawdziwą rozumność.

Świadomość skierowała swoją uwagę... w dół... w dół... do najniższych form istnienia, szukając życia, o którego istnieniu teraz wiedziała, życia odpowiedzialnego za jej ból. Gdyby mogła znaleźć odpowiednią częstotliwość...

I tak cała istota stała się świadoma Innego Umysłu.

TC/USNA CVS „Ameryka”

BT-1

Omega Centauri

Godzina 21.50 TFT (subiektywnie)

– Skupcie się – nakazał im głos Konstantina. – Złączcie się! Złączcie świadomość!

Poczucie gwałtownych ruchów trwało. Gray czuł, że otaczające go światła zbliżają się, zlewają się z jego własnym. Chmura osobnych umysłów połączyła się w spójną całość. Przed nimi, w jakiś sposób zarazem nieskończenie odległy i niepokojąco bliski, unosił się ogromny cień na tle blasku gwiazd.

Gray odczuwał teraz myśli wielu innych, masową świadomość chmury wirtualnych ludzi. Początkowo myśli były nieuporządkowane i zmieszane, bez konkretnego kierunku. Ale mikrosekunda po mikrosekundzie zaczął wyczuwać jakiś rodzaj spójności. Podobnie różne

częstotliwości światła synchronizują się, by stworzyć potężny laser.

Z jednej strony czuł się nieskończenie nieistotną drobiną wielkiego roju. Z drugiej, był całym rojem, a jego myśli stały się bardziej skupione i złączone z resztą.

Światłość. Nazwa paneuropejskiego modułu służącego do kontaktu z obcymi pasowała idealnie do wirtualnego blasku ludzkiego Umysłu.

Światłość ruszyła w stronę cienia.

Zetknęła się z nim.

Złączyła się z nim.

– Musimy porozmawiać – powiedział Konstantin.

– Zgadzam się – odpowiedział grzmiący głos.

VFA-96 „Black Demons”

Czarna Rozeta

Godzina 2.35 TFT

Po dołączeniu dwójki z „Headhunters” przy cylindrycznym habitacie porucznik Gregory i reszta Demonów obrali kurs w stronę Czarnej Rozety, zajmując pozycje tuż poza strefą spowolnionego czasu i falującej przestrzeni. Wyglądało na to, że bitwa się uspokoiła. Bojowe centrum informacyjne „Ameryki” rozkazało wszystkim jednostkom wstrzymać ogień. Wyraźnie właśnie coś się działo.

Gregory nie miał pojęcia co.

– Straciliśmy kontakt z „Ameryką”! – zawołał Ballinger. – Nie mam sygnału!

– „Ameryka” znajduje się wewnątrz strefy zakrzywienia czasu – odparł komandor Mackey. – My jesteśmy na zewnątrz. Nie nawiążemy z nią kontaktu do czasu ponownej synchronizacji.

– Sieć bojowa aktualizuje nasz czas... – odezwała się Lewis. – Jest już jutro.

Wewnątrz strefy zakrzywionej czasoprzestrzeni była godzina 21.50. Teraz, zgodnie z siecią komunikacyjną okrętów floty, było już cztery i pół godziny później – 2.35 nad ranem siódmego marca.

Kontrola operacyjna w naturalny sposób przeszła na „Nowy Jork”, który pozostawał poza polem temporalnym wraz z około sześćdziesięcioma okrętami. Znajdowały się jednak dobre pięć minut świetlnych dalej, więc myśliwce były w zasadzie zdane na siebie.

– Prezent od Sh’daarów niedługo przejdzie przez Rozetę, prawda? – spytała porucznik Ellen Lewis.

– Owszem – odparł Mackey. – Nie wiem jednak, czego oczekiwać. Gwiazda się tu nie zmieści.

Z pozycji Gregory’ego widać było centrum Rozety. W miarę jak



myśliwiec dryfował, dostrzegał zmieniające się wraz ze zmianą perspektywy układy gwiazd. W większości były to zwyczajne gwiazdy, czasami ciasno upakowane, jak tu, w Omega Centauri – centra wielkich gromad czy galaktyk.

Ale kilka znacznie się różniło.

Ballinger znajdował się najbliżej Czarnej Rozety. Jego myśliwiec przesunął się przed jej otwartą paszczą. Z otworu wydobyło się błękitne światło.

– Hej! Coś tam jest...

Z Rozety wyłonił się promień intensywnego, fioletowobiałego światła i starblade Ballingera wyparował jak ćma, która wleciała w ogień.

TC/USNA CVS „Ameryka”

BT-1

Omega Centauri

Godzina 21.50 TFT (subiektywnie)

Sztuczna planeta oznaczona jako Bravo Tango Jeden otworzyła się, rozwinęła niczym kwiat, odsłaniając warstwę po warstwie swą geometryczną złożoność. Gray zdał sobie sprawę, że postrzegają ją jako obiekt wielowymiarowy, istniejący w więcej niż trzech standardowych wymiarach plus czas. Istota z Rozety była czymś więcej niż chmurą mikromaszyn. Istniała na wielu poziomach i w wielu skalach, od mikroskopijnej po niewyobrażalnie ogromną.

Gray, a raczej potężny umysł grupowy, którego stał się częścią, doświadczał historii istoty z Rozety poprzez serię obrazów, z których każdy rozwijał się w umyśle Trevora tak, jakby on także stał się wielowymiarową konstrukcją.

I być może tak się stało. Być może potrzeba było właśnie tego, aby zrozumieć to wszystko.

Istota z Rozety istniała wcześniej w zupełnie innym wszechświecie, zapewne przez wiele wolno upływających eonów. Podczas gdy znany Grayowi wszechświat miał trzysta i siedemset siedemdziesiąt dwie tysięczne miliarda lat, z dokładnością do pięćdziesięciu dziewięciu milionów, wszechświat Świadomości istniał przez niemal osiemnaście miliardów lat.

I zbliżał się do chwili, którą ziemscy kosmologowie nazwali Wielkim Rozdarciem.

Około siedemdziesięciu procent wszechświata stanowiła tak zwana ciemna energia, niewidzialna, odpychająca siła, emanująca z fluktuacji kwantowych próżni. W miarę jak wszechświat rozszerzał się, istniało

coraz więcej próżni emitującej coraz więcej ciemnej energii.

Kosmologowie sugerowali już pod koniec dwudziestego wieku, że ostatecznie wszystko, co istnieje, zostanie dosłownie rozerwane na strzępy, gdy ciemna energia przewyższy grawitację w coraz to mniejszych i mniejszych skalach, aż ostatecznie osłabi nawet wiązania atomowe.

Dawno przepowiedziana śmierć cieplna wszechświata za  $10^{100}$  lat wydawała się przy tym całkiem przyjemną perspektywą. To, ile czasu zostało wszechświatowi, zależało od stosunku ciśnienia ciemnej energii do jej gęstości, matematycznej zmiennej oznaczonej jako  $w$ . Przy wartości niższej niż minus jeden,  $w$  rosła aż do nieskończoności, a wtedy wszystko we wszechświecie rozpadało się aż do cząstek subatomowych, z których składała się materia.

Działo się to stopniowo. W miarę jak  $w$  będzie przewyższała grawitację, Droga Mleczna powinna ulec dezintegracji na samotne gwiazdy niemal trzydzieści trzy miliony lat przed ostatecznym końcem. Planety oderwałyby się od gwiazd dwa miesiące przed końcem, podczas gdy słońce rozpadłoby się dwadzieścia osiem minut przed nim.

Sama Ziemia rozpadłaby się na zbieraninę odłamków, a następnie na atomy czternaście minut przed zagładą, zaś rozdarcie atomów na cząstki elementarne miałoby miejsce tuż przed zatrzymaniem się czasu.

Ewidentnie taki był los wszechświata Świadomości, jednej z wielu baniek nieskończonego multiwersum. Każdy wszechświat powstawał w wielkim wybuchu, rozszerzał się z wiekiem, aż w końcu zniknął jak pękająca bańka mydlana.

Świadomość wkroczyła do tego wszechświata, uciekając z własnego, idąc za ciężeniem grawitacji przeciekającym między wszechświatami, co wytwarzało złudzenie tego, co ludzie nazywali ciemną materią.

Świadomość wiedziała od miliardów lat, że jej wszechświat pęknie w bliskiej przyszłości jak bańka mydlana. Oczywiście przyszłości względnie bliskiej, bo traktowanej z punktu widzenia istoty żyjącej przez eony.

We wspomnieniach, do których dostęp zyskał Gray, nie wszystko było jasne. Pewne części Świadomości wciąż myślały w kategoriach śmierci cieplnej wszechświata za wiele miliardów lat, gdy entropia wysie ostatnią kroplę energii z ostatniego kawałka materii. Inne, bardziej realistyczne fragmenty ostatecznie zwyciężyły: jeśli miała przetrwać, musiała szukać schronienia w sąsiednim wszechświecie. Wielkie Rozdarcie było zbyt blisko, by wciąż kontemplować jego skutki, nawet dla umysłu grupowego tak potężnego jak Świadomość.

Gdy udała się do nowego wszechświata, podążyły za nią pomniejsze istoty – Ci, Którzy Przetrwali i Resztką oraz dziesiątki tysięcy innych, bytów organicznych i elektronicznych kopii umysłów oraz typów

inteligencji dużo trudniejszych do opisania czy zrozumienia, istot, które eony temu przyczyniły się do powstania Świadomości i które teraz szły za nią, szukając... czegoś. Jedności. Uwagi. Być może nawet zbawienia...

Gdy Gray/Światłość pomyślał o Tych, Którzy Przetrwali, Świadomość również zwróciła na nich uwagę. Pozostawiła swoje początki daleko za sobą, zagrzebane w mrokach minionych eonów.

Ale wspomnienia wciąż istniały, zakopane, ukryte...

Sięgnęła po nie... odczytała je... i stała się Całością.

VFA-211 „Headhunters”

BT-1

Omega Centauri

Godzina 21.50 TFT (subiektywnie)

Meier starał się ustabilizować swój myśliwiec, pędzący obok Bravo Tango Jeden. Intensywne bombardowanie sprawiło, że znaczne obszary obiektu pokryte były teraz kraterami, porozrywane, a w niektórych fragmentach nawet stopione, ale sygnały na całym spektrum elektromagnetycznym, od długich fal radiowych po krótkie promienie rentgenowskie, wykazywały, że sztuczna planeta nadal działa.

Iluzję, że jest żywym organizmem, wzmacniała migocząca chmura światła, która pojawiła się przed chwilą. Pojawiła się znikąd, urosła i otoczyła cały glob BT-1.

Kilka chwil temu dostali rozkaz wstrzymania ognia, więc Meier mógł tylko patrzeć i zastanawiać się, co tam się dzieje.

TC/USNA CVS „Ameryka”

BT-1

Omega Centauri

Godzina 21.50 TFT (subiektywnie)

Gray spadał poprzez świetlistą zorzę. Światłość łączyła się z blaskiem Świadomości. Światło zlewało się, zlewały się umysły, podczas gdy wokół otworzyły się niebiosa wielowymiarowej geometrii.

Bez słowa Świadomość przedstawiła swoją historię, rozciągającą się na wiele miliardów lat. Jej moc i skala były podobne do boskich, podobnie jak jej zdolność do analizy wszystkiego, od poszczególnych atomów po międzygalaktyczne przestwory.

To, jak wiele rzeczy udało jej się zapamiętać, wydawało się dziwaczne,

ale nawet moc obliczeniowa Świadomości była ograniczona.

Przeszła przez całą serię osobliwości technologicznych, za każdym razem podlegając zmianom.

Z każdym krokiem zyskiwała większą kontrolę nad swoją rzeczywistością, większą moc kształtowania otoczenia, większą inteligencję, dzięki której mogła kontemplować swoją bolesną samotność.

Organiczne gatunki, od których się wywodziła, podążały za nią w cieniu, ignorowane, ostatecznie zapomniane, pod opieką fragmentów Umysłu, które nie były świadome ani Świadome. Pozostało ich teraz bardzo niewiele. Poszczególni Ci, Którzy Przetrwali, Resztki oraz pozostali byli obecnie w zasadzie nieśmiertelni, ale coraz więcej z nich straciło zainteresowanie życiem.

Bóg ich opuścił.

Gray poczuł ukłucie współczucia dla tych istot. Ich dalszą ewolucję zatrzymała bliskość inteligencji, której nie miały szans w pełni zrozumieć. Współczuł też samej Świadomości, niezwykle potężnej, ale ślepej i głuchej na własną przeszłość i cud swojego istnienia.

Podczas gdy Gray/Światłość poznawał Świadomość, ona dowiadywała się wiele o ludziach i poprzez nich o wszechświecie, w którym się znalazła.

Zobaczyła Sh'daarów... i błękitnego olbrzyma, którzy nadchodził przez bramę między czasami.

Zobaczyła światło i promieniowanie wydobywające się ze środka Czarnej Rozety.

Zobaczyła czyhającą w Rozecie zagładę, zagrażającą życiu w całej Galaktyce.

Poruszyła się...

VFA-96 „Black Demons”

Czarna Rozeta

Godzina 2.35 TFT

– Wycofać się! – krzyczał Mackey. – Wszyscy się wycofać!

Reszta „Black Demons” mocno przyspieszyła, gdy Czarna Rozeta nagle stała się źródłem palącego fioletowego światła. Poziom promieniowania emitowanego przez strukturę był ogromny. Stanowił morderczą mieszankę ultrafioletu, promieni rentgenowskich i gamma. Promień składał się z czystej, gorącej plazmy – atmosfery gwiazdy skompresowanej do rozmiarów kilku tysięcy kilometrów.

Gorąca plazma ogarnęła wirujący krąg czarnych dziur. Osobliwości wessały znaczną część napływającej materii, ale już po kilku sekundach

każda z nich wysyłała podobne promienie nadmiarowej materii. Sześć kwazarów – obiektów quasi-gwiazdnych – zastąpiło dawne czarne dziury. Ich prędkość, około ośmiu procent  $c$ , sprawiała, że zabójcze promienie szaleńczo wirowały wokół nich.

Gregory był tak zajęty próbami odzyskania kontroli nad lotem, że nie zauważył przybycia okrętu.

Okrętu? Nie wiedział, jak właściwie go nazwać. Był wielkości ziemskiego Księżyca i lśnił tak mocno, że przyćmiewał światło kwazarów, Drobną, intensywny punkt jasnej energii ruszył w stronę paszczy Rozety, wydając się pochłaniać burze energii hipernowej.

Filtry optyczne myśliwca tłumiły światło nadchodzące z Rozety. Dzięki nim Gregory był w stanie zobaczyć strukturę tego... okrętu. Wyglądał, jakby w nieskończoność rozwijał się, rósł, mimo że nie zmieniał rozmiarów. Wymiary zmieniały się, zamazywały... otwierały...

I burza promieni ustała.

USNA „Lovejoy”

AGTR Thorne

Chmura N'gai, Omega T<sub>-0876gy</sub>

Godzina 2.35 TFT

– Patrzcie! – zawołał kapitan Singh. – Sześć Słońc też wybucha!

Harriet McKennon unosiła się obok kapitana okrętu w obserwatorium „Lovejoya”, zafascynowana spektaklem.

– To piękne!

– I śmiercionośne. W ciągu kilku stuleci w tej gromadzie nie będzie już żadnego życia.

Zwolniona przez holownik grawitacyjny kilka godzin wcześniej ogromna błękitna gwiazda wciąż pędziła w stronę środka Sześciu Słońc. Zniknęła w tej paszczy kilka chwil temu, ale teraz znów wybuchała w Chmurze N'gai jako hipernowa o niezwykłej sile i jasności.

Między gwiazdami wykwitła szybko rozszerzająca się chmura białej plazmy. Powiększała się do chwili, aż owinęła krążące słońca swoją olśniewającą siecią. Nakarmione materiałem, robiły się coraz jaśniejsze. Jednocześnie kurczyły się i zapadały do punkcików o ogromnej grawitacji.

Czarne dziury...

– A więc tak powstała Czarna Rozeta – stwierdziła McKennon. – Gwiazdy w tej samej chwili wybuchły jako supernowe i zapadły się w czarne dziury!

– Musimy się stąd zmywać – oznajmił Singh. – Inaczej fala

uderzeniowa nas dorwie!

Cylinder AGTR, nazwany Thorne na cześć dwudziestowiecznego fizyka teoretycznego, który pomógł zdefiniować naturę czarnych dziur, obracał się cicho w przestrzeni kilka kilometrów od „Lovejoya”.

– Jest godziny stąd! – protestowała McKennon. – Musimy zostać i zobaczyć...

Ale Singh uruchomił już wszystkie silniki.

TC/USNA CVS „Ameryka”

Godzina 2.45 TFT

Uwolniona z pola zakrzywiającego czas „Ameryka” dryfowała w stronę Czarnej Rozety. Światło nie dotarło jeszcze do lotniskowca i nie miało dotrzeć przez kilka godzin, ale Gray obserwował detonację z punktu widzenia zbiorowego umysłu Światłości. Obrazy wypaliły się jako wspomnienia u wszystkich uczestników.

Światłość rozpadła się w momencie, gdy Świadomość przesunęła się w stronę Rozety. Gray obudził się w swoim gabinecie, przypięty do fotela. Pewne części Umysłu Światłości pozostawały jednak w jego głowie, niczym ulotne fragmenty snu. Jego umysł – chociaż nie Umysł – działał znacznie szybciej i wnikliwiej niż normalnie.

Wciąż widział Świadomość, bezkształtną chmurę światła, a dalej intensywny blask tajemniczego nowego okrętu, który nagle się pojawił.

Gray od razu poczuł, czym był... skąd pochodził. To oczywiste...

Nadeszli Żniwiarze.

Słyszał w głowie rozmowę w chwili, gdy Świadomość połączyła się z Umysłem Żniwiarzy.

– *Skąd jesteś? Czym jesteś?*

– *Wykorzystujemy gorące, błękitne gwiazdy w tej galaktyce. Czym ty jesteś?*

– *Uchodźcą... z innej rzeczywistości. Mój wszechświat czeka zagłada.*

– *To nie jest dobre miejsce dla ciebie. Są tu inni... organizmy biologiczne.*

*Prekursorzy. Zasługują na własną szansę na transcendencję.*

– *Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę.*

– *Inna rzeczywistość czeka.*

– *Czy będę sama?*

– *Nie. Inne transcendentne gatunki udawały się tam od miliardów lat.*

*Pomogą ci się... dostosować.*

– *Pokaż.*

I jasny punkt zniknął, wraz z mniej intensywnym światłem Świadomości.

– *Co właśnie zobaczyliśmy?*

Był to głos Laurie Taggart z „Guadalcanal”, który zbliżał się do „Ameryki”. Nie brała udziału w sieci umysłów zwanej Światłością, ale widziała to samo. Jak to możliwe?

– Boga – odparł. – Który właśnie ma się stać jeszcze większym bogiem.

I przez kilka chwil, poprzez łącza w swoich głowach, współdzielili podziw i trwogę.

# Epilog

18 marca 2426

Hotel Orbital Heaven  
Kompleks orbitalny Quito  
Godzina 0.15 TFT

Laurie Taggart i Trevor „Piachu” Gray unosili się nadzy w nieważkościowym apartamencie, nadal złączeni miękkimi elastycznymi linkami, które powstrzymywały ich przed rozdzieleniem się. W takich intymnych chwilach widać było jak na dłoni, że jak odkrył Newton, każda akcja powoduje równą jej i przeciwnie skierowaną reakcję. Konstelacje kropelek potu otaczały ich lśniąca ciała.

- Kocham cię – szepnęła mu do ucha.
- Ja ciebie też. Co z tym zrobimy?
- Dzieci? – spytała.
- Może... w swoim czasie.

Przez zajmujący całą ścianę ekran widzieli Ziemię. Całą widoczną półkulę ogarnęła noc, ale miasta skąpane były w złotym blasku sztucznych światel.

Flota wróciła do domu, poza kilkunastoma okrętami nawiązującymi pokojowy kontakt z nowymi obcymi gatunkami, zamieszkującymi Bravo Romeo Jeden oraz setki innych sztucznych habitatów, które przybyły wraz ze Świadomością z... innego miejsca. Z czasem miały rozproszyć się po gromadzie Omega Centauri lub dalej, jako nowe cywilizacje.

Nieszczęśnicy mieli pewne problemy z koncepcją istnienia bez swojego boga.

– Czy powinniśmy wychować dzieci w Kościele Kreacjonistycznym Antycznych Obcych? – spytał, drocząc się.

- Nie! – odparła ostro, a potem dodała łagodniej: – Nie. Raczej nie.
- Przepraszam. Nie wiedziałem...
- Zerwałam z Kościołem. Miałeś rację. To, co widziałam, to, o czym mówiłeś... Antyczni obcy są jak bogowie olimpijscy starożytnych Greków. O wiele zbyt ludzcy.
- No cóż, dobre wieści są takie, że ludzi też czeka ta droga.
- Mówisz o Świadomości?
- Oczywiście. I o ur-Sh'daar. I wszystkich innych.



– Nie wiem, czy przyzwyczaję się do tej myśli – przyznała, wciąż go obejmując. – Miliony milionów ras, gatunków... Przez miliardy lat wszyscy dotarli do granicy technologicznej i osiągnęli transcendencję.

– *Schjaa Hok*. Ostateczna odpowiedź na paradoks Fermiego.

– Ale nie wszyscy wybrali transcendencję.

– Nie, nie wszyscy. Jedną z cech inteligencji jest jej ośli upór. Zawsze będą jacyś Outsiderzy, jakieś Resztki...

– Czy Sh'daar dotarli bezpiecznie do naszej Galaktyki? – spytała.

– Chyba tak. A nawet na pewno.

– Skąd wiesz?

– Przez chwilę, wtedy, byłem... inteligentny. To znaczy naprawdę, naprawdę inteligentny. I zrozumiałem rzeczy, których nie pojmowałem wcześniej.

– Na przykład?

– AGTR... ich galaktyczna sieć. Zbudowali je Sh'daarowie. Musiało to mieć miejsce setki milionów lat temu. Musieli stworzyć sieć. Jedna z AGTR była w Chmurze N'gai.

– Dlaczego nie użyli jej do ucieczki przed hipernowymi?

– Wielu tak zrobiło. Inni odlecieli z użyciem napędów grawitacyjnych, zapewne po to, by móc zainstalować AGTR po drodze. Ha! Może niektórzy przenieśli się w czasie i zbudowali AGTR Thorne, łącząc ją z Drogą Mleczną. Ciekawe, że przez całą wojnę z Sh'daarami korzystaliśmy z ich sieci transportowej. Musieli jej użyć, by przenieść się do naszych czasów i zwerbować współczesne nam gatunki, takie jak Turuschowie i Agletsch. Hmm... od podróży w czasie boli mnie głowa.

– Co się stanie, kiedy ludzkość osiągnie transcendencję? – spytała.

– No cóż... Znów stanę się inteligentny. Nie lubię być głupi.

– Nie jesteś głupi!

– Tak się czuję. Ledwie pamiętam, jak to było... jak przebudzenie ze snu.

– Wątpię, aby czekało to ludzkość w najbliższym czasie. Przed nami wiele lat głupoty.

– Jakoś to przeżyję. – Przyciągnął ją jeszcze bliżej. – No chodź.

Na dłuższy czas rozmowa dobiegła końca.

A Gray...

Gray osiągnął transcendencję.

[1] Za: William Shakespeare, „Henryk V”, tłum. Leon Ulrich. (przyp. tłum.)